

Julie Kagawa
Żelazny Dwór 01
Żelazny Król

Tłumaczenie: Joanna Lipińska
Tytuł oryginału: The Iron King
Wydanie oryginalne 2010
Wydanie polskie 2011

Spis treści:

Część I.....	2
1. Duch w komputerze	2
2. Zgubny telefon.....	10
3. Odmieniec.....	17
4. Puk.....	22
5. Kraina Nigdyngdy.....	28
6. Dziki gon.....	35
7. O goblinach i Grimalkinie.....	37
8. Zagajnik w świetle księżycy.....	42
9. Na Jasnym Dworze.....	47
10. Córka króla elfów.....	50
Część II.....	53
11. Obietnica Tytanii.....	53
12. Elizjum.....	63
13. Ucieczka z Jasnego Dworu.....	69
14. Niebieski Chaos.....	76
15. Powrót Puka.....	80
16. Żelazne stwory.....	85
17. Wyrocznia.....	91
18. Muzeum Wudu.....	98
19. Driada z parku miejskiego.....	107
CZĘŚĆ III.....	113
20. Żelazne smoki i chomiki.....	113
21. Rycerze Żelaznej Korony.....	119
22. Ostatnia bitwa Asha.....	124
23. Żelazny Król.....	128
24. Machina.....	134
25. Powrót do domu.....	138
Podziękowania.....	145

Nickowi, Brandonowi i Villisowi.
Obyśmy nadal mieli co przelewać z pustego w próżne.

Część I.

1. Duch w komputerze.

Dziesięć lat temu, w dniu moich szóstych urodzin, zniknął mój ojciec. Nie, nie odszedł od nas. To oznaczałoby walizki, puste szuflady i spóźnione kartki urodzinowe z wetkniętą w środek dziesięciodolarówką. To oznaczałoby, że nie był szczęśliwy z mamą i ze mną albo gdzie indziej znalazł nową miłość. A nic takiego się nie wydarzyło. Na pewno też nie umarł, bobyśmy wiedziały. Nie było żadnego wypadku samochodowego, ciała ani policji wspominającej o brutalnym morderstwie. Wszystko poszło po cichutku.

W dniu moich szóstych urodzin tata zabrał mnie do parku, wtedy jednego z moich ulubionych miejsc. Park był nieduży i opustoszały, na odludziu, z wijącą się ścieżką, otoczony sosnami, z zarośniętym rzęsą wodną stawem. Staliśmy nad brzegiem i karmiliśmy kaczki, kiedy usłyszałam dobiegającą z parkingu za wzgórzem melodię furgonetki z lodami. Poprosiłam tatę o lody, a on roześmiał się, dał mi kilka banknotów i powiedział, żebym poszła je sobie kupić.

Wtedy widziałam go po raz ostatni.

Później, gdy policja przeczesywała okolicę, nad wodą znaleziono jego buty, ale nic poza tym. Nurkowie przeszukali staw, który miał ledwo trzy metry głębokości, ale znaleźli tylko gałęzie i muł na dnie. Mój ojciec zniknął bez śladu.

Przez kolejne miesiące wciąż śnił mi się ten sam koszmar - stałam na szczycie wzgórza i patrzyłam, jak tata wchodzi do stawu, a gdy jego głowa zniknęła pod wodą, w tle rozlegała się z furgonetki z lodami przyprawiająca o dreszcze powolna piosenka, której słowa prawie rozumiałam. Ale za każdym razem, gdy próbowałam się w nie wsłuchać, budziłam się.

Niedługo po zniknięciu ojca mama zarządziła przeprowadzkę daleko od naszego dotychczasowego domu. do maleńkiego miasteczka na terenach zalewowych Luizjany. Mama twierdziła, że chce „zacząć od początku”, ale w głębi duszy wiedziałam, że tak naprawdę próbuje przed czymś uciec. Dopiero dziesięć lat później odkryłam przed czym.

Nazywam się Meghan Chase.

Za niecałe dwadzieścia cztery godziny skończę szesnaście lat.

Słodka szesnastka. Ma w sobie coś magicznego. Mając szesnaście lat, dziewczynki powinny stawać się księżniczkami, zakochiwać się, chodzić na dyskoteki, bale i inne takie. Powstało mnóstwo opowieści, piosenek i wierszy o tym wspaniałym wieku, kiedy dziewczyna znajduje swoją prawdziwą miłość, cały świat ma u stóp, a przystojny książę porywa ją w stronę zachodzącego słońca.

Nie sądziłam, żeby ze mną miało być tak samo. W przeddzień urodzin obudziłam się, wzięłam prysznic i przekopałam szafę w poszukiwaniu ciuchów. Zwykle brałam po prostu w miarę czyste rzeczy z podłogi, ale dziś był wyjątkowy dzień. Dziś Scott Waldron wreszcie mnie dostrzeże. Chciałam wyglądać idealnie. Tyle że moja szafa cierpi na poważne niedobory, jeśli chodzi o fajne stroje. Inne dziewczyny mogą godzinami przerzucać rzeczy, wykrzykując: „I co ja mam na siebie włożyć!”, tymczasem w mojej szafie były właściwie tylko trzy rodzaje ubrań - z darów, ze sklepów z używaną odzieżą i ogrodniczki do pracy na farmie.

Chciałabym, żebyśmy nie byli tacy biedni. Wiem, że hodowla świń nie jest zbyt prestiżowym zajęciem, ale mama mogłaby mi kupić przynajmniej jedną parę ładnych dżinsów.

Spojrzałam z niesmakiem na swoją nędzną garderobę. No nic wychodzi na to, że Scott będzie musiał ulec mojemu wrodzonemu wdziękowi, o ile nie zrobię z siebie przy nim idiotki

W końcu ubrałam się w workowate spodnie, zielony podkoszulek i moje jedyne, zszargane, tenisówki. Po czym przeczesalam jasnoblond, proste włosy, które znów zaczęły się potwornie puszyć, zupełnie jakbym wetknęła palce do kontaktu. Związałam je szybko w koński ogon i zesłam na dół.

Luke, mój ojczym, siedział przy stole, popijał kawę i przeglądał miejscowy dziennik, który bardziej przypomina naszą plotkarską gazetkę szkolną niż prawdziwe źródło informacji. Na pierwszej stronie

był nagłówek: Cielę o pięciu nogach na farmie Pattersonów! Wiecie, o co chodzi. Ethan, mój czteroletni przyrodni brat, siedział u swojego ojca na kolanach i jadł ciasteczka z marmoladą, obsypując okruskami spodnie Luke'a. Jedną ręką ścisnął swojego ukochanego pluszowego królika Kłapcia i od czasu do czasu częstował go śniadaniem. Królik miał cały pyszczek w okruszkach i marmoladzie.

Ethan to dobry dzieciak. Ma brązowe kręcone włosy jak jego tata, ale, tak jak ja, po mamie odziedziczył wielkie błękitne oczy. Należy do tego typu dzieci, którymi zachwycają się starsze panie, a przechodnie na jego widok uśmiechają się i machają. Mama i Luke mają na jego punkcie bzika, ale dzięki Bogu nie jest rozpieszczony.

- Gdzie mama? - zapytałam, wchodząc do kuchni.

Otworzyłam szafkę i przejrzałam pudełka z płatkami, zastanawiając się, czy mama pamiętała, żeby kupić moje ulubione. Jasne, że nie. Tylko jakieś musli i te okropnie słodkie z piankami dla Ethana. Naprawdę tak trudno zapamiętać cheeriosy?

Luke nie zareagował i dalej popijał kawę. Ethan żuł ciastko i kichnął na ramię ojca. Zatrzasnęłam szafkę.

- Gdzie mama? - Tym razem zapytałam głośniejszym głosem.

Luke poderwał głowę i w końcu na mnie spojrzał. Jego senne brązowe oczy zdradzały lekkie zaskoczenie.

- Och, cześć, Meg - odezwał się spokojnie. - Nie słyszałem jak weszłaś. Co mówiłaś?

Westchnęłam i po raz trzeci powtórzyłam pytanie.

- Ma jakieś spotkanie z innymi paniami w kościele - wymamrotał Luke i wrócił do przeglądania gazety. - Nie będzie jej przez kilka godzin, więc musisz pojechać autobusem.

Zawsze jechałam autobusem. Chciałam po prostu przypomnieć mamie, że w ten weekend miała mnie zabrać do szkoły jazdy. W tej kwestii nie miałam co liczyć na Luke'a. Mogłam mu o czymś mówić milion razy, a on i tak natychmiast zapominał. Nie był złośliwy czy wredny, ani nawet głupi. Uwielbiał Ethana, a mama chyba naprawdę była z nim szczęśliwa. Ale za każdym razem, gdy się do niego odzywałam, patrzył na mnie zaskoczony, jakby zapomniał, że ja też tu mieszkam.

Złapałam bajgla z koszyka na lodówce i wgrzyłam się w niego ponuro, nie odrywając wzroku od zegara. Do kuchni wszedł Beau, nasz wilczur, i położył mi swoją wielką głowę na kolanie. Podrapałam go za uszami, aż zamruczał. Przynajmniej pies mnie doceniał.

Luke wstał i delikatnie posadził Ethana w jego krzeselku.

- Dobra, stary. - Pocałował go w czubek głowy. - Tatuś musi naprawić umywalkę w łazience, więc posiedź tu grzecznie. A jak skończę, to pójdziemy nakarmić świnię, dobra?

- Bra - zapisał Ethan, wymachując pulchnymi nóżkami. - Kłapcio chce zobaczyć, czy pani Chrumcia ma już dzieci.

Uśmiech Luke'a był tak obrzydliwie dumny, że zrobiło mi się niedobrze.

- Hej Luke - rzuciłam, kiedy skierował się do wyjścia. - Nie zgadniesz, co będzie jutro!

- Hm? - Nawet się nie odwrócił. - Nie wiem, Meg. Jak masz jakieś plany, pogadaj ze swoją mamą.

Pstryknął palcami, a Beau natychmiast mnie porzucił i pobiegł za nim. Usłyszałam ich kroki na schodach i zostałam sama z bratem.

Ethan zamachał nóżkami i spojrzał na mnie tym swoim poważnym wzrokiem.

- Ja wiem - oznajmił cicho i odłożył ciastko na stół - jutro masz urodziny, prawda? Kłapcio mi powiedział i zapamiętałam.

- Tak - wymamrotałam, odwracając się i rzucając bajgiel do kosza. Trafił w ścianę i wpadł do środka, pozostawiając na farbie tłustą plamę. Uśmiechnęłam się krzywo i stwierdziłam, że zostawię to tak, jak jest.

- Kłapcio kazał ci już teraz życzyć wszystkiego najlepszego.

- Podziękuj Kłapciowi. - Zmierziłam Ethanowi włosy i skwaszona wyszłam z kuchni. Wiedziałam. Mama i Luke nic będą pamiętali o moich urodzinach. Nie dostanę ani kartki, ani tortu, ani nawet nie usłyszę od nikogo „wszystkiego najlepszego”. Jeśli nie liczyć głupiego pluszaka mojego brata. To żalosne.

Wróciłam do swojego pokoju, spakowałam podręczniki, pracę domową, strój na WF i iPod, na którego przez rok oszczędzałam, mimo pogardy Luke'a dla tych „bezużytecznych, robiących sieczkę z mózgu gadżetów”. Jak na prawdziwego prowincjusza przystało, mój ojczym nie lubi i nie ufa niczemu,

co ułatwia życie. Komórki? Nie ma mowy. mamy przecież doskonały telefon stacjonarny. Gry wideo? To wynalazek szatana, który zamienia dzieci w przestępców i seryjnych morderców. Błagałam mamę, żeby kupiła mi laptop do nauki, ale Luke uparł się, że skoro jego przedpotopowy, trzeszczący pecet jemu wystarcza, to reszcie rodziny też powinien. Co z tego, że zanim otworzysz stronę internetową przez modem, miną całe wieki? A w ogóle to kto jeszcze używa modemów telefonicznych?

Spojrzałam na zegarek i zaklęłam. Autobus zaraz nadjedzie, a ja miałam do głównej drogi dziesięć minut marszu. Za oknem niebo było szare i deszczowe, więc złapałam kurtkę. I po raz kolejny pożałowałam, że nie mieszkamy bliżej miasta.

Przysięgam, że jak dostanę prawo jazdy i samochód, to zniknę stąd na zawsze.

- Meggie? - Ethan stanął w drzwiach z królikiem pod brodą. Spojrzał na mnie ponuro błękitnymi oczami. - Mogę dziś jechać z tobą?

- Co? - Włożyłam kurtkę i zaczęłam rozglądać się za plecakiem. - Nie, Ethan. Jadę teraz do szkoły. Dla dużych dzieci, nie dla kurdupli.

Odwrociłam się i poczułam, jak moją nogę obejmują dwie małe rączki. Oparłam się ręką o ścianę, by nie upaść, i spojrzałam groźnie na brata. Ethan trzymał uparcie. Wpatrywał się we mnie z zaciętą miną.

- Proszę - błagał. - Będę grzeczny, obiecuję. Zabierz mnie ze sobą. Tylko dziś.

Westchnęłam i schyliłam się, żeby go podnieść.

- O co chodzi, kurduplu? - zapytałam, odgarniając mu włosy z czoła. Mama będzie musiała niedługo je przystrzyć, bo zaczynają przypominać ptasie gniazdo. - Strasznie się dziś do mnie lepisz. O co chodzi?

- Boi się - wymamrotał Ethan i wtulił się w moją szyję.

- Boisz się czegoś?

Pokręcił głową.

- Kłapcio się boi.

- A czego boi się Kłapcio?

- Pana w szafie.

Dreszcz przeszedł mi po plecach. Czasami Ethan był tak cichy i poważny, że zapominałam o tym, że ma tylko cztery lata. Wciąż męczyły go dziecięce lęki - a to bał się potworów spod łóżka, a to licha w szafie. W świecie Ethana pluszaki z nim rozmawiały, niewidzialni ludzie machali z kępy krzaków, a potwory tłukły długimi pazurami w okno sypialni. Rzadko wspominał o nich mamie czy Luke'owi. Od kiedy nauczył się chodzić, zawsze przychodził z tymi opowieściami do mnie.

Westchnęłam. Chciał, żebym poszła na górę i sprawdziła, czy na pewno nic nie kryje się w szafie ani pod łóżkiem.

Właśnie po to trzymałam latarkę na jego nocnym stoliku. Za oknem niebo przeszyła błyskawica, a gdzieś daleko zagrzmiało. Skrzywiłam się. Droga do autobusu nie będzie najprzyjemniejsza.

Cholera, nie mam na to czasu.

Ethan odsunął się trochę i spojrzał na mnie prosząco. Znow westchnęłam.

- Dobrze - mruknęłam i postawiłam go na podłogę. - Chodźmy sprawdzić, co z tymi potworami.

Cicho poszedł za mną na górę i patrzył przejęty, jak brałam latarkę, a potem schyliłam się i zaświeciłam pod łóżko.

- Żadnych potworów - stwierdziłam stanowczo i wstałam. Podeszłam do szafy i otworzyłam ją z rozmachem. Ethan wyglądał zza moich nóg.

- Tu też żadnych potworów. Już wszystko w porządku?

Skinał głową i uśmiechnął się blade. Właśnie miałam zamknąć drzwi, kiedy w kącie zauważyłam dziwny szary kapelus. Z półkulistym denkiem przepasanym czerwoną wstążką i okrągłym rondem - melonik. Dziwne. Co on tu w ogóle robi?

Kiedy się wyprostowałam i zaczęłam odwracać, kątem oka dostrzegłam ruch. Jakaś postać ukryła się za drzwiami sypialni Ethana i przez szparę wpatrywała się we mnie bladymi oczami. Odwróciłam się gwałtownie, ale oczywiście nic już tam nie było.

Jezu, przez Ethana też zaczęłam widzieć nieistniejące stwory. Muszę przestać oglądać horrory po nocach.

Potworny grzmot tuż nad moją głową sprawił, że aż podskoczyłam. O szyby zaczął walić deszcz. Minęłam w biegu Ethana, wypadłam z domu i pognałam ulicą.

Kiedy dotarłam do przystanku, byłam kompletnie przemoknięta. Późnowiosenny deszcz nie był lodowaty, ale i tak zrobiło się nieprzyjemnie chłodno. Objęłam się ramionami i w oczekiwaniu na autobus schowałam pod omszałym cyprysem.

Ciekawe, gdzie jest Robbie? - zastanawiałam się, patrząc drogę. Zwykle o tej porze już tu jest. Może nie miał ochoty moknąć i został w domu. Prychnęłam i przewróciłam oczami. Znów wagaruje. Świetnie. Co za leń. Szkoda, że ja tak nie mogę.

Ech, gdybym miała samochód. Znałam dzieciaki, które na szesnaste urodziny dostają samochody. A ja? Jak dojdzie pójdzie, może dostanę tort. Większość moich kolegów z klasy miała już prawo jazdy i sama jeździła na imprezy, do klubów czy dokąd chcieli. Mnie - zafowanej wieśniary - nikt nigdy nie zapraszał.

Poza Robbiem, poprawiłam się w myślach. Przynajmniej Robbie będzie pamiętał. Ciekawe, co zwariowanego wymyśli tym razem na moje urodziny?

Byłam prawie pewna, że to będzie coś dziwnego albo odjechanego. W zeszłym roku wyciągnął mnie z domu na nocny piknik w lesie. To było pokręcone. Zapamiętałam polanę z małym stawkiem, nad którym fruwały robaczki świętojańskie, ale chociaż później dziesiątki razy przeszukiwałam las za domem, nigdy nie udało mi się tam trafić.

Coś poruszyło się za mną w krzakach. Opos albo jeleń, a może nawet lis, szukający kryjówki przed deszczem. Tutejsze dzikie zwierzęta były niesamowicie pewne siebie i niezbyt bały się ludzi. Gdyby nie Beau, ogródek warzywny mamy byłby stołówką dla królików i jeleni, a okoliczna rodzina szopów pracy częstowała by się jedzeniem z naszych szafek w kuchni.

Trochę bliżej, gdzieś między drzewami, pękła gałązka. Poruszyłam się niespokojnie, zdecydowana nie uciekać przed jakąś głupią wiewiórą albo szopem. Nie jestem jak Angie z nadmuchanymi cyckami, panna doskonała cheerleaderka, która dostaje ataku szału na widok myszokoczka w klatce czy plamy na swoich markowych džinsach. Ja przerzucałam siano, zabijałam szczury i pędziłam świnię przez błoto po kolana. Nie boję się dzikich zwierząt.

Ale mimo to spojrzałam na drogę z nadzieją, że zza zakrętu wynurzy się autobus. Może to wina deszczu i mojej chorej wyobraźni, ale las zaczął przypominać plan zdjęciowy Blair Witch Project.

W tych okolicach nie ma ani wilków ani seryjnych morderców, powiedziałam sobie w myślach. Przestań świrować.

Nagle w lesie zrobiło się bardzo cicho. Oparłam się o drzewo i zadrżałam. Siłą woli spróbowałam zmusić autobus, żeby przyjechał. Po plecach przeszedł mi dreszcz. Ostrożnie odwróciłam głowę i zaczęłam wytyczać wzrok. Na gałęzi wylądował olbrzymi czarny ptak. Nastroszył pióra przed deszczem i siedział nieruchomo jak posąg. Kiedy tak go obserwowałam, obrócił głowę i nasze spojrzenia się spotkały. Miał oczy koloru wiosennej trawy. A potem coś sięgnęło zza pnia i mnie złapało.

Krzyknęłam i odskoczyłam w bok. Serce waliło mi jak oszalałe. Odwróciłam się na pięcie, gotowa do ucieczki, a w myślach widziałam już gwałcieli, morderców i faceta w skórzanej masce z Teksaskiej masakry piłą mechaniczną. Za moimi plecami ktoś wybuchnął śmiechem. Robbie Collier, mój najbliższy sąsiad - to znaczy mieszkał prawie trzy kilometry ode mnie - opadł na pień, zaśmiewając się do rozpuku. Był chudy i wysoki, w znoszonych džinsach i spranej koszulce. Zamilkł na moment, spojrzał na moją pobladłą twarz i znów zaczął ryczeć ze śmiechu. Krótkie rude włosy przykleiły mu się do czoła, a ubranie przylgnęło do ciała, podkreślając jego kościstą posturę, tak jakby kończyny niezupełnie pasowały do reszty. Najwyraźniej nie przeszkadzało mu, że jest przemoczony, cały w błocie, liściach i gałązkach. Tak naprawdę niewiele go ruszało.

- Cholera, Robbie! - Wkurzyłam się i tupałam, próbując mu przykopać. Usunął się i zatoczył na drogę, cały czerwony od śmiechu. - To wcale nie było śmieszne, kretynie. Prawie dostałam przez ciebie zawału.

- Prze.. przepraszam, księżniczko - wydukał Robbie, łapiąc się za pierś, kiedy próbował nabrać powietrza. - Aż się prosiłaś.

Parsknął po raz ostatni, po czym wyprostował się, ściskając się za żebra.

- Boże, to było niezłe. Wskoczyłaś na jakiś metr w powietrze. Myślałaś, że kim jestem? Seryjnym mordercą czy co?

- Jasne, że nie, durniu. - Odwróciłam się wyniośle, by ukryć rumieniec na twarzy. - I kazałam ci przestać mnie tak nazywać. Nie mam już dziesięciu lat.

- Rozkaz, księżniczko.

Przewróciłam oczami.

- Ktoś ci mówił, że jesteś na poziomie rozwoju czterolatka?

Roześmiała się.

- I kto to mówi? To nie ja siedziałem przez całą noc przy zapalonym świetle, jak obejrzałem Teksaską masakrę. Próbowałem cię ostrzec. - Zrobił głupią minę, wyciągnął przed siebie ręce i zaczął zataczać się w moją stronę. - Uuu, kryć się, idzie morderca z piłą.

Skrzywiłam się i opryskałam go, kopiąc kałużę. Zrewanżował się ze śmiechem. Nim kilka minut później przyjechał autobus, byliśmy kompletnie mokrzy i ubłoceni, więc kierowca kazał nam usiąść z tyłu.

- Co robisz po szkole? - zapytał Robbie, gdy zasiedliśmy na samym końcu autobusu. Wokół nas słychać było rozmowy i śmiechy innych uczniów. Nikt nie zwracał na nas uwagi. - Masz ochotę na kawę? Moglibyśmy się zakraść do kina i obejrzeć film.

- Nie dziś, Rob - odpowiedziałam, próbując wyżyć bluzkę. Teraz, po wszystkim, naprawdę żałowałam, że stoczyliśmy tę bitwę. Pokażę się Scottowi jako Wodnik Szuwarek.

- Tym razem musisz się zakraść beze mnie. Daję po szkole korepetycje.

Robbie spojrział na mnie z ukosa zielonymi oczami.

- Korepetycje? Komu?

Żołądek aż mi się skręcił i próbowałam nie uśmiechać się jak szalona.

- Scottowi Waldronowi.

- Co? - Robbie skrzywił się z obrzydzeniem. - Temu mięśniakowi? A co, trzeba go nauczyć czytać?

Spojrzałam na niego ze złością.

- To, że jest kapitanem drużyny futbolowej, nie znaczy, że masz się zachowywać jak dupek. A może jesteś zazdrosny?

- Och, no pewnie, o to chodzi. - Robbie uśmiechnął się krzywo. - Zawsze chciałem mieć iloraz inteligencji kamienia. A nie, czekaj, nie obrażajmy kamienia. - Prychnął. - Nie wierzę, że lecisz na mięśniaka. Stać się na coś więcej, księżniczko.

- Nie nazywaj mnie tak. - Odwróciłam się, by ukryć rumieniec. - To tylko korepetycje. Przecież nie zaprasza mnie na bal. Boże.

- Jasne. - Robbie nie wydawał się przekonany. - Może i nie, ale masz nadzieję, że jednak zaprosi. Przyznaj się. Ślinisz się do niego dokładnie tak samo, jak wszystkie bezmózgie laski ze szkoły.

- Nawet jeśli, to co z tego? - warknęłam, odwracając się do niego. - To nie twoja sprawa, Rob. A w ogóle, co to cię obchodzi?

Ucichł, szepcząc coś pod nosem. Odwróciłam się do niego plecami i spojrzałam za okno. Nie obchodziło mnie, co powiedział Robbie. Dziś po południu, przez jedną cudowną godzinę, Scott Waldron będzie mój i tylko mój i nikt mi w tym nie przeszkodzi.

Lekcje ciągnęły się niemiłosiernie. Nauczyciele mówili od rzeczy, a zegarki zdawały się cofać. W końcu rozległ się ostatni dzwonek, wyzwalając mnie z nieskończonych męczarni rozważań nad tym, czy X równa się Y.

To właśnie dziś, powiedziałam sobie i ruszyłam zatłoczonymi korytarzami, starając się nie utonąć w tłumie. Mokre tenisówki piszczały na kafelkowych podłogach, a od potu, dymu i odoru ciał powietrze było aż gęste. Żołądek podszedł mi do gardła z nerwów.

Dasz sobie radę. Nie myśl o tym. Po prostu idź i to zrób.

Omijając uczniów, dotarłam do końca korytarza i zajrzałam do pracowni komputerowej.

Był tam. Siedział przy biurku z nogami opartymi o krzesło obok. Scott Waldron, kapitan drużyny futbolowej. Cudowny Scott. Król szkoły. Miał na sobie białą-czerwoną kurtkę sportową, która podkreślała jego szeroką klatę, a gęste ciemnoblond włosy sięgały mu do kołnierzyka. Serce zaczęło mi walić jak młotem. Cała godzina w jednym pomieszczeniu ze Scottem Waldronem. I nikt nam nie będzie przeszkadzał. Zwykle nie miałam szans zbliżyć się do Scotta. Zawsze otaczali go Angie i jej

koleżanki cheerleaderki albo jego koledzy z drużyny. W pracowni byli też inni uczniowie, maniacy komputerowi i kujony, na których Scott Waldron nigdy nie zwróciłby uwagi. Sportowcy i cheerleaderki, jeśli tylko mogli, nigdy się tutaj nie zjawiali. Wzięłam głęboki oddech i weszłam do sali. Kiedy do niego podeszłam, nawet nie podniósł wzroku. Wyciągał się na krześle, z nogami w górze i głową odchylną do tyłu, rzucał przez salę niewidzialną piłkę. Odchrząknęłam. Nic. Odchrząknęłam znowu, trochę głośniej. Nadal żadnej reakcji.

Zebrałam się na odwagę, stanęłam przed nim i zamachałam. W końcu spoczęło na mnie spojrzenie jego kawowo-brązowych oczu. Przez chwilę wyglądał na zaskoczonego, a potem uniósł powoli jedną brew, jakby się zastanawiał, czemu niby miałabym z nim rozmawiać.

Jejku. Powiedz coś, Meg, coś inteligentnego.

- Hm... - wyjąkałam. - Cześć. Jestem Meghan. Siedzę za tobą. Na informatyce.

Wciąż patrzył na mnie zdziwiony i poczułam, jak się czerwienię.

- Eee... Nie oglądałam za dużo meczów, ale myślę, że jesteś świetnym rozgrywającym, nie żebym wielu widziała... właściwie to tylko ciebie. Ale chyba naprawdę wiesz, co robisz. Jestem na wszystkich twoich meczach. Zwykle siedzę gdzieś z tyłu, więc pewnie mnie nie widziałeś.

O Boże. Zamknij się, Meg. Natychmiast się zamknij.

Zacisnęłam usta, aby powstrzymać ten strumień bełkotu. Chciałam się zaszyć w jakiejś dziurze i umrzeć. Co ja sobie wyobrażałam, że się na to zgodziłam? Lepiej być niewidzialna, niż zrobić z siebie totalną idiotkę, i to na oczach Scotta.

Mrugnął leniwie, uniósł ręce i wyciągnął z uszu słuchawki

- Sorki, mała - odezwał się przeciągle cudownym, głębokim głosem. - Nic nie słyszałam.

Zmierzył mnie wzrokiem i uśmiechnął się krzywo.

- To ty masz mi dawać korki?

- Eee... tak. - Wyprostowałam się i wygładziłam resztki godności osobistej. - Jestem Meghan. Pan Sanders prosił, żebym ci pomogła w programowaniu.

Wciąż uśmiechał się kpiąco.

- Ty jesteś tą dziewczyną ze wsi, co mieszka na mokradłach? W ogóle wiesz, co to jest komputer?

Poczerwieniałam, a żołądek podszedł mi do gardła. No dobrze, może w domu nie mam za dobrego komputera. Ale właśnie dlatego większość czasu po szkole spędzałam tutaj, w pracowni, odrabiając lekcje albo surfując w sieci. Prawdę mówiąc, za kilka lat zamierzałam dostać się do wyższej szkoły informatyki i programowania. Programowanie i tworzenie stron internetowych nie stanowiły dla mnie problemu. Do cholery, wiedziałam, do czego służy komputer.

Ale pod wpływem krytyki Scotta udało mi się tylko wykrztusić:

- T... tak. Wiem. To znaczy, naprawdę sporo umiem.

Spojrzał na mnie z powątpiewaniem. Moja duma została zraniona. Musiałam mu udowodnić, że nie jestem taką prostaczką, za jaką mnie uważał.

- Chodź, pokażę ci - zaproponowałam i sięgnęłam do klawiatury.

Nie zdążyłam nawet dotknąć klawiszy, Kiedy rozświetlił się ekran komputera. Zamarłam z palcami nad klawiaturą, a na błękitnym ekranie zaczęły pojawiać się słowa.

„Meghan Chase. Widzimy cię. Idziemy po ciebie”.

Zamarłam. Słowa pojawiały się dalej. Wciąż te same trzy zdania, raz za razem.

„Meghan Chase. Widzimy cię. Idziemy po ciebie. Meghan Chase. Widzimy cię. Idziemy po ciebie. Meghan Chase. Widzimy cię. Idziemy po ciebie”.

Raz za razem, aż zajęły cały ekran. Scott odchylił się na krześle, spojrzał na mnie z ukosa, a potem na komputer.

- Co to? - zapytał wkurzony. - Co ty robisz, wariatko?

Odepchnęłam go, potrząsnęłam myszką, puknęłam w Escape, po czym przycisnęłam Ctrl/Alt/Del, aby zatrzymać niekończący się potok słów. Ale nic nie działało.

Nagle, bez ostrzeżenia, słowa zniknęły i przez moment ekran był pusty. A potem na ekranie pojawiła się wypisana wielkimi literami inna wiadomość:

„Scott Waldron podgląda chłopaków pod prysznicem, ha, ha, ha”.

Jęknęłam. Wiadomość zaczęła przesuwać się po wszystkich monitorach w pracowni, a ja nie mogłam tego zatrzymać. Uczniowie przed komputerami zamarli na chwilę zaskoczeni, po czym zaczęli

się śmiać i pokazywać Scotta palcami. Czułam, jak jego spojrzenie wbija mi się w plecy jak nóż. Przestraszona odwróciłam się do niego i zobaczyłam, jak nabiera głęboko powietrza i mierzy mnie wzrokiem. Jego twarz przybrała purpurowy kolor, pewnie z wściekłości albo ze wstydu. Wytknął mnie palcem.

- Myślisz, że to zabawne, wariatko z bagien? Tak? Poczekaj. Pokażę ci, co jest zabawne. Właśnie wykopałaś sobie grób, kretynko.

Wpadł z pracowni, a w sali wciąż jeszcze było słycać śmiech. Kilka osób uśmiechnęło się do mnie, niektórzy klaskali i pokazywali uniesione kciuki. Jeden nawet puścił do mnie oko. Kolana mi drżały. Opadłam na krzesło i gapiłam się bezmyślnie w komputer, który nagle się wyłączył, ukrywając obraźliwą wiadomość, ale było już za późno, stało się. Żołądek mi się skurczył, a oczy piekły. Ukryłam twarz w dłoniach.

Już po mnie. Jestem załatwiona. To koniec. Meghan. Ciekawe, czy mama zgodzi się przenieść mnie do szkoły z internatem w Kanadzie?

W moje ponure myśli wdarł się cichy chichot. Uniosłam głowę.

Na szczycie monitora, niezbyt dobrze widoczne pod światło, przysiadło malutkie, niekształtne coś. Było patykowane i wychudłe, miało długie, cienkie ramiona i wielkie nietoperzowate uszy. Obserwowało mnie inteligentnie zmrużonymi zielonymi oczami. Uśmiechnęło się szeroko, ukazując dwa rzędy fosforyzująco-niebieskich, spiczastych zębów, po czym zniknęło zupełnie jak obraz z ekranu komputera.

Wpatrywałam się chwilę w miejsce, gdzie siedziało to stworzenie, a moje myśli galopowały jak oszalałe.

No, świetnie. Nie dość, że Scott mnie nienawidzi, to jeszcze mam halucynacje. Meghan Chase, ofiara załamania nerwowego na dzień przed szesnastymi urodzinami. Lepiej wyślijcie mnie do psychiatrika, bo na pewno nie przeżyję kolejnego dnia w szkole.

Z trudem wstałam i powlokłam się na korytarz.

Robbie czekał na mnie przy szafkach, z dwiema puszkami napoju gazowanego w rękach.

- Cześć, księżniczko - odezwał się, gdy do niego doczłapałam. - Wcześniej wyszłaś. Jak poszły korki?

- Nie nazywaj mnie tak - wymamrotałam i z impetem walnęłam czołem w drzwi szafki. - A korepetycje poszły super. Zabij mnie, błagam.

- Aż tak dobrze? - Rzucił we mnie puszką, którą ledwo złapałam, i otworzył z sykiem swój napój imbirowy, po czym odezwał się radośnie:

- No, mógłbym powiedzieć: „A nie mówiłem?”

Zmierzyłam go zabójczym wzrokiem. Z jego twarzy zniknął uśmiech.

- Ale... nie powiem. - Zaciśnął usta, powstrzymując uśmiech. - Ponieważ... to byłoby nieładnie.

- A w ogóle co ty tu robisz? - zapytałam. - Wszystkie autobusy już ci uciekły. A może czekałeś się pod pracownią, jak jakiś świnięty prześladowca?

Rob zakaszał głośno i pociągnął łyk napoju.

- Hej, zastanawiałem się - mówił dalej - jakie masz plany na jutro, na urodziny?

Ukryć się w pokoju z głową pod kołdrą, pomyślałam, ale wzruszyłam tylko ramionami i otworzyłam swoją porzewiałą szafkę.

- Nie wiem. Jakiegokolwiek. Nic nie planowałam. - Złapałam książki i wpakowałam je do plecaka, po czym zatrasnęłam szafkę. - A co?

Robbie uśmiechnął się do mnie w sposób, który zawsze przyprawiał mnie o dreszcze - od ucha do ucha, tak że oczy zamieniały mu się w małe zielone szparki.

- Mam butelkę szampana, którą zwinąłem z barku - powiedział cicho i uniósł znacząco brwi. - Co byś powiedziała, gdybym cię odwiedził i godnie uczciłibyśmy twoje urodziny?

Nigdy nie piłam szampana. Raz spróbowałam piwa Luke'a i myślałam, że puszcę pawia. Mama czasem kupowała karton wina, które nie było może paskudne, ale alkohol mnie specjalnie nie kręcił.

A co mi szkodzi. W końcu tylko raz kończy się szesnaście lat.

- Pewnie - odpowiedziałam Robbiemu i ponuro wzruszyłam ramionami. - Brzmi nieźle. Równie dobrze mogę odejść z hukiem.

- Wszystko w porządku, księżniczko?

I co ja mu miałam powiedzieć? Że kapitan drużyny futbolowej, w którym podkochiwałam się od dwóch lat. Miał mnie na swojej czarnej liście; że na każdym kroku widziałam potwory, a szkolne komputery zostały zhakowane albo opętane? Jasne. Nie było co liczyć na współczucie ze strony największego żartownisia w szkole. Znajac Robbiego. uznałby to za doskonały dowcip i jeszcze mi pogratulował. Gdybym nie znała go tak dobrze, mogłabym nawet podejrzewać, że to jego sprawa. Więc tylko uśmiechnęłam się do niego smutno i skinęłam głową.

- Wszystko w porządku. Widzimy się jutro.

- Na razie, księżniczko.

Mama znów się spóźniła. Korepetycje miały trwać tylko godzinę, ale siedziałam na krawężniku, w ulewnym deszczu, co najmniej pół godziny, rozmyślając o marności swojego życia i obserwując wjeżdżające i wyjeżdżające z parkingu samochody. Wreszcie jej niebieskie kombi wynurzyło się zza rogu i zatrzymało przede mną. Na przednim siedzeniu leżały zakupy i gazety, więc wsunęłam się do tyłu.

- Meg, jesteś przemoczona do suchej nitki! - wykrzyknęła mama, obserwując mnie przez wsteczne lusterko. - Nie siadaj na tapicerce... weź jakiś ręcznik czy coś. Nie masz parasola?

Też się cieszę, że cię widzę, mam, pomyślałam i skrzywiłam się gniewnie, sięgając po gazetę z podłogi i kładąc ją na siedzeniu. Żadnego „jak minął dzień?” albo „przepraszam za spóźnienie”. Trzeba było zrezygnować z uczenia Scotta i wrócić do domu autobusem.

Jechałyśmy w milczeniu. Ludzie często mówili mi, że wyglądam zupełnie jak ona. To znaczy tak było, zanim pojawił się Ethan i skupił na sobie uwagę wszystkich. Do dziś nie wiem, gdzie widzieli to podobieństwo.

Mama należy do tych kobiet, które wyglądają naturalnie w kostiumie i na wysokich obcasach, a ja wolę workowate spodnie z opuszczonym krokiem i tenisówki. Włosy mamy spływają kaskadą złotych loków. Moje są cienkie i jasne, w odpowiednim świetle wręcz srebrne. Ona wygląda jak królowa, jest zgrabna i pełna wdzięku. Ja jestem po prostu chuda. Mama mogłaby wyjść za każdego mężczyznę na świecie - gwiazdę kina czy jakiegoś bogatego biznesmena – ale wybrała Luke'a, hodowcę świń na nędznej farmie w zapadłej dziurze. Co mi przypomniało...

- Mam. Pamiętaj, że musisz mnie zabrać do szkoły jazdy w ten weekend.

- Och, Meg - westchnęła Mama. - No nie wiem. Mam w tym tygodniu mnóstwo pracy, a twój ojciec chce, żebym pomogła mu naprawiać stodołę. Może w przyszłym.

- Mam, obiecałaś!

- Meghan, proszę. To był długi dzień. - Mama znów westchnęła i spojrzała na mnie w lusterko. Miała zaczerwienione oczy i rozmazany tusz.

Poruszyłam się niespokojnie. Czyżby płakała?

- Co się stało? - zapytałam ostrożnie.

Zawahała się.

- W domu był... wypadek - zaczęła, a jej ton sprawił, że wszystko mi się skrzywiło w środku. - Twój ojciec musiał po południu zabrać Ethana do szpitala.

Znów zamilkła, zaczęła szybko mrugać i nabrała gwałtownie powietrza.

- Beau go zaatakował.

- Co? - Mój krzyk ją przestraszył. Nasz wilczur? Zaatakował Ethana? - Czy Ethanowi nic się nie stało?

Zapytałam, czując, jak żołądek ściska mi się ze strachu.

- Nic. - Mama uśmiechnęła się zmęczona. - Był bardzo wystraszony, ale na szczęście nie stało mu się nic poważnego.

Odetchnęłam z ulgą.

- Co się wydarzyło? - Wciąż nie mogłam uwierzyć, że nasz pies zaatakował kogoś z rodziny.

Beau uwielbiał Ethana. Denerwował się, gdy ktoś choćby podniósł na małego głos. Widziałam, jak Ethan ciąga Beau za futro, uszy i ogon, a pies najwyżej go polizał. Widziałam, jak Beau łąpał Ethana za rękaw i ostrożnie odciągał od ulicy. Nasz wilczur mógł być postrachem dla wiewiórek i jeleni, ale nigdy nawet się nie wyszczerzył na nikogo z domowników. - Dlaczego Beau to zrobił? Mama pokręciła głową.

- Nie wiem. Luke zobaczył, jak Beau biegnie na górę, i usłyszał krzyk Ethana. Kiedy dotarł do jego pokoju, pies ciągnął Ethana po podłodze, a Ethan miał mocno podrapaną twarz i ślady po ugryzieniu na rękę.

Zmartwiałam. Wyobraziłam sobie pokiereszowanego brata, scenę, jak przerażony widzi, że jego grzeczny piesek rzuca się na niego. Nie mogłam w to uwierzyć, zupełnie jakby to był jakiś horror. Wiedziałam, że mama była równie zaskoczona, co ja. Całkowicie ufała psu.

Po zaciśniętych ustach mamy poznałam, że nie powiedziała mi jeszcze wszystkiego, i bałam się tego, co usłyszę.

- Co się stanie z Beau?

Oczy mamy wypełniły się łzami. Serce mi zamarło.

- Nie możemy mieć w domu niebezpiecznego psa, Meg - powiedziała, a w jej głosie słyszałam błaganie o zrozumienie. - Jeśli Ethan będzie pytał, powiedz mu, że znaleźliśmy Beau inny dom.

Nabrała głęboko powietrza, złapała mocniej kierownicę i dodała, nie patrząc na mnie:

- To dla bezpieczeństwa rodziny, Meghan. Nie obwiniaj o to ojca. Po tym, jak Luke przywiózł Ethana z powrotem do domu, odwiózł Beau do schroniska.

2. Zgubny telefon.

Tego wieczoru obiad upływał w ponurej atmosferze. Byłam wściekła na rodziców - na Luke'a za to, co zrobił, i na mamę, że mu na to pozwoliła. Nie odzywałam się do obojga. Mama i Luke rozmawiali o mało istotnych sprawach, a Ethan siedział cicho i ścisnął swojego królika. Dziwnie było bez Beau łażącego jak zawsze wokół stołu i szukającego okruszków. Podziękowałam szybko za jedzenie i uciekłam do swojego pokoju, zatrzasnąjąc za sobą drzwi.

Rzuciłam się na łóżko i przypomniałam sobie te wszystkie chwile, kiedy Beau związał się przy mnie w kłębek, dając mi pewne, ciepłe oparcie. Nigdy o nic nie prosił, wystarczyło mu, że był blisko i pilnował, by jego stado było bezpieczne. A teraz go nie było i dom bez niego wydawał się dziwnie pusty.

Żałowałam, że nie mam z kim porozmawiać. Chciałam zadzwonić do Robbiego i ponarzekać, jakie to wszystko niesprawiedliwe, ale jego rodzice, którzy najwyraźniej byli jeszcze bardziej zacofani niż moi, nie mieli telefonu ani nawet komputera. To się dopiero nazywa średniowiecze! Zwykle umawialiśmy się z Robem w szkole, a czasami po prostu pojawiał się pod moim oknem, po przejściu trzech kilometrów do mojego domu. To było okropnie upierdliwe i zamierzałam to zmienić, gdy tylko dostanę własny samochód. Mama i Luke nie mogą mnie wiecznie trzymać w izolacji. Może moim następnym poważnym zakupem będą telefony komórkowe dla nas obojga. Olać to, co myśli o nich Luke. Miałam już dość jego podejścia, że technologia to zło.

Postanowiłam pogadać z Robbiem następnego dnia. Dziś nie miałam szans. Poza tym jedyny telefon w domu znajdował się w kuchni, a nie zamierzałam żalić się na głupotę dorosłych, którzy byli w tym samym pomieszczeniu. To byłaby lekka przesada.

Rozległo się delikatne stukanie do drzwi, po czym Ethan zajrzał do środka.

- Cześć, kurdupu. - Usiadłam na łóżku i otarłam łzy. Na czole miał przyklejony plaster w dinozaury, a prawe ramię zabandażowane. - Co jest?

- Mama i tatuś oddali gdzieś Beau. - Zaczęła mu drzeć dolna warga i czknał, wycierając oczy o futerko Kłapcia.

Westchnęłam i poklepałam łóżko.

- Musieli - wyjaśniłam, kiedy wspiął się na łóżko i usiadł z królikiem na moich kolanach. - Nie chcieli, żeby Beau znowu cię ugryzł. Bali się, że stanie ci się krzywda.

- Beau mnie nie ugryzł. - Ethan spojrzał na mnie szeroko otwartymi, zapłakanymi oczami. Widziałam w nich strach i zrozumienie ponad jego wiek. - Beau nic mi nie zrobił - upierał się. - Beau chciał mnie obronić przed panem z szafy.

Znów potwory? Westchnęłam. Chciałam to zignorować, ale coś mnie powstrzymało. A co, jeśli Ethan miał rację? Ja też ostatnio widziałam dziwne rzeczy. Co jeśli... co jeśli Beau naprawdę chronił Ethana przed czymś okropnym i przerażającym...?

Nie! Pokręciłam głowę. To idiotyczne. Za kilka godzin skończę szesnaście lat - zdecydowanie za dużo, żeby wieżyc w potwory. I nadeszła pora, żeby Ethan też dorósł. Był mądrym dzieciakiem i zaczynało mnie męczyć, że za każdym razem, gdy coś nie wyszło, zwał winę na jakieś straszdyła.

- Ethan. - Znów westchnęłam, starając się nie brzmieć zbyt zrzędliwie. Jeśli będę zbyt ostra, pewnie zacznie płakać, a nie chciałam go bardziej denerwować po tym, przez co dziś przeszedł. Ale to już zaszło za daleko. - W twojej szafie nie ma potworów. Nie istnieje coś takiego jak potwory, jasne?

- A właśnie, że tak! - krzyknął i zaczął kopać kołdrę. - Widziałem je. Rozmawiają ze mną. Mówią, że król chce mnie widzieć.

Uniósł rękę i wskazał zabandażowane miejsce.

- Pan z szafy mnie tu złapał. Ciągnął mnie pod łóżko, jak do pokoju wpadł Beau i go przestraszył.

Najwyraźniej nie udało mi się go przekonać. A naprawdę nie chciałam być świadkiem jego napadu złości.

- No dobrze - ustąpiłam i objęłam go. - Powiedzmy, że to nie Beau cię złapał. Czemu nie powiesz mamie i Luke'owi?

- Bo oni są dorośli - powiedział Ethan tak, jakby to było oczywiste. - Nie uwierzą mi. Oni nie widzą potworów.

Westchnął i spojrzał na mnie z taką powagą, jakiej nigdy w życiu nie widziałam u dziecka.

- Ale Kłapcio mówi, że ty możesz je zobaczyć. Jak tylko się postarasz. Kłapcio mówi, że widzisz przez mgłę i urok.

- Przez co?

- Ethan? - Za drzwiami odezwała się mama i dostrzegłam jej sylwetkę. - Jesteś tu?

Widząc nas razem, zamrugła i uśmiechnęła się niepewnie. Odpowiedziałam ponurym spojrzeniem.

Zignorowała mnie.

- Ethan, skarbie, pora spać. To był długi dzień. - Wyciągnęła rękę, a Ethan zeskoczył z łóżka i podszedł do niej, wlokąc za sobą królika.

- Mogę spać z tobą i tatą? - usłyszałam, jak pyta niepewnie.

- Och, myślę, że tak. Ale tylko dziś, dobrze?

- Dobrze. - Ich głosy ucichły, a ja kopniakiem zatrasnąłam drzwi.

Tamtej nocy miałam dziwny sen. Śniło mi się, że się obudziłam i zobaczyłam w nogach mojego łóżka Kłapcia, pluszowego królika Ethana. W tym śnie królik do mnie mówił, a jego słowa były ponure i przerażające, zapowiadał niebezpieczeństwo. Chciał mnie ostrzec albo chciał, żebym w czymś pomogła. Możliwe, że coś mu obiecałam. Ale następnego ranka niewiele już z tego snu pamiętałam.

Obudziło mnie dudnienie deszczu o dach. Wyglądało na to, że moje urodziny będą zimne, paskudne i mokre. Przez chwilę męczyła mnie jakaś trudna do uchwycenia, poważna myśl, ale nie wiedziałam, czemu czuję się tak przybita. Wtedy przypomniały mi się wczorajsze wydarzenia i jęknęłam.

Wszystkiego najlepszego dla mnie, pomyślałam, chowając się pod kołdrę. Przez resztę tygodnia nie wychodzę z łóżka i już!

- Meghan? - zza drzwi odezwała się mama i delikatnie zapukała. - Robi się późno. Wstałaś już?

Zignorowałam ją i zakopałam się głębiej pod kołdrę. Zagotowałam się z żalu o to, co zrobili biednemu Beau. wywożąc go do schroniska. Mama wiedziała, że jestem na nią wściekła, ale mogła się jeszcze pomęczyć z poczuciem winy. Nie byłam na razie gotowa jej wybaczyć i się pogodzić.

- Meghan, wstawaj. Spóźnisz się na autobus. - Mama zajrzała do pokoju. Mówiła stanowczym tonem, więc prychnęłam. To tyle, jeśli chodzi o zakopywanie topora wojennego.

- Nie idę do szkoły - wymamrotałam spod kołdry. - Źle się czuję. Chyba mam grypę.

- Chora? W urodziny? To naprawdę pech. - Mama weszła do pokoju, a ja wyjrzałam spod kołdry. Pamiętała? - Okropny pech - mówiła dalej, uśmiechając się i splatając ręce na piersiach. - Miałam cię zabrać po lekcjach do szkoły jazdy, ale jeśli jesteś chora...

Uniosłam natychmiast głowę. - Naprawdę? Hm... no wiesz, chyba nie czuję się aż tak źle. Wezmę tylko aspirynę.

- Tak myślałam. - Pokręciła głową, gdy poderwała z łóżka. - Po południu będę pomagać twojemu ojcu naprawiać stodołę, więc nie mogę cię odebrać. Ale jak tylko do domu, pojedziemy razem do szkoły jazdy. Pasuje ci prezent urodzinowy?

Ledwo ją słyszałam. Byłam zbyt zajęta bieganiem po pokoju, łapaniem ubrań i zbieraniem rzeczy. Im szybciej minie mi dzień, tym lepiej.

Kiedy upychałam do plecaka pracę domową, znów zaskrzypiały drzwi. Ethan zajrzał do środka, z rękami schowanymi za siebie i nieśmiałym, pełnym wyczekiwania uśmiechem na twarzy.

Mrugnęłam do niego i odgarnęłam włosy do tyłu.

- Czego byś chciał, kurduplu?

Uśmiechnął się szeroko i uniosł złożoną na pół kartkę papieru. Pierwszą stronę pokrywały kolorowe rysunki: uśmiechnięte słońce nad małym domkiem z kominem, z którego unosił się dym.

- Wszystkiego najlepszego, Meggie - powiedział zadowolony z siebie. - Widzisz, że pamiętałem?

Uśmiechnęłam się i otworzyłam urodzinową laurkę. Ze środka odwzajemniła uśmiech nasza rodzina narysowana kredkami - patykowaci mama i Luke. ja i Ethan trzymający się za ręce i jakieś czworonożne stworzenie, które musiało być Beau Poczułam gulę w gardle, a oczy na moment zasły mi łzami.

- Podoba ci się? - zapytał zaniepokojony Ethan.

- Jest śliczna - odpowiedziałam, mierzwiąc mu włosy. - Dziękuję. Może powiesz ją na lodówce, żeby wszyscy widzieli, jakim jesteś świetnym artystą?

Wyszczrzył się w uśmiechu i potruchtał z kartką w rękę do kuchni, a ja poczułam, że robi mi się trochę lżej na sercu. Może to jednak nie będzie taki okropny dzień.

- To co, mama zabiera cię dziś do szkoły jazdy? - zapytał Robbie, gdy autobus wjechał na szkolny parking. - Super. Będziesz nas mogła wreszcie wozić do centrum i do kina. W końcu będziemy mogli olać autobus i nie będziemy musieli oglądać wideo na twoim dwunastocalowym telewizorku

- Dostanę tylko pozwolenie na prowadzenie pod opieką dorosłego, Rob. - Złapałam plecak, gdy autobus się zatrzymał. - Nie Prawo jazdy. Znając mamę minie kolejne szesnaście lat, nim będę mogła sama prowadzić. Ethan pewnie szybciej dostanie prawko niż ja.

Myśl o przyrodnim bracie przypomniała mi o dreszcz. Przypomniały mi się jego słowa z poprzedniego wieczoru: „Kłapcio mówi, że widzisz przez mgłę i urok”. Pomijając pluszowego zwierzaka, nie miałam pojęcia, o czym on mówił.

Kiedy schodziłam ze schodków autobusu, od większej grupy odłączyła się znajoma postać i skierowała w moją stronę. Scott. Żołądek mi się ścisnął i rozejrzałam się za jakąś drogą ucieczki, ale zanim udało mi się rozpląnąć w tłumie, stał już przede mną.

- Hej. - Jego niski głos przypomniał mi o dreszcz. Chociaż byłam przerażona, wciąż uważałam, że jest piękny: z mokrymi blond włosami zwijającymi się na czole w fale i loki. Z jakiegoś powodu zdawał się zdenerwowany, przeczesując rękami włosy i rozglądając się wokół. - Eee... - Zawahał się. mrużąc oczy. - Jak ty się nazywasz?

- Meghan - wyszeptałam.

- A, tak. - Podszedł trochę bliżej, spojrzął na swoich kumpli, po czym ściszył głos. - Posłuchaj, głupio mi, że cię tak wczoraj potraktowałem. To było słabe. Przepraszam.

Przez chwilę nie wiedziałam, o czym on mówi. Spodziewałam się gróźb, drwin albo oskarżeń. A potem, kiedy wreszcie dotarły do mnie jego słowa, ogarnęła mnie niesamowita ulga.

- O...och - wyjąkałam, czując, jak się czerwienię. - Nie ma sprawy. Zapomnij o tym.

- Nie mogę - wymamrotał. - Myślałem o tobie od wczoraj. Zachowałem się jak dupek i chcę ci to jakoś wynagrodzić. Czy... - Zamilkł na chwilę, przygryzł dolną wargę, po czym powiedział jednym tchem: - Zjesz dziś ze mną drugie śniadanie?

Serce waliło mi jak oszalałe. Żołądek fikał koziołki, a stopy zdawały się unosić parę centymetrów nad ziemią. Ledwo udało mi się wykrztusić:

- Pewnie.

Scott wyszczrzył olśniewająco białe zęby i mrugnął do mnie.

- Hej! Spójrzcie tutaj! - jeden z kolegów Scotta z drużyny stanął kilka kroków dalej i wycelował w nas telefonem komórkowym z aparatem. - Uśmiech, proszę.

Zanim zorientowałam się, co jest grane. Scott objął mnie i przyciągnął do siebie. Zamrugałam zaskoczona, a serce biło mi jak wściekłe. Uśmiechnął się zabójczo do aparatu, a ja gapiłam się tylko otępiała, jak jakiś kretyn.

- Dzięki, Meg. - Puścił mnie. - Do zobaczenia na drugim śniadaniu.

Uśmiechnął się i odszedł w stronę szkoły, puszczając do mnie oko. Chłopak z komórką roześmiał się i pognał za nim. a ja stałam zaskoczona i zdezorientowana na parkingu. Przez chwilę gapiłam się jak idiotka, gdy mijali mnie ludzie z klasy. A potem uśmiechnęłam się promiennie i wyskoczyłam z radości w powietrze. Scott Waldron chciał się ze mną zobaczyć! Chciał zjeść ze mną drugie śniadanie, tylko ze mną. w kafejce. Może wreszcie szczęście się do mnie uśmiechnęło? Może właśnie zaczynają się najlepsze urodziny mojego życia?

Kiedy nad parking nadciągnęła srebrzysta kurtyna deszczu, poczułam na sobie czyjś wzrok. Odwróciłam się i zobaczyłam kawałek dalej Robbiego, jak przygląda mi się w tłumie.

W deszczu jego oczy błyszczały zbyt zielono. Kiedy woda łomotała o beton, a uczniowie śpieszyli do szkoły, zobaczyłam cień czegoś dziwnego na jego twarzy: długi pysk, skośne oczy, język zwisający pomiędzy spiczastymi kłami. Żołądek mi się ścisnął, ale gdy mrugnęłam, Robbie znów był sobą normalny, uśmiechnięty od ucha do ucha, nieprzejmujący się, że moknie na deszczu.

Zupełnie jak ja.

Rzuciłam krótki okrzyk i pognałam pod dach, do szkoły. Robbie podążył za mną, śmiejąc się i ciągnąc mnie za mokre włosy, aż w końcu musiałam go trzepnąć, żeby przestał.

Przez całą pierwszą lekcję rzucałam okiem na Robbiego szukając tego niesamowitego, drapieżnego wyrazu twarzy zastanawiając się, czy zwariowałam. Ale efekt był tylko taki. że bolała mnie szyja, a nauczyciel angielskiego kazał mi skupić się na lekcji i przestać gapić na chłopców.

Kiedy rozbrzmiał dzwonek na przerwę śniadaniową, poderwałam się z miejsca, a serce waliło mi jak młotem. Scott czekał na mnie w stołówce. Złapałam książki, wepchnęłam je do plecaka, obróciłam się i...

I stanęłam twarzą w twarz z Robbiem, który znalazł się tuż za mną. Krzyknęłam.

- Rob, walnę cię, jak nie przestaniesz! A teraz rusz się. Muszę gdzieś iść.

- Nie rób tego - powiedział cicho i z powagą. Spojrzałam na niego zaskoczona. Nie miał swojej typowej prześmiewczej miny i zaciskał poważnie szczękę. A spojrzenie jego oczu było niemal groźne. - Czuję, że kroi się coś złego. Mięśniak coś kombinuje. On i jego kolesie spędzili dziś mnóstwo czasu w dziale z książkami pamiątkowymi po tym, jak z tobą gadał. To mi się nie podoba. Obiecuj, że tam nie pójdziesz.

Cofnęłam się.

- Podśluchiwałeś nas? - zapytałam wściekła. - Co się z tobą dzieje? Słyszałeś kiedyś o prywatności?

- Waldronowi na tobie nie zależy. - Robbie wyzywająco skrzyżował ramiona na piersi. - Złamię ci serce, księżniczko. Wierz mi, widziałem już takich jak on.

Przepełnił mnie gniew. Gniew, że ośmiela się wtykać nos w moje sprawy, gniew, że może mieć rację.

- Mówię ci ostatni raz, to nie twoja sprawa, Rob! - warknęłam, aż uniósł brwi. - I umiem o sobie zadbać, jasne? Przestań się wciskać tam, gdzie cię nie chcą.

Przez moment w jego oczach widać było ból.

- Jasne, księżniczko. - Uśmiechnął się krzywo i uniósł ręce. - Niech się twoja książeczka główka tak nie gorączkuje. Zapomnij, że coś mówiłem.

- Właśnie. - Poderwałam głowę i nie patrząc na niego więcej, wymaszerowałam z sali.

Kiedy szłam do stołówki, zaczęło mnie dręczyć poczucie winy. Pożałowałam, że tak na niego naskoczyłam, ale czasem przesadzał z tą swoją rolą wielkiego brata. Co prawda Robbie zawsze taki był - zazdrosny, nadopiekuńczy, wiecznie się mną zajmujący, zupełnie jakby to była jego praca. Nie mogłam sobie przypomnieć, kiedy go poznałam. Zupełnie jakby zawsze tu był.

W stołówce było głośno i dość ciemno. Zatrzymałam się tuż przy drzwiach i rozejrzałam za Scottem. Zobaczyłam go natychmiast - siedział przy stoliku na środku sali, otoczony przez cheerleaderki i kumpli z drużyny. Zawahałam się. Nie mogłam tak po prostu do niego podejść i się przysiąść. Angie Whitmond i jej przyjaciółeczki rozszarpałyby mnie na strzępy.

Scott uniósł głowę, a na mój widok uśmiechnął się leniwie. Uznałam to za zaproszenie i mijając kolejne stoliki, poszłam w jego stronę. Wyciągnął iPhone'a, nacisnął guzik i wciąż z uśmiechem patrzył na mnie spod półprzymkniętych powiek. Nieopodal odezwał się telefon.

Podskoczyłam odrobinę, ale dalej szłam w jego stronę. Za mną rozległy się okrzyki zdumienia, a potem śmiech. A potem zaczęły się szepty, które zawsze sprawiają, że myślisz, iż rozmawiają właśnie o tobie. Poczułam na sobie czyjś wzrok. Próbując to zignorować, szłam dalej.

Znow rozległ się dzwonek telefonu.

I następny.

I nagle szepty i śmiechy zaczęły się rozprzestrzeniać jak ogień. Z jakiegoś powodu poczułam się okropnie obnażona zupełnie jakbym była na wystawie i skierowano na mnie reflektor. Ten śmiech nie mógł dotyczyć mnie, prawda? Zobaczyłam, jak niektórzy wskazują mnie palcem, rozmawiając między sobą, i spróbowałam ich olać. Do stolika Scotta brakowało już tylko kilku kroków.

- Hej, laska! - Ktoś klepnął mnie w pupę i krzyknęłam. Odwróciłam się gwałtownie i zobaczyłam Dana Ottomana, blondyna o brzydkiej cerze, który grał na klarnecie w naszej orkiestrze. Spojrzał na mnie obleśnie i mrugnął. - Nie wiedziałem, że jesteś w grze, mała. - Próbował emanować wdziękiem, ale bardziej przypominał sprośną wersję Kermita Żaby. - Zajrzyj kiedyś do nas na próbę. Dam ci pograć na flecie.

- Co ty bredzisz? - warknęłam, a ten się tylko zaśmiał i pokazał swój telefon.

Na początku nie było nic widać, ale po chwili na ekranie pojawił się intensywnie żółty napis. „Dlaczego Meghan Chase jest jak książka?” - przeczytałam.

Jęknęłam. Tekst zniknął, a na jego miejsce pojawiło się zdjęcie. Ja. Ja i Scott na parkingu. Scott, który mnie obejmuje i uśmiecha się okropnie. Tyle że teraz - szczęka mi opadła - byłam kompletnie naga, gapiałam się na niego z zachwytem, a moje oczy były zupełnie puste. Najwyraźniej użył Photoshopa. „Moje” ciało było obrzydliwie chude i bezpłciowe, zupełnie jak lalki. A pierś była płaska jak u dwunastolatki. A kiedy na ekraniku pojawiło się drugie zdanie, zamarłam, a serce przestało mi bić.

„Bo łatwo przed każdym się otwiera”.

Żołądek mi się zawiązał na miliard supełków, a policzki pokryta krwista czerwień. Przerazona spojrzałam na Scotta i zobaczyłam, że wszyscy przy jego stoliku zaśmiewają się i pokazują mnie palcami. Wokół mnie rozbrzmiewały kolejne dzwonki telefonów, a śmiech uderzał we mnie jak fale. Zaczęłam się trząść, oczy mnie piekły.

Zakryłam twarz, odwróciłam się na pięcie i uciekałam ze stołówki, nim rozplakałam się jak dziecko. Odprowadzał mnie przeraźliwy śmiech, a łzy szczypały w oczy jak trucizna. Udało mi się przebrnąć przez salę, nie potykając się i uciekałam na korytarz.

Prawie godzinę spędziłam w narożnej toalecie, wypłakując sobie oczy i rozważając przeprowadzkę do Kanady albo na Fidżi, gdzieś bardzo, bardzo daleko. W tym stanie już na pewno nie pokażę się nikomu na oczy. W końcu, kiedy łzy obeschły, a oddech wrócił do normy, zastanowiłam się nad tym, jak beznadziejne stało się moje życie.

Chyba powinnam czuć się zaszczycona, pomyślałam gorzko i wstrzymałam oddech, gdy do łazienki weszła grupka dziewczyn. Scott poświęcił swój czas, by osobiście zrujnować mi życie. Jestem pewna, że nie zrobił tego dla nikogo innego. Jestem największym nieudacznikiem świata.

Łzy znowu mnie zapiekły, ale miałam już dość ryczenia i je pohamowałam.

Na początku planowałam przeczekać w łazience aż do końca lekcji. Ale jeśli ktoś z klasy zauważyłby, że mnie nie ma, to właśnie tu szukaliby najpierw. Więc w końcu zebrałam się w sobie na tyle, żeby iść do pielęgniarki i udając, że mam okropny ból brzucha, przeczekać w gabinecie.

Pielęgniarka miała chyba metr dwadzieścia wzrostu, i to wliczając jej buty na grubej podeszwie, ale kiedy zajrzałam do gabinetu, spojrzała na mnie wzrokiem, który jasno mówił, że z nią nie przejdzie żadna ścierna. Miała skórę jak wysuszony orzech, siwe jak mleko włosy związane w ciasny kok, a na czubku nosa złote okularki.

- Panno Chase - odezwała się poważnym, wysokim głosem i odłożyła na bok notes. - Co tu robisz?

Zamrugęłam, zastanawiając się, jakim cudem mnie zna. Do tej pory tylko raz byłam w gabinecie, kiedy dostałam w nos zabłąkaną piłką. Ale wtedy pielęgniarką była koścista, wysoka kobieta o pociągłej twarzy, z końską szczęką. Ta pulchna, pomarszczona kobietka była nowa i swoim stanowczym wzrokiem wyprowadzała mnie z równowagi.

- Boli mnie brzuch - wyjęczałam, trzymając się za żołądek tak, jakby miał zaraz pęknąć. - Muszę tylko się położyć na kilka minut.

- Oczywiście, panno Chase. Z tyłu są leżanki. Przyniosę coś, co ci pomoże.

Skinęłam głową i przeszłam do pokoju podzielonego kilkoma parawanami. Poza mną i pielęgniarką w sali nie było nikogo. Cudownie. Wybrałam stojącą w kącie leżankę i położyłam się na przykrytym papierem materacu.

Kilka chwil później pojawiła się z powrotem, trzymając w ręku papierowy kubek z jakimś parującym, musującym płynem.

- Wypij to, a od razu poczujesz się lepiej - powiedziała, podając mi kubek.

Zajrzałam do środka. Bulgoczący biały płyn pachniał jak czekolada i zioła, tyle że mocniej. Napar był tak silny, że aż oczy łzawiły.

- Co to? - zapytałam.

Ale pielęgniarka tylko się uśmiechnęła i wyszła.

Pociągnęłam mały łyk i poczułam, jak rozlewa się we mnie przyjemne ciepło, od gardła aż do żołądka. Smak był niesamowity, jak najlepsza czekolada na świecie, z ledwo wyczuwalnym posmakiem goryczki. Pochłonęłam resztę dwoma wielkimi łykami i obróciłam kubeczek do góry dnem, aby wypić ostatnie krople.

Prawie natychmiast ogarnęła mnie senność. Położyłam się na pomarszczonym prześcieradle, zamknęłam na chwilę oczy i wszystko odpłynęło.

Obudziły mnie ciche głosy, ktoś szeptał za parawanem. Próbowałam się poruszyć, ale wydawało mi się, że całe ciało owinięte mam bandażem, a głowę wypełnioną watą. Z trudem utrzymywałam uniesione powieki. Po drugiej stronie parawanu ujrzałam dwie sylwetki.

- Nie rób nic lekkomyślnego - zagroził cichy, poważny głos.

Pielęgniarka, pomyślałam, zastanawiając się w malignie, czy dałaby mi więcej tego czekoladowego napoju.

- Pamiętaj, że twoim zadaniem jest pilnować dziewczyny. Nie możesz robić nic, co mogłoby zwrócić na ciebie uwagę.

- Ja? - odezwał się niepokojąco znajomy głos. - Zwracać na siebie uwagę? Czemu miałbym robić coś takiego?

Pielęgniarka prychnęła.

- Jeśli cała drużyna cheerleaderek zamieni się w myszy, to będę naprawdę na ciebie bardzo zła, Robinie. Ludzkie nastolatki są ślepe i okrutne. Wiesz o tym. Nie wolno ci się mścić, bez względu na to, co czujesz do dziewczyny. Zwłaszcza teraz. Dzieją się bardziej niepokojące rzeczy.

Śnię, stwierdziłam. To musi być to. A w ogóle co było w tym picciu?

W mdłym świetle cienie sylwetek za parawanem wyglądały dziwnie i niepokojąco. Pielęgniarka zdawała się jeszcze mniejsza, jakby miała ledwie metr. Drugi cień był jeszcze dziwniejszy - normalnego wzrostu, ale z osobliwymi wypukłościami po bokach głowy, wyglądającymi jak rogi albo uszy.

Wyższy cień westchnął i przesunął się, siadając na krześle i krzyżując długie nogi.

- Też o tym słyszałem - wymamrotał. - Rozchodzą się ponure pogłoski. Dwory się niepokoją. Zupełnie jakby oba się czegoś obawiały.

- I dlatego dalej musisz być jej tarczą i opiekunem. - Pielęgniarka odwróciła się, oparła ręce na biodrach i odezwała się groźnie: - Dziwię się, że jeszcze nie dałeś jej mglistego wina. Skończyła dziś szesnaście lat. Zastona zaczyna się unosić.

- Wiem, wiem. - Cień westchnął, opierając głowę na rękach. - Zajmę się tym dziś po południu. Jak ona się czuje?

- Odpoczywa - wyjaśniła pielęgniarka. - Biedaczka, była w szoku. Dałam jej łagodny napój nasenny, po którym obudzi się w sam raz na wyjście do domu.

Rozległ się chichot.

- Poprzedni dzieciak, który wypił jeden z twoich „łagodnych” napojów nasennych, obudził się po dwóch tygodniach. I ty mi mówisz, że mam się nie rzucać w oczy.

Odpowiedź pielęgniarki brzmiała niewyraźnie, ale byłam prawie pewna, że stwierdziła: „Jest nieodrodną córką swojego ojca. Da sobie radę”. A może to tylko mnie się tak zdawało. Świat się rozmył, zupełnie jak obraz z kamery, która traci ostrość, i przez jakiś czas byłam zupełnie nieprzytomna.

- Meghan!

Ktoś mną potrząsał. Zakłęłam i zamachałam rękami, przez chwilę zupełnie zdezorientowana, aż w końcu uniosłam głowę. Powieki ciążyły mi, jakbym miała pod nimi dziesięć kilo piasku, śpiochy oblepiały mi kąciki oczu, sprawiając, że nie mogłam skupić wzroku. Jęknęłam, otarłam powieki i nieprzytomnie spojrzałam Robbiemu w twarz. Przez chwilę patrzył na mnie z niepokojem, po czym zamrugał i znów uśmiechał się jak zwykle.

- Pora wstawać, śpiąca królowno! - zawołał, gdy próbowałam usiąść. - Masz szczęście. Lekcje się skończyły. Można wracać do domu.

- Co? - wymamrotałam błyskotliwie, ocierając resztki snu z powiek.

Robbie parsknął i pomógł mi wstać.

- Masz. - Podał mi ciężki od książek plecak. - Twoje szczęście, że jestem takim świetnym kumplem. Mam notatki ze wszystkich lekcji, które przegapiłaś. A, no i wybaczam ci. Nawet nie powiem: „A nie mówiłem?”

Mówił za szybko. Mój mózg wciąż spał, myśli były zamglone i zupełnie nie łapałam, co się dzieje.

- O czym ty gadasz? - spytałam, z trudem zakładając plecak.

I wtedy sobie przypomniałam.

- Muszę zadzwonić do mamy. - Opałam z powrotem na leżankę.

Robbie zmarszczył brwi i popatrzył na mnie zdziwiony.

- Musi mnie odebrać - wyjaśniłam. - Nie ma mowy, żebym weszła do autobusu. Nigdy więcej.

Ogarnęła mnie rozpacz i ukryłam twarz w dłoniach.

- Meghan, słuchaj - odezwał się Robbie. - Słyszałem, co się stało. To nic takiego.

- Naćpałeś się czegoś? - Posłałam mu zabójcze spojrzenie spomiędzy palców. - Gada o mnie cała szkoła. Pewnie opiszą to w gazetce szkolnej. Jak się gdzieś pokażę, to mnie ukrzyżują. A ty mówisz, że to nic takiego?

Podciągnęłam kolana pod brodę i ukryłam między nimi twarz. Wszystko było takie okropnie niesprawiedliwe.

- Dziś są moje urodziny - wyjąkałam w dzinsy. - Takie rzeczy nie powinny się zdarzać ludziom w urodziny.

Robbie westchnął. Rzucił plecak, przysiadł się, objął mnie i przyciągnął do siebie. Pociągnęłam nosem i skropiłam mu kurtkę kilkoma łzami, słuchając bicia jego serca. Kołatało szybko, jakby właśnie przebiegł kilka kilometrów.

- Chodź. - Robbie wstał i pociągnął mnie za sobą. - Dasz radę. I obiecuję, że nikt nie będzie się przejmował tym, co się dziś stało. Do jutra o wszystkim zapomną.

Uśmiechnął się i ścisnął mi ramię.

- Poza tym chyba miałaś jechać do szkoły jazdy?

Ta jedna jasna myśl na czarnym firmamencie mojego istnienia dała mi nadzieję. Skinęłam głową i zebrałam się w sobie. Razem wyszliśmy z gabinetu pielęgniarki. Robbie mocno trzymał mnie za rękę.

- Po prostu trzymaj się blisko - wymamrotał, kiedy zbliżaliśmy się do zatłoczonej części korytarza. Angie i jej trzy kumpelki stały przy szafkach, rozmawiając i żując gumę. Żołądek mi się skurczył, a serce zaczęło szybciej bić. Robbie mocniej ścisnął moją rękę.

- Wszystko pod kontrolą. Nie puszczaj mnie i nie odzywaj się do nikogo. Nawet nas nie zauważą.

Kiedy do nich podeszliśmy, przygotowałam się na atak śmiechu i chamskich komentarzy. Ale minęliśmy je a one nawet na mnie nie spojrzały, chociaż Angie akurat opisywała moją żenującą ucieczkę ze stołówki.

- I wtedy zaczęła się drzeć - nosowy głos Angie niósł się po korytarzu. - I pomyślałam: o Boże, ale ona jest beznadziejna. Ale czego się spodziewać po jakiejś wieśniaczej z chowu wsobnego?

Ściszyła głos i nachyliła się do pozostałych:

- Słyszałam, że jej matka ma nienaturalną obsesję na punkcie świń, jeśli wiecie, co mam na myśli.

Zdumione dziewczyny zaczęły chichotać, a ja prawie się załamalam. Ale Robbie tylko mocniej mnie złapał i odciągnął. Usłyszałam, jak coś szeptem, i poczułam ruch powietrza, zupełnie jak grzmot bez dźwięku. Za nami Angie zaczęła krzyżeć. Chciałam się odwrócić, ale Robbie pociągnął mnie za sobą, manewrując wśród tłumu, podczas gdy inni odwracali się w stronę krzyków. Przez ułamek sekundy widziałam, jak Angie zasłania sobie nos rękami, a jej krzyki coraz bardziej przypominały kwiczenie świni.

3. Odmieniec.

Jazda autobusem do domu upłynęła w milczeniu, przynajmniej dla Robbiego i dla mnie. Z jednej strony, dlatego że nie chciałam skupiać na sobie niczyjej uwagi, ale głównie dlatego, że musiałam przemyśleć wiele spraw. Siedzieliśmy z tyłu, w kącie. Patrzyłam przez okno na mijane drzewa. W uszach miałam słuchawki od iPoda rozkręconego na cały regulator głównie po to, żebym nie musiała z nikim rozmawiać. Wciąż rozbrzmiewały mi w głowie przypominające kwiczenie krzyki Angie. To był chyba najokropniejszy dźwięk, jaki kiedykolwiek słyszałam. I chociaż Angie była strasznie wredna, trochę jej żałowałam. Nie miałam wątpliwości, że to Robbie coś jej zrobił, ale nie mogłam tego udowodnić. Prawdę mówiąc, bałam się o to pytać. Robbie zdawał się teraz zupełnie inną osobą. Cichy, ponury, obserwował dzieciaki w autobusie w drapieżnym skupieniu. Zachowywał się dziwnie. Dziwnie i strasznie, a ja zastanawiałam się, co z nim nie tak.

No i jeszcze ten zwariowany sen, który coraz mniej wydawał mi się snem. Im dłużej o nim myślałam, tym bardziej utwierdzałam się w przekonaniu, że ten znajomy głos za parawanem należał do Robbiego.

Coś się działo. Coś zdumiewającego, przyprawiającego o gęsią skórę i przerażającego. A najstraszniejsze było to, że to coś miało znajomą, zwykłą twarz. Rzuciłam okiem na Robbiego. Jak dobrze go znałam? Ale tak naprawdę? Był moim przyjacielem, odkąd pamiętam, ale nigdy nie byłam u niego w domu ani nie poznałam jego rodziców. Te kilka razy, kiedy zaproponowałam spotkanie u niego, zawsze miał jakiś powód, aby odmówić. Albo jego rodziców nie było w domu, albo robili właśnie remont kuchni. Kuchni, której nigdy nie widziałam. Tę było dziwne, ale jeszcze dziwniejsze było to, że nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiałam, nigdy nie wątpiłam, aż do teraz. Robbie po prostu tu był, zupełnie jakby pojawił się znikąd, bez przeszłości, domu czy wspomnień. Jaką muzykę najbardziej lubił? Miał w życiu jakieś cele? Czy kiedykolwiek się zakochał?

Wcale, wyszeptał niepokojący głos w moim umyśle, wcale go nie znasz.

Zadrżałam i znów wyrzałam przez okno.

Autobus zatrzymał się na skrzyżowaniu i zorientowałam się, że wyjechaliśmy za miasto i kierujemy się na prowincję. W moje okolice. Deszcz wciąż uderzał o szyby, sprawiając, że bagna wydawały się zamglone i niewyraźne, a drzewa zamieniły się w zamazane ciemne plamy.

Zamrugałam i wyprostowałam się na siedzeniu. Daleko na bagnie pod olbrzymim dębem stali koń i jeździec, równie nieruchomi jak drzewo. Zwierzę było potężne, kare, a jego grzywa i ogon, choć mokre, powiewały na wietrze. Jeździec był wysoki i szczupły, w srebrno-czarnym stroju. Z ramion spływała mu ciemna peleryna. Mimo deszczu przez moment ujrzałam jego twarz - młodą, bladą i niesamowicie przystojną... patrzył wprost na mnie. Żołądek mi się ścisnął i zaparło mi dech.

- Rob - wymamrotałam, wyciągając z uszu słuchawki - spójrz na te...

Twaz Robbiego była kilka centymetrów od mojej. Wpatrywał się w przestrzeń za oknem oczami zmrużonymi jak zielone szparki, twardo i groźnie.

Odsunęłam się od niego, ale nawet nie zauważył. Poruszył wargami i wyszeptał jedno słowo, tak cicho, że mimo bliskości ledwo je usłyszałam.

- Ash.

- Ash? - powtórzyłam. - Kto to jest Ash?

Autobus zakaszłał i ruszył dalej. Robbie oparł się z powrotem o siedzenie, a jego twarz była tak nieruchoma, jakby wykuto ją z kamienia. Przełknęłam ślinę i wyrzuciłam z powrotem za okno, ale pod dębem było pusto. Jeździec i koń zniknęli, zupełnie jakby nigdy ich tam nie było.

Robiło się coraz dziwniej.

- Kim jest Ash? - powtórzyłam, odwracając się do Robbiego, który wydawał się pogrążony we własnym świecie. - Robbie? Hej!

Puknęłam go w ramię. Drgnął i w końcu na mnie spojrzał.

- Kim jest Ash?

- Ash? - Przez moment jego oczy były błyszczące i dzikie, a twarz przypominała nieoswojonego psa. A potem mrugnął i znów był normalny. - Och, to tylko stary kumpel, z dawnych czasów. Nie przejmuj się tym, księżniczko.

Jego słowa spłynęły po mnie dziwnie, zupełnie jakby chciał, żebym o tym zapomniała. Rozzłościłam się, że coś przede mną ukrywa, ale szybko mi przeszło, ponieważ nie mogłam sobie przypomnieć, o czym rozmawialiśmy.

Na naszym przystanku Robbie podskoczył, jakby jego siedzenie się paliło, i pognął do drzwi. Zamrużyłam zaskoczona jego szybkim wymarszem i nim ruszyłam do drzwi, schowałam starannie iPoda do plecaka. Nie chciałam, żeby taka droga zabawka zmkła.

- Muszę lecieć - rzucił Robbie, gdy dołączyłam do niego na chodniku. Jego zielone oczy lustrowały las, zupełnie jakby oczekiwał, że coś zaraz wypadnie spośród drzew. Rozejrzałam się wokół, ale poza rozśpiewanym ptakiem nad moją głową las był cichy i nieruchomy.

- Ja... Eee... zapomniałem czegoś z domu. - Odwrócił się do mnie i spojrzał przepraszająco. - To widzimy się wieczorem, księżniczko? Przyniosę tego szampana, dobra?

- Och. - Zupełnie o tym zapomniałam. - Pewnie.

- Idź prosto do domu. dobrze? - Robbie zmarszczył brwi i spojrzał stanowczo. - Nie zatrzymuj się, nie rozmawiaj z nikim, kogo spotkasz, jasne?

Roześmiałam się nerwowo.

- Za kogo ty się masz? Moją mamę? Powiesz mi jeszcze, żebym nie biegała z nożyczkami i patrzyła w obie strony, zanim przejdę przez ulicę? Poza tym - mówiłam dalej, a Robbie uśmiechnął się złośliwie i znów wyglądał normalnie - kogo miałabym spotkać na tym zadupiu?

Nagle przypomniałam sobie tego chłopaka na koniu i znów żołądek zaczął mi płatać figle. Kim on był? Dlaczego nie mogłam przestać o nim myśleć, chociaż nie byłam nawet pewna, czy naprawdę go widziałam? Wszystko robiło się coraz bardziej pokręcone. Gdyby nie dziwna reakcja Robbiego w autobusie, pomyślałabym, że chłopak na koniu to tylko kolejny omam.

- No, dobra. - Robbie pomachał mi i posłał szelmowski uśmiech. - Widzimy się później, księżniczko. Nie pozwól, żeby w drodze do domu dopadł cię facet z piłą łańcuchową.

Spróbowałam go kopnąć. Roześmiał się, odskoczył i pognął drogą. Zarzuciłam plecak na ramię i pomaszerowałam podjazdem.

- Mamo! - zawołałam, otwierając drzwi. - Mamo. wróciłam.

Powitała mnie cisza, odbijająca się głucho od ścian i podłogi, wisząca ciężko w powietrzu. Bezruch był prawie namacalny, jak żywe stworzenie przyczajone w pokoju i obserwujące mnie zimnym wzrokiem. Serce zaczęło mi walić w piersi. Coś było nie tak.

- Mamo! - zawołałam znowu i wślizgnęłam się do domu. - Luke? Jest ktoś w domu?

Kiedy ruszyłam dalej, zaskrzyphiały drzwi. Telewizor grzmiał na cały regulator, szła powtórka jakiegoś starego czarno-białego serialu, ale na kanapie nie było nikogo. Wyłączyłam go i poszłam korytarzem do kuchni.

Przez chwilę wydawało się, że wszystko jest w porządku, poza tym, że drzwi lodówki były otwarte. Moją uwagę zwróciło coś na podłodze. W pierwszej chwili myślałam, że to brudna szmatka, ale kiedy się przyjrzałam, okazało się, że to Kłapcio, królik Ethana. Pluszak miał urwaną głowę, a z dziury w szyi wychodziła wata.

Kiedy się wyprostowałam, usłyszałam jakiś dźwięk z drugiej strony stołu. Gdy tam dotarłam, żołądek podskoczył tak gwałtownie, że w gardle poczułam gulę.

Moja matka leżała na plecach na kafelkowej podłodze. Miała rozrzucone na boki ręce i nogi, a jedną stronę jej twarzy pokrywała błyszcząca czerwień. Jej torebka leżała nieopodal w bezwładnej, zbielejącej ręce, a wokół rozsypana była cała zawartość. W drzwiach nad nią, z głową przekrzywioną jak zaciekawiony kot, stał Ethan.

I się uśmiechał.

- Mamo! - krzyknęłam i rzuciłam się obok niej na podłogę. - Mamo, co się stało?

Złapałam ją za ramię i potrząsnęłam, ale czułam się tak, jakbym wstrząsała śniętą rybą. Ale miała ciepłą skórę, więc nie mogła być martwa, prawda?

Gdzie do cholery jest Luke? Znów nią potrząsnęłam i patrzyłam, jak jej głowa porusza się bezwładnie. Aż zrobiło mi się niedobrze.

- Mamo, obudź się! Słyszysz mnie? To ja, Meghan! - Rozejrzałam się rozpaczliwie wokół i złapałam ze zlewu myjkę. Kiedy ocierałam nią zakrwawioną twarz mamy, przypominałam sobie, że w drzwiach stoi Ethan. Teraz jego oczy były wielkie z przerażenia i mokre od łez.

- Mama się poślizgnęła - wyszeptał, a ja zobaczyłam na podłodze przed lodówką przezroczystą, śliską plamę. Zanurzyłam drżący palec w cieczy i powąchałam. Olej? Jakim cudem? Otarłam ją dokładnie i zauważyłam na skrom małe skaleczenie, prawie niewidoczne pod krwią i włosami.

- Ona umrze? - zapytał Ethan.

Przyjrzałam mu się uważnie. Chociaż miał wielkie przerażone oczy, w których błyszcząły łzy, w jego pytaniu słychać było głównie ciekawość.

Oderwałam wzrok od swojego przyrodniego brata. Musiałam wezwać pomoc. Luke'a nie było, więc nie pozostało mi nic innego, jak zadzwonić po ambulans. Ale ledwo wstałam do telefonu, mama jęknęła, poruszyła się i otworzyła oczy. Serce zabiło mi mocniej.

- Mamo - odezwałam się, gdy próbowała usiąść. Wciąż wyglądała na oszołomioną. - Nie ruszaj się. Zadzwonię po pogotowie.

- Meghan? - Mama rozejrzała się, mrugając. Dotknęła policzka i zdziwiona spojrzała na krew na palcach. - Co się stało? Musiałam... się przewrócić...

- Uderzyłaś się w głowę - wyjaśniłam, wstając i rozglądając się za telefonem. - Możesz mieć wstrząs mózgu. Spokojnie, dzwonię po pogotowie.

- Pogotowie? Nie, nie. - Mama usiadła i rozejrzała się trochę przytomniej. - Nie rób tego, skarbie. Nic mi nie jest. Umyję się i nalepię plaster. Nie ma potrzeby nikogo fatygować.

- Ale mamo...

- Nic mi nie jest, Meg. - Mama złapała myjkę i zaczęła ocierać krew z twarzy. - Przepraszam, jeśli cię wystraszyłam. Naprawdę nic mi nie będzie. To tylko krew. Nic poważnego. poza tym nie stać nas na karetkę.

Nagle wyprostowała się i rozejrzała po kuchni.

- Gdzie twój brat?

Zaskoczona spojrzałam znów na drzwi, ale Ethana już tam nie było.

Protesty mamy zostały osłabione, gdy Luke wrócił do domu. Wystarczyło, że rzucił okiem na bladą, zaklejoną plastrem twarz mamy, by zrobić awanturę i uparł się, żeby jechać do szpitala. Luke jeśli chce, potrafi być okropnie uparty, a mama w końcu poddała się jego naleganiom. Wciąż jeszcze wykrzykiwała swoje polecenia: „Opiekuj się Ethanem. połóż go spać o rozsądnej godzinie, w zamrażalniku jest pizza!” kiedy Luke zapakował ją do swojego starego forda i odjechał z rykiem silnika.

Kiedy pikap zniknął za rogiem, w domu znów zapanowała ponura cisza. Zadrżałam i potarłam ramiona, czując, jak chłód wdiera się do pokoju i owiewa mi kark. Dom, w którym spędziłam prawie całe życie, wydał mi się nagle obcy i przerażający, zupełnie jakby w szafkach i za drzwiami coś się czało, czekając, by mnie złapać, gdy będę tamtędy przechodzić. Mój wzrok padł na rozciągnięte po

kuchni marne szczątki Kłapcia i z jakiegoś powodu poczułam się bardzo smutna i wystraszona. Nikt w tym domu nie zniszczyłby ulubionego pluszaka mojego brata. Działo się coś bardzo złego.

Usłyszałam kroki. Odwróciłam się i zobaczyłam, że to Ethan stoi w drzwiach i się we mnie wpatruje. Dziwnie wyglądał bez swojego królika i zdziwiłam się, że mu go nie brakuje.

- Jestem głodny - oświadczył, aż zamrugałam. - Ugotuj mi coś, Meggie.

Skrzywiłam się na ten roszczeniowy ton.

- Jeszcze nie pora na obiad, kurduplu. - Skrzyżowałam ręce na piersi. - Możesz trochę poczekać.

Zmarszczył brwi i unióś wargę, odsłaniając zęby. Przez moment wydawało mi się, że są spiczaste i ostre.

- Teraz jestem głodny - warknął i zrobił krok naprzód.

Ogarnął mnie taki strach, że aż się cofnęłam.

Prawie natychmiast jego twarz znów stała się gładka, a oczy wielkie i proszące.

- Proszę, Meggie - wyjęczał. - Proszę. Jestem taki głodny.

Usta ułożyły mu się w podkówkę i odezwał się groźnie:

- Mama też nie dała mi jeść.

- Dobrze, już dobrze! Jeśli tylko zamknie ci to gębę - Wypowiedziałam te słowa w złości i z powodu wstydu, że się bałam Ethana. Mojego głupiego czteroletniego przyrodniego braciszka. Nie wiedziałam, skąd mu się wzięły te nagłe zmiany nastroju, ale miałam nadzieję, że to tylko chwilowe. Może po prostu zdenerwował go wypadek mamy. Może jeśli nakarmię smarkacza i położę go spać, to zostawi mnie samą. Podeszłam do zamrażarki, wyjęłam pizzę i wsadziłam ją do piekarnika.

Gdy pizza się piekła, zabrałam się do sprzątania kałuży oleju. Zastanawiałam się, jakim cudem powstała, tym bardziej że w śmietniku znalazłam pustą butelkę po oleju. Kiedy skończyłam, śmiedziałam jak smaźalnia frytek, a na podłodze wciąż widać było tłustą plamę, ale starałam się, jak mogłam.

Nagle usłyszałam zgrzyt drzwiczek do piecyka. Odwróciłam się i ujrzałam, jak Ethan je otwiera i sięga do środka.

- Ethan! - Złapałam go za rękę i szarpnęłam do tyłu, ignorując wrzaski protestu. - Co ty robisz, idioto? Chcesz się poparzyć?

- Głodny!

- Siadaj! - krzyknęłam i wetknęłam go w jego krzeselko. Mały niewdzięcznik próbował mnie uderzyć! Pohamowałam chęć, żeby mu oddać.

- Boże, aleś ty dziś nieznośny. Siedź tutaj i bądź cicho. Zaraz przyniosę ci jedzenie.

Kiedy postawiłam pizzę na stole, rzucił się na nią jak jakieś zwierzę, nawet nie czekając, aż ostygnie. Mogłam tylko patrzeć w zadziwieniu, jak pochłania kawałek po kawałku niczym wygłodniały pies, prawie nie przeżuwał. Całą twarz i ręce usmarował sobie sosem i serem, a pizza znikła w zdumiewającym tempie. Po niecałych dwóch minutach zjadł ją do ostatniego okruszka.

Oblizwał palce, spojrzał na mnie i zmarszczył brwi.

- Wciąż głodny.

- Nieprawda - odpowiedziałam, otrząsając się z osłupienia - Jak zjesz coś jeszcze, to się pochorujesz. Idź do swojego pokoju i się pobaw albo coś.

Spojrzał na mnie z nienawiścią i zdawało mi się, że skóra mu pociemniała, zmarszczyła się i wysuszyła pod dziecięcym tłuszczkiem. Nagle zupełnie bez ostrzeżenia poderwał się z krzeselka, dopadł mnie i zatopił zęby w mojej nodze.

- Aj! - Nogę przeszył ból. Złapałam Ethana za włosy i spróbowałam go odciągnąć, ale był jak pijawka i wgrzył się jeszcze głębiej. Zupełnie jakby ktoś wbijał mi w nogę odłamki szkła. Oczy zaszyły mi łzami, a kolana ugięły się pod mną z bólu.

- Meghan!

W drzwiach wejściowych stał Robbie. Miał narzucony na ramię plecak, a zielone oczy aż mu się powiększyły ze zdziwienia.

Ethan mnie puścił i odwrócił się w stronę, z której dobiegło wołanie. Na ustach miał krew. Na widok Robbiego zasyczał i, naprawdę nie wiem, jak to inaczej określić, czmychnął na górę i zniknął nam z oczu.

Trzęsałam się tak bardzo, że musiałam usiąść na kanapie. Noga mnie bolała i z trudem łapałam powietrze. Jaskrawo-czerwona krew przesiąkała przez dżinsy jak rozkwitający kwiat. Oszołomiona patrzyłam na plamę i nie mogłam się ruszyć.

Robbie przeszedł przez pokój trzema wielkimi krokami i ukląkł przy mnie. Szybko, zupełnie jakby już kiedyś to robił, zaczął podwijać nogawkę moich spodni.

- Robbie - Wyszeptałam, kiedy pochylony zaskakująco delikatnie poruszał dłońmi o długich palcach. - Co się dzieje? Wszystko powariowało. Ethan mnie zaatakował... zupełnie jak dziki pies.

- To nie był twój brat - wyszeptał Robbie, podciągając spodnie i ukazując krwawą ranę tuż pod moim kolanem.

Na nodze miałam krąg postrzępionych kłutych ranek - których sączyła się krew. a skóra wokół przybierała fioletową barwę. Rob zagwizdał cicho.

- Paskudna. Poczekał tu. Zaraz wrócę.

- Tak jakbym się dokądś wybierała - odparłam odruchowo, po czym wreszcie dotarło do mnie, co powiedział wcześniej. - Chwila, jak to nie mój brat? To kto to niby miał być?

Rob mnie zignorował. Podeszedł do swojego plecaka, wyjął z niego długą zieloną butelkę i maleńką kryształową czarzkę. Skrzywiłam się. Dlaczego postanowił teraz zaserwować nam szampana? Byłam ranna, obolała, a mój młodszy brat zamienił się w potwora. Kompletnie nie miałam nastroju do świętowania.

Robbie bardzo ostrożnie nalał szampana do czaruki i podeszedł do mnie, uważając, by nie uронić ani kropli.

- Masz. - Podał mi czarzkę, która skrzyła się w jego dłoni. - Wypij to. Gdzie macie ręczniki?

Wzięłam ją podejrzliwie.

- W łazience. Tylko nie bierz tych białych eleganckich mamy.

Kiedy Rob odszedł, zajrzałam do czaruki. Płynu było ledwie na łyk. I jak dla mnie wcale nie wyglądał na szampana. Spodziewałam się czegoś z bąbelkami, białego albo różowego. A płyn w czarce był ciemnoczerwony. W kolorze krwi. Na jego powierzchni unosiła się mgiełka.

- Co to?

Robbie, który właśnie wracał z łazienki z białym ręcznikiem, przewrócił oczami.

- Czy ty naprawdę musisz być taka podejrzliwa? Zmniejszy ból. Po prostu to wypij.

Powąchałam ostrożnie, spodziewając się róż albo jagód czy jakiegoś innego słodkiego zapachu połączonego z alkoholem. A to nie pachniało niczym. Kompletnie niczym.

No dobra. Uniosłam czarzkę w toaście.

- No to wszystkiego najlepszego.

Wino wypełniło mi usta, zalało zmysły. Smakowało niczym i wszystkim. Smakowało zmierzchem i mgłą, światłem księżycy i mrozem, pustką i tęsknotą. Było tak mocne, że aż pokój się zakotłosał i padłam na kanapę. Rzeczywistość się rozmaszała i poczułam się, jakby mózg wypełniła mi wata. Było mi niedobrze i ogarnęła mnie senność. Wszystko naraz.

Kiedy odzyskałam świadomość, Robbie bandażował mi nogę. Nie pamiętałam, kiedy oczyścił i opatrzył ranę. Byłam kompletnie oszołomiona, zupełnie jakby moje myśli otulił jakiś kokon utrudniający skupienie.

- Proszę. - Robbie się wyprostował. - Gotowe. Przynajmniej ci noga nie odpadnie.

Przyjrzał mi się uważnie.

- Jak się czujesz, księżniczko?

- Eee... - odpowiedziałam inteligentnie i spróbowałam zebrać myśli. Nie mogłam sobie czegoś przypomnieć... czegoś istotnego. Dlaczego Robbie bandażował mi nogę? Czyżbym się skaleczyła?

Wstałam gwałtownie.

- Ethan mnie ugryzł! - wykrzyknęłam z oburzeniem. Znów byłam wściekła. I wyżyłam się na Robbie. - A ty... ty powiedziałaś, że to wcale nie Ethan! O co ci chodziło? Co się dzieje?

- Uspokój się, księżniczko. - Robbie rzucił zakrwawiony ręcznik na podłogę i usiadł na podnóżku. Westchnął. - Miałem nadzieję, że do tego nie dojdzie. To pewnie moja wina. Nie należało cię zostawiać dziś samej.

- O czym ty gadasz?

- Miałaś tego wszystkiego nie widzieć. - Ku mojemu kompletnemu zaskoczeniu Robbie mówił dalej. Zdawał się przemawiać raczej do siebie niż do mnie. - Zawsze miałaś dobry wzrok, to było pewne. Ale nie myślałam, że zabiorą się też do twojej rodziny. To zmienia postać rzeczy.

- Rob, jeśli nie powiesz mi, co się dzieje...

Robbie na mnie spojrzał. Oczy błyszczały mu dziko i szelmowsko.

- Powiedzieć ci? Jesteś pewna? - zaczął mówić cichym groźnym tonem, aż dostałam gęsiej skórki. - Jak zaczniesz to widzieć, nie będziesz już mogła przestać. Ludzie wariowali od nadmiaru wiedzy.

Westchnął, a jego oczy przestały wyglądać tak groźnie.

- Nie chcę, żeby ci się to przydarzyło, księżniczko. Nie musi tak być, wiesz? Mogę sprawić, że o wszystkim zapomnisz.

- Zapomnę?

Skinął głową i uniósł zieloną butelkę.

- To jest mgliste wino. Dałem ci tylko łyk. Cała czarka sprawi, że wszystko wróci do normy. - Zaczął balansować butelką na dwóch palcach i patrzył, jak przechyla się to w jedną, to w drugą stronę. - Jedna czarka i znów będziesz normalna. Zachowanie twojego brata nie będzie się wydawało dziwne, a ty nie będziesz pamiętać nic niesamowitego ani straszego. Wiesz, co mówią: czasami lepiej jest nie wiedzieć, prawda?

Mimo niepokoju poczułam, jak w piersi zaczyna mi bulgotać gniew.

- Czyli chcesz, żebym wypła to... to coś i po prostu zapomniała o Ethanie. Zapomniała o moim jedynym bracie. Tego właśnie chcesz.

Uniósł brew.

- No, jeśli tak to ująć...

Zagotowało się we mnie i kompletnie zapomniałam o strachu. Zaciśnęłam pięści.

- Oczywiście, że nie zapomnę o Ethanie! Jest moim bratem! Naprawdę jesteś taki nieludzki czy po prostu głupi?

Ku mojemu zaskoczeniu Robbie uśmiechnął się od ucha do ucha. Puścił butelkę, złapał ją i postawił na podłodze.

- To pierwsze - powiedział cichutko.

Zbaraniałam.

- Co?

- Nieludzki. - Wciąż się do mnie uśmiechał, tak szeroko, że aż zęby zaśniły mu w świetle zachodzącego słońca. - Ostrzegałem cię, księżniczko. Jestem inny niż ty. A teraz to dotyczy też twojego brata.

Mimo dławiącego strachu nachyliłam się do niego.

- Ethana? O co ci chodzi? Co z nim nie tak?

- To nie był Ethan. - Robbie odchylił się i skrzyżował ramiona na piersi. - To coś, co cię dziś zaatakowało, to odmieniec.

4. Puk.

Wpatrywałam się w Robbiego i rozważałam, czy to po prostu jego kolejny głupi dowcip. Siedział tam, przyglądając mi się i czekając na moją reakcję. Chociaż wciąż lekko się uśmiechał, wzrok miał stanowczy i poważny. Nie żartował.

- Od... odmieniec? - wykrztusiłam w końcu, patrząc na niego jak na wariata. - Czy to nie rodzaj... rodzaj...

- Magicznej istoty - dokończył za mnie Robbie. - Odmieniec to dziecko jakiegoś stracha podmienione za ludzkie. Zazwyczaj to dzieci trolli albo goblinów, ale czasem elfom, to arystokracja wśród magicznych istot, też zdarzało się robić podmiany. Twojego brata podmieniono. To coś jest w równym stopniu Ethanem, co i ja.

- Zwariowałaś - wyszeptalam. Gdybym akurat nie siedziała, z pewnością cofałabym się przed nim w stronę drzwi. - Odbiło ci. Pora przystopować z anime, Rob. Nie ma czegoś takiego jak elfy.

Robbie westchnął.

- Serio? Tak będziesz reagować? Jakie to przewidywalne - Oparł się o kanapę i splótł ręce na piersi. - Miałem o tobie lepsze mniemanie, księżniczko.

- Lepsze? O mnie?! - wykrzyknęłam, zrywając się z kanapy - Posłuchaj, co mówisz! Naprawdę myślisz, że uwierzę, że mój brat to jakiś elfik sypiący błyszczącym pyłkiem, ze skrzydłami motyla?

- Nie wygłupiaj się - odpowiedział spokojnie Rob. - Nie masz pojęcia, o czym mówisz. Myślisz o Dzwoneczku. To typowa reakcja ludzi na słowo „elf”. Ale prawdziwe magiczne istoty wcale takie nie są. - Zamilkł na chwilę. - No chyba że mówimy o chochlikach, ale to zupełnie inna sprawa.

Pokręciłam głową, próbując opanować rozbiegane myśli

- Nie mam czasu teraz się nad tym zastanawiać - wymamrotałam i odsunęłam się od niego. - Muszę sprawdzić co z Ethanem.

Robbie tylko wzruszył ramionami, oparł się z powrotem o ścianę i założył ręce za głowę. Rzuciłam mu jeszcze jedno ponure spojrzenie, po czym pognałam po schodach i otworzyłam drzwi do sypialni Ethana.

Panował tam straszny bałagan. Prawdziwe pobojowisko zniszczonych zabawek, książek i rozrzuconych ubrań. Rozejrzałam się za Ethanem, ale pokój wydawał się pusty. W końcu usłyszałam jakieś skrobanie spod łóżka.

- Ethan? - Uklęknęłam, odgarniając na bok popsute samochodziki i połamane drewniane zabawki. Zajrzałam w szparę pomiędzy materacem a podłogą. W cieniu ledwo dostrzegłam schowaną w rogu odwróconą do mnie plecami małą trzęsącą się kulkę.

- Ethan - zagadnęłam cicho. - Wszystko w porządku? Może wyjdiesz na chwilę? Już się nie gniewam.

No dobra, skłamałam, ale bardziej się denerwowałam, niż złościłam. Chciałam zaciągnąć Ethana na dół, aby dowieść, że nie jest trollem ani żadnym odmieńcem, czy czym tam według Robbiego miał być.

Kulka poruszyła się nieznacznie i usłyszałam głos Ethana.

- Czy straszny pan wciąż tam jest? - zapytał przerażony.

Nawet bym mu współczuła, gdyby nie ból łydki.

- Nie - skłamałam. - Już sobie poszedł. Możesz wyjść.

Ethan ani drgnął, a mnie znów ogarnęła złość.

- Ethan, przestań się wygłupiać i wychodź stamtąd natychmiast.

Wsadziłam głowę pod łóżko i sięgnęłam po niego. Ethan odwrócił się do mnie z sykiem, płonącymi żółto ślepiami i rzucił się na moją rękę. Cofnęłam ją gwałtownie, a jego zęby, ostre i spiczaste jak u rekina kłapnęły upiornie Ethan parsknął. Miał trupioblada skórę, jak u topielca, a jego obnażone zęby lśniły w ciemności. Krzyknęłam i zaczęłam się cofać. a klocki lego i inne zabawki wbijały mi się w dłonie. Kiedy db» tarłam do ściany, poderwałam się i uciekłam 1 pokoju.

Wpadłam wprost na Robbiego, który stał tuż za drzwiami. Złapał mnie za ramiona, a ja krzyczałam i zaczęłam go bić prawie nieświadoma tego, co robię. Zniósł ten atak bez słowa, po prostu trzymając mnie. dopóki nie opadłam w jego ramiona i nie oparłam twarzy o jego pierś. I tak mnie trzymał, gdy wyplakiwałam cały swój strach i złość.

W końcu łzy obeschły. Byłam kompletnie wyczerpana. Pociągnęłam nosem i odsunęłam się, ocierając dłonią oczy. Cała się trzęsłam. Robbie wciąż stał nieruchomo w koszuli mokrej od moich łez. Drzwi do pokoju Ethana były zamknięte, ale mimo to słyszałam z wnętrza jakieś uderzenia i rechot. Przeszedł mnie dreszcz. Spojrzałam na Robbiego.

- Ethana naprawdę nie ma? - wyszeptalam. - A może po prostu się schował? Naprawdę go nie ma?

Robbie skinął ponuro. Spojrzałam na drzwi do pokoju Ethana i przygryzłam wargę.

- A gdzie teraz jest?

- Pewnie w krainie magii.

Słyszac tak proste absurdałne stwierdzenie, prawie wybuchnęłam śmiechem. Ethan został wykradziony przez jakieś duszki i zastąpiony złym sobowtórem. Elfy porwały mojego brata. Miałam ochotę się uszczypnąć, żeby sprawdzić, czy to jakiś koszmar, czy może halucynacje. Może po prostu leżę w zamroczeniu alkoholowym na kanapie. Pod wpływem impulsu ugryzłam się mocno w wewnętrzną stronę policzka. Otry ból i smak krwi dały mi do zrozumienia, że to jednak oczywistość.

Spojrzałam na Robbiego, a jego poważna mina pozbawiła mnie resztek złudzeń. Żołądek mi się skurczył tak, że poczułam mdłości. Bałam się.

- A więc... - Przełknęłam ślinę i zmusiłam się do zachowania spokoju. No dobrze. Ethan został porwany przez strachy. Z tym dam sobie radę. - To co teraz robimy?

Robbie uniósł ramię.

- To zależy od ciebie, księżniczko. Są ludzkie rodziny które wychowały odmienne jak własne dzieciaki, ale zwykle nie były świadome, że to nie są ich prawdziwe dzieci. Na ogół wystarczy je karmić i zostawić w spokoju, a bez problemów przyzwyczajają się do nowego domu. Odmienne często są na początku kłopotliwe, ale większość rodzin się przyzwyczajają. - Robbie uśmiechnął się chyba tylko po to, żeby udowodnić mi swoją bez troskę. - Miejmy nadzieję, że twoja rodzina pomyśli po prostu, że Ethan przechodzi trudny okres.

- Robbie, to coś mnie ugryzło i pewnie przewróciło mamę w kuchni. To nie jest uciążliwe, tylko niebezpieczne. -Spojrzałam gniewnie na drzwi do pokoju Ethana i wzruszyłam ramionami. - Chcę, żeby to zniknęło. Chcę z powrotem swojego brata. Jak się tego pozbyć?

Robbie spoważniał.

- No wiesz, są sposoby, żeby pozbyć się odmienca - zaczął z niepewną miną. - Według pewnego starego przepisu trzeba ugotować piwo albo potrawkę w skorupkach od jajek. To powinno sprawić, że odmieniec powie coś o tym, że danie jest dziwaczne. Ale to był sposób na podmienione niemowlęta: dziecko było za małe, żeby mówić, więc rodzice wiedzieli że to odmieniec się pod nie podszywa, i prawdziwi rodzice musieli go zabrać. Nie sądzę, by to podziałało na starszego dzieciaka, jak twój brat.

- Świetnie. A inny sposób?

- Hm... można też bić odmienca prawie na śmierć, aż jego krzyki zmuszą jego rodziców do oddania prawdziwego dziecka. Poza tym można jeszcze włożyć go do pieca i upiec żywcem...

- Przestań. - Zrobiło mi się niedobrze. - Nie mogę zrobić czegoś takiego. Robbie. Po prostu nie mogę. Musi być jakiś inny sposób.

- No cóż... - Rob zawahał się i podrapał się w tył szyi. - jedyne wyjście, jakie jeszcze zostało, to udać się do krainy magii i sprowadzić go z powrotem. Jak przyprowadzisz do domu prawdziwe dziecko, odmieniec będzie musiał uciec. Ale...

Zamilkł, jakby właśnie miał coś powiedzieć, ale ugryzł się w język.

- Ale co?

- Ale... nie wiesz, kto porwał twój brata. A bez tego będziesz się kręcić w kółko. A jakbyś nie wiedziała, to kręcenie się w kółko po krainie magii to bardzo, ale to bardzo kiepski pomysł.

Zmarszczyłam brwi.

- Ja nie wiem, kto go porwał. - Spojrzałam stanowczo na Robbiego. - Ale ty wiesz.

Robbie poruszył się nerwowo.

- Tylko podejrzewam.

- Kto?

- Ale pamiętaj, że tylko zgaduję. Mogę się mylić. Nie wymagaj pochopnych wniosków.

- Robbie!

Westchnął.

- Mroczny Dwór.

- Co?

- Mroczny Dwór - powtórzył Robbie. - Dwór Mab, Królowej Powietrza i Ciemności. Zaprzysiężeni wrogowie króla Oberona i królowej Tytanii. Bardzo potężni. I podstępni.

- Zaraz, zaraz... - Uniosłam ręce. - Oberon? Tytania? Jak we Śnie nocy letniej? To przecież tylko stare baśnie.

- Jasne, stare - odpowiedział Robbie. - Ale nie baśnie Szlachetnie urodzeni są nieśmiertelni. Ci, o których powstały ballady, pieśni i opowieści, nigdy nie umierają. Wiara, uwielbienie, wyobraźnia... zrodziły się z marzeń i lęków śmiertelników, więc póki będą o nas pamiętać, choćby niewielu, my będziemy istnieć.

- Wciąż mówisz „my” - zauważyłam. - Zupełnie jakbyś należał do tych nieśmiertelnych istot. Jakbyś był jednym z nich.

Robbie uśmiechnął się dumnie i szelmowsko. Aż przełknęłam z niepokojem ślinę.

- A w ogóle kim ty jesteś?

- No, wiesz... - Robbie wzruszył ramionami, starając się wyglądać skromnie, co mu kompletnie nie wyszło. - Jak czytałaś Sen nocy letniej, to możesz mnie pamiętać. Doszło tam do pewnego pechowego zdarzenia, zupełnie nieplanowanego, podczas którego przyprawiłem komuś głowę ośią i sprawiłem, że zakochała się w nim Tytania.

Przekartkowałam w pamięci sztukę. Czytałam ją w siódmej klasie i prawie wszystko już zapomniałam. Występowało w niej tyle postaci, tyle imion, które trzeba było spamiętać, i ci ludzie bez opamiętania zakochujący się i odkochujący tak często, że można było oszaleć. Pamiętałam kilka imion ludzi - Hermie, Helenę, Demetriusza. A wśród elfów... byli Oberon, Tytania i...

- O kurczę... - wyszeptalam, opierając się z impetem o ścianę. Spojrzałam na Robbiego zupełnie inaczej. - Robbie Coller. Robin... Jesteś Robin Koleżka.

Robbie uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Mów mi Puk .

Puk. W moim przedpokoju stał Puk.

- Niemożliwe. - westchnęłam, kręcąc głową. To był Robbie, mój najlepszy przyjaciel. Zorientowałabym się, że jest starodawnym chochlikiem, prawda?

Ale ku mojemu przerażeniu im dłużej się nad tym zastanawiałam, tym bardziej wydawało mi się to prawdopodobne.

Nigdy nie widziałam domu ani rodziców Robbiego. Wszyscy nauczyciele go uwielbiali, chociaż nigdy nic nie robił i zwykle spał na lekcjach. A w jego obecności działy się dziwne rzeczy - na ławkach pojawiały się myszy i żaby albo na świadectwach zmieniały się nazwiska. I mimo że Robbie uważał, że to komiczne, nikt nigdy o nic go nie posażda!

- Nie - znów wymamrotałam, cofając się do swojego pokoju. - To niemożliwe. Puk to legenda, mit. Nie wierzę.

Robbie uśmiechnął się niepokojąco.

- W takim razie, księżniczko, pozwól, że ci tego dowiodę - zaproponował.

Podniósł ręce na boki, zupełnie jakby miał się unieść w powietrze. Usłyszałam, jak na dole otwierają się drzwi wejściowe, i miałam szczerą nadzieję, że mama i Luke nie wracają jeszcze do domu. Tak, mam, Ethan zamienił się w potwora, a mój najlepszy przyjaciel myśli, że jest skrzatem. A jak tobie minął dzień?

Do korytarza wleciał olbrzymi czarny ptak. Krzyknęłam i uchyliłam się, gdy nadlatujący kruk albo wrona, czy co to było, podleciał do Robbiego i usiadł mu na rękę. Obserwowali mnie błyszczącymi oczami, a Robbie się uśmiechnął.

Powiał wiatr i nagle powietrze wypełniły krzyki wpadających do domu czarnych ptaków. Jęknęłam i uchyliłam się przed nadlatującą chmurą kruków, a ich rozdzierające krakanie prawie mnie ogłuszyło. Robbiego otoczyło tornado trzepoczących skrzydeł, ostrych szponów i dziobów, którymi go szarpały. Wszędzie unosiły się pióra, a Robbie zniknął pod dębującą się zawieruchą. A potem jak jeden mąż wszystkie ptaki poderwały się i wyleciały na zewnątrz. Gdy ostatni ptak fiknął, drzwi zatrzasnęły się za nimi i nastąpiła znów cisza. Odetchnęłam głęboko i spojrzałam na Roba.

Nie było go. W miejscu, gdzie stał, zostało tylko kilka czarnych piór i trochę kurzu.

Tego było za wiele. Poczułam, jak tracę resztki zdrowych zmysłów. Zdusiłam krzyk, odwróciłam się i pognałam do swojego pokoju, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Wsunęłam pod kołdrę, przykryłam głowę poduszką i roztrzęsiona pomyślałam, że może kiedy się obudzę, wszystko wróci do normy. Drzwi do mojego pokoju się otworzyły i coś wleciało do środka. Nie chciałam na to patrzeć, więc tylko mocniej naciągnęłam kołdrę na głowę, marząc o tym, aby ten koszmar wreszcie się skończył. Usłyszałam westchnienie i kroki.

- No co, próbowałam cię ostrzec, księżniczko.

Wyjrzałam spod kołdry. Robbie stał obok i patrzył na mnie z krzywym uśmiechem. Na jego widok poczułam ulgę, złość i przerażenie. Wszystko naraz. Odrzuciłam przykrycie i usiadłam, patrząc na niego spod zmarszczonych brwi. Robbie czekał z rękami w kieszeniach dżinsów, zupełnie jakby prowokował mnie, bym znów mu zaprzeczyła.

- Naprawdę jesteś Pukiem? - zapytałam w końcu. - Tym Pukiem? Z opowiadań?

Robbie Puk ukłonił się lekko.

- Tak, tym jednym, jedynym.

Serce wciąż waliło mi jak oszalałe. Odetchnęłam głęboko, by je uspokoić, i spojrzałam ze złością na nieznanego w moim pokoju. Emocje we mnie szalały. Nie wiedziałam, co powinnam czuć. W końcu zdecydowałam się na gniew. Robbie od lat był moim najlepszym przyjacielem, ale jakoś nigdy nie przyszło mu do głowy, by podzielić się ze mną swoją tajemnicą.

- Mogłeś mi wcześniej powiedzieć. - Staralam się ukryć żal. - Nie zdradziłabym twojego sekretu.

Tylko się głupio uśmiechną i uniósł brew, co wkurzyło mnie jeszcze bardziej.

- Świetnie. Wracaj do tej swojej zakłętej krainy, czy skąd tam pochodzisz. Zdaje się, że powinieneś robić za błazna Oberona? A w ogóle czemu się ze mną trzymasz tyle czasu?

- Księżniczko, ransz mnie. - Na pewno nie wydawał się urażony. - I to akurat wtedy, kiedy postanowiłem pomóc ci odnaleźć brata.

Natychmiast minęła mi złość, a na jej miejscu pojawił się strach. Przez tę całą gadkę o elfach i szlachetnie urodzonych prawie zapomniałam o Ethanie.

Zadrzałam, a żołądek zwinął mi się w kulkę. To wszystko wciąż wydawało mi się jakimś koszmarem. Ale Ethana nie było, a elfy istniały naprawdę. Musiałam się z tym pogodzić. Robbie stał przede mną i patrzył na mnie wyczekująco. Z włosów spadło mu na łóżko czarne pióro. Podniosłam je ostrożnie i obróciłam w palcach. Było namacalne, prawdziwe.

- Pomożesz mi? - wyszeptalam.

Posłał mi przenikliwe spojrzenie i uniósł delikatnie kącik ust.

- A znasz drogę do Zakłętej Krainy?

- Nie.

- No to potrzebujesz mojej pomocy. - Robbie uśmiechnął się i zatarł ręce. - Poza tym od dawna nie było mnie w domu, a tu nigdy nic się nie dzieje. Najazd na Mroczny Dwór brzmi obiecująco.

Jakoś nie podzielałam jego entuzjazmu.

- Kiedy wyruszamy? - zapytałam.

- Natychmiast - odpowiedział Robbie. - Im szybciej, tym lepiej. Chcesz coś ze sobą zabrać, księżniczko? Ta wyprawa może trochę potrwać.

Skinęłam, starając się nie panikować.

- Daj mi chwilę.

Robbie też skinął głową i wyszedł na korytarz. Złapałam swój pomarańczowy plecak i rzuciłam go na łóżko, zastanawiając się, co powinnam ze sobą wziąć. Co należy zabrać na kilkudniową wycieczkę do krainy elfów? Wybrałam dżinsy i podkoszulek, latarkę oraz opakowanie aspiryny i wpakowałam wszystko do plecaka. Dorzuciłam colę i kilka paczek chipsów, licząc na to, że Robbie będzie wiedział, gdzie po drodze znaleźć jedzenie. W ostatniej chwili, sama nie wiem foczego, chwyciłam jeszcze iPod'a i wsunęłam do bocznej kieszeni.

Mama miała mnie dziś zabrać do szkoły jazdy. Zawahałam się, przygryzając wargę. Co sobie pomyślała mama i Luke, kiedy zauważą, że mnie nie ma? Zawsze przestrzegałam zasad, nigdy nie wykradałam się z domu, poza tym jednym razem z Robbiem. nigdy nie wracałam po ustalonej godzinie. Zastanawiałam się, co Rob miał na myśli, mówiąc, że wyprawa może trochę potrwać. Luke może nawet nie zauważy, że mnie nie ma, ale mama będzie się niepokoić. Złapałam starą pracę domową i zabrałam się do pisania liściku, ale zamarłam z długopisem nad kartką...

I co jej napiszesz? „Kochana Mamo, Ethana porwały elfy. Idę go odzyskać. Aha, no i nie ufaj tutejszemu Ethanowi, to tak naprawdę odmieniec”. To nawet dla mnie brzmiało idiotycznie. Zawahałam się, a po krótkim zastanowieniu napisałam:

Mamo, muszę się czymś zająć. Niedługo wrócę, obiecuję. Nie martw się o mnie.

Meghan

Przyczepiłam kartkę do drzwi lodówki, starając się nie myśleć o tym, że być może już nigdy nie zobaczę domu. Zarzuciłam plecak na ramię, poczułam, jak wnętrzości zwijają mi się niczym gniazdo żmij, po czym ruszyłam schodami.

Robbie czekał na półpiętrze z rękami skrzyżowanymi na piersi i leniwym uśmiechem.

- Gotowa?

Poczułam, jak lęk ściska mi żołądek.

- To będzie bardzo niebezpieczne?

- Pewnie, okropnie niebezpieczne - odpowiedział Robbie, podchodząc do drzwi pokoju Ethana. - Właśnie dlatego to takie zabawne. Można zginąć na tyle ciekawych sposobów: zostać nadzianym na szklany miecz, zaciągniętym pod wodę i zjedzonym przez kelpie, zamienionym w pająka albo krzak róży na wieki wieków... - Spojrzał znów na mnie. - To co, idziesz?

Zauważyłam, że ręce mi się trzęsą, i przysunęłam je do piersi.

- Czemu mi o tym wszystkim mówisz - wyszeptałam. - Chcesz mnie przestraszyć?

- Tak - odrzekł niezmiśnany Robbie. Zatrzymał się przy drzwiach Ethana z ręką na klamce i spojrzał na mnie. - Właśnie takie rzeczy się tam dzieją, księżniczko. Teraz cię po prostu ostrzegam. Nadal chcesz tam iść? Moja poprzednia propozycja jest wciąż aktualna.

Przypomniałam sobie smak mglistego wina i przejmujące pragnienie, by dostać go więcej, i aż zadrżałam.

- Nie - zapewniłam szybko. - Nie zostawię Ethana wśród jakichś potworów. Wystarczy, że straciłam ojca, brata tracić nie zamierzam.

I wtedy coś przyszło mi do głowy, coś, co pozbawiło mnie tchu, i zaczęłam się zastanawiać, czemu nie pomyślałam o tym wcześniej. Tata. Serce zabiło mi mocniej, kiedy zaczęłam odtwarzać na wpół zapomniane sny, w których mój ojciec ginął pod powierzchnią wody w stawie i już się nie wynurzał. A co, jeśli jego też porwały te stwory? Mogłabym odnaleźć Ethana i moją tatę, przyprowadzić ich obu do domu!

- Chodźmy - zarządziłam, patrząc Robbiemu w oczy. - No już, dość czasu straciliśmy. Jeśli mamy to zrobić, to nie ma na co czekać.

Rob zamrugał, a na jego twarzy pojawiła się na moment dziwna mina. Przez chwilę zdawało się, że chce coś powiedzieć. Ale potem otrząsnął się, jakby budził się z transu, i wrażenie przyszło.

- No dobrze, ale nie mów potem, że cię nie ostrzegałem. - Uśmiechnął się od ucha do ucha, a oczy mu rozbłysły - Po pierwsze, musimy znaleźć wejście do Nigdynigdy. Czyli jak dla ciebie do Zakłętej Krainy. To nie jest miejsce, do którego się ot, tak wchodzi, a brama jest zwykle dobrze ukryta. Na szczęście mam pewne podejrzenia, gdzie możemy ją znaleźć.

Znów się uśmiechnął, odwrócił ode mnie i zapukał do drzwi pokoju Ethana.

- Puk puk! - zawołał wysokim, śpiewnym głosem.

Przez moment panowała cisza. A potem rozległy się huk i uderzenie, jakby coś ciężkiego trafiło w drzwi.

- Idź sobie! - prychnął ktoś ze środka.

- No, nie. Ten kawał idzie zupełnie inaczej! - odkrzyknął Rob. - Ja mówię: „Puk, puk”, a ty masz odpowiedzieć: „Kto tam?”

- Odpieprz się.

- Nie, nadal źle. - Robbie zdawał się niewzruszony. Natomiast mnie przerażał język Ethana, choć wiedziałam, że to nie on.

- Posłuchaj - mówił dalej życzliwym tonem Rob. - Wyjaśnię ci wszystko, żebyś wiedział, co odpowiedzieć następnym razem.

Odchrząknął i znów zastukał w drzwi.

- Puk. puk! - huknął. - Kto tam? Puk! Co puk? Puk. który przemieni cię w kwiczącą świnię i wpakuje do pieca, jak nie zejdziesz mu z drogi!

Z tymi słowami otworzył z trzaskiem drzwi.

To coś, co wyglądało jak Ethan, stało na łóżku z książką w każdej ręce. Z sykiem rzuciło w nas tomami. Robbie się uchylił, ale jeden trafił mnie w brzuch, aż jęknęłam.

- No, naprawdę... - usłyszałam szept Roba i coś zakotłowało się w powietrzu. Nagle wszystkie książki w pokoju zaczęły trzepotać okładkami, uniosły się z podłogi i półek i zaatakowały Ethana lotem nurkowym, jak stado rozżłoszczonych mew. Mogłam tylko na to patrzeć i czułam, jak moje życie z chwili na chwilę staje się coraz bardziej surrealistyczne. Niby-Ethan syczał i parskał, opędzając się od otaczających go książek, aż któraś trafiła go w twarz i przewróciła na materac. Gotując się z wściekłości, schronił się pod łóżkiem. Słyszałam, jak pazurami drapie w podłogę. Z ciemności dobiegły nas przekleństwa i warkot.

Robbie pokręcił głową.

Amatorzy. - Westchnął, gdy latające po pokoju książki zamarły w powietrzu, opadły z hukiem na ziemię - Chodźmy księżniczko.

Otrząsnęłam się i omijając rozrzucone książki dołączyłam do stojącego na środku pokoju Robbiego

- No więc - odezwałam się nonszalancko, jakby latające książki i elfy były moim chlebem powszednim. - Gdzie to wejście do krainy magii? Narysujesz jakiś magiczny krąg rzucisz czar, czy co?

Rob zachichotał.

- Niezupełnie, księżniczko. Za bardzo wszystko komplikujesz. Bramy do Nigdy-nigdy pojawiają się zwykle w miejscach, gdzie jest dużo wiary, wyobraźni albo twórczej myśli. Często można je znaleźć w szafie w pokoju dziecięcym albo pod łóżkiem.

„Kłapcio się boi pana w szafie”. Zadrżałam, przeprasząc w myślach swojego przyrodniego brata. Kiedy go odnajdę, na pewno powiem mu, że też wierzę w potwory.

- W takim razie szafa - wyszeptalam, omijając książki i zabawki, by do niej dotrzeć. Kiedy sięgałam po klamkę, ręka mi się trochę trzęsała.

Teraz już nie ma odwrotu, pomyślałam i ją nacisnęłam.

Za drzwiami stała wysoka, wychudzona postać o wąskiej twarzy i wpatrujących się we mnie zapadniętych oczach. Była ubrana w czarny opięty garnitur, a na czubku spiczastej głowy miała melonik. Zamrużyła na mój widok, a bezkrywe usta rozwarły się, odsłaniając wąskie, spiczaste zęby. Odskokczyłam z krzykiem.

- Moja szafa! - wysyczało stworzenie. Patykowata ręka wystrzeliła i zacisnęła się na klamce. - Moja szafa! Moja!

I zatrasnęło z hukiem drzwi.

Robbie westchnął zirytowany, gdy się za nim schowałam. Serce waliło mi jak oszalałe.

- Boginy - wymamrotał, kręcąc głową. Podeszedł dziarsko do drzwi, zastukał trzy razy i otworzył.

Tym razem w środku nie było nikogo, jeśli nie liczyć wiszących na wieszakach koszul, pudełek na podłodze ani innych zwyczajnych przedmiotów. Robbie rozsunął ubrania przeszedł nad pudełkami, położył rękę na tylnej ścianie i zaczął po niej wodzić palcami. Zaciekawiona podeszłam bliżej.

- Gdzie jesteś? - wyszeptał, dotykając ściany. Zbliżyłam się na palcach i spojrzałam mu przez ramię. - Wiem, że tu jesteś. Gdzie jest... aha!

Ukucnął, nabrał powietrza i dmuchnął na ścianę. Natychmiast uniosła się chmura pyłu i otoczyła go złotawa mgiełka.

Kiedy się wyprostował, na tylnej ścianie szafy zobaczyłam złotą klamkę i niewyraźny zarys drzwi. Spod nich sączyło się blade światło.

- Chodź, księżniczko. - Rob odwrócił się i skinął na mnie. W ciemnościach jego oczy lśniły zielono. - Tędy. Twój bilet do krainy Nigdy-nigdy, w jedną stronę.

Zawahałam się, czekając, aż puls mi opadnie i wróci do normy, ale tak się nie stało. To szaleństwo, podpowiedział jakiś przestraszony fragment mojego umysłu. Kto wie, co kryje się za tymi drzwiami, jakie potworności czają się w cieniu? Może już nigdy nie wrócę do domu. To był ostatni moment, by się wycofać.

Nie, powiedziałam sobie. Nie mogę się wycofać. Gdzieś tam jest Ethan. I liczy na mnie.

Nabrałam głęboko powietrza i zrobiłam krok naprzód. Spod łóżka wystrzeliła pomarszczona ręka i złapała mnie za kostkę. Szarpnęła tak, że prawie się przewróciłam. Usłyszałam warknięcie. Piszcząc, wyrwałam się z trzymających mnie szponów i pognałam na ślepo w stronę szafy, a za mną zatrasnęły się drzwi.

5. Kraina Nigdy-nigdy.

W zatęchłych ciemnościach szafy Ethana przycisnęłam rękę do piersi i znów zamarłam, starając się uspokoić kołatanie serca. Otaczała mnie ciemność, jeśli nie liczyć wąskiego prostokąta światła rysującego się na tylnej ścianie. Nie widziałam Robbiego, ale czułam jego obecność i słyszałam jego cichy oddech.

- Gotowa? - Owiało mnie ciepło jego oddechu. I nim zdążyłam odpowiedzieć, pchnął drzwi, które otworzyły się ze skrzypnięciem i ukazały krainę Nigdynigdy.

Szafę zalało srebrnoblade światło. Polana za drzwiami była porośnięta olbrzymimi drzewami o konarach tak grubych i splątanych, że pomiędzy nimi nie widać było nieba. Po ziemi snuła się mgła, a las wokół był ciemny i nieruchomy, zupełnie jakby panował tu wieczny zmierzch. Miejscami tę szarość przełamывała plama intensywnego koloru. A to kępka kwiatów o jaskrawoniebieskich płatkach falowała delikatnie we mgle, a to dzikie wino pięło się wokół pnia obumierającego dębu, a jego długie czerwone kłaczka intensywnie kontrastowały z korą drzewa.

Do szafy wpadł powiew ciepłego wiatru, niosąc ze sobą, niezwykle połączenie zapachów - woni, które nie powinny naraz występować w jednym miejscu. Suche liście i cynamon, dym i jabłka, świeża ziemia, lawenda i delikatny słodkawy zapach rozkładu. Wychwyciłam nawet metaliczną nutkę, miedzianą, zapowiadającą zapach zgnilizny, ale przy następnym oddechu już jej nie było. W górze krążyły chmury owadów, a kiedy się mocniej wsłuchałam, wydało mi się, że prawie słyszę śpiew. Na początku las był nieruchomy, ale potem zauważyłam wśród cieni ruch i wszędzie wokół słyszałam szelest liści. Miałam wrażenie, że ze wszystkich stron świdrują mnie spojrzeniem niewidzialne oczy.

Robbie z grzywą rudych włosów przeszedł przez próg, rozejrzał się wokół i roześmiał.

- Dom. - Westchnął, rozkładając ręce, jakby chciał objąć wszystko w okolicy. - Wreszcie w domu.

Zakręcił się w miejscu, a potem znów wybuchając śmiechem, przewrócił się na plecy w mgłę, zupełnie jakby robił anioła na śniegu, i zniknął.

Przełknęłam z trudem ślinę i ostrożnie zrobiłam krok naprzód. Mgła zawirowała wokół moich kostek zupełnie jak żywa istota, głaszcząc mokrymi palcami moją skórę.

- Rob!

Odpowiedziała mi cisza. Kątem oka dostrzegłam, jak coś dużego i białego śmignęło jak strzała między drzewami.

- Rob! - zawołałam znowu, zbliżając się do miejsca, w którym upadł. - Gdzie jesteś, Robbie?

- Buu! - Rob pojawił się za mną, powstając z mgły jak wampir z trumny. Stwierdzenie, że krzyknęłam, byłoby pewnym niedopowiedzeniem.

- Coś jesteśmy dziś nerwowi. - Robbie roześmiał się i uskoczył poza zasięg moich rąk, nim zdążyłam go udusić. -Pora przerzucić się na bezkofeinową, księżniczko. Jeśli zamierzasz tak pisać na widok każdego bogina, który na ciebie wyskoczy i krzyknie: „Buu!", to wykończysz się, zanim w ogóle dotrzemy do lasu.

Zmienił się. Zamiast dżinsów i znoszonej koszulki miał teraz na sobie zielone spodnie łowcy i grubą brązową bluzę z kapturem. Nie widziałam za dobrze we mgle, ale wyglądało na to, że trampki zamienił na miękkie skórzane buty. Twarz zrobiła mu się szczuplejsza, surowsza, o ostrych rysach. Do tego intensywnie rude włosy i zielone oczy sprawiały, że przypominał mi uśmiechającego się lisa.

Ale najbardziej zmieniły się jego uszy. cienkie i spiczaste, sterczały po bokach jego głowy zupełnie jak... no u elfa. I właśnie wtedy zniknęły wszystkie ślady po Robbiem Collerze. Chłopiec, którego znałam przez prawie całe życie zniknął, zupełnie jakby nigdy nie istniał, a na jego miejscu pojawił się Puk.

- Co się stało, księżniczko? - Puk ziewnął, rozciągając długie kończyny.

Wydawało mi się tylko, czy nawet urósł?

- Wyglądasz, jakbyś straciła najlepszego przyjaciela.

Zignorowałam pytanie, bo nie miałam ochoty teraz się nad tym zastanawiać.

- Jak to zrobiłeś? - Chciałam zmienić temat. - Mam na myśli twoje ubranie. Jest inne. I jak zmusiłeś książki, żeby latały po pokoju? To magia?

Puk się uśmiechnął.

- Urok - wyjaśnił, jakby to mi cokolwiek mówiło.

Spojrzałam na niego z ukosa, a on westchnął.

- Nie miałem czasu wcześniej się przebrać, a mój pan. król Oberon, krzywo patrzy na dworzan noszących ciuchy śmiertelników. Więc użyłem uroku, żeby odpowiednio wyglądać. Tak samo jak wtedy, kiedy chciałem wyglądać jak człowiek.

- Chwileczkę. - Pomyślałam o rozmowie Robbiego z pielęgniarką, którą słyszałam we śnie. - Jest więcej takich jak ty... elfopodobnych w domu? Pod nosami ludzi?

Robbie posłał mi bardzo niepokojący uśmiech.

- Jesteśmy wszędzie, księżniczko - powiedział stanowczo. - Pod twoim łóżkiem, na twoim strychu, mijamy cię na ulicy.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej, drapieźnie.

- Sny i wyobrażenia śmiertelników podsycają urok. Pisarze, artyści, mali chłopcy, którzy udają, że są rycerzami... Magiczne istoty lgną do nich jak muchy do miodu. Jak myślisz, czemu tyle dzieci ma zmyślonych przyjaciół? Nawet twój brat miał takiego. Chyba mówił na niego Kłapcio, chociaż tak naprawdę on nazywał się inaczej. Szkoda, że odmieńcowi udało się go zabić.

Ścisnęło mi żołądek.

- I... nikt was nie widzi?

- Jesteśmy niewidzialni albo używamy uroku, aby ukryć nasz prawdziwy wygląd. - Puk oparł się o drzewo i założył ręce za głowę w bardzo typowy dla Robbiego sposób. - Nie patrz na mnie z takim zdziwieniem, księżniczko. Śmiertelnicy świetnie opanowali umiejętność niewidzenia tego, czego nie spodziewają się zobaczyć. Chociaż jest trochę ludzi, którzy potrafią widzieć przez mgłę i urok. Zwykle to są wyjątkowe jednostki: niewinni, naiwni marzyciele, a do nich elfy lgną jeszcze chętniej.

- Jak Ethan - wyszeptalam.

Puk spojrzał na mnie dziwnie i unióś kącik ust.

- Jak ty, księżniczko.

Zdawało się, że chciał jeszcze coś dodać, ale wtedy spośród drzew dobiegł dźwięk łamanej gałęzi. Wyprostował się szybko.

- Oj, pora ruszać. Niebezpiecznie jest za długo przebywać w jednym miejscu. Możemy zwrócić na siebie uwagę kogoś, kogo nie chcielibyśmy spotkać.

- Co?! - wykrzyknęłam, kiedy z gracją jelenia ruszył przez polanę. - Myślałam, że mówiłeś, że to jest dom?

- Nigdy nigdy to dom wszystkich magicznych stworzeń. - Puk nawet się nie odwrócił. - Jest podzielona na terytoria, a dokładniej na dwory. Jasny Dwór to królestwo Oberona, a Mab włada terytorium mrocznych. Kiedy przebywasz na dworze, zwykle nie możesz znęcać się, okaleczać ani zabijać innych magicznych stworzeń bez zgody władcy. Natomiast - spojrzał znów na mnie - teraz jesteśmy na terytorium neutralnym, gdzie żyją dzikie stwory. Tutaj, jak to mawiacie wy, ludzie, obowiązuje wolna amerykanka Teraz może zbliżyć się do nas stado satyrów, które będą z tobą tańczyć, aż opadniesz z sił, a potem jeden po drugim cię zgwałcą, albo wilki które rozszarpiają nas na strzępy. Tak czy inaczej, chyba nie warto zostawać tu dłużej.

Znów się bałam. Wyglądało na to, że wiecznie się boję. Nie chciałam być w tym strasznym lesie z kimś, kogo zdawało mi się tylko że znam. Chciałam wrócić do domu. Tyle, że teraz dom też był przerażający, prawie tak straszny, jak Nigdy nigdy.

Czułam się zagubiona i zdradzona, nie na miejscu w tym świecie, który chciał mnie skrzywdzić.

Ethan, powtórzyłam sobie. Robisz to dla Ethana Kiedy go znajdziesz, będziesz mogła wrócić do domu i wszystko będzie jak dawniej.

Szelesty stawały się coraz głośniejsze, słyhać było odgłos łamiących się gałęzi, gdy zbliżało się nieznane niebezpieczeństwo.

- Księżniczko - odezwał się tuż przy moim uchu Puk. Kiedy złapał mnie za rękę, podskoczyłam i zduśliłam krzyk. - Paskudztwa, o których ci mówiłem, złapały nasz trop i idą w tą stronę.

Chociaż mówił spokojnie, widziałam niepokój w jego oczach.

- Jeśli nie chcesz, żeby twój pierwszy dzień w Nigdy nigdy był również ostatnim, to sugerowałbym się ruszyć.

Odwrociłam się i spojrzałam na drzwi pośrodku polany.

- Będziemy w stanie wrócić tędy do domu? - zapytałam, gdy Puk pociągnął mnie za sobą.

- Nie.

Kiedy spojrzałam na niego przerażona, wzruszył ramionami.

- Nie możesz oczekiwać, że brama będzie wciąż w tym samym miejscu, księżniczko. Ale nie martw się. Masz mnie, Pamiętasz? Jak nadejdzie czas, znajdziemy drogę do domu.

Pobiegliśmy na drugą stronę polany, wprost w zbity gąszcz krzaków o żółtych, zakrzywionych cierniach, długich jak mój palec. Zawahałam się, pewna, że nas poszatkuje, ale kiedy się zbliżyliśmy, gałęzie zdrząły i rozstały się, ukazując biegnącą wśród drzew wąską ścieżkę. A kiedy pomiędzy nimi przeszliśmy, krzaki splątały się z powrotem, kryjąc naszą drogę ucieczki.

Szliśmy godzinami, a przynajmniej mnie tak się zdawało. Puk szedł cały czas równym tempem, nie przyspieszając ani nie zwalniając, i po jakimś czasie odgłosy pogoni ucichły. Czasami ścieżka się rozwidlała i biegła w różne strony, ale Puk zawsze bez wahania wybierał kierunek. Wielokrotnie kątem oka dostrzegałam jakiś ruch - kolorowy błysk pomiędzy krzakami, jakąś sylwetkę wśród drzew - ale za każdym razem, gdy się odwracałam, nikogo już tam nie było. Czasami miałam niemal pewność, że słyszę muzykę lub śpiew, ale oczywiście, gdy próbowałam się na niej skupić, już nic nie było słychać. Mdląca poświata lasu nigdy nie przygasła, a kiedy zapytałam, kiedy zapadnie noc, Puk uniósł brew i odpowiedział, że noc nadejdzie, jak będzie gotowa.

Zirytowana spojrzałam na zegarek, zastanawiając się, jak długo już podróżujemy. I spotkało mnie przykre zaskoczenie. Wskazówki zamarły. Albo padła bateria, albo coś innego uszkodziło zegarek.

A może w tym miejscu po prostu nie ma czasu. Nie wiem czemu, ale ta myśl bardzo mnie zaniepokoiła.

Bolały mnie stopy i brzuch, a nogi piekły z wyczerpania, kiedy wreszcie nieustanny zmierzch zaczął blednąć. Puk zatrzymał się i spojrzał w niebo. Nad koronami drzew pojawił się olbrzymi księżyc, tak blisko, że widać było krater na jego powierzchni.

- Chyba pora na postój - odezwał się z powątpiewaniem Puk.

A kiedy padłam na spróchniałą kłodę, postął mi krzywy uśmiech.

- Nie chcemy, żebyś trafiła na taneczny kurhan albo poleciała za białym królikiem do ciemnej nory. Chodź. Niedaleko jest miejsce, gdzie będziemy mogli spokojnie wypocząć. Wziął mnie za rękę i pomógł mi wstać. Nogi bolały mnie tak, że prawie usiadłam z powrotem. Byłam zmęczona, marudna i ostatnią rzeczą, na jaką miałam ochotę była dalsza wędrówka. Rozejrzałam się wokół i ujrzałam między drzewami przepiękny stawik. Woda błyszczała w świetle księżyca. Zamarłam, wpatrując się w błyszczącą taflę.

- Czemu nie zatrzymamy się tutaj? - zapytałam.

Puk rzucił tylko okiem na staw, skrzywił się i pociągnął mnie dalej.

- O nie. Za wiele świństw kryje się pod powierzchnią. Kelpie, wodniki, syreny i inne takie. Lepiej nie ryzykować.

Odwrociłam się i ujrzałam, jak jakiś ciemny kształt zmarszczył idealnie spokojną powierzchnię wody. Końska głowa, czarna i gładka jak foka, wpatrywała się we mnie nienawistnymi białymi ślepiami. Jęknęłam i pobiegłam za Pukiem.

Kilka minut później dotarliśmy do pnia potężnego, sękatego drzewa. Miało tak porowatą i spękaną korę, że mogłam prawie dostrzec wyglądające zeń postaci. Przypominały starych pomarszczonych ludzi, ułożonych jeden na drugim i wymachujących z oburzeniem pokrzywionymi artretyzmem rękami.

Puk ukląkł u korzeni i zapukał w pień. Wyjrzałam mu przez ramię i zaskoczona zobaczyłam przy ziemi maluteńkie drzwi, wysokie ledwie na trzydzieści centymetrów. Kiedy patrzyłam w zdziwieniu, drzwi się uchyliły i podejrzliwie wyjrzała zza nich głowa.

- Ech? Kto tam? - odezwał się chropawy, piskliwy głosik, a ja patrzyłam z zachwytem. Skóra człowieczka była koloru orzecha, a włosy wyglądały jak pęk sterczących mu z głowy gałązek. Miał na sobie brązową tunikę i brązowe legginsy i wyglądał jak patyk, który ożył. Tylko czarne oczy błyszczały jak u żuka.

- Dobry wieczór, Witku - przywitał się grzecznie Puk.

Mały człowieczek zamrugał i przyjrzał się uważnie górującej nad nim postaci.

- Robin Koleżka? - zapiszczał w końcu. - Od dawna nie widziałem cię w tych stronach. Cóż cię przywiodło do mojego skromnego drzewa?

- Eskortuję kogoś - odpowiedział Puk i przesunął się tak, aby Witek mógł mi się dobrze przyjrzeć. Te świdrujące oczka wpatrzyły się we mnie, mrugając ze zdumienia. A potem nagle zrobiły się wielkie i okrągłe i spojrzały z powrotem na Puka.

- Czy... czy to...?

- Tak.

- A czy ona...?

- Nie.

- Ojej. - Witek otworzył szeroko drzwi i zaprosił nas do środka patykowaną ręką. - Wchodźcie, wchodźcie. Szybko. Zanim zauważą was driady i zaczną plotkować.

Zniknął w środku, a Puk odwrócił się do mnie.

- Nie wcisnę się tam - zaprotestowałam, zanim zdążył się odezwać. - Nie ma mowy, żebym się tam zmieściła, chyba że masz magicznego muchomora, który zmniejszy mnie do rozmiaru osy. Ale nie zjem nic takiego. Wiesz, widziałam Alicję w Krainie Czarów.

Puk uśmiechnął się szeroko i wziął mnie za rękę.

- Zamknij oczy - polecił - i po prostu idź.

I tak zrobiłam, spodziewając się, że w ramach dowcipu wielkiego Robbiego żartownisia rozbije sobie o drzewo nos. Kiedy nic takiego się nie stało, już chciałam podejrzeć, co się dzieje, ale się pohamowałam. Powietrze zrobiło się ciepłe i usłyszałam, jak zamykają się za mną drzwi, a wtedy Puk powiedział, że mogę otworzyć oczy.

Stałam w przytulnym, okrągłym pokoju, o ścianach z gładkiego czerwonego drzewa i podłodze pokrytej mchowym dywanem. Stojący pośrodku pokoju płaski kamień oparty na trzech pniakach służył za stół, a na nim leżały różne jagody wielkości piłek do nogi. Na tylnej ścianie wisiła drabinka sznurowa, a kiedy spojrzałam w górę, prawie zemdlałam. Na ścianach, wysoko w powietrzu - bo pień wznosił się aż poza zasięg mojego wzroku - kręciły się dziesiątki owadów. Każdy by, wielkości cocker-spaniela, a ich odwłoki świeciły żółtozielono.

- Widzę, że odnawiałeś, Witku - odezwał się Puk, siadając na stercie futer, które służyły za kanapę. Kiedy przyjrzałam się bliżej, zobaczyłam, że przy jednej z nich jest wciąż głowa wiewiórki, i musiałam spojrzeć w inną stronę.

- Kiedy byłem u ciebie poprzednio, to była ledwie dziura w drzewie.

Witek się rozpromienił. Był teraz naszego wzrostu, a raczej to my byliśmy tacy jak on, i z bliska pachniał cedrem i mchem.

- Tak, całkiem mi się tu podoba. - Witek podszedł do stołu. Wziął nóż i pokroił jagodę na cząstki, po czym ułożył je na drewnianych talerzach. - Ale możliwe, że niedługo będę musiał się stąd wynieść. Mówią, że części Losoboru umierają, codziennie znika kolejny fragment. I nikt nie wie czemu.

- Wiesz czemu - odpowiedział Puk, otulając się wiewiórczym ogonem. - Wszyscy wiemy. To nic nowego.

- Nie. - Witek pokręcił głową. - Brak wiary śmiertelników zawsze zabierał kawałek Nigdyngdy, ale nie w ten sposób. To jest... inne. Trudno to wytłumaczyć. Zobaczysz, co mam na myśli, jeśli pójdziesz dalej.

Podał nam talerze z dużym kawałkiem czerwonej jagody, połówką żółędzia i kupką czegoś, co wyglądało jak ugotowane białe pędraki. Chociaż dzień upłynął nam przedziwnie, po tylu godzinach wędrówki byłam potwornie głodna. Jagoda była słodko-cierpka, ale nie zamierzałam próbować tej larwiastej brei i oddałam ją Pukowi. Po kolacji Witek zrobił mi posłanie ze skórek wiewiórczych i mysiego futerka, i choć trochę mnie to wszystko brzydziło, zasnęłam natychmiast.

Tej nocy miałam sen. Śniło mi się, że w domu było cicho i pusto, duży pokój był pograżony w mroku. Rzut oka na zegar - było dziewiętnaście po trzeciej nad ranem. Przemknęłam przez duży pokój, minęłam kuchnię i ruszyłam po schodach. Drzwi do mojego pokoju były zamknięte, a z sypialni rodziców dobiegało ogłuszające chrapanie Luke'a, ale na końcu korytarza drzwi do pokoju Ethana były uchylone. Podeszłam do nich i zajrzałam przez szparę.

W środku był jakiś obcy chłopak, wysoki i szczupły, ubrany w srebro i czerń, pewnie niewiele starszy ode mnie, ale nie potrafiłam odgadnąć, ile dokładnie ma lat. Jego ciało było młode, ale emanował z niego spokój, sugerujący, że to ktoś znacznie starszy i do tego niebezpieczny. Nagle uświadomiłam sobie, że to ten sam chłopak, którego widziałam wtedy w lesie na koniu. Co on tu robił? W moim domu? Jak w ogóle się tu dostał? Rozważałam, czy go o to nie spytać, świadoma, że przecież to tylko sen, kiedy coś innego zwróciło moją uwagę i zmroziło mnie do szpiku kości. Gęste, kruczoczarne włosy opadały mu na ramiona, tylko częściowo zasłaniając delikatne, spiczaste uszy.

To nie był człowiek. Był jednym z nich, elfów. Stał w moim domu, w pokoju mojego brata. Przeszedł mnie dreszcz i zaczęłam się cofać.

Wtedy się odwrócił i spojrzał wprost przeze mnie. Pewnie bym jęknęła, gdyby nie zabrakło mi oddechu. Był śliczny. A nawet więcej, był przepiękny. Królewsko piękny, piękny jak księżę z jakiegoś dalekiego kraju. Gdyby wszedł do mojej klasy na maturze, uczniowie i nauczyciele rzuciliby mu się do stóp. Ale było to zimne, surowe piękno, jak u marmurowego posągu, nieludzkie i z innego świata. Jego odrobinę skośne oczy pod zmierzwioną grzywką błyszcząły jak kawałki stali.

Nie widziałam nigdzie odmieńca, ale spod łóżka dobiegały słabe odgłosy, jakby łomotanie serca. Elf zdawał się tego nie słyszeć. Odwrócił się i położył bladą rękę na drzwiach szafy. Przesunął palcami po wyblakłym drewnie. Na jego ustach pojawił się cień uśmiechu.

Jednym płynnym ruchem otworzył drzwi i wszedł do środka .. Drzwi zamknęły się za nim cicho i już go nie było.

Ostrożnie podeszłam do szafy, uważając na stwora kryjącego się pod łóżkiem. Wciąż słyszałam bicie jego serca, ale nie wyskoczył by mnie złapać. Bez przeszkód przeszłam przez pokój. Najciszej, jak mogłam, złapałam klamkę przekręciłam i otworzyłam drzwi.

- Moja szafa! - zawył mężczyzna w kapeluszu, rzucając się na mnie. - Moja!

Obudziłam się z krzykiem.

Przez moment rozglądałam się jak szalona po pokoju, nie wiedząc, gdzie jestem. Serce waliło mi jak oszalałe, a zimny pot oblewał czoło. Przypomniały mi się fragmenty mojego realistycznego koszmaru: atakujący mnie Ethan, Robbie sprawiający, że książki zaczęły latać, brama do innego, straszego świata.

Moją uwagę zwróciło głośnie chrapnięcie i spojrzałam w tamtą stronę. Na kanapie po drugiej stronie pokoju leżał rozwalony Puk, z ręką zarzuconą na oczy, przykryty pledem z wiewiórki.

Wraz z powracającymi wspomnieniami zrobiło mi się słabo. To nie był koszmar. Wcale mi się to nie przyśniło. Ethan został porwany. Na jego miejscu pojawił się potwór. Robbie był elfem. A ja byłam gdzieś w krainie Nigdy-nigdy i szukałam brata, mimo że nie miałam pojęcia, gdzie jest, ani wiele nadziei, że go odnajdę.

Położyłam się z powrotem. Trzęsłam się. W domu Witka było ciemno. Robaczki świętojańskie, czy co to tam było, przestały świecić i siedziały teraz na ścianach, najwyraźniej śpiąc. Pokój rozjaśniała tylko pomarańczowa poświata zza okna. Może Witek miał lampkę przed wejściem? Usiadłam gwałtownie. Tak naprawdę to była świeczka, a ponad nią do środka zaglądała jakaś twarz. Otworzyłam usta, żeby obudzić Puka, kiedy niebieskie oczy spojrzały na mnie - i twarz, którą tak doskonale znałam, zniknęła znów w mroku.

Ethan.

Wygramoliłam się z pośłania i pognałam do drzwi, nawet nie wkładając butów. Puk zachrapał i przekręcił się pod stertą futer na drugi bok, ale go zignorowałam. Tam był Ethan! Jeśli uda mi się go złapać, wrócimy do domu i będę mogła o tym wszystkim zapomnieć.

Otworzyłam drzwi i wyszłam na zewnątrz, rozglądając się w poszukiwaniu brata. Dopiero później uświadomiłam sobie, że znów byłam normalnego wzrostu, a drzwi nadal były maleńkie.

Mogłam myśleć tylko o Ethanie i o tym, że wróci do domu, że oboje wrócimy.

Otoczyła mnie ciemność, ale gdzieś przed sobą dostrzegłam mrugające pomarańczowe światełko, które coraz bardziej się ode mnie oddalało.

- Ethan! - zawołałam, a mój głos odbił się echem w nocnej ciszy. - Ethan, zaczekaj!

Zaczęłam biec, kłapiąc gołymi stopami po liściach i gałązkach, ślizgając się po kamieniach i błocie. Uderzyłam palcem u nogi o coś ostrego. Powinno mnie zboleć, ale mój umysł ignorował ból. Widziałam przed sobą brata, malutką postać wędrującą pomiędzy drzewami, trzymającą przed sobą świeczkę. Biegłam najszybciej, jak mogłam. Gałęzie szarpały mi ubranie i rozrywały skórę, a on wciąż był równie daleko, jak wcześniej.

Az wreszcie się zatrzymał i spojrzał z uśmiechem przez ramię. Mrugające światło świecy nadało jego rysom niepokojący wygląd.

Przyspieszyłam i byłam już ledwie kilka kroków od niego, kiedy nagle ziemia uciekła mi spod stóp. Krzycząc, runęłam w dół i wpadłam do lodowatej wody, która zamknęła się nade mną i zalała mi nos i usta.

Prychając wynurzyłam się na powierzchnię. Twarz mnie piekła, a kończyny zaczynały cierpnąć. Nad moją głową rozległ się chichot i pojawiła się kula światła. Zawisała tak na chwilę, jakby cieszyła się z mojego upokorzenia, po czym zniknęła gdzieś między drzewami i przez moment słychać było jeszcze tylko wysoki śmiech.

Zaczęłam płynąć i rozglądać się wokół. Nade mną wznosiła się śliska i zdradziecka błotnista skarpa. Kilka starych drzew zwieszało gałęzie nad wodą, ale zbyt wysoko, bym mogła do nich dosięgnąć. Próbowałam znaleźć na skarpie jakieś oparcie i wygramolić się z wody, ale stopy ślizgały mi się w błocie, a rośliny, na których próbowałam się podciągnąć, wrywały się z korzeniami i znów spadałam z pluskiem do wody. Musiałam znaleźć jakąś inną drogę.

I wtedy usłyszałam inny plusk, gdzieś dalej, i wiedziałam, że nie jestem już sama.

Księżyc świecił, nadając wszystkiemu srebrnoczarne barwy. Poza bzyczeniem owadów noc była cicha. Po drugiej stronie jeziora nad taflą wody robaczki świętojańskie tkwały w powietrzu skomplikowane wzory. Niektóre zamiast na żółto świeciły na różowo i niebiesko. Może tylko mi się wydawało, że coś słyszałam. Miałam wrażenie, że poza nadpływającą w moją stronę starą kłodą wokół nic się nie rusza.

Zamrugałam i spojrzałam znów. Kłoda zaczęła nagle niepokojąco przypominać górną połowę głowy konia, o ile koń mógłby płynąć tak jak aligator. Wtedy zobaczyłam martwe białe oczy i wąskie błyszczące zęby i ogarnęła mnie panika.

- Puk! - krzyknęłam, próbując wdrapać się na brzeg. Od skarpy odrywały się kawałki błota. Za każdym razem, gdy myślałam, że już mam oparcie, ześlizgiwałam się z powrotem do wody. I czułam, że potwór jest coraz bliżej.

- Puk! Na pomoc!

Spojrzałam przez ramię. Koniowaty stwór był ledwie metr ode mnie i unosił z wody szyję, ukazując pysk pełny szpiczastych zębów.

O Boże, zginę. To coś mnie zje! Niech mi ktoś pomoże. Przerazona wbiłam palce w skarpe i natrafiłam na mocną gałąź. Złapałam ją i szarpnęłam z całej siły. Poczułam, jak gałąź wyciąga mnie z wody, tymczasem koniopodobny stwór rzucił się z rykiem do ataku. Jego mokry, gumisty nos trafił w podeszwę mojej stopy, a paszcza kłapnęła upiornie. Gałąź rzuciła mnie - rozdygotaną i zapłakaną - na brzeg, a potwór zniknął z powrotem pod wodą.

Kilka minut później odnalazł mnie Puk. Leżałam zwinięta w kłębek kilka metrów od brzegu, byłam przemoczona i trzęsłam się jak liść osiki. Gdy podnosił mnie z ziemi, w jego oczach ujrzałam zarówno współczucie, jak i złość.

- Wszystko w porządku? - Przesunął dłońmi po moich ramionach, sprawdzając, czy nadal jestem w jednym kawałku. - To ty, księżniczko? Odezwij się.

Skinęłam głową.

- Zobaczyłam... Ethana - wykrztusiłam, starając się zrozumieć, co zaszło. - Poszłam za nim, ale on zamienił się w światło i odleciał, a potem ten stwór podobny do konia próbował mnie zjeść...

Zamilkłam.

- To nie był, Ethan, prawda? Tylko kolejne stworzenie, które bawiło się moimi uczuciami? A ja się dałam nabrać.

Puk westchnął i zaczął mnie prowadzić ścieżką.

- Tak - wyszeptał, rzucając na mnie okiem. - Zwodniki już takie są, pokazują ci to, co chcesz zobaczyć, po czym sprowadzają cię na manowce. A ten był wyjątkowo złośliwy, skoro zaprowadził cię wprost do sadzawki kelpii. Pewnie powinienem ci powiedzieć, żebyś nie chodziła nigdzie sama, ale po co mam sobie strzępić język. A zresztą... - Zatrzymał się i obrócił na pięcie, stając na przeciwko mnie. - Nie chodź nigdzie sama, księżniczko. Pod żadnym pozorem, jasna? W tym świecie jesteś zabawką albo przekąską. Nie zapominaj o tym.

- Tak - wyszeptałam. - Tak, teraz rozumiem.

Szliśmy dalej. W sękatym drzewie nie było już drzwi, ale moje tenisówki i plecak leżały na zewnątrz. Jasny znak, że naszą wizytę uznano za zakończoną. Trzęsąc się, wsunęłam pokrwawione stopy do butów. Nienawidziłam tego świata i wszystkiego, co w nim było. Chciałam tylko wrócić do domu.

- No - odezwał się zbyt radośnie Puk. - Jeśli skończyłaś zabawy ze zwodnikami i kelpiami, to pora w drogę. Och, tylko uprzedź mnie, jak postanowisz zagrać z ogrem w palanta. Zabiorę swoją pałkę.

Spojrzałam na niego jadownicie. A on tylko się uśmiechnął. W górze niebo zaczynało się rozjaśniać i nabierać tego szarego, ponurego odcienia brzasku, cichego i nieruchomego jak śmierć. A my wędrowaliśmy dalej przez Nigdynigdy.

6. Dziki gon.

Nie zaszliśmy daleko, kiedy pośrodku lasu trafiliśmy na martwą polanę.

Losobór był ponurym, cichym miejscem, ale mimo to żywym. Drzewa były stare i wysokie, rośliny kwitły i przez szarość przebijały intensywne witalne plamy koloru. Między drzewami przemykały zwierzęta, a w półmroku kryły się dziwne stwory. Nie sposób było im się przyjrzeć, ale wiedziałam, że tam są. Czułam na sobie ich wzrok.

A tu nagle drzewa zniknęły i stanęliśmy na brzegu jałowej ziemi.

Ziemię porastały tylko żółte, obumarłe resztki traw. Tu i ówdzie stały też drzewa, ale były zwiędłe, skręcone, poczerniałe i bez liści. Z daleka gałęzie błyszcząły jak dziwne metalowe konstrukcje, ostre i poszarpane. Gorący wiatr pachniał miedzią i pyłem.

Puk długo wpatrywał się w martwy las.

- Witek miał rację. - Westchnął, przyglądając się zwiędłemu drzewu. Sięgnął do niego, ale nim dotknął gałęzi, odsunął rękę i wzruszył ramionami. - To nie jest naturalne. Coś zatruwa Losobór.

Dotknęłam jednej z błyszczących gałęzi i z krzykiem zabrałam gwałtownie rękę.

- Aj!

Puk odwrócił się do mnie.

- Co?

Pokazałam mu dłoń. Z cienkiego jak włos skaleczenia na palcu sączyła się krew.

- To drzewo. Skaleczyło mnie.

Puk przyjrzał się mojemu palcowi i zmarszczył brwi.

- Metalowe drzewa - myślał głośno, wyciągając chusteczkę z kieszeni i opatrując mi palec - To nowość. Jak spotkasz jakieś stalowe driady, koniecznie mi powiedz, żebyśmy mogli uciec z krzykiem.

Skrzywiłam się i znów spojrzałam na drzewo. Na gałęzi błyszcząca przez chwilę kropelka mojej krwi, po czym spadła na spękaną ziemię. Krawędzie gałązek lśniły tak, jakby ktoś je starannie wyostrzył.

- Oberon musi się o tym dowiedzieć - stwierdził Puk kucając, aby przyjrzeć się suchej trawie. - Witek powiedział że to się rozszerza, ale skąd się bierze?

Podniósł się szybko i zatoczył. Wyciągnął ręce, by złapać równowagę. Złapałam go za ramię.

- Wszystko w porządku? - spytałam.

- Nic mi nie jest, księżniczko. - Skinął głową i postąpił mi zboląły uśmiech. - Trochę mnie martwi stan domu. ale co zrobić?

Zakaszła i machnęła ręką przed twarzą, jakby poczuł smród.

- To powietrze przyprawia mnie o mdłości. Chodźmy stąd.

Pociągnęłam nosem, ale nie poczułam żadnego smrodu. Po prostu pył i ostry metaliczny zapach, jakby rdzy. Tymczasem Puk już odchodził z brwiami zmarszczonymi z bólu lub złości, więc pobiegłam za nim.

Kilka godzin później usłyszeliśmy wycie.

Puk zatrzymał się na środku ścieżki tak gwałtownie, że prawie na niego wpadłam. Uniósł rękę, uciszając mnie, nim zdążyłam zapytać, co się dzieje.

Wtedy usłyszałam niesiony wiatrem mrozący krew w żyłach skowyt wydobywający się z wielu gardeł. Serce zaczęło mi mocniej bić i podeszłam bliżej do swojego towarzysza.

- Co to?

- Gon - wyjaśnił Puk, patrząc w dal. Skrzywił się. - Wiesz, tak właśnie myślałem, że jakiś stwór powinien zacząć nas ścigać jak króliki i rozerwać na strzępy. Po prostu dzień, gdy żaden potwór nie próbuje mnie zabić, to dzień stracony.

Zamarłam.

- Jakiś stwór nas ściga?

- Nigdy nie widziałas dzikiego gonu, prawda? - Puk jęknął i przeczesał palcami włosy. - Cholera. No, to nam skomplikuje sprawę. Zamierzałem zabrać cię na wycieczkę krajoznawczą po Nigdynigdy, księżniczko, ale wygląda na to, że będziemy musieli z tym poczekać.

Ujądanie i głębokie warkoty słyszałam teraz bliżej. Cokolwiek nas ścigało, było duże.

- Nie powinniśmy uciekać?

- Nie uda się im uciec - orzekł Puk, cofając się. - Złapały twój trop, a żaden śmiertelnik jeszcze nie uszedł dzikiemu gonowi.

Westchnął i dramatycznym gestem przysłonił ręką oczy

- Wygląda na to, że jedynym wyjściem z tej sytuacji będzie poświęcenie mojej godności osobistej. Och, co ja muszę znosić w imię miłości. Boże, bawisz się moim bólem.

- O czym ty gadasz?

Puk uśmiechnął się w swój tajemniczy sposób i zaczął się zmieniać. Twarz mu się wydłużyła i zwężyla, a szyja zaczęła rosnąć. Ręce mu zadrżały, palce szczeniały i przemieniły się w kopyta. Wygiął plecy w łuk, jego kręgosłup się wydłużył, a nogi stały się bardziej umięśnione. Kiedy opadł na cztery nogi, skórę pokryła mu sierść. Nie był już chłopcem, ale lśniącym siwym koniem o gęstej grzywie. Przeobrażenie zajęło mu ledwie kilka sekund.

Cofnęłam się, pamiętając o przygodzie z potworem w jeziorze, ale jabłkowity koń podrobił kopytem o ziemię i machnął niecierpliwie ogonem. Błyszczące jak szmaragdy oczy spojrzały na mnie spod grzywy i jakoś przestałam się bać.

Ujądanie stawało się coraz bliższe, coraz bardziej i bardziej rozszalałe. Podbiegłam do Puka konia i wskoczyłam mu na grzbiet, łapiąc się grzywy, by się podciągnąć. Chociaż mieszkałam na farmie, konno jeździłam tylko parę razy, więc dopiero po kilku próbach udało mi się go dosiąść. Puk prychnął i podrzucał głową zniecierpliwiony moimi marnymi umiejętnościami hippicznymi.

Z trudem usiadłam, złapałam konia za grzywę i zobaczyłam, jak przewraca do mnie oczami. A potem prawie stanął dęba i pogналиśmy naprzód pomiędzy krzakami.

Jeżdżenie na oklep to marna przyjemność, zwłaszcza kiedy nie masz żadnej kontroli nad wierzchowcem ani nad tym, dokąd jedziesz. Z pełnym przekonaniem mogę powiedzieć, że to była najbardziej przerażająca przejażdżka mojego życia. Drzewa migały po bokach, obrywałam gałęziami, a nogi piekły mnie od ściskania zwierzęcia kolanami. Palce miałam zaciśnięte na grzywie, ale mimo to ześlizgiwałam się za każdym razem, gdy Puk zmieniał kierunek jazdy. Wiatr świstał mi w uszach, a mimo to wciąż słyszałam upiorne ujądanie pościgu, który zdawał się być tuż za nami. Nie miałam odwagi spojrzeć do tyłu.

Straciłam poczucie czasu. Puk nie zwalniał i najwyraźniej był wciąż w pełni sił, ale jego boki pociemniały od potu, który sprawił, że trudniej było mi utrzymać się na jego grzbiecie i byłam jeszcze bardziej przerażona. Nogi mi zdrętwiały, a ręce jakby należały do kogoś innego.

Wtedy spośród paproci wyskoczyło wielkie czarne zwierzę i kłapiąc szczękami, rzuciło się na konia. To był pies myśliwski, największy, jakiego w życiu widziałam, a jego oczy pały błękitnym ogniem. Puk skoczył w bok, by go ominąć i stanął dęba, prawie zrzucając mnie na ziemię. Kiedy krzyknęłam, machnął przednią nogą, trafiając atakującego psa w pierś. Pies zawył i uskoczył w bok.

Z krzaków na drogę wyskoczyło kolejnych pięć potwornych psów. Otoczyły nas, ujadając i warcząc, próbowały podgryzać nogi konia i odskakiwały, gdy je kopał.

Ja nie śmiałam się ruszyć i trzymając się z całej siły grzbietu Puka, patrzyłam, jak te potężne szczęki kłapią tuż-tuż przy moich stopach.

Nagle dostrzegłam go pomiędzy drzewami. Szczupła postać na olbrzymim gniadym koniu. Chłopak z mojego snu, ten, którego widziałam z autobusu. Na jego okrutnej anielskiej twarzy pojawił się uśmiech, gdy naciągnął potężny łuk ze strzałą o błyszczącym grocie.

- Puk! - krzyknęłam, wiedząc, że jest już za późno. - Uwważaj!

Nad głową łowcy zatrzęsły się liście, po czym wielka gałąź opadła, trafiając go w ramię w chwili, gdy zwalniał cięciwę.

Poczułam podmuch powietrza, gdy strzała przeleciała obok mojej głowy i trafiła w sosnę. Z miejsca, gdzie ugodził grot, rozeszła się pajęczyna ze szronu. Puk spojrzął w tamtą stronę. Łowca nałożył na cięciwę kolejną strzałę, a Puk z cichym rzeniem stanął dęba i skoczył nad psami, jakimś cudem unikając ich ostrych kłów. Kiedy jego kopyta znów dotknęły ziemi, pognął przed siebie, a za nim pobiegły ujadające psy, próbujące gryźć go w pęciny.

Kolejna strzała przeleciała obok. Odwróciłam się, by spojrzeć na ścigającego nas konia, którego jeździec znów naciągał łuk.

Puk parsknął; prawie zrzucając mnie z grzbietu, zmienił kierunek i pognął głębiej w las.

Rosnące tu drzewa były potworne i stały tak blisko siebie, że Puk musiał wciąż gwałtownie skręcać i kluczyć między nimi. Psy zostały z tyłu, ale wciąż słyszałam ich ujadanie i od czasu do czasu widziałam, jak przemykają wśród poszycia.

Jeździec nie było widać, ale wiedziałam, że wciąż nas ściga, a jego śmiercionośne strzały czekają tylko, by przeszyć nam serca.

Kiedy przejeżdżaliśmy pod konarami olbrzymiego dębu Puk zatrzymał się i wierzgnął tak gwałtownie, że jego grzywa wyslizgnęła mi się spomiędzy palców i spadłam. Przerazona przeleciałam nad jego głową i ciężko wylądowałam między gałęziami. Odebrało mi dech, między żebrami poczułam ukłucie bólu, które wycisnęło mi łzy z oczu. Puk prychnął i pognął dalej, a za nim pobiegły psy.

Chwilę później pod drzewem przejechał jeździec na gniadym koniu.

Zwolnił na sekundę, aż wstrzymałam oddech, pewna, że zaraz spojrzy w górę i mnie zauważy. Ale wtedy rozległo się wycie podnieconego psa i tamten trzasnął konia ostrogami, i pognął za sforą. Po chwili nie było ich już słychać. Między gałęziami zapadła cisza. Byłam sama.

- No - odezwał się ktoś bardzo blisko mnie. - To było interesujące.

7. O goblinach i Grimalkinie.

Tym razem nie krzyknęłam, ale niewiele brakowało. Za to prawie spadłam z drzewa. Ściskając konar, rozejrzałam się wokół z przerażeniem, próbując ustalić, do kogo należał głos, ale nie dostrzegłam nic poza liśćmi i mdlącym szarym światłem sączącym się przez gałęzie.

- Gdzie jesteś? - zawołałam. - Pokaż się!

- Ale ja się nie ukrywam, dziewczynko. - Głos zdawał się rozbawiony. - Może... gdybyś otworzyła oczy trochę szerzej. O, tak.

Dokładnie naprzeciwko, niecałe półtora metra ode mnie, znikąd otworzyła się para wielkich jak spodki oczy i znalazłam się twarzą w twarz z olbrzymim szarym kotem.

- I proszę - wymruczał, obrzucając mnie leniwym żółtym spojrzeniem. Miał długie, zwichrzone futro, które idealnie stapiało się z drzewem i krajobrazem. - Teraz mnie widzisz?

- Jesteś kotem - wypaliłam głupio i przysięgam, że na te słowa uniósł brew.

- W najprostszym znaczeniu tego słowa myślę, że można by mnie tak określić - Zwierzę podniosło się, wygięło grzbiet w łuk. po czym usiadło i owinęło łapy puszystym ogonem. Teraz, gdy minął już pierwszy szok, uświadomiłam sobie, że to jest on.

- Inni nazywali mnie Grimalkinem i diablím kotem, ale ponieważ wszystkie te określenia znaczą to samo, można uznać, że masz rację.

Zagapiłam się na niego, ale bolesne klucie w żebra przypomniało mi o innych sprawach. A dokładniej o tym, że Puk zostawił mnie samą w świecie, w którym każdy uznawał mnie za przekąskę, i nie miałam pojęcia, jak w nim przetrwać.

Najpierw poczułam szok i złość - Puk naprawdę mnie zostawił, aby ratować własną skórę - a potem ogarnął mnie tak wielki strach, że ledwo się opanowałam, by nie przytulić gałęzi i się nie rozpłakać. Jak Puk mógł mi to zrobić? Nic dam sobie tutaj sama rady. Skończę jako deser mięsożernego potwornego konia, rozszarpana przez wilki albo po prostu zgubię się na wieki. Byłam przekonana, że czas przestał istnieć i utknęłam tam na zawsze.

Nabrałam głęboko powietrza, żeby się opanować.

Nie, Robbie by mi tego nie zrobił. Jestem pewna. Może zostawił mnie, aby odciągnąć od nas gon, upewnić się, że psy pognają za nim, a mnie zostawią w spokoju. Może myślał, że ratuje mi życie.

Może uratował mi w ten sposób życie. A jeśli tak, miałam nadzieję, że wróci niedługo. Nie podejrzewałam, że uda mi się wydostać z krainy Nigdyngdy bez niego.

Grimalkin, czy jak on się nazywał, wciąż przyglądał mi się tak, jakbym była wyjątkowo interesującym owadem. Spojrzałam na niego podejrzliwie. Pewnie, wyglądał jak olbrzymi, pulchny kot domowy, ale przecież konie zazwyczaj nie jadają mięsa, a w zwykłych drzewach nie mieszkają małe ludziki.

Może kot oceniał mnie pod kątem swojego następnego Posiłku. Przełknęłam ślinę i spojrzałam mu wprost w jego inteligentne, niepokojące ślepie.

- C...czego chcesz? - zapytałam, wdzięczna, że głos drży mi tylko troszeczkę.

Kot nawet nie mrugnął.

- Człowieku - powiedział, a jeśli koty mogą mówić protekcyjnym tonem, to temu udało się doskonale - zastanów się nad niedorzecznością swojego pytania. Siedzę na swoim drzewie, nikomu nie wadzę i namyślam się, czy powinienem dziś zapolować, gdy nagle pojawia się jak wystrzelony z katapulty pocisk i płoszy wszystkie ptaki w promieniu kilku kilometrów. A potem masz czelność pytać mnie, czego ja chcę.

Pociągnął nosem i obdarzył mnie bardzo kocim spojrzeniem pełnym politowania.

- Zdaję sobie sprawę z tego, że śmiertelnicy są niegrzeczni i barbarzyńscy, ale mimo wszystko.

- Przepraszam - wymamrotałam odruchowo. - Nie chciałam cię obrazić.

Grimalkin machnął ogonem, po czym zabrał się do wylizywania tylnych części ciała.

- Hm... - kontynuowałam po chwili milczenia. - Zastanawiałam się, czy może... mógłbyś mi pomóc.

Grimalkin zamarł w pół liźnięcia, po czym mówił dalej, nawet nie podnosząc wzroku:

- A czemu miałbym to zrobić? - Nadal nie raczył na mnie spojrzeć.

- Próbuję odnaleźć brata - odpowiedziałam, urażona sposobem, w jaki mnie zbył. - Został porwany przez Mroczny Dwór.

- Hm. Jakże interesujące.

- Proszę - zaczęłam błagać. - Pomóż mi. Daj jakąś wskazówkę albo chociaż pokaż, w którą stronę mam iść. Cokolwiek. Odwdzięczę się, obiecuję.

Grimalkin ziewnął, prezentując długie kły i różowy język, po czym wreszcie na mnie spojrzął.

- Czy mówisz, że mam wyświadczyć ci przysługę?

- Tak. Posłuchaj, jakoś się zrewanżuję, obiecuję.

Rozbawiony, zastrzygł uchem.

- Uważaj, gdy nierozważnie wypowiadasz takie słowa - ostrzegł. - Jeśli ci pomogę, będziesz mi coś winna. Jesteś pewna, że chcesz mówić dalej?

Nie myślałam o tym. Tak bardzo pragnęłam, że zgodziłabym się na wszystko.

- Tak! Proszę, muszę znaleźć Puka' Tego konia, na którym jechałam, nim mnie zrzucił. Tak - naprawdę to nie jest koń, tylko...

- Wiem, kim on jest - odpowiedział cicho Grimalkin.

- Naprawdę? To świetnie A wiesz, dokąd mógł pobiec?

Kot spojrzął na mnie i machnął ogonem. Bez słowa wstał, z wdziękiem zeskoczył na niższą gałąź, a potem na ziemię. Przeciągnął się, wyprężając grzbiet w łuk i strosząc ogon i nawet na mnie nie spojrzawszy, zniknął między krzakami.

Krzyknęłam, próbując się wyplątać spośród gałęzi i krzywiąc się z bólu między żebrami. Raczej zleciałam, niż zesłam z drzewa, z głuchym łomotem spadłam na plecy i skomentowałam to słowami, za które mama na pewno dałaby mi szlaban. Otrzeptałam tyłek i rozejrzałam się za Grimalkinem.

- Człowieku. - Wynurzył się jak szary duch spomiędzy krzaków. Gdyby nie jego wielkie, błyszczące oczy. nawet bym go nie zauważyła. - Umawiamy się tak: ja zaprowadzę cię do Puka, a ty w zamian będziesz mi winna małą przysługę, zgadza się?

Coś w sposobie, w jaki wypowiedział słowa: „umawiamy się”, przypawiło mnie o ciarki, ale skinęłam głową.

- Dobrze więc. Idź za mną. I postaraj się dotrzymać mi kroku.

Łatwiej powiedzieć, niż zrobić.

Jeśli kiedykolwiek próbowaliście podążać za kotem przez gęsty las, pełen ciernistych krzewów, splątanego poszycia i krzaków, wiecie, że to właściwie niewykonalne. Nie wiedziałam już, ile razy Grimalkin zniknął mi z oczu, a ja z rozpaczą szukałam go przez kilka minut, mając nadzieję, że kieruję się w dobrą stronę. Za każdym razem, kiedy wreszcie zauważam, jak prześlizguje się pomiędzy drzewami, doznawałam olbrzymiej ulgi. a chwilę później znów go gubiłam.

Nieustanne rozmyślenia co też mogło przytrafić się Pukowi, wcale mi nie pomagały. Czy zginął, postrzelony przez ciemnego elfa i rozszarpany przez jego psy? A może naprawdę uciekł? Uznał, że nie zamierza po mnie wracać, i powinnam wziąć sprawę w swoje ręce?

Strach i złość gotowały się we mnie, a ponure myśli przeniosły się na mojego nowego przewodnika. Grimalkin zdawał się znać drogę, ale czy wiedział, gdzie znaleźć Puka? Czemu miałabym mu ufać? A co, jeśli podstępne kocisko prowadzi mnie w pułapkę?

Kiedy tak snułam swoje ponure rozważania, Grimalkin znów zniknął mi z oczu.

Cholera, jak nie przestanie, to zawiążę mu dzwonek wokół jego głupiej szyi. Światło przygasało, a las stawał się jeszcze bardziej szary. Zatrzymałam się i wpatrzyłam w gąszcz w poszukiwaniu nieuchwytnego kota. Gdzieś z przodu zaszeleściły krzaki, co mnie zaskoczyło. Do tej pory Grimalkin był bezgłośny.

- Człowieku! - odezwał się gdzieś nade mną znajomy głos. - Kryj się!

- Co? - Ale było już za późno.

Krzaki rozstały się przy dźwiękach łamiących się gałązek i moim oczom ukazała się grupka stworów. Były niskie i paskudne, miały najwyżej metr wzrostu, żółtozieloną parchatą skórę, kartoflowate nosy, duże, spiczaste uszy. zniszczone ubrania, a w żółtych szponach ścisnęły włócznie o kościanych grotach. Ich twarze zdawały się okrutne i złośliwe, o świdrującym wzroku i paszczach pełnych połamanych, ostrych zębów. Zatrzymały się na moment, mrugając ze zdziwienia, potem cała grupa zaczęła wrzeszczeć i rzuciła się do przodu celując we mnie włóczniami.

- Co to? Co to? - prychnął jeden, kiedy uchylałam się przed grotami. Wokół mnie rozległy się gwizdy i śmiech

- To elf - wyszczał drugi, uśmiechając się do mnie obrzydliwie -Elf bez uszów.

- Nie to kozia dziewczyna! - zawołał kolejny. - Dobrze jedzonko!

- Żadna koza, idioto! Pacz, nie ma kopytów.

Zadrżałam. Rozejrzałam się za jakąś drogą ucieczki ale gdziekolwiek się odwróciłam, natykałam się na wymierzone we mnie kościane groty.

- Brać ją do wodza - zaproponował w końcu któryś -Wódz będzie wiedział, co to i czy da się zjeść.

- Tak! Wódz będzie wiedział!

Kilku z nich obeszło mnie, poczułam uderzenie w tył kolan. Upadłam z krzykiem i wtedy cała banda rzuciła się na mnie, wrzeszcząc i złorzecząc. Krzyczałam i kopałam, wymachiwałam rękami, uginając się pod ciężarem stworów. Kilka z nich posłałam gdzieś w krzaki, ale poderwały się natychmiast z ziemi i z okrzykami wojennymi rzuciły z powrotem na mnie. Spadł na mnie grad ciosów.

A potem coś trafiło mnie w tył głowy, aż zobaczyłam gwiazdy, i przez jakiś czas nic do mnie nie docierało.

Ocknęłam się z potwornym bólem głowy. Siedziałam i coś, jakby kije od szczotek, wbijało mi się nieprzyjemnie w plecy. Jęknęłam i obmacałam głowę, żeby sprawdzić, czy nie jestem ranna. Poza potężnym guzem na potylicy wszystko wydawało się w normie.

Kiedy już miałam pewność, że jestem w jednym kawałku, otworzyłam oczy.

I natychmiast tego pożałowałam.

Byłam w klatce. W bardzo małej klatce zrobionej z gałęzi powiązanych razem rzemieniami. Było tu ledwie tyle miejsca, bym mogła unieść głowę, a kiedy się poruszyłam, cos ostrego ukłuło mnie w ramię, raniąc do krwi. Gdy się przyjrzałam, zauważyłam, że część gałęzi jest pokryta długimi kolcami.

Za kratami znajdowało się kilka ziemianek- ustawionych byle jak wokół dużego ogniska. Po obozie kręciły się przysadziste, brzydkie małe stwory, walcząc kłócąc się i obgryzając kości. Część z nich siedziała wokół mojego plecaka i wyciągała po kolei moje rzeczy. Ubrania na zmianę rzuciły po prostu na ziemię, ale natychmiast otworzyły chipsy i aspirynę, skosztowały i zaczęły się o nie kłócić.

Jednemu udało się nawet otworzyć puszkę coli i ochłapać wszystkich napojem. wywołując wśród towarzyszy wściekłe piski.

W końcu jeden, niższy od pozostałych i ubrany w ubłoconą czerwoną kamizelkę, zauważył, że się ocknęłam. Zasyczał, podbiegł do klatki i wepchnął przez pręty włócznię. Odsunęłam się, najdalej jak mogłam, ale nie było wiele miejsca. Podczas gdy w plecy kłuły mnie ciernie, w udo dźgnęła mnie włócznia.

- Aj, przestań! - krzyknęłam, co tylko zachęciło stwora. Chichocząc, dźgał mnie i dziobał, aż w końcu sama złapałam włócznię. Prychając i klnąc, próbował mi ją wyrwać i tak bawiliśmy się w kretyńskie przeciąganie liny, dopóki inny stwór nie zauważył, co się dzieje. Podbiegł i ukłuł mnie przez kraty z drugiej strony, aż z krzykiem puściłam broń.

- Greertig, nie kłuj mięsa - warknął większy stwór. - Niedobre, jak wypłynie cała krew.

- Phi, tylko sprawdziłem, czy jest mientkie - prychnął pierwszy i splunął na ziemię, po czym spojrzął na mnie pożądliwie czerwonymi oczami. - Na co czekamy? Zjadajmy je już!

- Wódz jeszcze nie wrócił. - Wyższy stwór spojrzął na mnie i ku swojemu przerażeniu ujrzałam, jak z brody ścieka mu długa strużka śliny. - Musi powiedzieć, czy mięso zdrowe do jedzenia.

Posłali mi ostatnie spojrzenie, po czym wrócili do ogniska, kłócąc się i plując na siebie. Podciągnęłam kolana pod brodę i spróbowałam opanować drżenie.

- Jeśli zamierzasz płakać, rób to po cichu - odezwał się z tyłu znajomy głos. - Gobliny wyczuwają strach. Jeśli to zauważą, będą cię tylko bardziej męczyć.

- Grimalkin? - Z trudem obróciłam się w klatce i przy jednym z rogów dostrzegłam prawie niewidocznego kota. W skupieniu zmrużył oczy i syrał się przegryźć jeden z rzemieni mocujących klatkę.

- Idiotko, nie patrz na mnie! - warknął, a ja szybko spojrzałam w inną stronę. Kot mruknął, szarpiąc jednym z prętów. - Gobliny nie są mądre, ale nawet one zaczną coś podejrzewać, jak zobaczą, że gadasz w pustkę. Po prostu siedź, a ja cię stąd zaraz wyciągnę.

- Dziękuję, że wróciłeś - wyszeptalam, obserwując jak dwa gobliny biją się o korpus jakiegoś pechowego zwierzaka. Sprzeczka zakończyła się, gdy jeden walnął drugiego w głowę maczugą i uciekł z łupem. Drugi leżał przez chwilę bez przytomności, a potem poderwał się i ruszył za pierwszym w pogoń.

Grimalkin prychnął i znów zaczął obgryzać wiązania. - Nie zadłużaj się u mnie jeszcze bardziej - odezwał się z rzemieniem wypełniającym pyszczek. - Już zawarliśmy umowę. Zgodziłem się zabrać cię do Puka, a ja zawsze dotrzymuję słowa. A teraz daj mi w spokoju pracować.

Skinęłam głową i zamilkłam, gdy nagle w obozie goblinów zawrzało. Stwory poderwały się, sycząc i biegając bez ładu i składu, podczas gdy z lasu wyłoniła się duża postać i wmaszerowała na środek obozu.

To też był goblin, ale większy, szerszy w barach i wyglądał groźniej niż jego towarzysze. Miał na sobie szkarłatny mundur z mosiężnymi guzikami, podwiniętymi rękawami i połami ciągnącymi się po ziemi, a także poszczerbioną, brązową zakrzywioną zębatą klingę. Prychnął, a pozostałe gobliny uciekły mu spod nóg. To musiał być wódz.

- Zamknąć się, wyjące psy! - ryknął wódz i walnął kilka goblinów, które nie dość szybko schodziły mu z drogi. - Miernoty Ja ciężko haruję, napadam, a wy co? Niczym nie możecie się pochwalić. Niczym! Nawet królika na potrawkę nie złapaliście. Mdl mi, jak na was patrzę.

- Wodzu, wodzu! - zawołało naraz kilka goblinów, obtańcowując go i wskazując łapami. - Patrz! Patrz! Coś złapaliśmy! Przynieśliśmy dla ciebie!

- E? - Wódz spojrzął przez obozowisko prosto na mnie... - Co to? Czyżbyście, marne szczury, złapali wielkiego i potężnego elfa?

Podszedł do klatki. Nie mogłam się powstrzymać i rzuciłam okiem na Grimalkina, licząc na to, że ucieknie. Ale kota nigdzie nie było widać.

Przełknęłam z trudem i spojrzałam w czerwone oczka wodza.

- A cóż to. na gacie satyra? - prychnął. - To żaden elf. idioci. Chyba że obcięła sobie uszy! Poza tym... - pociągnął zadartym nosem - inaczej pachnie. Hej, śmieszny elfocosiu.

Uderzył w klatkę płazem miecza, aż podskoczyłam.

- Co ty jesteś?

Nabrałam głęboko powietrza, podczas gdy reszta goblinów zebrała się wokół klatki i wpatrywała we mnie, niektórzy z ciekawością, większość zaś z wygłodniałymi spojrzeniami.

- Jestem... mangowym skrzatem - odpowiedziałam, wywołując warkot zdziwienia u wodza i zaszokowane spojrzenia u reszty goblinów. Po chwili zaczęły szeptać między sobą.

- Co?

- Nigdy o tym nie słyszałem.

- A jest smaczne?

- Możemy to zjeść?

Wódz zmarszczył brwi.

- Przyznaję, że nigdy wcześniej nie spotkałem mangowego skrzata - zawarczał, drapiąc się w głowę. - Ach, ale to nieważne. Jesteś młoda, masz soczyste mięsko. Starczysz dla nas na kilka posiłków. To jak wolisz, mangowa?

Uśmiechnął się od ucha do ucha i uniośł miecz.

- Gotowanie żywcem czy nabicie na rożen?

Zacisnęłam ręce, żeby nie było widać, jak się trzęsą.

- Mnie tam wszystko jedno - starałam się, by zabrzmiało to obojętnie. - Jutro nie będzie to już miało znaczenia. W moich żyłach płynie straszna trucizna. Jeśli weźmiesz choćby kęs mojego ciała, twoja krew się zagotuje, wnętrzności stopią i zamienisz się w parującą kupkę błota.

W tłumie rozległy się syki. Kilka goblinów obnażyło zęby i zaczęło na mnie warczeć. Skrzyżowałam ramiona na piersi i uniosłam brodę, patrząc z góry na wodza.

- No to proszę. Zjedzcie mnie. Jutro zostanie z was tylko mokra breja wsiąkająca w ziemię.

Część goblinów zaczęła się cofać, ale wódz ani drgnął.

- Zamknąć się, mazgaje! - parsknął na zaniepokojone gobliny. Spojrzał na mnie z niesmakiem i splunął. - Więc nie możemy cię zjeść.

Był niewzruszony.

- Szkoda. Ale to cię nie uratuje, dziewczyno. Jeśli jesteś taka groźna, po prostu cię zabiję, tylko dopilnuję, żebyś się wykrwawiła, by twoja trująca krew nie zrobiła mi krzywdy. A potem obedrę cię ze skóry i powieszę ją nad drzwiami, a z kości zrobię groty strzał. Jak mawiała moja babcia, nie wolno nic marnować.

- Czekaj! - krzyknęłam, gdy podszedł z uniesionym mieczem. - To... to by było straszne marnotrawstwo.

Zawahałam się, kiedy spojrzał na mnie podejrzliwie.

- Da się oczyścić moją krew z trucizny i wtedy będzie można mnie zjeść. Jeśli i tak mam zginąć, wolę zostać zjedzona niż torturowana.

Wódz się uśmiechnął.

- Wiedziałem, że znajdziemy wyjście - odezwał się zadowolony. Odwrócił się do swoich podwładnych i wypiął pierś. - Widzicie, psy? Wasz wódz wciąż o was dba. Będziemy mieli dziś ucztę.

Gobliny zarechotały, wódz odwrócił się do mnie i wycelował mi miecz w twarz.

- A więc mangowy skrzacie. Jaka to tajemnica?

Zastanowiłam się.

- Aby usunąć truciznę z mojej krwi, musicie mnie ugotować w wielkim kotle z kilkoma oczyszczającymi składnikami. Źródłana woda z wodospadu, żołądź z najwyższego dębu, niebieskie grzyby i... hm...

- Nie mów, że zapomniałaś - pogroził wódz i wcisnął czubek miecza między kraty. - Mam ci przypomnieć?

- Pylek ze skrzydeł chochlika! - dodałam. - Ale żywego. Jak umrze, przepis nie zadziała.

Modliłam się, aby w tym świecie były chochliki, bo jak nie, to ze mną koniec.

- Hm... - mruknął wódz i odwrócił się do swoich podwładnych. - Słyszeliście, gamonie! Te składniki mają się ta znaleźć przed wschodem słońca! A jak ktoś nie będzie pracował, to nie będzie też jadł! Do roboty!

Gobliny się rozpierchły. Sycząc, klóćąc się i przeklinając, zniknęły w lesie. Pozostał na straży tylko jeden, opierający się na skrzywionej włóczni.

Wódz spojrzał na mnie nieufnie i wycelował we mnie mieczem.

- Nie myśl, że mnie oszukasz, podając złe składniki - zagroził. - Utnę ci najpierw palec, wrzucę do zupy, i każę jednemu z moich spróbować. Jeśli umrze albo zamieni się w kałużę, to czeka cię długa, powolna śmierć. Jasne?

Skinęłam przerażona. Wiedziałam, że żaden goblin nie umrze, bo moja opowieść o truciznie i składzie odtrutki była wyssana z palca. Ale mimo to nie miałam ochoty tego palca stracić. A raczej byłam przerażona tą wizją.

Wódz splunął i rozejrzał się po prawie pustym obozie.

- Ech, żaden z tych psów nie będzie wiedział, jak złapać chochlika - wymamrotał, drapiąc się za uchem. - A nawet jeśli im się uda, to od razu go zjedzą. Lepiej sam po niego pójde. Bugrat!

Kilka kroków dalej samotny strażnik stanął wyprostowany.

- Wodzu?

- Pilnuj naszego obiadu. - Zarządził wódz, chowając broń. - Jeśli spróbuje uciec, obetnij mu stopy.

- Tak jest, wodzu. '

- Idę na polowanie. - Wódz rzucił mi jeszcze jedno ostrzegawcze spojrzenie, po czym ruszył do lasu.

- To było sprytne - wyszeptał z powstrzymany podziwem Grimalkin.

Skinęłam głową, bo nie mogłam wydusić słowa. Po chwili znów było słychać cichy odgłos żucia.

Trochę to trwało. Zagryzałam wargę i wykręcałam ręce hamując chęć, by co dwadzieścia sekund pytać Grimalkina jak mu idzie. Minuty płynęły, a ja rozglądałam się z niepokojem po lesie, spodziewając się, że w każdej chwili mogą znów pojawić się wódz i jego paczka. Samotny strażnik patrolował obóz, za każdym razem, gdy mijał klatkę, rzucał mi ponure spojrzenie, a Grimalkin musiał się kryć. W końcu po jakimś ósmym czy dziewiątym kółku, gdy strażnik się odsunął, usłyszałam głos kota:

- Gotowe. Myślę, że teraz dasz radę przejść.

Obróciłam się z trudem i zobaczyłam, że kilka wiązań jest przegryzionych - dowód na to, że Grimalkin miał ostre zęby i silne szczęki.

- Chodź, chodź, ruszajmy - zasyczał, machając ogonem. - Potem się poprzyglądasz. Wracają.

Niedaleko coś zaszeleściło w krzakach. Dobiegał do mnie coraz głośniejszy śmiech. Z bijącym sercem złapałam kraty i uważając na kolce, pchnęłam. Oparły mi się, podtrzymywane przez splecione razem gałęzie, więc pchnęłam mocniej. To było zupełnie jak przedzieranie się przez żywopłot z dzikiej róży. Kraty przesunęły się, łudząc mnie, że zaraz będę wolna, ale nadal były zbyt zwarte, by dało się między nimi precyzyjnie przesuwać.

Wódz wyszedł spośród drzew, a za nim pojawiły się trzy gobliny. W jednej pięści ścisnął coś małego, co próbowało się wyrwać, a jego towarzysze nieśli naręczą bladoniebieskich muchomorów.

- Grzyby to łatwizna - prychnął wódz, rzucając swoim pobratymcom szydercze spojrzenie. - Każdy idiota może zbierać rośliny. Ale gdybym kazał tym psom złapać chochlika, zostałyby z nas same kości, nim...

Zatrzymał się i zmierzył mnie spojrzeniem. Przez chwilę stał tak, mrugając, po czym zmarszczył brwi i zacisnął pięści. Trzymane przez niego stworzenie pisnęło, gdy wycisnął z niego życie, po czym rzucił je na ziemię. Rycząc z wściekłości, sięgnął po miecz. Krzyknęłam i naparłam na klatkę z całej siły. Rozległy się trzaski, gdy pękały gałęzie i ciernie, po czym tylna ściana klatki odpadła i byłam wolna.

- Uciekaj! - wrzasnął Grimalkin, a mnie nie trzeba było dwa razy powtarzać. Pognaliśmy do lasu, popędzani przez krzyki depreczających nam po piętach rozwścieczonych goblinów.

8. Zagajnik w świetle księżyca.

Przedzierałam się przez las, a gałęzie i liście chłostały mnie po twarzy. Starłam się jak najsprawniej podążać za ledwie widocznym Grimalkinem. Za sobą słyszałam coraz wyraźniejszy trzask gałęzi, powarkiwania i gniewne prychnanie wodza goblinów.

Z trudem łapałam oddech, płuca mnie piekły, ale zmuszałam nogi do biegu, wiedząc, że jeśli się potknę lub upadnę, to zginę.

- Tędy! - usłyszałam krzyk Grimalkina, który wsunął się pomiędzy krzaki jeżyn. - Będziemy bezpieczni, jeśli dotrzemy do rzeki! Gobliny nie potrafią pływać!

Ruszyłam za nim przez kolczaste krzaki, szykując się na to, że ciernie będą kaleczyć mi skórę i drzeć ubranie, ale gałęzie rozsunęły się przede mną tak jak wtedy, gdy byłam z Pukiem, i bez problemu się między nimi prześlizgnęłam. Kiedy wynurzyłam się po drugiej stronie zagajnika, za mną rozległ się huk, a chwilę później wrzaski i klątwy. Wyglądało na to, że gobliny z większym trudem odnajdowały ścieżkę, więc podziękowałam w myślach siłom, które mi pomogły.

Nagle przez szum w uszach i mój charkotliwy oddech przedarł się dźwięk płynącej wody. Tuż za linią drzew ziemia gwałtownie opadała do kamienistego brzegu. Przede mną płynęła olbrzymia rzeka, szeroka na prawie sto metrów. W zasięgu wzroku nie było żadnych mostów ani tratw. Nie widziałam drugiego brzegu, bo zaślaniała go ciągnąca się po horyzont, kłębiąca się nad wodą mgła. Grimalkin stał na brzegu, prawie niewidoczny we mgle i niecierpliwie machał ogonem.

- Pospiesz się! - zawołał, kiedy resztkami sił zsunęłam się na brzeg. - Tereny króla elfów są po drugiej stronie. Musisz przepłynąć, szybko!

Zawahałam się. Skoro w spokojnych sadzawkach kryty się potworne konie, to co mogło mieszkać w wielkich rzekach? Oczyma wyobraźni ujrzałam gigantyczne ryby i morskie potwory.

Coś mnie wystraszyło, przelatując nad moim ramieniem i odbijając się z brzękiem od kamieni. To była włócznia goblinów, której kościany grot błyszczał między skałami. Pobladałam. Miałam do wyboru zostać tu i dać się upiec na rożnie albo zaryzykować i przepłynąć rzekę.

Zsunęłam się z brzegu i wpadłam do wody. Zimno mnie zaskoczyło. Złapałam haust powietrza, walcząc ze spychającym mnie w dół rzeki nurtem. Jestem niezłą pływaczką, ale kończyny miałam jak z gumy, a płuca z trudem łąpały dość powietrza. Wciągnęło mnie na chwilę pod wodę i woda nalała mi się do nosa, a płuca piekły z bólu. Nurt odciągał mnie dalej od brzegu i stłumiłam panikę. Nad moją głową przeleciała kolejna włócznia. Odwróciłam się i zobaczyłam, że gobliny podążają za mną, biegną wzdłuż brzegu, wdrapują się na skały i rzucają dzidami. Przerazenie dodało mi sił. Skierowałam się na drugą stronę rzeki. Machałam wściekle rękami i nogami, walcząc z nurtem z całym sił. Wokół mnie spadały kolejne włócznie, ale wyglądało na to, że gobliny mają tyle celności co rozum.

Kiedy zbliżyłam się do ściany z mgieł, coś z ogromną siłą trafiło mnie w ramię. Całe plecy przeszył mi potworny ból. Jęknęłam i poszłam pod wodę. Ból sparaliżował rękę, a prąd spychał mnie w dół. Byłam pewna, że zaraz zgine.

Coś złapało mnie w talii i poczułam, jak wlecze mnie Głowa wynurzyła się nad wodę i z trudem wciągnęłam powietrze. Czerni zasnuwająca mi oczy zniknęła. Kiedy wreszcie odzyskałam władzę nad zmysłami, uświadomiłam sobie, że ktoś holuje mnie w wodzie, ale przez mgłę nie mogłam nic dostrzec. Wreszcie dotknęłam stopami ziemi i chwilę później leżałam na trawie, a słońce ogrzewało mi twarz. Miałam zamknięte oczy. Ostrożnie je uchyliłam.

Nad sobą zobaczyłam twarz dziewczyny, jej blond włosy łaskotały mnie w policzki, a wielkie zielone oczy patrzyły z niepokojem i ciekawością. Miała skórę koloru wiosennej trawy, a wokół szyi błyszczały srebrno malutkie łuski. Uśmiechnęła się szeroko i ujrzałam ostre i spiczaste jak u węgorza zęby.

Już miałam krzyknąć, ale się powstrzymałam. Ta... dziewczyna?... właśnie uratowała mi życie, nawet jeśli teraz zamierzała mnie zjeść. Byłoby niegrzecznie tak po prostu krzyknąć jej w twarz, a poza tym jakiegokolwiek gwałtowne ruchy mogłyby wzbudzić w niej równie gwałtowną chęć zaspokojenia głodu. Nie mogłam okazać strachu. Nabrałam głęboko powietrza i usiadłam, krzywiąc się, gdy ból przeszył mi ramię.

- Hm... cześć - wyjąkałam, obserwując, jak siada i mruga.

Zdziwiło mnie, że ma nogi zamiast ogona, chociaż pomiędzy palcami zauważyłam błony, a jej pazury były bardzo, bardzo ostre. Do jej ciała przylegała biała, kompletnie mokra u dołu suknia.

- Jestem Meghan. A ty jak się nazywasz?

Przekręciła głowę i skojarzyła mi się z kotem, który nie może się zdecydować, czy lepiej mysz zjeść, czy się nią pobawić.

- Śmiesznie wyglądasz - stwierdziła, a jej głos przypominał szum wody wśród kamieni. - Kim jesteś?

- Ja? Jestem człowiekiem. - Pożałowałam swoich słów w chwili, gdy je wypowiedziałam. W starych baśniach, a przypominałam ich sobie coraz więcej, ludzie zawsze służyli jako pożywienie, zabawki albo obiekt tragicznej miłości. A jak już się przekonałam, miejscowi nie mieli problemu ze zjadaniem mówiących, rozumnych istot. Byłam w łańcuchu pokarmowym, tam gdzie królik czy wiewiórka. To była przerażająca i ucząca pokory myśl.

- Człowiek? - Dziewczyna przekręciła głowę w drugą stronę. Zauważyłam, że pod brodą ma różowe skrzela. - Siostry opowiadały mi historie o ludziach. Mówiły, że czasem im śpiewają, by ich ściągnąć pod wodę.

Uśmiechnęła się, ukazując ostre jak szpilki zęby.

- Ćwiczyłam, chcesz posłuchać?

- Nie, na pewno nie chce. - Grimalkin szedł przez trawę z wysoko uniesionym w górę ogonem. Był przemoknięty woda ściekała z niego strumieniami i nie wyglądał na zadowolonego.

- Psik - przepędził dziewczynę, a ta odsunęła się i syknęła na niego, ukazując zęby. Na Grimalkinie nie zrobiło to wrażenia. - Zmykaj. Nie mam czasu na zabawy z trytonami. No już!

Dziewczyna znów syknęła, ale uciekła, zsuwając się do wody jak foka. Spojrzała na nas ponuro ze środka rzeki, a potem zniknęła we mgle.

- Irytujące syreny. - Grimalkin był wściekły. Spojrzał na mnie zmrużonymi oczami. - Ale nic jej nie obiecywałeś, co?

- Nie - odpowiedziałam oburzona.

Cieszyłam się na widok kota, ale nie podobało mi się jego podejście. To nie moja wina, że ścigały nas gobliny.

- Nie musiałeś jej płoszyć, Grim. Naprawdę uratowała mi życie.

Kot machnął ogonem, opryskując mnie wodą.

- Wyciągnęła cię z wody tylko dlatego, że była ciekawska. Gdybym tu nie przyszedł, to albo zaczęłaby ci śpiewać i wciągnęła pod wodę, żeby cię utopić, albo by cię zjadła. Na szczęście trytony nie są zbyt odważne. Wołają walczyć pod wodą, gdzie mają przewagę. A teraz proponuję, abyśmy znaleźli jakieś miejsce na odpoczynek. Ty jesteś ranna, a mnie wyczerpało pływanie. Jeśli jesteś w stanie iść, to sugerowałbym, żebyś ruszyła w drogę.

Skrzywiłam się i wstałam. Ramię paliło żywym ogniem, ale kiedy przyciskałam je do piersi ból zdawał się trochę słabnąć. Zacisnęłam zęby i ruszyłam za Grimalkinem, z dala od rzeki, na tereny króla elfów.

Chociaż byłam mokra, zmęczona i obolała wciąż miałam dość energii, żeby się gapić. Po pewnym czasie odniosłam wrażenie, że oczy mi spuchły od tak długiego patrzenia bez mrugania. Krajobraz po tej stronie rzeki był zupełnie inny niż ponury szary las pełny dzikich stworzeń. Gdy tam wszystko zdawało się wyblakłe i sprane, tutaj było aż nadto żywe i jaskrawe. Drzewa były zbyt zielone, a kwiaty tak kolorowe, że aż gryzły w oczy. Liście błyszcząły, ostre jak brzytwa w słońcu, a gdy padło na nie światło, płatki lśniły jak szlachetne kamienie. Otoczenie było piękne, ale mimo to nie mogłam się pozbyć niepokoju. Wszystko zdawało się... w jakiś sposób nieprawdziwe. Zupełnie jakby to była idealna przykrywka nałożona na rzeczywistość, jakbym wcale nie patrzyła na prawdziwy świat.

Ramię mnie piekło, a skóra wokół niego była opuchnięta i gorąca. Gdy słońce wzniosło się wyżej, piekący ból objął całą rękę i zaczął się rozprzestrzeniać na plecy. Pot ciekł mi po twarzy i spływał do oczu, a nogi się pode mną uginały.

W końcu, z trudem łapiąc powietrze, osunęłam się pod jakąś sosnę. Było mi jednocześnie zimno i gorąco. Grimalkin obszedł mnie dookoła i zawrócił, unosząc wysoko ogon. Przez chwilę widziałam dwóch Grimalkinów, ale potem otarłam pot z oczu i był już tylko jeden.

- Coś jest ze mną nie tak - wydyszałam, gdy kot przyglądał mi się zimno. Nagle jego oczy uniosły się w powietrze. Zamrugałam mocno i znów wróciły na miejsce.

Grimalkin skinął głową.

- To jad senniczki - wyjaśnił, jakby mi to coś mówiło. -Gobliny zatruwają nim swoje strzały i dzidy. Gdy pojawiają się halucynacje, koniec jest bliski.

Nabrałam z trudem powietrza.

- Nie ma na to lekarstwa? - wyszeptałam, starając nie zwracać uwagi na krzak, który jak liściasty pająk zaczął się skradać w moją stronę. - Kogoś, kto mógłby mi pomóc?

- Tam właśnie idziemy. - Grimalkin wstał i spojrzał na mnie - Już niedaleko, człowieku. Nie odrywaj ode mnie wzroku i ignoruj wszystko inne, bez względu na to, co zobaczysz.

Dopiero za trzecim razem udało mi się wstać, ale w końcu zdołałam utrzymać równowagę na tyle długo, by zrobić krok. A potem kolejny. I kolejny. Szłam za Grimalkinem całe kilometry, a przynajmniej

tak mi się zdawało. Po tym, jak w moją stronę rzuciło się wymachujące gałęziami drzewo, trudno mi było się skoncentrować.

Tylko kilka razy straciłam Grimalkina z oczu, gdy krajobraz przybierał jakieś upiorne formy i próbował mnie złapać w swoje sękate łapska. Z cieni wynurzały się dziwne kształty i wołały mnie po imieniu. Ziemia zamieniała się w kłębiącą chmurę pajaków i wijów, które wspinały mi się po nogach. Na środku ścieżki zatrzymał się jeleni, przekrzywił głowę i zapytał mnie o godzinę.

Grimalkin się zatrzymał. Wskoczył na skałę i ignorując żądania oburzonego kamienia, żeby z niego zszedł, spojrzał na mnie.

- Od tej chwili jesteś zdana na siebie, człowieku - powiedział, a przynajmniej tyle usłyszałam wśród krzyków kamienia. - Po prostu idź, aż on się pojawi. Jest mi winny przysługę, ale też nie przepada za ludźmi, więc szanse na to, że ci pomoże, są pół na pół. Niestety tylko on może cię uleczyć.

Zmarszczyłam brwi, próbując skupić się na jego słowach, ale bzycały mi w ucho, jak chmara komarów i nie mogłam ich w pełni pojąć.

- O czym ty mówisz?

- Zrozumiesz, kiedy go spotkasz. O ile go spotkasz. - Kot przekrzywił głowę i przyjrzał mi się uważnie. - Wciąż jesteś dziewczyną, prawda?

Uznałam, że te ostatnie słowa to halucynacja. Grimalkin zniknął, nim zdążyłam spytać go o coś jeszcze, i zostawił mnie samą sobie kompletnie zdezorientowaną. Machnęłam ręką, żeby opędzić się od roju os, które krążyły mi nad głową i ruszyłam za nim.

Jakieś pnącze złapało mnie za stopę. Upadłam potoczyłam się i wylądowałam na rabacie żółtych kwiatów. Odwróciły do mnie swoje małe główki i zaczęły krzyczeć wypełniając powietrze pyłkiem. Usiadłam i zobaczyłam że jestem w porośniętym kwiatami i zalany księżycową poświatą zagajniku. Drzewa tańczyły, kamienie śmiały się ze mnie, a w powietrzu latały małe światełka.

Ręce i nogi mi zdrętwiały i nagle poczułam straszne zmęczenie. Robiło mi się coraz ciemniej przed oczami. Leżałam oparta o drzewo i patrzyłam na przelatujące światełka. Jakaś część mnie zdawała sobie sprawę z tego, że przestałam oddychać, ale reszta się tym nie przejmowała.

Spomiędzy drzew wyłynął strumień księżycowego światła i zaczął się do mnie zbliżać. Patrzyłam na niego bez zainteresowania, świadoma, że to tylko zwidy. Kiedy się zbliżył, zadrżał i zmienił kształt. Raz przypominał jelenia, raz kozę albo kuca. Na głowie miał świetlisty róg i przyglądał mi się złotymi oczami bez wieku.

- Witaj, Meghan Chase.

- Hej - odpowiedziałam, chociaż nie poruszyłam ustami ani wcześniej nie nabrałam oddechu. - Umarłam?

- Niezupełnie. - Świetliste stworzenie roześmiało się cicho i potrząsnęło grzywą. - Nie jest twoim przeznaczeniem umrzeć tutaj, księżniczko.

- Och. - Zaczęłam to rozważać, ale moje myśli snuły się jak muchy w smole. - Skąd wiesz, kim jestem?

Stworzenie parsknęło i machnęło ogonem przypominającym lwi.

- Ci z nas, którzy obserwują gwiazdy, już od dawna wiedzieli, że przybędziesz, Meghan Chase. Niosący zmiany zawsze jasno płoną, a twoje światło lśni mocniej niż jakiegokolwiek, jakie widziałem wcześniej. Teraz pozostaje tylko pytanie, którą drogę wybierzesz i jak postanowisz włączyć.

- Nie rozumiem.

- I nie powinnaś. - Świetliste stworzenie podeszło do mnie i odetchnęło. Ogarnął mnie podmuch srebrnego powietrza i oczy mi się zamknęły - A teraz śpij, księżniczko. Twój ojciec czeka na ciebie. I powiedz Grimalkinowi, że postanowiłem pomóc nie w ramach przysługi, ale z własnych powodów. Następnym razem, gdy mnie wezwie, będzie to ostatni raz.

Nie chciałam spać. W głowie kłębiło mi się mnóstwo pytań. Otworzyłam usta, by zapytać o mojego ojca, gdy róg stworzenia dotknął mojej piersi, przeszywając ciało falą gorącą. Jęknęłam i otworzyłam oczy.

Skąpany w księżycowym świetle gaj zniknął. Leżałam na łące, wokół mnie kołysały się na wietrze wysokie trawy, a na horyzoncie pojawiła się różowa poświata. Przypomniały mi się ostatnie fragmenty tego dziwnego snu: ruszające się drzewa, gadający jeleni, stworzenie z lodu i księżycowego światła. Zastanawiałam się, co z tego było prawdą, a co tylko zwidem. Czułam się teraz dobrze. A nawet lepiej niż dobrze. Czyli część z tego musiała być prawdą.

A wtedy usłyszałam szelest traw, jakby coś się za mną skradało. Obróciłam się gwałtownie i zobaczyłam, że metr ode mnie leży mój plecak, odcinając się pomarańczem od zieleni trawy. Złapałam go i otworzyłam. Jedzenia oczywiście nie było, tak samo jak latarki i aspiryny, ale w środku znalazłam swoje ubranie na zmianę, zwinięte w kulkę i kompletnie mokre.

Zdziwiona zagapiłam się na plecak. Kto go tu przyniósł aż z obozu goblinów? Nie posądzałam Grimalkina o to, żeby po niego wrócił, zwłaszcza że wiązałoby się to z ponownym przepłynięciem rzeki. No, ale mój plecak tu był. Zatechły i mokry, a e jednak. Przynajmniej ubrania wyschną. I wtedy coś sobie przypomniałam. Coś, co sprawiło, że aż się skręciłam.

Otworzyłam boczną kieszeń i wyciągnęłam kompletnie mokrego iPoda.

- Cholera - westchnęłam, oglądając go ze wszystkich stron. Ekranik był zamglony i wgnieciony, kompletnie zepsuty. Roczne oszczędności poszły na marne. Potrząsnęłam nim i usłyszałam, jak w środku pluska woda. Niedobrze. Dla pewności założyłam słuchawki i go włączyłam. Nic. Nawet nie zabzyczał. Był absolutnie martwy.

Ze smutkiem schowałam go z powrotem do bocznej kieszeni i zapięłam ją. To tyle, jeśli chodzi o słuchanie Aerosmith w świecie elfów. Zamierzałam właśnie ruszyć na poszukiwanie Grimalkina, kiedy nad moją głową rozległ się chichot.

Spojrzałam w górę. Coś kryło się między gałęziami. Coś małego i niekształtnego, o błyszczących zielonych oczach. Zobaczyłam zarys muskularnego torsu, długie cienkie ręce i przypominające goblinie uszy. Tyle że to nie był goblin. Był za mały. a co bardziej niepokojące, wyglądał na inteligentnego.

Potworek zauważył, że go obserwuję, i uśmiechnął się do mnie. Nim zniknął, ujrzałam spiczaste i ostre jak brzytwa zęby. które świeciły niebieskim blaskiem. I wcale nie chodzi mi o to, że stwór uciekł czy rozpląnął się jak duch. Po prostu zniknął, jak obraz z komputera.

Zupełnie jak to dziwadło, które widziałam w pracowni komputerowej.

Zdecydowanie pora ruszać.

Znalazłam Grimalkina wygrzewającego się na kamieniu i mruczącego z zamkniętymi oczami. Gdy do niego podbiegłam, uchylił od niechcenia jedną powiekę.

- Ruszamy - powiedziała mu, zarzucając na ramię plecak - Zabierzesz mnie do Puka, uratuję Ethana i wracamy do domu. I mam nadzieję, że już nigdy w życiu nie zobaczę żadnego goblina. trytona czy innego skrzata.

Grimalkin ziewnął. Doprowadzając mnie do szału, nieśpiesznie wstał, przeciągnął się, ziewnął ponownie, podrapał się za uszami i dopilnował, aby każdy włoszek był na swoim miejscu. A ja stałam, prawie podskakując z niecierpliwości.

Miałam ochotę złapać go za kark i pociągnąć, ale skończyłoby się to pewnie koszmarnymi zadrapaniami.

- Arkadia, Letni Dwór, jest już niedaleko - odezwał się Grimalkin, kiedy był wreszcie gotowy do drogi. - pamiętaj, będziesz mi winna małą przysługę, kiedy znajdziemy twojego Puka.

Zeskoczył z kamienia i spojrzał na mnie poważnie.

- Zażądam jej, gdy tylko go znajdziemy. Pamiętaj o tym.

Godzinami szliśmy przez las, który zdawał się cały czas nas okrażać. Kątem oka widziałam jak gałęzie, liście, a nawet pnie drzew ruszają się, by po mnie sięgnąć. Czasami mijałam jakieś drzewo czy krzak, po czym dokładnie taki sam widziałam kawałek dalej. Wśród koron drzew rozlegał się śmiech, a w oddali mrugały dziwne światełka. Raz spod zwalonej kłody spojrzał na nas lis z ludzką czaszką na głowie. Nic z tego nie robiło wrażenia na Grimalkinie, który szedł ścieżką z wysoko uniesionym ogonem i ani razu nie spojrzał, czy za nim podążam.

Zapadła noc, a gigantyczny niebieski księżyc był już wysoko na nieboskłonie, gdy Grimalkin zatrzymał się i położył uszy po sobie. Sycząc, zeskoczył ze ścieżki i zniknął wśród krzaków. Zaskoczona podniosłam wzrok i zobaczyłam, że zbliża się do mnie dwóch jeźdźców, jasno świecących w otaczających nas ciemnościach. Mieli szarosrebrne rumaki, których kopyta nie dotykały ziemi, gdy zwierzęta pogalopowały w moją stronę.

Nawet nie drgnęłam, gdy się zbliżali. Nie było sensu uciekać przed łowcami na koniach. Kiedy podjechali bliżej, ujrzałam jeźdźców - wysocy i eleganccy, o ostrych rysach i miedzianych włosach związanych w kucyk. Ubrani w srebrne zbroje, które błyszcząły w księżycowym świetle, u boku mieli długie, wąskie miecze.

Konie otoczyły mnie, buchając parą z nozdrzy, a ich oddech tworzył w powietrzu małe obłoczki. Rycerze spojrzeli na mnie groźnie z wysokości końskich grzbietów. Byli nadnaturalnie piękni. a ich rysy były zbyt wytworne i delikatne, by mogły być prawdziwe.

- Ty jesteś Meghan Chase? - zapytał jeden głosem wysokim i czystym jak dźwięk fletu.. Jego oczy były koloru letniego nieba.

Przełknęłam ślinę.

- Tak.

- Pojedziesz z nami. Jego Wysokość Król Oberon, Władca Letniego Dworu, posłał po ciebie.

9. Na Jasnym Dworze.

Jechałam na koniu przed elfim rycerzem, który jedną ręką przytrzymał mnie w talii, a drugą ścisnął wodze.

Grimalkin drzemał mi na kolanach jak gorąca, ciężka kula i odmawiał rozmowy. Rycerze także nie chcieli odpowiadać na moje pytania: dokąd jechaliśmy, czy znają Puka ani czego chciał ode mnie król Oberon. Nie wiedziałam nawet czy jestem więźniem czy gościem, ale podejrzewałam, że niedługo rozwieją się moje wątpliwości.

Konie unosiły się nad leśnym poszyciem i zobaczyłam, że przed nami drzewa wreszcie zaczynają się przerzedzać. Gdy wyjechaliśmy pomiędzy nich, moim oczom ukazało się olbrzymie wzgórze. Wznosiło się nad nami w swojej starożytnej, zielonej świetności. Jego szczyt zdawał się dotykać nieba. Porastały je cierniste drzewa i krzewy, zwłaszcza u szczytu, więc przypominało wielką, brodatą głowę. Wokół wzgórza rósł żywopłot naszpikowany kolcami dłuższymi niż moja ręka. Rycerze pognali rumaki w stronę najgęstszych krzewów. Nie zdziwiłam się, gdy te rozstały się przed nimi, tworząc łuk, pod którym przejechaliśmy, po czym zamknęły się za nami z chrzęstem.

Zaskoczyło mnie, gdy konie, nawet nie zwalniając, wjechały wprost w pagórek. Przytuliłam mocno Grimalkina, który zaprotestował pomrukiem. Pagórek ani się nie otworzył ani nie przesunął - po prostu w niego wjechałyśmy. Z wrażenia przeszedł mnie dreszcz od głowy aż no palce stóp.

Mrugając ze zdumienia, zapatrzyłam się w niesamowity chaos.

Przede mną rozciągał się olbrzymi dziedziniec, potężny okrąg o kolumnach z kości słoniowej, z marmurowymi posągami i ukwieconymi drzewami.

Fontanny wybuchały gejzerami wody, nad sadzawkami tańczyły kolorowe światełka, a wokół rosły kwiaty we wszystkich kolorach tęczy. Do moich uszu dobiegła muzyka Słyszałam harfy i bębny, smyczki i flety, dzwonki i piszczałki, które brzmiały zarazem wesoło i melancholijnie. Melodia wycisnęła mi łzy z oczu i nagle pragnęłam tylko zsunąć się z konia i tańczyć, aż muzyka mnie pochłonie i kompletnie się w niej zagubię. Na szczęście Grimalkin wyszeptał coś w rodzaju „weź się w garść" i zatopił mi pazury w nadgarstku, wyrwijając mnie z transu.

Magiczne stworzenia były wszędzie. Siedziały na marmurowych schodach i ławkach, tańczyły w małych grupkach albo po prostu snuły się wokół. Nie potrafiłam tego wszystkiego dość szybko ogarnąć. Spod krzaka puścił do mnie oko mężczyzna o nagim torsie i włochatych nogach zakończonych kopytami. Z drzewa wyszła smukła dziewczyna o zielonkawej skórze i nakrzyczała na chłopca, który huśtał się na gałęzi. Chłopiec pokazał jej język, machnął swoim wiewiórkowatym ogonem i pognął wyżej między konary.

Poczułam, jak coś szarpie mnie za włosy. Nad moim ramieniem unosiła się malutka istotka, machając szybko delikatnymi jak u ważki skrzydełkami. Wydałam stłumiony okrzyk, ale rycerz, który mnie trzymał, nie raczył nawet spojrzeć w tamtą stronę. Istotka uśmiechnęła się i wyciągnęła przed siebie coś, co wyglądało jak dorodne winogrono, ale było jaskrawoniebieskie w pomarańczowe kropki. Uśmiechnęłam się grzecznie i skinęłam głową, ale istotka zmarszczyła brwi i wskazała moją rękę. Zaskoczona uniosłam dłoń. Stworzonko upuściło na nią owoc, roześmiało się radośnie i odleciało.

- Uwważaj! - zadudnił Grimalkin, gdy z owocu uniósł się upajający zapach, a mi pociekła ślinka. - Jedzenie i picie pewnych rzeczy w krainie elfów może mieć nieprzyjemne konsekwencje dla kogoś takiego, jak ty. Nic nie jedz. A dopóki nie znajdziemy Puka, na twoim miejscu z nikim bym nie rozmawiał. I pod żadnym pozorem nie przyjmuj od nikogo żadnych prezentów. To będzie długa noc.

Przełknęłam ślinę i wrzuciłam owoc do mijanej sadzawki. Patrzyłam, jak wielkie zielono-złote ryby podpływają do niego z otwartymi pyszczkami.

Stworzenia rozpięzchały się przed nami, kiedy tak jechaliśmy przez dzieciniec w stronę srebrnej bramy w wysokim kamiennym murze. Przed bramą trzymały straż dwie potężne istoty, wysokie na trzy metry, z niebieską skórą i kłami. Pod rzadkimi włosami i gęstymi brwiami błyszcząły im żółte oczy. Nawet ubrane w czerwone mundury z mosiężnymi guzikami, pod którymi przeżyły się ich bicepsy i potężne piersi, były przerażające.

- Trolle - wyszeptał Grimalkin, kiedy wtuliłam się w sztywną postać elfiego rycerza. - Ciesz się, że jesteśmy na terenach Oberona. Zimowy Dwór zatrudnia ogry.

Rycerze zatrzymali się i postawili nas na ziemi kilka kroków od bramy.

- Pamiętaj o dobrych manierach, gdy będziesz rozmawiać z królem elfów, dziecko - pouczył mnie rycerz, z którym jechałam, po czym zawrócił konia i obaj jeźdźcy odjechali. I tak stanęłam przed dwoma gigantycznymi trollami uzbrojona tylko w kota i plecak. Grimalkin zaczął się wiercić w moich ramionach, więc postawiłam go na kamieniu.

- Chodź. - Kot westchnął i machnął ogonem. - Spotkajmy się z wielmożnym panem spiczastouchym i miejmy to z głowy.

Dwa trolle zamrugwały ze zdziwienia, gdy kot bez cienia strachu podszedł do bramy, zupełnie jak szary robak drepczący u ich szponiastych stóp. Jeden się ruszył i skuliłam się na myśl, że zaraz przerobi Grimalkina na koci placek. Ale troll tylko sięgnął i otworzył skrzydło bramy, a jego towarzysz zrobił dokładnie to samo z drugim skrzydłem. Grimalkin posłał mi spojrzenie, machnął ogonem i przemknął pod lukiem bramy. Nabrałam głęboko powietrza, przyglądałam potargane włosy i poszłam za nim.

Po drugiej stronie bramy rósł gęsty las, zupełnie jakby mur stał tam po to, by roślinność nie mogła się dalej rozprzestrzenić. Przedemną ciągnął się tunel z drzew w pełnym rozkwicie, a ich zapach był tak silny, że aż kręciło mi się w głowie.

Tunel kończył się kurtyną z winorośli, a dalej kryła się olbrzymia polana otoczona równie olbrzymimi drzewami. Wiekowe pnie i splecione gałęzie tworzyły jakby katedrę, żywy pałac o potężnych kolumnach i liściastym sklepieniu. Chociaż wiedziałam, że jesteśmy pod ziemią, a na zewnątrz jest noc, tu światło słoneczne sączyło się przez korony drzew i rozświetlało podłoże. W powietrzu tańczyły rozżarzone kule światła, a do pobliskiej sadzawki wpadał wodospad. Kolory przyprawiły o zawrót głowy.

Na środku polany zebrało się ze sto elfów, wszystkie w wytwornych strojach. Sądząc z wyglądu, sami arystokraci. Mieli długie i rozpuszczone włosy albo niesamowite fryzury na czubku głowy. Satyry, łatwo rozpoznawalne po kudłatych kozich nogach, i małe kudłate ludki biegały wokół, roznosząc napoje oraz tace z jedzeniem. Zgrabne charty o zielonym jak mech futrze kręciły się wokół, licząc na to, że znajdą jakieś resztki. Elf i rycerze w srebrnych kolczugach stali sztywno wokół sali. Niektórzy trzymali jastrzębie, a nawet malutkie smoki.

Na środku, jakby wyrastały z leśnego poszycia, stały dwa trony, a po obu stronach ubrane w liberie centaury.

Jeden tron był pusty, jeśli nie liczyć stojącej na podłokietniku klatki z krukiem. Olbrzymi ptak o zielonych oczach krakał i uderzał skrzydłami o pręty swojego więzienia. A tronie po lewej...

Król Oberon - zgadywałam, że to musi być on - siedział stykając czubki palców, i wpatrywał się w tłum. Podobnie jak pozostali szlachetnie urodzeni, był wysoki i szczupły, o srebrnych włosach, które spływały mu aż do pasa, i oczach jak zielony lód. Na głowie miał rogałą koronę, która rzucała na zebranych długi cień, przypominający zaciskające się szpony. Promieniowała z niego potęga równie subtelna, jak burza.

Nasze spojrzenia spotkały się ponad głowami barwnego tłumu. Oberon uniósł brew szlachetną jak łuk jastrzębiego skrzydła, ale jego twarz pozostała bez wyrazu. I wtedy wszystkie elfy zamarły i skierowały na mnie wzrok.

- Cudownie - wyszeptał Grimalkin, zupełnie zapomniany u mego boku. - Teraz wszyscy wiedzą, że tu jesteśmy. No cóż, chodź, człowieku. Pobawimy się ładnie z dworem.

Nogi miałam jak z waty, w ustach mi zaschło, ale zmusiłam się do marszu. Elfi panowie i damy rozstępowali się przede mną. Nie wiedziałam, czy z szacunku, czy z pogardy. Ich oczy, zimne i figlarne, nie zdradzały nic. Zielony pies obwąchał mnie i warknął, gdy go mijałam, ale poza tym panowała zupełna cisza.

Co ja tu robię? Nie miałam pojęcia. Grimalkin zamierzał doprowadzić mnie do Puka, ale teraz chciał mnie widzieć Oberon. Wyglądało na to, że coraz bardziej oddalałam się od swojego celu - uratowania Ethana. No, chyba że Oberon wiedział, gdzie jest Ethan. O ile nie trzymał go jako zakładnika.

Dotarłam do stóp tronu. Z walącym jak oszalałe sercem, nie wiedząc, co zrobić, opadłam na jedno kolano i się skłoniłam. Poczułam na karku spojrzenie króla elfów, jego oczu równie starych, co otaczający nas las. Aż w końcu się odezwał:

- Powstań, Meghan Chase.

Miał miękki głos, ale jego śpiewny ton przypominał ryk oceanu i potężną burzę. Ziemia zatrzęsa się pod moimi nogami. Spróbowałam zapanować nad strachem, wstałam i spojrzałam na niego. Przez moment dostrzegłam coś na jego nieruchomej jak maska twarzy. Dumę? Rozbawienie? Znikło, nim zdążyłam to ustalić.

- Wtargnęłaś na nasze ziemie - odezwał się Oberon a w tłumie elfów zaczęto szeptać. - Nie miałaś nigdy zobaczyć krainy Nigdy-nigdy, a jednak podstępem skłoniłaś mojego poddanego, aby przeprowadził cię na drugą stronę. Czemu?

Nie widziałam innego wyjścia, więc powiedziałam mu prawdę.

- Szukam swojego brata, sir. Ethana Chase'a.

- A czemu uważasz, że tu jest?

- Nie wiem. - Spojrzałam błagalnie na Grimalkina. który wylizywał właśnie tylną nogę i wcale nie zwracał na mnie uwagi. - Mój przyjaciel Robbie... Puk... powiedział mi, że Ethan został porwany przez magiczne istoty. Na jego miejsce zostawili odmieńca.

- Ach tak. - Oberon spojrzał na zamkniętego w klatce ptaka. - Kolejne nieposłuszeństwo, Robinie.

Jęknęłam, a szczeka mi opadła.

- Puk?

Kruk spojrzał na mnie intensywnie zielonymi oczami, zakrakał cicho i jakby wzruszył ramionami. Spojrzałam z wściekłością na Oberona.

- Co pan mu robi?

- Miał nakazane nigdy nie przyprowadzać cię do naszego świata. - Oberon mówił spokojnie, ale bezlitośnie. - Miał nakazane utrzymać cię w niewiedzy co do naszych zasad, życia, a nawet istnienia. Ukaralem go za to nieposłuszeństwo. Może za kilka wieków znów go przemienię, jak już przemysłili swoje winy.

- Próbował mi pomóc!

Oberon uśmiechnął się zimno.

- My, nieśmiertelni, nie myślimy o życiu w ten sam sposób, co ludzie. Puk nie powinien w ogóle interesować się ratowaniem ludzkiego dziecka, zwłaszcza jeśli jest to wbrew moim rozkazom. Fakt, iż uległ twoim żądaniom, może oznaczać, że spędza zbyt wiele czasu ze śmiertelnikami, uczy się ich zachowań i ulega zmiennym emocjom. Pora, by przypomnieli sobie, jak być elfem.

Przełknęłam z trudem ślinę.

- A co z Ethanem?

- Tego nie wiem. - Oberon rozparł się na tronie i wzruszył ramionami. - Tu, na moich ziemiach, go nie ma. Tyle mogę ci powiedzieć.

Rozpacz przygniotła mnie jak dziesięcotonowy odważnik. Oberon nie wiedział, gdzie jest Ethan, a co gorsza, nic go to nie obchodziło. A teraz jeszcze straciłam swojego przewodnika w osobie Puka. Trafiałam do punktu wyjścia. Będę musiała sama odnaleźć ten drugi dwór - Mroczny - zakraść się tam i uratować brata sama. O ile w ogóle uda mi się tam dotrzeć w jednym kawałku. Może Grimalkin zgodzi się mi pomóc. Spojrzałam na kota, który był właśnie skupiony na starannym wylizywaniu ogona, i nadzieja mnie opuściła. Pewnie nie. No cóż, byłam zdana na siebie.

Uświadomiłam sobie, jak trudne zadanie przede mną stoi, i z trudem opanowałam łzy. Dokąd ja mam teraz iść? Jak w ogóle tu przeżyć?

- Dobrze. - Nie chciałam, żeby zabrzmiało to tak gorzko, ale jakoś nie byłam w najlepszym nastroju. - To ja już sobie pójdę. Jeśli mi nie pomożesz, muszę po prostu szukać dalej.

- Obawiam się - rzekł Oberon - że jeszcze nie mogę pozwolić ci odejść.

- Co?! - wykrzyknęłam. - Czemu?

- Prawie wszyscy w krainie wiedzą, że tu jesteś - mówił dalej król elfów. - Poza dworem mam wielu wrogów. A teraz, skoro tu byłaś, skoro jesteś świadoma, wykorzystaliby cię, by do mnie dotrzeć. Obawiam się, że nie mogę na to pozwolić.

- Nic nie rozumiem. - Rozejrzałam się po twarzach zebranych elfów. Wielu wyglądało teraz ponuro i nieprzyjaźnie. Spojrzenia, które mi posyłali, były pełne niechęci. Odwróciłam się znów do Oberona.

- Ale na co bym im się przydała? Jestem zwykłym człowiekiem. Nie mam z wami nic wspólnego. Chcę tylko odzyskać brata.

- Wręcz przeciwnie. - Oberon westchnął i po raz pierwszy odniosłam wrażenie, jakby wiek go przygniatał. Wyglądał staro. Jak ktoś śmiertelnie niebezpieczny i potężny, ale jednocześnie bardzo stary i zmęczony - Jesteś bardziej związana z tym światem, niż ci się wydaje Meghan Chase. Bo widzisz, jesteś moją córką.

10. Córka króla elfów.

Wpatrywałam się w Oberona, a mój świat się rozsypywał Król elfów nie odrywał ode mnie wzroku, ale patrzył zimno niewzruszenie. Jego oczy nic nie wyrażały. Wokół nas panowała absolutna cisza. Nie widziałam nikogo poza Oberonem. Reszta dworu zniknęła gdzieś w tle. Na całym świecie byliśmy tylko my dwoje.

Puk zakrakał z oburzeniem i zaczął tłuc skrzydłami o klatkę.

To przywróciło mnie do rzeczywistości.

- Co? - wykrztusiłam.

Król elfów nawet nie zamrugał, co jeszcze bardziej wyprowadziło mnie z równowagi.

- To nieprawda! Mama wyszła za tatę. I była z nim, dopóki nie zniknął, a potem wyszła za Luke'a.

- To prawda. - Oberon skinął głową. - Ale ten mężczyzna nie jest twoim ojcem, Meghan. To ja nim jestem. - Powstał, aż jego płaszcz załopotał. - Jesteś w połowie elfem. W połowie z mojej krwi. Jak myślisz, dlaczego kazałem Pukowi cię pilnować, trzymać z dala od naszego świata? Bo masz to wrodzone. Większość śmiertelników jest ślepa, ale ty od początku potrafiłaś patrzeć przez mgłę.

Pomyślałam o tych wszystkich przypadkach, kiedy prawie coś zobaczyłam, kątem oka, kształt wśród drzew. Ślady czegoś, czego tam wcale nie było. Pokręciłam głową.

- Nie, nie wierzę ci. Moja mama kochała tatę. Nie zrobiłaby... - Zamilkłam, żeby o tym nie myśleć.

- Twoja matka była piękną kobietą - mówił dalej Oberon. - I to dość niezwykłą, jak na śmiertelniczkę. Ludzie o artystycznej duszy potrafią dostrzec fragmenty magicznego świata wokół siebie. Często chodziła do parku malować i rysować. Byłem tam, przy stawie, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy.

- Przestań - wyszczałam przez zaciśnięte zęby. - Kłamiesz. Nie jestem jedną z was. To niemożliwe.

- Tylko w połowie - sprostował Oberon, a kątem oka dostrzegłam zniesmaczone, pogardliwe spojrzenia innych szlachetnie urodzonych. - Ale to wystarczy, aby moi wrogowie próbowali na mnie wpływać, wykorzystując ciebie. Albo nastawić cię przeciwko mnie. Jesteś bardziej niebezpieczna, niż sądzisz, córko. A ponieważ stanowisz zagrożenie, będziesz musiała tu zostać.

Świat walił się wokół mnie.

- Jak długo? - Pomyślałam o mamie, Luke'u, szkole i wszystkim, co pozostawiłam w swoim świecie. Czy ktoś już zauważył, że mnie nie ma?

Czy jak wrócę, to okaże się, że minęło sto lat i wszyscy, których znałam, już dawno umarli?

- Dopóki nie zmienię zdania - odpowiedział Oberon tonem, którego często używała moja mama, gdy uważała sprawę za zamkniętą. „Bo tak powiedziałam”. - Przynajmniej do końca Elizjum. Za kilka dni przybędzie tu Zimowy Dwór i zamierzam cię mieć na oku.

Zaklaskał, a z tłumy wynurzyła się satyrza kobieta i zastygła w ukłonie.

- Zaprowadź moją córkę do jej pokoju - zarządził, siadając z powrotem na tronie. - Zadbaj, by było jej wygodnie.

- Tak, panie - wyszeptała satyrzyca i ruszyła z miejsca, upewniając się, czy podążam za nią.

Oberon rozparł się na tronie. Nie patrzył na mnie, a jego twarz była kompletnie bez wyrazu, jak z kamienia.

Moja audyencja u króla elfów została zakończona Cofnęłam się, gotowa iść za kózka dziewczyną, kiedy z ziemi dobiegł głos Grimalkina. Zupełnie o nim zapomniałam.

- Proszę o wybaczenie, panie - odezwał się, siadając i oplatając łapy ogonem. - Ale nie omówiliśmy jeszcze wszystkiego. Otóż dziewczyna zaciągnęła u mnie dług. Obiecała mi przysługę w zamian za to, że ją tutaj bezpiecznie przyprowadzę, i musi mi się zrewanżować.

Spojrzałam ze złością na kota, zastanawiając się, czemu akurat teraz sobie o tym przypomniałam. Natomiast Oberon przyjrzał mi się z ponurą miną.

- Czy to prawda?

Skinęłam głową, zastanawiając się, czemu dworzanie patrzą na mnie a to z przerażeniem, a to z politowaniem.

- Grim pomógł mi uciec goblinom - wyjaśniłam. - Uratował mi życie. Nie byłoby mnie tutaj, gdyby nie...

Pod spojrzeniem Oberona zamilkłam.

- Czyli dług za życie. - Westchnął. - Niech będzie, kocie. Czego ode mnie chcesz?

Grimalkin zmrużył oczy. Widać było, że mruczy.

- Drobnej przysługi! - zadudnił. - O którą poproszę w późniejszym terminie.

- Niech i tak będzie. - Król elfów skinął głową, a mimo to zdawało się, że urósł na swoim tronie. Jego cień zagórował nad kotem, który zamrugał i położył uszy po sobie. Gdzieś nad nami rozległ się grzmot, światło w lesie przygasło, a zimny wiatr zaczął szarpać gałęzie, obsypując nas płatkami. Dworzanie odsunęli się i stoczyli. Niektórzy nawet całkiem zniknęli z oczu. W tych ciemnościach oczy Oberona zaśniły bursztynowo. - Ale ostrzegam cię, kocie - odezwał się tak tubalnym głosem, że ziemia zadrżała. - Nie igraj ze mną. Nie próbuj zrobić ze mnie głupca, bo mogę spełnić twe żądanie na wiele bardzo nieprzyjemnych sposobów.

- Oczywiście, o wielki królu - odpowiedział grzecznie kot, a jego futro przeczesywał wiatr - Jam twój sługa.

- Rzeczywiście byłbym głupcem, gdybym wierzył w pochlebstwa kota.

Oberon znów rozparł się na tronie, a jego twarz na powrót stała się jak z kamienia. Wiatr ucichł, znów zrobiło się jasno i wszystko wyglądało jak przedtem.

- Masz swoją przysługę. A teraz idź.

Grimalkin skłonił głowę, odwrócił się i podszedł do mnie z wysoko uniesionym puchatym ogonem.

- O co chodziło, Grim? - zapytałam, patrząc krzywo na kota. - Myślałam, że to ode mnie chcesz przysługi. O co chodziło z Oberonem?

Grimalkin nawet się nie zatrzymał. Z uniesionym ogonem minął mnie bez słowa, wślizgnął się do tunelu pomiędzy drzewami i zniknął.

Satyrzyca dotknęła mojego ramienia.

- Tędy - wyszeptła i odprowadziła mnie z dworu. Gdy odchodziłyśmy, czułam na sobie spojrzenia możliwych i psów.

- Nie rozumiem - odezwałam się ponuro, wędrując przez polanę. Mój mózg przestał działać. Czułam się, jakbym tonęła w morzu wątpliwości. Chciałam tylko odnaleźć brata, jakim cudem doszło do tego?

Satyrzyca spojrzała na mnie współczująco. Była ode mnie o głowę niższa, miała duże orzechowe oczy i kręcone włosy w tym samym kolorze. Próbowałam nie patrzeć na kudłatą dolną połowę jej ciała, ale to nie było łatwe, zwłaszcza że pachniała trochę jak zoo dla małych zwierząt.

- Nie jest tak źle - stwierdziła, prowadząc mnie nie przez tunel, ale na drugą stronę polany. Drzewa rosły tak gęsto, że słońce nie przebijało się przez gałęzie i wszystko tonęło w szmaragdowym cieniu. - Może ci się tutaj spodoba. Twój ojciec uczynił ci wielki honor.

- To jest mój ojciec - warknęłam.

Satyrzyca spojrzała swymi brązowymi oczami, a jej dolna warga zadrżała. Westchnęłam, żałując swojego wybuchu.

- Przepraszam. Chyba mam nadmiar wrażeń. Dwa temu byłam w domu, spałam we własnym łóżku. Nie wierzyłam w gobliny, elfy ani gadające koty, a już na pewno nie prosiłam się o nic takiego.

- Król Oberon bardzo się dla ciebie naraża - przemówiła kozica nieco bardziej stanowczo. - Byłaś winna kotu dług życia, a to znaczy, że mógł poprosić o cokolwiek. Mój pan Oberon wziął ten dług i przyjął go na siebie, więc Grimalkin nie może żądać, żebyś kogoś otruła albo oddała swoje pierwsze dziecko.

Skręciło mnie z przerażenia.

- A mógłby?

- A kto wie, co się dzieje w głowie kota? - Satyrzyca wzruszyła ramionami i ruszyła pomiędzy skręconymi korzeniami drzew. - Po prostu... uważaj, co mówisz. Jeśli złożysz obietnicę, to będziesz zobowiązana ją spełnić, a zdarzały się już wojny o „małe przysługi”. Uważaj szczególnie przy szlachetnie urodzonych; wszyscy doskonale opanowali polityczne gry i wykorzystywanie słabości innych.

Nagle poblądła i zastoniła dłonią usta.

- Powiedziałam za wiele. Proszę, wybaczyć. Jeśli coś z tego dojdzie do uszu króla Oberona...

- Nie powiem ani słowa - obiecałam.

Spojrzała z ulgą.

- Jestem ci wdzięczna, Meghan Chase. Inni mogliby tego użyć przeciwko mnie. Wciąż jeszcze uczę się dworskich zasad.

- Jak masz na imię?

- Smagliczka.

- Wiesz, jesteś jedyną osobą, która przyjęła mnie tu miło i nie oczekuje nic w zamian - stwierdziłam.

- Dziękuję.

Spojrzała zawstydzona.

- Naprawdę, nie ma potrzeby, byś była mi coś dłużna, Meghan Chase. Pozwól, że pokażę ci swój pokój.

Stanęłyśmy na granicy drzew. Nad nami wznosił się mur ukwieconych jeżyn tak gęsty, że nie widziałam, co jest po drugiej stronie. A pomiędzy fioletowo-różowymi kwiatami pyszniły się groźne ciernie.

Smagliczka wyciągnęła rękę i pogłaskała płatek. Żywopłot zadrżał, a potem zwinął się i przesunął, tworząc tunel podobny do tego, który prowadził na polanę z tronem. A na końcu kolczastej tuby były małe czerwone drzewi.

Oszołomiona podążyłam za Smagliczką kolczastym tunelem, a potem przekroczyłam próg drzwi, które otworzyła. Moim oczom ukazała się oszalałająca sypialnia. Podłogę wyłożoną białym marmurem zdobiły inkrustowane wzory: kwiaty, ptaki i inne zwierzęta. I ku mojemu bezbrzeżnemu zdumieniu niektóre z nich się poruszały. Na środku pokoju tryskała fontanna, nieopodal stał stolik zastawiony ciastkami, herbatą i butelkami z winem. Jedna ze ścian zdominowana była przez potężne, przykryte jedwabiem łóże, a druga przez kominek. Płomienie na palenisku zmieniały kolor z zieleni na błękit, potem na róż, aż wreszcie czerń.

- To apartament dla gości honorowych - obwieściła Smagliczka, rozglądając się wokół z zazdrością.
- Jest przeznaczony tylko dla ważnych gości Jasnego Dworu. Twój ojciec naprawdę okazał ci wielki honor.

- Smagliczko, proszę, przestań go tak nazywać. - Westchnęłam, rozglądając się po ogromnym pomieszczeniu. - Mój tata był agentem ubezpieczeniowym z Brooklynu. Wiedziałałabym, gdybym nie była w pełni człowiekiem, prawda? Na pewno byłoby coś widać: spiczaste uszy, skrzydła czy coś w tym guście?

Smagliczka zamrugnęła, a jej spojrzenie przypawiło mnie o dreszcze. Stukając kopytkami, podeszła do dużej toaletki z lustrem po drugiej stronie pokoju. Odwróciła się do mnie i skinęła palcem.

Zaniepokojona podeszłam do niej. Mój wewnętrzny głos zaczął krzyczeć, że nie chcę zobaczyć tego, co pokazuje lustro. Ale tym razem nie posłuchałam. Z uroczystą miną Smagliczka wskazała lustro i po raz drugi tego dnia mój świat wyrócił się do góry nogami.

Nie widziałam się, od kiedy przeszłam z Pukiem przez szafę. Wiedziałam, że moje ubrania są brudne, przepecone i podarte po zbyt częstych spotkaniach z gałęziami, cierniami i pazurami. Od szyi w dół wyglądałam właśnie tak, jak sądziłam - jak tramp, który dwa dni przedzierał się przez dzikie ostępy i nie brał kąpieli.

Nie poznałam tylko swojej twarzy. To znaczy... wiedziałam, że to ja. Odbicie poruszało ustami wtedy, kiedy ja je otwierałam, i mrugało wtedy, kiedy ja mrugałam. Ale miałam bledszą skórę, rysy ostrzejsze, a oczy zdawały się ogromne, jak u sarny, wpatrującej się w nadjeżdżający samochód. A spośród zmatowiałych, potarganych włosów, tam, gdzie wczoraj jeszcze nic nie było, sterczała para długich spiczastych uszu. Gapiłam się w swoje odbicie, nie pojmując, co się stało i coraz mocniej kręciło mi się w głowie. Nie! - krzyczały moje myśli, starając się zaprzeczyć temu, co widziałam. To nie ty! Nie ty!

Podłoga uciekła mi spod nóg. Nie mogłam złapać oddechu. I nagle cała adrenalina, szok i przerażenie ostatnich dwóch dni dotarły do mnie wszystkie naraz. Świat zawirował, przekrzywił się na osi i osunęłam się w nicość.

Część II.

11. Obietnica Tytanii.

- Meghan! - zawołała mama zza zamkniętych drzwi. - Wstawaj- Spóźnisz się do szkoły.

Jęknęłam i wytknęłam nos spod kołdry. Czyżby już był ranek? Najwyraźniej. Przez okno sypialni wpadało szarawe światło i opromieniało budzik, który wskazywał szóstą czterdzieści osiem.

- Meghan! - powtórzyła mama, tym razem dodatkowo pukając. - Wstałaś?

- Ta-ak! - krzyknęłam, pragnąc, aby już sobie poszła.

- No to się pośpiesz, bo spóźnisz się na autobus.

Zwlekłam się z łóżka, włożyłam na siebie ubranie z najczystszej sterty leżącej na podłodze i złapałam plecak. Wysunął się z niego mój iPod i upadł z pluskiem na łóżko. Zmarszczyłam brwi. Czemu był mokry?

- Meghan! - znów ponagliła mama, aż przewróciłam oczami. - Już prawie siódma! Jak będę musiała cię odwieźć, bo spóźnisz się na autobus, to masz przez miesiąc szlaban!

- Dobrze, już dobrze! Idę przecież! - Podeszłam wkurzona do drzwi i otworzyłam je z rozmachem.

Za nimi stał Ethan. Miał niebieską pomarszczoną twarz i rozciągnięte w idiotycznym uśmiechu wargi. W jednym ręku ścisnął wielki rzeźnicki nóż. Na twarzy i rękach miał krew.

- Mama się poślizgnęła - wymamrotał i wbił mi nóż w nogę.

Obudziłam się z krzykiem.

Na kominku płonęły zielone ogniki, otulając pokój niepokojącym światłem. Dysząc ciężko, opadłam z powrotem na chłodne jedwabne poduszki, a koszmar zbladł, gdy uświadomiłam sobie, jaka jest rzeczywistość.

Byłam na Jasnym Dworze króla elfów i, podobnie jak Puk zamknięty w klatce, byłam więźniem. Ethan, prawdziwy Ethan, wciąż gdzieś tam był, czekając na ratunek. Zastanawiałam się, czy nic mu się nie stało i czy był równie przerażony, jak ja. Zastanawiałam się, czy z mamą i Lukiem był wszystko w porządku, z odmieniec w domu. Modliłam się by rana mamy nie okazała się poważna i by odmieniec nic zrobił nikomu krzywdy.

I wtedy, leżąc w łóżku w tej krainie magii, uświadomiłam sobie coś jeszcze. Naszła mnie myśl wywołana słowami Oberona. Ten człowiek nie jest twoim ojcem, Meghan. Ja nim jestem. „Jest” twoim ojcem, a nie „był”. Zupełnie jakby Oberon wiedział, gdzie on jest. Jakby wciąż żył. Ta myśl przyprowadziła mnie o drzenie. Wiedziałam! Tata musi być gdzieś w tej krainie magii. Może gdzieś blisko. Byle tylko udało się go odnaleźć.

Ale po kolei. Najpierw musiałam się stąd wydostać. Usiadłam... i zobaczyłam nieruchome zielone oczy króla elfów.

Stał przy kominku, a w migającym świetle płomieni jego twarz wydawała się jeszcze bardziej ponura i widmowa. Jego długi cień przesuwiał się po pokoju, rogata korona zdawała się wyciągać palce po poduszki. W ciemnościach jego oczy lśniły zielenią jak u kota.

Kiedy zobaczył, że się obudziłam, kiwnął głową i skinął na mnie wytworną dłonią o długich palcach.

- Chodź. - Jego głos, chociaż spokojny, podszyty był stałą autorytetu. - Podejdź do mnie. Porozmawiajmy, moja córko.

„Nie jestem twoją córką”, chciałam odpowiedzieć, ale słowa utknęły mi w gardle. Kątem oka widziałam lustro na toalecie, a w nim swoje długouche odbicie. Przeszedł mnie dreszcz i odwróciłam głowę. Kiedy odsunęłam kołdrę, zobaczyłam, że zmienił się mój strój, Nie miałam już na sobie

podartych, okropnych ciuchów, które nosiłam przez ostatnie dwa dni, byłam czysta i ubrana w koronkową białą koszulę nocną. Nie koniec na tym. U stóp łoża czekała na mnie nowa kreacja - niezwykle elegancka suknia ozdobiona szmaragdami i szafirami, a także płaszcz i długie sięgające do łokci rękawiczki. Skrzywiłam się na ten widok.

- Gdzie moje ubrania? - zapytałam, odwracając się do Oberona. - Moje prawdziwe ubrania.

Król elfów pociągnął nosem.

- Nie lubię ubrań śmiertelników na swoim dworze - stwierdził cicho. - Uważam, że powinnaś nosić coś odpowiedniego dla twojego pochodzenia, skoro zostaniesz tu przez jakiś czas. Kazałem spalić twoje stare łąchy.

- Co zrobisz?!

Oberon zmarszczył brwi i uświadomiłam sobie, że chyba posunęłam się za daleko. Pomyślałam, że król Jasnego Dworu pewnie nie przywykł, by ktoś podawał w wątpliwość jego opinie.

- Hm... przepraszam. - Westchnęłam, wysuwając się z łóżka.

Później będę się martwić o ubranie.

- To o czym chciałeś ze mną porozmawiać?

Król elfów westchnął i przyjrzał mi się z niewyraźną miną.

- Stawiasz mnie w trudnej sytuacji, córko - zaczął w końcu, odwracając się z powrotem do kominka. - Jako jedyna z moich potomków przybyłaś do naszego świata. Muszę przydać, że byłem trochę zaskoczony, że udało ci się tu tak długo przetrwać, nawet mimo tego, że opiekował się tobą Robin.

- Potomków? - Zamrugłam. - To znaczy, że mam więcej braci i sióstr? Przyrodnych?

- Żadnych żywych - Oberon machnął od niechcenia - I żadnych z tego wieku, zapewniam. Twoja matka była jedynym człowiekiem, na którego zwróciłem uwagę przez ostatnie dwieście lat.

Zaschło mi w ustach. Patrzyłam na Oberona z rosnącą wściekłością.

- Dlaczego? - Na moje pytanie uniósł wąską brwę - Czemu ona? Czy nie była już żoną mojego taty? Pomyślałeś. o tym?

- Nie. - Wzrok Oberona nie zdradzał współczucia ani skruchy. - Co mnie obchodzą rytuały ludzi? Nie potrzebuję pozwolenia, by wziąć sobie to, czego zapragnę. Poza tym, gdyby była szczęśliwa, nie mógłbym jej uwieść.

Świnia. Ugryzłam się w język, by nie powiedzieć tego na głos. Może i byłam wściekła, ale na pewno nie byłam samobójcą. Jednak wzrok Oberona stwardniał, zupełnie jakby zgadywał, co myślę. Posłał mi długie, spokojne spojrzenie, prowokując, bym mu się postawiła. Wpatrywaliśmy się w siebie przez kilka chwil, otoczeni cieniami, a ja starałam się zachować kamienną twarz. Ale bez skutku. Patrzenie Oberonowi w oczy było jak stanie na drodze nadciągającemu tornadu Zadrżałam i opuściłam wzrok pierwsza.

Po chwili twarz Oberona zmiękła, a na usta wkradł się delikatny uśmiech.

- Jesteś do niej bardzo podobna, córko - mówił dalej, a w jego głosie było po tyle samo dumy, co rezygnacji. - Twoja matka była niezwykłą śmiertelniczką. Gdyby była jedną z nas, jej obrazy by ożywały, tak wiele w nie wkładała sztuki. Kiedy obserwowałem ją w parku, wyczuwałem jej tęsknotę, samotność i izolację. Chciała od życia więcej, niż dostawała. Chciała, by spotkało ją coś niezwykłego.

Nie miałam ochoty tego słuchać. Nie życzyłam sobie, by cokolwiek zniszczyło moje idealne wspomnienia tamtego życia. Chciałam wierzyć, że mama kochała mojego tatę; że byli szczęśliwi i zadowoleni z tego, co mieli; że była jego całym życiem. Nie chciałam słyszeć o tym, że matka była samotna i padła ofiarą podstępów i uroków elfa. Przez tę jedną wiadomość moja przeszłość rozsypała się w drobny mak i czułam się tak jakbym wcale nie znała własnej matki.

- Czekałem miesiąc, nim jej się objawiłem - mówił dalej Oberon, nieświadomy, jak bardzo przez niego cierpię. Usiadłam z impetem na łóżku. - Poznałem jej przyzwyczajenia, jej emocje, każdy szczegół. A kiedy jej się pokazałem, zdradziłem tylko odrobinę swojej prawdziwej natury- ciekaw, czy będzie zainteresowana tą niezwykłością, czy też uczepli się swojego człowieczego braku wiary... Przyjęła mnie z ochotą, z niepohamowaną radością, jakby od zawsze na mnie czekała.

- Przestań - wydusiłam. Żołądek mi się skręcał. Zamknęłam oczy, żeby nie wymiotować. - Nie chcę tego słuchać. I gdzie był mój tata, gdy to wszystko się działo?

- Mąż twojej matki większość nocy spędzał poza domem - odpowiedział Oberon, podkreślając trzy pierwsze słowa, aby przypomnieć mi, że tamten człowiek nie był moim ojcem. - Może właśnie dlatego twoja matka pragnęła czegoś więcej. I dałem jej to. Jedną noc magii, pasji, której brakowało jej w życiu. Tylko jedną, nim wróciłem do Arkadii, a wspomnienie naszego spotkania uleciało z jej pamięci.

- Ona cię nie pamięta? - Spojrzałam na niego. - Czy to dlatego nigdy mi o tobie nie powiedziała?
Oberon skinął głową.

- Śmiertelnicy zwykle zapominają o spotkaniach z naszym rodzajem - stwierdził cicho. - W najlepszym wypadku wydaje im się to bardzo realistycznym snem. A zazwyczaj kompletnie znikamy z ich pamięci. Na pewno sama zauważyłaś, że nawet ludzie, z którymi mieszkasz, którzy codziennie cię widzą, zdają się o tobie zapominać. Chociaż zawsze podejrzewałem, że twoja matka wiedziała więcej, pamiętała więcej, niż dała po sobie poznać. Zwłaszcza po twoich narodzinach.

W jego głosie wychwyciłam jakąś złowieszczą nutę. Skośne oczy stały się czarne, nie widać było źrenic.

Zadrżałam, kiedy jego cień zbliżył się do mnie i sięgnął spiczastymi palcami. '

- Próbowała cię zabrać - odezwał się upiornym tonem. - Chciała cię przed nami ukryć. Przede mną.

Oberon zamilkł. Wyglądał teraz zupełnie nieludzko, Choć nawet się nie poruszył. Ogień rozżarzył się mocniej i tańczył dziko w oczach króla elfów.

- A mimo to jesteś tutaj. - Oberon mrugnął, jego ton złagodniał, a ogień znów przygasł. - Stoisz przede mną, a twoje ludzkie oblicze wreszcie zniknęło. Z chwilą, gdy postawiłaś stopę w Nigdynigdy, było tylko kwestią czasu, kiedy ukaże się twoje dziedzictwo. Ale teraz muszę być bardzo ostrożny.

Wyprostował się, zagarniając swoje szaty, jakby zamierzał wyjść.

- Muszę się mieć na baczności, Meghan Chase - ostrzegł. - Jest wielu, którzy chętnie wykorzystaliby cię przeciwko mnie, niektórzy nawet tutaj, na moim dworze. Bądź ostrożna, córko. Nawet ja nie mogę cię przed wszystkim chronić.

Osunęłam się na łóżko. Myśli krążyły mi w głowie jak oszalałe.

Oberon ponuro obserwował mnie jeszcze przez chwilę, po czym nie oglądając się za siebie, przeszedł przez pokój. Kiedy uniosłam głowę, króla elfów już nie było. Nawet nie słyszałam zamykanych drzwi.

Pukanie sprawiło, że usiadłam zaniepokojona. Nie wiedziałam, ile czasu upłynęło od wizyty Oberona. Wciąż leżałam na łóżku. Kolorowe płomienie paliły się nisko, mrugając na palenisku. Wszystko wydawało się jakieś nierealne, mgliste i podobne do snu, zupełnie jakbym wyobraziła sobie całe to zdarzenie.

Znów rozległo się pukanie, więc się podniosłam.

- Proszę!

Drzwi się uchyliły i do środka weszła uśmiechnięta Smagliczka.

- Dobry wieczór, Meghan Chase, jak się dziś czujesz?

Wstałam, uświadamiając sobie, że wciąż jestem w koszuli nocnej.

- Chyba dobrze. - Rozejrzałam się po pokoju. - Gdzie moje ubrania?

- Król Oberon подарował ci tę szatę. - Smagliczka uśmiechnęła się i wskazała leżącą na łóżku suknię. - Kazał ją zaprojektować specjalnie dla ciebie.

Skrzywiłam się.

- Nie. Nie ma mowy. Chcę moje prawdziwe ubrania.

Mała satyrzyca zamrugnęła. Podeszła bliżej, uniosła rąbek sukni i pogłaskała materiał.

- Ale... mój pan Oberon życzy sobie, abyś ją nosiła. - Wyglądała na zaszokowaną tym, że mogłabym przeciwstawić się życzeniu Oberona. - Ona ci się nie podoba?

- Smagliczko, po prostu nie będę jej nosić.

- Ale czemu?

Skrzywiłam się na myśl o tym, że miałabym pokazać się innym w tym namiocie cyrkowym. Przez całe życie nosiłam tanie dzinsy i koszulki. Moja rodzina była biedna i nie stać nas było na modne markowe ubrania. Zamiast lamentować, że nie mam ładnych rzeczy, postanowiłam obnosić się ze swoim grunge'owym stylem i patrzyłam z góry na bogate dziewczyny, które godzinami siedziały w łazience, poprawiając makijaż.

Sukienki wkładałam tylko na śluby. Poza tym uważałam, że jeśli ubiorę się w elegancką suknię, którą wybrał dla mnie Oberon, to równie dobrze mogę głośno przyznać, że jestem jego córką. A na to nie miałam najmniejszej ochoty.

- Ja... po prostu nie chcę - wyjąkałam. - Wolę własne ubrania.

- Ale twój strój spalono.

- Gdzie mój plecak? - Przypomniałam sobie nagle o ubraniach na zmianę. Będą na pewno mokre, zapleśniałe i obrzydliwe, ale lepsze to niż elfie fatałaszk. Znalazłam plecak upchnięty byle jak za toaletką i go otworzyłam. Kiedy wysypałam zawartość na podłogę, po pokoju rozszedł się kwaśny zapach wilgoci. Ubrania stanowiły pogniecioną i śmierdzącą kulę, ale były moje. Przy okazji z plecaka wypadł też mój iPod i ślizgając się po marmurowej podłodze zatrzymał kilka kroków od Smagliczki.

Dziewczyna krzyknęła i jednym pięknym susem wskoczyła na łóżko. Ściskając jedną z kolumnienek, wpatrywała się z przerażeniem w leżące na podłodze urządzenie.

- Co to?

- Co? To? To iPod. - Mrugając, zgarnęłam go z podłogi i uniosłam do góry. - To maszynka, która gra muzykę, ale teraz jest popsuta, więc nie mogę ci pokazać, jak działa, przykro mi.

- Śmierdzi żelazem!

Nie wiedziałam, co na to powiedzieć, więc po prostu zrobiłam zdziwioną minę.

Smagliczka patrzyła na mnie wielkimi brązowymi oczami i powoli schodziła ze swojego bocianiego gniazda.

- I ty... ty możesz to trzymać? I nie pali ci skóry? Nie zatruwa krwi?

- Hm... - Spojrzałam na iPoda, który nie czyniąc żadnej szkody, leżał w mojej dłoni. - Tak...

Przeszedł ją dreszcz.

- Proszę, odłóż to.

Wzruszyłam ramionami, złapałam plecak i wsunęłam iPoda do bocznej kieszeni. Smagliczka westchnęła i się uspokoiła.

- Wybacz, nie chciałam cię zdenerwować. Król Oberon nakazał, bym dotrzymała ci towarzystwa aż do Elizjum. Czy chciałabyś zwiedzić dwór?

Nie bardzo, ale to był lepszy pomysł, niż siedzieć tutaj i nie mieć nic do roboty. A może uda mi się znaleźć drogę ucieczki.

- Dobrze - powiedziałam satyrze dziewczynie. - Ale najpierw chcę się przebrać.

Rzuciła okiem na ubrania leżące na podłodze i aż poruszyła nozdrzami. Wiedziała, że chciała coś powiedzieć, ale była na tyle uprzejma, że się powstrzymała.

- Jak sobie życzysz. Zaczekam na zewnątrz.

Ubrałam się w workowate džinsy i pogniecioną, śmierdzącą koszulkę, czując ponurą satysfakcję, kiedy wsunęły się gładko na moje ciało. Będzie palił moje rzeczy? - pomyślałam wyciągając tenisówki i wsuwając w nie stopy. Nie należę do jego dworu i na pewno nie będę opowiadać, że jestem jego córką. Bez względu na to, co mówi.

Na toaletce leżała szczotka i chwyciłam ją, by przeczesać włosy. Kiedy spojrzałam w lustro, żołądek mi się ścisnął. Byłam mniej podobna do siebie niż poprzednio. I to w sposób, którego nawet nie potrafiłam określić. Wiedziała tylko, że im dłużej tu jestem, tym bardziej znikam.

Trzęsąc się, złapałam plecak i zarzuciłam go na ramiona, zadowolona, że czuję znajomy ciężar. Chociaż w środku miałam tylko popsutego iPoda, to jednak wciąż był mój. Nie patrząc więcej w lustro, czując wzrok wbijający się w tył mojej głowy, otworzyłam drzwi i wyszłam do kolczastego tunelu.

Przez gałęzie sączyło się księżycowe światło, rysując ścieżkę srebrnymi cieniami. Zastanawiałam się, jak długo spałam. Noc była ciepła, a wiatr niósł dźwięki muzyki. Podeszła do mnie Smagliczka, a w ciemnościach jej twarz mniej przypominała ludzką, a bardziej kozią. Ale gdy padł na nią promień księżycy, znów wyglądała jak wcześniej. Uśmiechnęła się, wzięła mnie za rękę i poprowadziła naprzód.

Tym razem jeżynowy tunel zdawał się dłuższy, pełen zakrętów, których nie pamiętałam z poprzedniej przeprawy. Raz się odwróciłam i zobaczyłam, że kolczaste krzaki zamykają się za nami, a tunel ginie.

- Hm...

- Nie ma co się martwić - zapewniła Smagliczka, ciągnąc mnie dalej. - Żywopłot może cię doprowadzić do każdego miejsca na dworze. Po prostu musisz znać odpowiednie ścieżki.

- Dokąd idziemy?
- Zobaczysz.

Tunel wyprowadził nas do rozświetlonego księżycem zaimka. Szczupła zielona dziewczyna grała na pięknej złotej harfie, a melodię niósł wiatr. Niewielka grupka elfich panien stoczyła się wokół wysokiego tronu. Oparcie miał z winorośli, a z podłokietników wyrastały białe róże.

U stóp tronu siedział człowiek. Zamrugałam, przecierając oczy, by upewnić się, że to nie zwidy. Nie, to był człowiek, młody mężczyzna o kręconych blond włosach i pustych, zagubionych oczach. Miał nagi tors, a na szyi złotą obrozę do której przymocowano cienki srebrny łańcuch. Wokół niego tłoczyły się elfie panny, całując jego nagie ramiona, ocierając ręce o jego pierś, szepcząc mu do ucha. Jedna z nich przesunęła różowym językiem po jego szyi, a jej paznokcie wyślubiły na jego plecach krwawe pręgi, sprawiając, że wygiął się w ekstazie. Zrobiło mi się słabo i odwróciłam wzrok. Chwilę później kompletnie o nich zapomniałam.

Na tronie siedziała kobieta o tak niesamowitej urodzie, że natychmiast poczułam zażenowanie na myśl o swoich okropnych ubraniach i nieodpowiednim wyglądzie.

Jej długie włosy w świetle księżyca zmieniały kolor, czasem były srebrne, a czasem szczerozłote. Arogancja mieszała się u niej z aurą potęgi. A kiedy Smagliczka pociągnęła mnie naprzód i ukloniła się, kobieta zmrużyła błyszczące błękitne oczy i przyjrzała mi się tak, jakby oglądała robaka znalezionego pod kłodą drewna.

- A więc - odezwała się w końcu, a jej lodowaty głos aż ociekał jadem - tak wygląda ten bękart Oberona.

Cholera. Wiedziałam kto to. To ona siedziała zwykle na tym drugim, pustym tronie na dworze Oberona. To ona była drugą siłą sprawczą we Śnie nocy letniej. Była prawie tak potężna, jak sam Oberon.

- Królowo Tytanio - wydusiłam, kłaniając się.

- To mówi - kontynuowała, udając zaskoczenie. - Zupełnie jakby mnie znała. Jakby fakt, że jest pomiotem Oberona, mógł je ochronić przed moim gniewem.

Oczy błyszcząły jej jak diamenty i uśmiechnęła się, co sprawiło, że stała się jeszcze piękniejsza i jeszcze bardziej przerażająca.

- Ale dziś czuję się miłosierna. Może nie wytnę temu języka i nie rzucę psom. Może... - Tytania spojrzała na wciąż zgiętą w ukłonie Smagliczkę i skinęła wytwornym palcem - Podejdz, kozie dziecię.

Nie unosząc głowy. Smagliczka potruchtała do królowej. Tytania nachyliła się, jakby zwracała się do satyrzycy. ale odezwała się tak głośno, bym mogła ją usłyszeć.

- Pozwolę, abyś stała się głosem w tej rozmowie - wyjaśniła jakby mówiła do małego dziecka. - Będę kierować wszystkie piana do ciebie, a ty będziesz odpowiadać za tamtego bękarta. A jeśli w jakimś momencie to postanowi przemówić wprost do mnie. zamienię je w jelenia i poszczuję psami gończymi, by zapędziły je na śmierć albo rozszarpały. Czy to jasne?

- Tak, o pani - wyszeptała Smagliczka.

Jak słońce, królowo suko. dodałam w myślach.

- Doskonale. - Tytania z uradowaną miną rozparła się na tronie. Posłała mi zimny uśmiech, równie wrogi, co szczerzący kły pies, po czym zwróciła się do Smagliczki:

- A teraz, kozia dziewczyno, czemu ten bękart tu jest?

- Czemu tu jesteś? - powtórzyła Smagliczka, kierując pytanie do mnie.

- Szukam swojego brata - odpowiedziałam, pilnując, by patrzeć na Smagliczkę, a nie na tę lodową harpię, która siedziała obok.

- Szuka swojego brata - powtórzyła Smagliczka, odwracając się do królowej. O Boże, to będzie trwało w nieskończoność.

- Porwali go i zabrali do krainy Nigdy nigdy - mówiłam dalej, nim Tytania zdażyła zadać kolejne pytanie. - Puk przyprowadził mnie tutaj przez drzwi w szafie. Przyszłam odzyskać brata, zabrać go do domu i pozbyć się odmienca, który jest na jego miejscu. Tylko tego chcę. Odejdę, jak tylko go znajdę.

- Puk? - zdziwiła się pani. - Ach, to tam był cały czas. Jakże sprytnie ze strony Oberona, że w ten sposób cię ukrył. A ty zniszczyłaś jego chytry plan, przybywając tutaj.

Prychnęła i pokręciła głową.

- Kozia dziewczyno - zwróciła się znów do Smagliczki - zapytaj bękarta, czy woli być królikiem, czy jeleniem.

- P.. pani? - wyjąkała Smagliczka, a wokół mnie za gęstnieć cienie. Serce mi waliło jak oszalałe. Rozejrzałam się w poszukiwaniu drogi ucieczki. Ze wszystkich stron otaczały nas cierniste krzewy, nie było jak uciekać.

- To proste pytanie - mówiła dalej Tytania tonem swobodnej rozmowy. - Czy woli, abym zamieniła ją w królika czy jelenia?

Smagliczka odwróciła się z taką miną, jakby sama była tym królikiem w pułapce, i spojrzała mi w oczy.

- M...moja pani chciałaby wiedzieć, czy...

- Tak, słyszałam - przerwałam jej. - Królik albo jeleni A co, jeśli ani jedno, ani drugie?

Ośmieliłam się spojrzeć w górę, w oczy królowej elfów.

- Posłuchaj. Wiem, że mnie nienawidzisz, ale pozwól mi po prostu uratować brata i wrócić do domu. Ma tylko cztery lata i na pewno jest przerażony. Proszę. Wiem, że na mnie czeka. Jak go znajdę, opuścimy waszą krainę i już nigdy więcej nas nie zobaczysz. Przysięgam.

Twarz Tytanii pojaśniała triumfalnie.

- To stworzenie ma czelność się do mnie zwracać! Świetnie. Zdecydowała o swoim losie. - Królowa elfów uniosła dłoń w rękawicze i nad jej głową rozświetliła się błyskawica. - A więc jeleni. Spuśćcie psy. Będzie polowanie!

Opuściła rękę, wskazując na mnie, a moje ciało przeszył spazm. Krzyknęłam i wygięłam plecy w łuk, czując, jak mój kręgosłup się wydłuża. Niewidzialne kleszcze złapały mnie za twarz i zaczęły rozciągać wargi w pysk. Czułam, jak nogi mi się wydłużają, stają się cieńsze, a palce zamieniają w racice. Znowu krzyknęłam, ale tym razem z mojego gardła wydobył się ryk jelenia.

A potem nagle wszystko zniknęło. Moje ciało wróciło do właściwego kształtu, zupełnie jak naprężona gumka i z trudem łapiąc oddech, upadłam na leśną ściółkę.

Wciąż z zamglonym wzrokiem dostrzegłam u wejścia do tunelu Oberona z wyciągniętą ręką, a za nim dwóch elfich rycerzy. Przez moment byłam pewna, że widziałam u jego stóp Grimalkina, ale kiedy mrugnęłam, nikogo już tam nie było.

Gdy się pojawił, muzyka harfy zamilkła. Elfie panny otaczające mężczyznę w obroży opadły na ziemię i pochyliły głowy.

- Żono - przemówił spokojnie Oberon wychodząc na polanę-nie zrobisz tego.

Tytania wstała z miną furii.

- Śmiesz mówić do mnie w ten sposób! - krzyknęła, a wiatr zawył w gałęziach drzew. - Śmiesz, po tym, jak ją przede mną ukryłeś, po tym, jak posłałeś za nią swojego ulubieńca, żeby ją chronił!

Tytania zaśmiała się szyderczo, a nad naszymi głowami rozbłysła błyskawica.

- Odmawiasz mi kochanka, a obnosisz się ze swoim mieszańcem po całym dworze. To hańba. Twój dwór śmieje się z ciebie za twoimi plecami, a ty mimo to ją ochraniasz.

- Niemniej jednak - jakimś cudem słyszałam spokojny głos Oberona mimo wycia wiatru - jest mojej krwi i jej nie tkniesz. Jeśli masz jakieś żale, moja pani, to kieruj je do mnie, a nie do dziewczyny. To nie jej wina.

- Może zamienię ją w kapustę - zaczęła rozważać królowa, posyłając mi spojrzenie pełne nienawiści - i posadzę w swoim ogrodzie, by mogły się nią cieszyć zające. Wtedy byłaby i użyteczna, i upragniona.

- Nie tkniesz jej - powtórzył Oberon władczo. Jego płaszcz wydał się, on sam stał się wyższy, a jego cień wydłużył się na ziemi. - To mój rozkaz, żono. Dałem słowo, że na moim dworze nie stanie jej się krzywda, a ty posłuchasz mojego słowa. Czy wyraziłem się jasno?

Przeleciała błyskawica, a ziemia zatrzęsła się pod potężnymi spojrzeniami obu władców. Panny u stóp tronu skuliły się, a rycerze Oberona położyli dłonie na rękojeściach mieczy.

Nieopodal pękła gałąź, prawie trafiając w dziewczynę z harfą, która ukryła się pod pniem. Przyłgnęłam do ziemi i starałam się być jak najmniejsza.

- Niech będzie, mężu. - Głos Tytanii był zimny jak lód, ale wiatr się uspokajał, a ziemia przestała drżeć. - Jak sobie życzysz. Nie skrzywdzę mieszańca, dopóki przebywa na naszym dworze.

Oberon skinął krótko.

- Twoi słudzy także nie zrobią jej krzywdy.

Królowa wykrzywiła wargi tak, jakby połknęła cytrynę.

- Nie, mężu.

Król elfów westchnął.

- Doskonale. Porozmawiamy o tym później. Życzę ci dobrej nocy, moja pani. - Odwrócił się i opuścił polanę, a za nim podążyli jego rycerze. Chciałam go zawołać, ale nie chciałam, żeby wyszło na to, że uciekam pod opiekę tatusia zwłaszcza po tym, jak poniżył Tytanie.

A jeśli o niej mowa...

Przełknęłam i odwróciłam się do królowej elfów, która patrzyła na mnie tak, jakby miała nadzieję, że krew zagotuje mi się w żyłach.

- Słyszałaś Jego Wysokość, mieszańcu - zagruchała, a z każdej zgłoski sączył się jad. - Zejdź mi z oczu, nim zapomnę o swojej obietnicy i zamienię cię w ślimaka.

Nie miałam najmniejszej ochoty zwlekać z odejściem. Jednak gdy tylko stanęłam i przygotowałam się do ucieczki, Tytania pstryknęła palcami.

- Czekaj! - nakazała. - Mam lepszy pomysł. Kozia dziewczyno, podejdź.

Smagliczka stanęła u jej boku. Była przerażona - oczy wychodziły jej z orbit, a kudłate nogi się trzęsły.

Królowa wskazała na mnie.

- Weź bękart Oberona do kuchni. Powiedz Sarze, że znalazłam jej nową posługaczkę. Jeśli bękart musi zostać, to równie dobrze może na coś się przydać.

- Ale.- m...moja pani - wydukała Smagliczka i byłam pełna podziwu, że odważyła się przeciwstawić królowej - Oberon powiedział..

- Ale króla Oberona już tu nie ma, prawda? - Oczy Tytania rozbłysły i uśmiechnęła się wesoło. - A czego oczy Obecna nie widzą, tego sercu nie żal. A teraz idź, nim naprawdę stracę cierpliwość.

Odeszliśmy, starając się me poprzewracać o siebie nawzajem, kiedy sprzed oblicza królowej zmykałyśmy z powrotem do tunelu.

Kiedy dotarliśmy do jeżyn, trzask mocy przeszył powietrze, a dziewczęta zaczęły rozpaczliwie krzyżeć. Chwilę później do tunelu wpadł jak ruda strzała lis. Zatrzymał się kilka metrów dalej i spojrzał na nas bursztynowymi oczami ze zdziwieniem i strachem. Zobaczyłam, że na szyi ma złotą obrozę. Szczeknął przestraszony i zniknął wśród krzaków.

W milczeniu szłam za Smagliczką poprzez skomplikowany jeżynowy labirynt, próbując zrozumieć, co się stało. Wyglądało na to, że Tytania ma do mnie głęboki żal. Bardzo, ale to bardzo niedobrze. Na liście wrogów, których nie chciałam mieć, królowa elfów zajmowała chyba pierwsze miejsce. Od tej pory musiałam naprawdę uważać albo skończyć jako grzyb w czyjejsz zupie.

Smagliczka nie odezwała się ani słowem, dopóki nie dotarliśmy do olbrzymich dwuskrzydłowych kamiennych drzwi w żywopłocie. Przez szparę pod nimi wydobywały się kłęby pary, a powietrze było gorące i tłuste.

Kiedy drzwi się otworzyły, uderzył nas gorący dym. Mrugając, aby pozbyć się łez, spojrzałam na olbrzymią kuchnię. Na ceglanych paleniskach buzował ogień, miedziane czajniki buchały parą, a powietrze wypełniała niesamowita mieszanina zapachów. Małe kudłate ludziki w fartuchach biegały w tę i z powrotem pomiędzy długimi blatami, gotując, piekąc i sprawdzając smaki potraw. Na stole leżała krwawa tusza dzika, którą oprawiała olbrzymia, zielonoskóra kobieta o potężnych kłach i brązowych włosach splecionych w warkocz.

Zobaczyła nas w drzwiach i podeszła bliżej. Fartuch miała pokryty krwią i strzępkami mięsa.

- Nie będą mi się wałkonie kręcić po kuchni - warknęła machając na mnie wielkim nożem rzeźnickim z brązu. - Nije mam dla takich jak wy żadnych resztek. Zabierajcie swoje złodziejskie paluchy gdzie indziej.

- S...Saro K...Kuśnierko, to jest Meghan Chase. - Kiedy Smagliczka mnie przedstawiała, posłałam trollicy rachityczny uśmiech w stylu „proszę, nie zabijaj mnie”. - Na rozkaz królowej ma ci pomagać w kuchni.

- Nie potrzebuję pomocy od tego zachudzonego półludzkiego szczeniaka - prychnęła Sara Kuśnierka. patrząc na mnie pogardliwie. - Tylko nas spowolni, a i tak dajemy z siebie wszystko, szykując się do Elizjum.

Przyjrzała mi się, westchnęła i podrapała tępą stroną noża w głowę.

- Pewnie coś dla niej znajdę. Ale powiedz Jej Wysokości, że jak będzie chciała kogoś jeszcze tortuować, to niech wyśle go do stajni albo psiarni. Mam tu wystarczająco dużo pomocników.

Smagliczka skinęła głową i szybko odeszła, zostawiając mnie sam na sam z olbrzymką. Czułam, jak pot spływa mi po plecach i to wcale nie dlatego, że w kuchni było gorąco.

- No dobrze, szczeniaku - rzuciła Sara Kuśnierka, celując we mnie nożem. - Nie obchodzi mnie, czy jesteś pomiotem Jego Wysokości, teraz przebywasz w mojej kuchni. Zasady są proste: kto nie pracuje, ten nie je. A przy okazji ja mam trochę zabawy z tym pejczem w kącie. Nie nazywają mnie Kuśnierka bez powodu.

Reszta nocy upłynęła mi na szorowaniu i sprzątaniu. Zmywałam krew i resztki mięsa z kamiennych podłóg. Wymiałałam popioły z ceglanych palenisk. Zmywałam góry talerzy, pucharów, garnków i patelni. Za każdym razem, gdy robiłam przerwę, aby rozmasować bolące kończyny, trollica zjawiała się nade mną i wykrzykiwała coraz to nowe rozkazy. Pod koniec nocy, gdy nakryła mnie, jak siedziałam na stołku, wymamrotała coś o leniwych ludziach, wyrwała mi szczotkę z ręki i wcisnęła swoją.

Kiedy tylko moje palce zacisnęły się na rączce, szczotka ożyła i zaczęła energicznie zamiatać, ciągnąc mnie za sobą próbowałam ją puścić, ale moje palce przywarty do niej tak, jakby ktoś je przykleił, i nie mogłam ich rozewrzeć. Zamiatałam podłogę tak długo, aż rozbolały mnie nogi, a ręce piekły z wyczerpania, aż pot zalewał mi oczy.

W końcu trollica pstryknęła palcami i szczotka przestała zamiatać. Kolana się pode mną ugięły i upadłam. Miałam wielką ochotę wrzucić sadystyczną szczotkę do najbliższego pieca.

- Podobało ci się, mieszańcu? - zapytała Sara Kuśnierka, a ja byłam zbyt zmęczona, żeby odpowiedzieć. - Jutro czeka cię to samo, zapewniam. Masz.

Na ziemię spadły dwie kromki chleba i kawałek sera.

- To obiad, na jaki dziś zapracowałaś. Chyba możesz go spokojnie zjeść. Możliwe, że jutro trafi ci się coś lepszego.

- Świetnie - jęknęłam, gotowa poczołgać się do swojego pokoju. Pomyślałam, że jutro na pewno tu nie wrócę. Zamierzałam „zapomnieć” o swoim obowiązku, może nawet znaleźć drogę ucieczki z Jasnego Dworu. - Do jutra.

Trollica zagroziła mi drogę.

- A ty dokąd się wybierasz? Należysz teraz do moich pomocników, a to znaczy, że jesteś moja. - Wskazała drewniane drzwi w kącie. - Kwatery służby są pełne. Możesz spać w tamtej spiżarni.

Uśmiechnęła się do mnie upiornie, ukazując tępe żółte zęby i kły.

- Pracę zaczynamy o świcie. Do zobaczenia jutro, szczeniaku.

Zjadłam swój marny obiad i wczołgałam się pod półki z cebulami, rzepą i dziwnymi niebieskimi warzywami. Nie miałam koca, ale w kuchniach było aż nazbyt ciepło. Próbowałam zrobić sobie poduszkę z worka ze zbożem. po przypomniałam sobie, że rzuciłam wcześniej swój plecak na jakąś półkę, więc wygrzebałam się stamtąd, żeby go przynieść. W pomarańczowym plecaku nie było teraz nic poza popsutym iPodem, ale przynajmniej był mój - moja ostatnia pamiątka po dawnym życiu.

Zgarnęłam plecak z półki i skierowałam się z powrotem do swojego minipokoiku, kiedy poczułam, że w środku coś się szamoce. Z wrażenia prawie go upuściłam. Ze środka doszedł cichy szyderczy śmiech. Położyłam plecak na jednym ze stołów, sięgnęłam po nóż i otworzyłam go, gotowa wbić ostrze w stwora, który krył się w środku.

Ale tam był tylko mój iPod, martwy i cichy. Westchnęłam, zapięłam plecak i zaniósłam go do spiżarki. Rzuciłam go w kąt, zwinęłam się na podłodze, oparłam głowę o worek z ziarnem i pozwoliłam myślom odpłynąć. Myślałam o Ethanie, o mamie i szkole. Czy ktoś w domu w ogóle za mną tęsknił? Czy wysłano grupy poszukiwawcze? A policja z psami tropiącymi kręciła się w miejscach, gdzie mnie widziano ostatnio? A może mama o mnie zapomniiała, tak jak na pewno zrobił to Luke? Czy w ogóle będę miała dokąd wracać, jeśli uda mi się odnaleźć Ethana?

Zaczęłam się trząść, a oczy zaszyły mi mgłą. Po chwili po policzkach popłynęły mi łzy, mocząc worek pod moją głową i sprawiając, że moje włosy zrobiły się lepkie. Wtuliłam twarz w szorstki materiał i zaczęłam szlochać. Byłam na dnie. Leżałam w ciemnej spiżarce, bez żadnej nadziei na uratowanie Ethana i bez perspektyw na przyszłość, jeśli nic liczyć strachu, bólu i wyczerpania. Byłam gotowa się poddać.

W końcu łkanie ustało, oddech mi się uspokoił i uświadomiłam sobie, że nie jestem sama.

Uniosłam głowę i najpierw zobaczyłam swój plecak. Leżał tam, gdzie go wcisnęłam. Był otwarty, zupełnie jak jakaś wielka paszcza. W środku dostrzegłam iPoda.

A potem zobaczyłam oczy.

Serce mi zamrtało i poderwałam się gwałtownie, trafiając głową w półkę. Kurz otulił mnie, kiedy cofałam się z jękiem w kąt spiżarki. Już kiedyś widziałam te oczy - zielone błyszczące i inteligentne. Stworzenie było małe, mniejsze niż gobliny, o oleiście czarnej skórze, długich, cienkich ramionach. Jeśli nie liczyć wielkich, podobnych do goblinich uszu to wyglądało jak okropna krzyżówka małpy z pajakiem.

Stwór uśmiechnął się, a jego zęby zaśniły błękitnym światłem.

I wtedy się odezwał.

Jego głos odbijał się echem w ciemnościach, brzmiał zupełnie jak zakłócenia z głośnika radiowego. Na początku nie mogłam go zrozumieć. A potem, zupełnie jakby zmienił częstotliwość, szum zniknął i usłyszałam słowa.

- ...czekamy - zatrzeszczał, a ja nadal nie słyszałam go zbyt wyraźnie. - Idź do... Żelazny... twój brat... trzymany w...

- Ethan? - Wyprostowałam się gwałtownie i znów uderzyłam w głowę. - Gdzie on jest? Co o nim wiesz?

- Żelazny Dwór... mu... czekamy na... - Stworzenie zamrugało w ciemnościach, rozmazując się zupełnie jak słaby sygnał. Zasyczało i zniknęło, a spiżarka znów pograżyła się w ciemnościach.

Leżałam w mroku z bijącym sercem, myśląc o tym, co powiedziało to stworzenie. Niewiele rozumiałam z tej dziwnej paplaniny, poza tym, że mój brat żył i miejsce, które nazywano się Żelazny Dwór, na coś czekało.

No dobrze, powiedziałam sobie, nabierając głęboko powietrza. Oni wciąż gdzieś tam są, Meghan. Ethan i twój tata. Nie możesz się teraz poddać. Pora przestać się mazać i wziąć w garść.

Złapałam iPoda i wsunęłam do tylnej kieszeni. Jeśli to stworzenie zamierzało się znów pojawić i przekazać mi więcej informacji o Ethanie, to chciałam być gotowa. Położyłam się z powrotem na zimnej podłodze, zamknęłam oczy i zaczęłam planować.

Niewiele pamiętam z kolejnych dwóch dni. Robiłam wszystko, czego chciała trollica - myłam naczynia, szorowałam podłogi, odcinałam mięso od tusz, aż moje ręce stały się czerwone. Nie rzucano na mnie więcej czarów, a Sara Kuśnierka zaczęła patrzeć w moją stronę z ponurym uznaniem. Jedzenie, które dostawałam, było proste - chleb, ser i woda. Trollica powiedziała że cokolwiek bardziej wymyślnego może zniszczyć mój wątły półludzki organizm. W nocy wyczerpana wczołgiwałam się do swojego łóżka w spiżarce i natychmiast zasypiałam.

Patykowate stworzenie nie odwiedziło mnie więcej po tej pierwszej nocy, a mojego snu na szczęście nie nawiedzały koszmary.

Przez cały czas nadstawiałam uszu i uważnie się rozglądałam, zbierając informacje, które mogłyby mi pomóc, kiedy wreszcie ucieknę.

W kuchni pod wszystkowidzącym wzrokiem Sary Kuśnierki ucieczka była niemożliwa. Trollica miała w zwyczaju pojawiać się za każdym razem, gdy pomyślałam o przerwie albo właśnie kończyłam jakieś zadanie. Którejś nocy próbowałam się wymknąć z kuchni, ale kiedy otworzyłam drzwi wejściowe, zobaczyłam tylko jakiś składzik, zamiast kolczastego tunelu. Wtedy prawie się załamalam, ale wmówiłam sobie, że muszę być cierpliwa. Powiedziałam sobie, że odpowiedni moment na pewno nadejdzie. A wtedy muszę być po prostu gotowa do działania.

Kiedy mogłam, rozmawiałam z innymi pracownikami kuchni, stworzeniami nazywanymi domowojami i skrzatami, ale były tak zajęte, że trudno było z nich coś wyciągnąć.

Za to dowiedziałam się czegoś, co przyprawiło mnie o szybsze bicie serca. Elizjum, święto, z powodu którego wszyscy w kuchni biegali jak opętani, miało się odbyć za kilka dni.

Zgodnie z tradycją Dwory Jasny i Mroczny miały spotkać się na neutralnym gruncie, by omówić sprawy polityki, podpisać nowe porozumienia i utrzymać bardzo niepewny rozejm.

Ponieważ była wiosna, Mroczny Dwór miał świętować Elizjum na terytorium Oberona. W zimie to Mroczny Dwór bywał gospodarzem Zapraszano wszystkich z dworu, a jako pracownicy kuchni, też mieliśmy tam być.

Dalej ciężko pracowałam, ale miałam własny plan na czas Elizjum.

A potem, trzy dni po tym, jak zostałam skazana na pracę w kuchni, mieliśmy gości.

Stałam nad koszem pełnym malutkich martwych przepiórek, skubiąc je po tym, jak Sara Kuśnierka skręciła im karki. Próbowałam nie patrzeć, jak trollica sięgała do klatki, łapała wyrwijące się jasnoocze ptaszki i skręcała im z cichym trzaskiem szyjki. Potem rzucała martwe ciała do koszyka, zupełnie jakby były wydrylowanymi owocami, i sięgała po następną.

Nagle otworzyły się gwałtownie drzwi, a przez nie wdarło się do środka światło i weszło trzech elfich rycerzy. Długie srebrne włosy mieli związane w proste kitki, które lśniły w słabo oświetlonej kuchni, a ich twarze były aroganckie i wyniosłe.

- Przyszlśmy po mieszańca. - Głos jednego z nich rozbrzmiał w całej kuchni. - Z rozkazu króla Oberona dziewczyna pójdzie z nami.

Sara Kuśnierka rzuciła na mnie okiem, prychnęła i sięgnęła po następną przepiórkę.

- Nie mam nic przeciwko. Smarkula była tylko ciężarem. Zabierajcie ją z mojej kuchni i krzyżyk na drogę.

Podkreśliła swoje oświadczenie, skręcając kolejnemu ptakowi kark, a domowej porzucił pracę przy piecu i przegonił mnie, by przejąć moje miejsce.

Ruszyłam za nimi, ale przypomniałam sobie o plecaku, który został w spiżarni. Przeprosiłam cicho i pobiegłam po niego. Kiedy wracałam, nikt nawet na mnie nie spojrział, tylko Sara Kuśnierka łypnęła ponuro, skręcając szyję kolejnej przepiórce. Z mieszaniną ulgi i dziwnego poczucia winy opuściłam z rycerzami kuchnię.

Poprowadzili mnie krętym tunelem do kolejnych drzwi i bez słowa je otworzyli. Weszłam do niewielkiej sypialni, nie tak eleganckiej, jak moja pierwsza, ale całkiem ładnej. Za bocznymi drzwiami zauważyłam okrągły, parujący basen i tęsknie pomyślałam o kąpielu.

Usłyszałam tłumione przez dywan stukanie kopyt, a kiedy się odwróciłam, ujrzałam parę satyrzych dziewcząt kroczących za wysoką smukłą kobietą o białej jak śnieg skórze i prostych, czarnych jak smoła włosach. Miała na sobie suknię tak czarną, że aż pochłaniała światło, a jej palce były długie jak nogi pająka.

Jedna z satyrzyc wyjrzała zza sukni kobiety. Rozpoznałam Smagliczkę, która posłała mi nieśmiały uśmiech, zupełnie jakby się bała, że jestem na nią wściekła za to, co wydarzyło się u Tytanii. Ale nie byłam. Wiedziałam, że była pionkiem w grze królowej elfów, dokładnie tak jak ja. Ale nim zdołałam cokolwiek powiedzieć, wysoka kobieta podeszła do mnie i złapała kościstymi palcami za podbródek.

Czarne oczy bez tęczówek i źrenic zlustrowały moją twarz.

- Brudne - zachrypiąa, a jej głos był jak jedwab na stalowym ostrzu. - Co za przeciętne, proste stworzenie. Co według Oberona mam z tym zrobić? Nie jestem cudotwórcą.

Wyrwałam się z jej uścisku, na co satyrze panny aż pisnęły. Natomiast kobieta zdawała się rozbawiona.

- No cóż, myślę, że będzie trzeba spróbować. Mieszańcu...

- Nie nazywam się „mieszaniec” - warknęłam, mając już serdecznie dość tego słowa. - Tylko Meghan. Meghan Chase.

Kobieta nawet nie mrugnęła.

- Tak łatwo podajesz swoje pełne imię, dziecko -stwierdziła, aż zmarszczyłam brwi ze zdziwienia. - Masz szczęście, że to nie twoje Prawdziwe Imię, inaczej postawiłabyś się w bardzo nieszczęśliwym położeniu. No dobrze, Meghan Chase. Jestem pani Prząśniczka, a ty będziesz mnie uważnie słuchać. Król Oberon nakazał bym dopilnowała, abyś odpowiednio prezentowała się na dzisiejszym Elizjum. Nie pozwoli na to, by jego półkrwi córka pokazywała się Mrocznemu Dworowi w wieśniaczych łachach ani tym bardziej w ludzkim ubraniu. Powiedziałam mu, że zrobię co w mojej mocy, i aby nie oczekiwał cudów, ale zobaczymy. A teraz...

Machnęła ręką w stronę bocznego pokoju.

- ...po kolei. Śmierdzisz człowiekiem, trollem i krwią. Wykap się.

Zaklaskała, a dwie satyrzyce podbiegły do mnie.

- Smagliczka i Peonia się tobą zajmą. A teraz muszę zaprojektować ci strój, który nie wystawi twego ojca na pośmiewisko.

Spojrzałam na Smagliczkę, ale unikała mojego wzroku. W milczeniu poszłam za nimi do basenu, zdjęłam nieświeże ubrania i zanurzyłam się w gorącej wodzie.

Co za rozkosz. Unosiłam się w wodzie przez kilka minut, by ciepło wsiąkło w moje kości i uśmierzyło wszelkie bóle, jakich nabawiłam się w ciągu ostatnich trzech dni. Zastanawiałam się, czy elfy kiedykolwiek się brudzą albo pocą. Nigdy nie widziałam, żeby któryś ze szlachetnie urodzonych wyglądał gorzej niż elegancko.

Ciepło sprawiło, że ogarnęła mnie senność. Musiałam się zdrzemnąć, bo śnił mi się okropny sen o tym, jak chmary pajaków wędrują po moim ciele, oplatając mnie siecią, jakbym była wielką muchą.

Kiedy się obudziłam, drżałam i swędziało mnie całe ciało. Rżałam na łóżku, a nade mną stała pani Prząśniczka.

- No - westchnęła, gdy podnosiłam się z łóżka - nie jest to moje największe osiągnięcie, ale musi wystarczyć. Podejź tu, dziewczyno. Przejrzyj się w lustrze.

Zrobiłam, jak kazała, i zamarłam, gapiąc się z otwartymi ustami na swoje odbicie. Miałam na sobie błyszczącą srebrną suknię z materiału delikatniejszego niż jedwab. Przy każdym ruchu marszczył się jak woda, a koronkowe rękawy unosiły się wokół moich rąk, ledwo dotykając ciała. Moje włosy zostały elegancko zakręcone i upięte na głowie błyszczącymi szpilkami. Szafir wielkości dziecięcej pięści błyszczał niebiesko u szyi.

- I jak? - Pani Prząśniczka dotknęła delikatnie jednego z rękawów, podziwiając go tak, jak artysta swój ulubiony obraz. - Jak ci się podoba?

- Jest piękna - udało mi się wykrztusić, kiedy tak wpatrywałam się w elfią księżniczkę w lustrze. - W ogóle siebie nie poznałam.

Przypomniało mi się coś i zachichotałam histerycznie.

- Nie zamienię się w dynię o północy, prawda?

- Jeśli narazisz się nieodpowiednim osobom, to nie jest wykluczone. - Pani Prząśniczka odwróciła się i zaklaskała w dłonie. Jak na komendę pojawiły się Smagliczka i Peonia w prostych białych sukienkach, z zaczesanymi kręconymi włosami. Pod orzechowymi lokami Smagliczki dostrzegłam różki. Trzymała w dwóch palcach mój pomarańczowy plecak, zupełnie jakby oczekiwała, że ją ukąsi. - Kazałam dziewczętom uprać twoje ludzkie ubrania - poinformowała pani Prząśniczka, odwracając się od lustra. - Oberon kazałby je zniszczyć, ale to oznaczałoby jeszcze więcej pracy dla mnie, więc włożyłam je do twojej torby. Kiedy Elizjum się skończy, odbiorę tę suknię, więc lepiej pilnuj własnych ubrań.

- Hm, dobrze - odpowiedziałam, biorąc plecak od Smagliczki. Przez chwilę rozważałam, czy nie zostawić go tutaj, ale w końcu postanowiłam go zabrać. Oberon mógłby uznać, że go obraża, i nakazać komuś, by go spalił bez mojej wiedzy. Wciąż był mój i zawierał wszystko, co miałam w tym świecie. Z lekkim zażenowaniem zarzuciłam go na ramię - księżniczka prostaczka z wściekłe pomarańczowym plecakiem.

- Chodźmy - zaskrzeczała pani Prząśniczka, owijając wokół szyi czarny zwiewny szal. - Elizjum czeka. Aha. Mieszkańcu, napracowałam się nad tą suknią. Spróbuj nie dać się zabić.

12. Elizjum.

Przeszliśmy ciernistymi tunelami na dziedziniec. Tak jak poprzednio, pełno było na nim różnych stworzeń, ale teraz panował tu mroczny nastrój. Grała niepokojąca, dzika muzyka, a magiczne stworzenia tańczyły, skakały i brykały w nieokiełznanej pasji. Satyr ukląkł za uległą mu dziewczyną o czerwonej skórze, muskał palcami jej boki i całował ją w szyję. Dwie kobiety o lisich uszach krążyły wokół oszołomionego skrzata, a w ich złotych oczach widać było głód. Grupa szlachetnie urodzonych tańczyła w hipnotyzującym układzie, erotycznie, zmysłowo, zagubiona w dźwiękach muzyki i pasji.

Naszło mnie niesamowite pragnienie, by się do nich przyłączyć, odrzucić do tyłu głowę i wirować w rytm muzyki, nie myśląc, dokąd mnie poniesie. Na moment zamknęłam oczy, czując, jak skoczne rytmy porywają moją duszę pod niebo. Ścisnęła mnie za gardło, a ciało wprawiła w ruch. Otworzyłam zaskoczona oczy. Bezwiednie skierowałam się już w stronę tańczących.

Ugryzłam się mocno w wargę. Poczułam krew, a ostry ból przywrócił mi jasność myślenia.

Weź się w garść, Meghan. Musisz się mieć wciąż na bacności. A to oznacza, że nie będziesz jeść, tańczyć ani rozmawiać z obcymi. Skup się na tym, co masz do zrobienia.

Przy długim stole ujrzałam Oberona i Tytanię w otoczeniu rycerzy Jasnego Dworu i trolli. Król i królowa siedzieli obok siebie, ale ostentacyjnie ignorowali się nawzajem. Oberon opierał brodę na rękę i przyglądał się swoim dworzanom, Tytania siedziała tak, jakby połknęła kij. Nigdzie nie zauważyłam Puka. Byłam ciekawa, czy Oberon już go uwolnił.

- Dobrze się bawisz? - usłyszałam znajomy głos.

- Grimalkin! - wykrzyknęłam, widząc szarego kota usadowionego na brzegu wysokiej sadzawki z ogonem okręconym wokół nóg. Spojrzał na mnie od niechcienia złotymi oczami. - Co ty tu robisz?

Ziewnął.

- Ucinałem sobie drzemkę, ale wygląda na to, że może być ciekawie, więc postanowiłem się tu pokręcić. - Kot wstał przeciągnął się i spojrzał na mnie z ukosa. - A więc człowieku, jak ci się podoba życie na dworze Oberona?

- Wiedziałeś! - krzyknęłam, gdy usiadł i zaczął lizać łapę. - Od początku wiedziałeś, kim jestem. To dlatego zgodziłeś się zaprowadzić mnie do Puka: miałeś nadzieję, że uda ci się zaszantażować Oberona!

- Szantaż - powtórzył Grimalkin, mrugając leniwie -to barbarzyńskie słowo. I jeszcze wiele musisz się nauczyć o mieszkańcach Nigdyngdy, Meghan Chase. Myślisz, że inni nie postąpiliby tak samo? Tutaj wszystko ma swoją cenę. Zapytaj Oberona. A właściwie najlepiej zapytaj swojego Puka.

Chciałam go spytać, co miał na myśli, ale w tym momencie padł na mnie cień i gdy się odwróciłam, ujrzałam nachylającą się nade mną panią Prząśniczkę.

- Niedługo przybędzie Zimowy Dwór - wychrypiła, a Jej cienkie jak patyki palce zacisnęły się na moim ramieniu. - Musisz zasiąść przy stole, obok króla Oberona. Zażyczył sobie, byś do niego dołączyła. Idź! Idź!

Zwiększyła uścisk i poprowadziła mnie do stołu, przy którym zasiadali moi Letniego Dworu. Oberon celowo patrzył na mnie obojętnie, ale przepełnione nienawiścią spojrzenie Tytanii sprawiło, że miałam ochotę uciekać, gdzie pieprz rośnie. Tkwiąc pomiędzy przerażającą pajęczą panią, a królową Jasnego Dworu byłam prawie pewna, że zakończę noc jako mysz albo karaluch.

- Pozdrów swojego ojca - zasyczała mi do ucha pani Prząśniczka. po czym pchnęła mnie w kierunku króla elfów. Przełknęłam z trudem i baczenie obserwowana przez innych podeszłam do stołu.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Nie wiedziałam, co zrobić. Czułam się tak, jakbym wygłaszała przemówienie przed całą szkołą i zapomniała notatek. Spojrzałam prosząco w zielone oczy Oberona, ale nie wyrażały nic, więc tylko dygnęłam niezdarne.

Król elfów poprawił się na tronie. Zauważyłam, że dostrzegł mój pomarańczowy plecak i lekko zmrużył oczy. Obląłam się rumieńcem, ale teraz nie mogłam już go zdjąć.

- Dwór wita Meghan Chase - odezwał się Oberon sztywnym, oficjalnym tonem.

Zamilkł, jakby oczekiwał, że teraz ja coś powiem, ale głos uwiązał mi w gardle. Cisza przedłużała się, aż w tłumie ktoś zachichotał złośliwie. W końcu Oberon wskazał puste krzesło przy końcu stołu i usiadłam, czerwona jak burak, obserwowana przez cały dwór.

- Doskonałe wejście - zakpił rozbawiony kot u moich stóp. Grimalkin wskoczył na krzesło obok mojego w momencie, gdy chciałam odłożyć tam plecak.

- Od razu widać, że odziedzyczyłaś po ojcu dar wymowy. Pani Prząśniczka musi być z ciebie dumna.

- Zamknij się, Grim - wyszeptalam i wsunęłam plecak pod krzesło. Chciałam coś jeszcze dodać, ale muzyka ucichła i odezwały się trąbki.

- Przybyli - stwierdził Grimalkin, a jego oczy zwięzły się w złote szparki. Kot zdawał się wręcz uśmiechać. - To powinno być bardzo ciekawe.

Fanfary stały się głośniejsze, a na końcu dziedzińca wszechobecny kolczasty żywopłot przesunął się, odwinął i utworzył olbrzymi łuk, zdecydowanie wyższy i wytworniejszy niż wszystkie, które do tej pory widziałam. Wśród cierni rozkwitły czarne róże, a przez bramę wpadł lodowaty podmuch wiatru i oszronił okoliczne drzewa.

Przez łuk przeszedł jakiś stwór, a ja zadrżałam i to nie z powodu zimna. To był goblin. Zielony i parchaty, ubrany w elegancki czarny płaszcz ze złotymi guzikami. Rozejrzał się kaprawymi oczkami wśród zebranych. wypiął pierś i zawołał czystym, choć chropawym głosem.

- Jej Wysokość Królowa Mab. Pani Zimowego Dworu Władczyni Jesiennych Terenów, Królowa Powietrza i Ciemności!

I nadeszli mroczni.

Na pierwszy rzut oka wydawali się bardzo podobni do tych z Letniego Dworu. Małe ludziki niosące sztandar Mrocznego Dworu wyglądały jak gnomy w eleganckich płaszczach i czerwonych kapturach. A potem zauważyłam ich wyszczerzone jak u rekina zęby i szaleństwo w oczach i zorientowałam się, że to pod żadnym względem nie są przyjazne gnomy ogrodowe.

- Czerwone kapturki - rzucił Grimalkin, marszcząc nos. - Trzymaj się od nich z daleka, człowieku. Ostatnim razem, jak tu były, niezbyt rozsądna opolda wyzwala jednego z nich na lewą grę w trzy kubki i wygrała. Nie skończyło się to dobrze.

- Co się stało? - zapytałam, ciekawa, co to jest opolda.

- Zjedli ją.

Następnie wskazał na ogry, wielkie bestie o topornych, tępych twarzach i kłach ociekających śliną. Miały kajdany na rękach, a potężne karki oplatały im srebrne łańcuchy. Powłócząc nogami, szły jak otumanione goryle. Ciągnęły ręce po ziemi i nie zwracały uwagi na mordercze spojrzenia rzucone im przez trolle.

Pojawiały się coraz to nowe istoty z Mrocznego Dworu. Chude boginy jak ten z szafy Ethana skradały się zupełnie jak długonogie pająki. Prychające, syczące gobliny. Człowiek o głowie i tułowiu kudłatego czarnego capa, o ostrych rogach błyszczących groźnie w świetle. I kolejne stwory, każdy straszniejszy od poprzedniego. Patrzyły na mnie pożądliwie oblizując wargi i zęby. Na szczęście pod srogim spojrzeniem Oberona i Tytanii żaden nie odważył się podejść do stołu.

W końcu, kiedy liczba istot na polanie prawie się podwoiła, zjawiła się królowa Mab.

Nagle temperatura spadła o jakieś dziesięć stopni, jakby zapowiadała jej przybycie. Dostałam gęsiej skórki i zdrząłam, żałując, że nie mam na sobie czegoś cieplejszego niż nić pajęczka i koronki. Już chciałam przesunąć swoje krzesło, z dala od zimnego wiatru, kiedy z tunelu buchnęły kłęby śniegu i u jego wejścia ukazała się ona. Typ kobiety, która przyprawia inne o łzy zazdrości, a mężczyznom każe wszczynać wojny.

Nie była tak wysoka jak Oberon ani tak szczupła jak Tytania, ale przykuwała uwagę wszystkich. Jej włosy były tak czarne, że zdawały się chwilami aż granatowe, i spływały jej na plecy jak wodospad atramentu. Oczy miała jak otchłań, jak noc bez gwiazd, ostro kontrastujące z marmurową skórą i bladoniebieskimi ustami. Ubrana w suknię, która opinała ją jak ucieleśnienie cienia. I, podobnie jak u Oberona i Tytanii, promieniała z niej potęga.

Liczba niezwykłych stworzeń z obu dworów sprawiała, że zaczęłam strasznie się denerwować. Ale w chwili, kiedy pomyślałam, że straszniej już być nie może, pojawiła się świta Mab.

Pierwsi dwaj byli wysocy i piękni, jak reszta ich rodzaju, o ostrych rysach i wytwornych ruchach. Nosili czarno-srebrne stroje z niewymuszoną pewnością siebie typową dla możnych, a kruczoczarne włosy mieli upięte z tyłu, by podkreślić dumne, okrutne rysy.

Ciemni książęta szli za Mab z równą jej arogancją, opierając szczupłe dłonie na główkach mieczy, z powiewającymi za nimi pelerynami.

Za nimi kroczył trzeci, także ubrany w czerń i srebro. Podobnie jak tamci dwaj miał u boku miecz, a rysy jego pięknej twarzy były arystokratyczne. Ale w odróżnieniu od innych zdawał się kompletnie niezainteresowany, czy wręcz znudzony tym spotkaniem. Jego oczy w świetle księżycy rozbłysły jak srebrne monety.

Serce zamieniło mi się w okrucieństwo lodu a żołądek zaczął podchodzić pod gardło. To był on, chłopak z moich snów, ten który ścigał mnie i Puka przez las. Rozejrzałam się wokół z przerażeniem, rozważając, czy zdążę się skryć, nim mnie zauważy. Grimalkin posłał mi deprymujące spojrzenie i machnął ogonem

- To on! - jęknęłam, rzucając okiem w stronę książąt kroczących za królową. - Ten chłopak! Polował na mnie tamtego dnia w lesie, kiedy spadłam na twoje drzewo. Próbował mnie zabić!

Grimalkin zamrugał.

- To książę Ash, najmłodszy syn królowej Mab. Mówią, że jest niezłym myśliwym i spędza sporo czasu w Losoborze. zamiast na dworze królowej, tam gdzie jego bracia.

- Nie obchodzi mnie, kim on jest - wysyczałam, kurcząc się na krześle. - Nie może mnie zobaczyć. Jak stąd uciec?

Prychnięcie Grimalkina niepokojąco przypominało śmiech.

- Nie martwiłbym się tym, człowieku. Ash nie wystawi się na gniew Oberona, atakując cię na jego dworze. Zasady Elizjum zakazują przemocy. Poza tym - kot pociągnął nosem - tamto polowanie było całe dni temu. Bardzo prawdopodobne, że już o tobie zapomniał.

Spojrzałam krzywo na Grimalkina, po czym skupiłam wzrok na młodym elfie. Patrzyłam, jak kłania się Oberonowi i Tytaniu, szepcząc coś, czego nie dosłyszałam. Oberon skinął głową, a księżę cofnął się, wciąż zgięty w ukłonie. A kiedy się wyprostował, obrzucił stół jednym spojrzeniem i...

Zatrzymał wzrok na mnie. Zmrużył oczy, uśmiechnął się i skinął mi głową. Serce zaczęło mi bić mocniej i przeszedł mnie dreszcz. Ash o mnie nie zapomniał, na pewno nie.

Noc mijała, a ja zaczęłam tęsknić za pobyt w kuchni Nie tylko z powodu księcia Asha, choć to głównie w uwagi starałam się unikać. Poddani Mrocznego Dworu denerwowali mnie i sprawiali, że czułam się nieswojo. I nie tylko ja. Pomiedzy jasnymi a mrocznymi czuło się napięcie. Było oczywiste, że są odwiecznymi wrogami. Tylko przywiązanie do zasad i odpowiedniej etykiety, a także moc ich władców sprawiały, że nie doszło do krwawej jatki. A przynajmniej tak powiedział mi Grimalkin.

Uwierzyłam mu na słowo i nie ruszałam się ze swojego miejsca, starając się nie wzbudzać u nikogo zainteresowania Oberon, Tytania i Mab siedzieli przy stole przez całą noc. Trzej książęta usiedli na lewo od Mab, a ku mojej uldze Ash zajął najbardziej oddalone miejsce.

Podano jedzenie, polewano wino, a władcy rozmawiali między sobą.

Grimalkin ziewnął, zdruzony tym wszystkim, opuścił mnie i zniknął w tłumie. Po jakimś potwornie długim czasie zaczęły się występy.

Na scenę stojącą przed stołem wyskoczyło trzech kolorowo ubranych chłopców z małpimi ogonami. Pokazali niesamowite skoki i przewroty jeden nad drugim i jeden przez drugiego. Satyr grał na fletni, a ludzka kobieta tańczyła do wtóru melodii, aż stopy zaczęły jej krwawić, a na jej twarzy mieszały się przerażenie i ekstaza. Przepiękna kobieta o kozich kopytach i zębach piranii zaśpiewała balladę o mężczyźnie, który podążył za kochanką pod wody jeziora i nigdy więcej go nie widziano. Pod koniec pieśni wciągnęłam powietrze w piekące płuca i usiadłam, nieświadoma, że do tej pory nie mogłam oddychać.

W czasie występów Ash gdzieś zniknął. Zmarszczyłam brwi i zaczęłam szukać jego bladej twarzy oraz ciemnych włosów w tłumie stworzeń. Z tego, co widziałam, nie było go na dziedzińcu, nie było go też przy stole z Mab i Oberonem

Ktoś zaśmiał się za mną cicho, a mnie zamarło serce.

- A więc to jest słynny mieszaniec Oberona - zagadnął od niechcienia Ash, gdy się do niego odwracałam. Jego oczy rozbawione, zimne i nieludzkie, błyszcząły. Z bliska był jeszcze piękniejszy, o wysokich kościach policzkowych i zmierzwionych włosach opadających na oczy. Moje zdradzieckie palce aż świerbiły, żeby je przeczesać. Przerażona zacisnęłam dłonie na podołku, próbując skupić się na tym, co mówił Ash. I pomyśleć - mówił dalej z uśmiechem księżę - że zgubiłem cię tamtego dnia w lesie i nawet nie wiedziałem, kogo ścigam.

Skurczyłam się i rzuciłam okiem na Oberona i królową Mab. Byli pogrążeni w rozmowie i nie zwracali na mnie uwagi. Nie chciałam im przeszkadzać tylko dlatego, że księżę Mrocznego Dworu ze mną rozmawiał.

Poza tym teraz byłam elfią księżniczką. Nawet jeśli nie bardzo w to wierzyłam, to Ash owszem. Nabrałam głęboko powietrza, uniosłam podbródek i spojrzałam mu w oczy.

- Ostrzegam - na szczęście głos mi nie zadrżał - że jeśli czegoś spróbujesz, mój ojciec zetnie ci głowę i powiesi na ścianie jako trofeum.

Wzruszył szczupłym ramieniem.

- Są gorsze rzeczy.

Na moje przerażone spojrzenie odpowiedział słabym uśmiechem.

- Nie bój się, księżniczko. Nie złamię zasad Elizjum. Nie zamierzam narażać się na gniew Mab i ośmieszać jej przy wszystkich. Nie po to tu jestem.

- W takim razie czego chcesz?

Uklonił się.

- Zatańczyć.

- Co? - Popatrzyłam na niego zaskoczona. - Próbowaleś mnie zabić!

- Formalnie rzecz biorąc, próbowałam zabić Puka. A tak się złożyło, że akurat tam byłaś. Ale owszem, gdybym miał wtedy czysty strzał, strzeliłbym.

- To skąd pomysł, że z tobą zatańczę?

- To było wtedy. - Spojrzała na mnie bez emocji. - A teraz, jest teraz. Tradycją Elizjum jest taniec syna i córki obu dworów. Ma pokazać dobrą wolę obu stron.

- No więc to głupia tradycja. - Skrzyżowałam ramiona i spojrzałam na niego groźnie. - Możesz o tym zapomnieć Nigdzie z tobą nie pójdę.

Uniósł brew.

- Obrazisz moją władczynię, królową Mab. odmawiając mi? Weźmie to do siebie i oskarży Oberona o obrazę. A Mab potrafi bardzo, ale to bardzo długo chować urazę.

Cholera. Byłam w potrzasku. Jeśli odmówię, obrażę królową Mrocznego Dworu. Poza tym trafię na listę do odstrzału u obu królowych, Mab i Tytanii, a wtedy moje szanse na przeżycie zmniejszą się do zera.

- A więc mówisz, że nie mam wyboru?

- Ależ zawsze jest wybór. - Ash uniósł dłoń. - Nie będę cię zmuszał. Po prostu spełniam rozkazy swojej królowi Ale wiedz, że dwory tego od nas oczekują.

Uśmiechnął się wtedy gorzko i ironicznie.

- I obiecuję, że przez całą noc będę dżentelmenem w każdym calu. Masz na to moje słowo.

- Cholera. - Objęłam się rękami i próbowałam wymyślić jakieś wyjście z tej sytuacji. - I tak przyniosę ci wstyd - stwierdziłam bezczelnie. - Nie potrafię tańczyć.

- Jesteś z krwi Oberona. - W jego głosie usłyszałam rozbawienie. - Na pewno umiesz tańczyć.

Jeszcze chwilę walczyłam ze sobą.

To jest księżę Mrocznego Dworu, pomyślałam. Może on wie coś o Ethanie. Albo o tacie! Nie zaszkodzi spytać.

Wzięłam głęboki oddech. Ash czekał cierpliwie z wyciągniętą ręką, a kiedy wreszcie wsunęłam palce w jego dłoń, uśmiechnął się lekko. Miał chłodną skórę. Szybko położył sobie moją rękę na przedramieniu, a ja aż zadrżałam, czując jego bliskość. Pachniał intensywnie mrozem i czymś obcym - nie był to nieprzyjemny zapach, ale dziwny.

Razem opuściliśmy stół, a mnie aż zabolął brzuch gdy zobaczyłam setki par zwróconych na nas oczu. Przedstawiciele Jasnego i Mrocznego Dworu rozchodzili się na boki i kłaniali, kiedy szliśmy w stronę parkietu.

Kolana mi drżały.

- Nie dam rady - wyszeptałam, ściskając ramię Asha by nie upaść - Puść mnie. Chyba się rozchoruję.

- Dasz sobie radę. - Ash nie spojrzał na mnie kiedy weszliśmy na parkiet. Z wysoko podniesioną głową i miną bez wyrazu odwrócił się do trojga władców. Rozejrzałam się wśród morza twarzy i zadrżałam z przerażenia.

Ash ścisnął mocniej moją rękę.

- Po prostu pozwól mi prowadzić.

Skłonił się przed stołem Oberona, a ja dygnęłam. Król elfów skinął poważnie głową, a Ash odwrócił się do mnie. wziął mnie za rękę, a drugą położył sobie na ramieniu.

Zaczęła grać muzyka.

Ash zrobił krok do przodu, a ja prawie się przewróciłam, zagryzając wargę, gdy próbowałam podążać za jego krokami. Dreptaliśmy jakoś po parkiecie. Ja skupiałam się na tym, żeby nie upaść ani nie nadepnąć mu na palce, a Ash poruszał się z niesamowitą gracją. Na szczęście nikt nie krzyczał i niczym w nas nie rzucał, ale ja tylko kiwałam się w tę i z powrotem, marząc o tym, żeby to upokarzające przedstawienie wreszcie się skończyło.

W pewnym momencie tego koszmaru usłyszałam śmiech.

- Przestań myśleć - wyszeptał Ash, przyciągając mnie w obrocie, który zakończyłam wtulona w jego tors. - Widownia nie ma znaczenia. Kroki nie mają znaczenia. Po prostu zamknij oczy i wsłuchaj się w muzykę.

- Łatwo ci mówić - prychnęłam, ale znów mną zakręcił a szybko, że parkiet zamigotał i zamknęłam oczy.

Pamiętaj, czemu to robisz, syknął głos w moim umyśle. To dla Ethana.

Jasne Otworzyłam oczy i spojrzałam na mrocznego księcia.

- A więc - wymamrotałam z udawaną nonszalancją - Jesteś synem królowej Mab. tak?

- Wydaje mi się, że już to ustaliliśmy, ale owszem.

- A czy ona lubi... kolekcjonować rzeczy? - Ash popatrzył na mnie dziwnie, więc dodałam: - To znaczy ludzi? Ma wielu ludzi na swoim dworze?

- Trochę. - Ash znów mną zakręcił i tym razem poddałam się tańcowi. Kiedy ponownie znalazłam się w jego ramionach, oczy mu błyszczały. - Mab zwykle po kilku latach nudzi się śmiertelnikami. A wtedy albo ich uwalnia, albo zamienia w coś ciekawszego, a co?

Serce mi waliło.

- A ma na dworze małego chłopca? - zapytałam, gdy wirowaliśmy na parkiecie. - Czteroletniego? O kręconych, brązowych włosach i niebieskich oczach? Który zwykle milczy?

Ash spojrzał na mnie osobiście.

- Nie wiem - odpowiedział, ku mojemu rozczarowaniu. - Dawno nie było mnie na dworze. A nawet gdyby, to nie śledzę, jakich śmiertelników królowa zdobywa i wypuszcza.

- Och - jęknęłam, opuszczając wzrok. No cóż, w tej kwestii nic nie wskóram. - No, ale skoro nie ma cię na jej dworze, to gdzie jesteś?

Ash posłał mi mrozący uśmiech.

- W Losoborze - odpowiedział, odsuwając mnie od siebie. - Poluję. Rzadko pozwalam uciec swojej zwierzynie, więc podziękuj Pukowi, że taki z niego tchórz.

Nim zdążyłam odpowiedzieć, znów mnie do siebie przyciągnął i szepnął mi do ucha:

- Ale cieszę się, że wtedy cię nie zabiłem. Mówiłem, że córka Oberona potrafi tańczyć.

Zupełnie zapomniałam o muzyce i uświadomiłam sobie właśnie, że moje ciało działa na autopilocie i płynnie po parkiecie tak, jakby robiło to już tysiące razy. Przez chwilę nic nie mówiliśmy, pochłonięci muzyką i tańcem. Moje uczucia wznosiły się wraz z muzycznym crescendo i nie było nikogo oprócz nas, wirujących w koło.

Muzyka ucichła i Ash wykonał ze mną ostatni obrót który zakończyłam przyciśnięta do niego, z twarzą tuż przy jego twarzy o błyszczących, wyrazistych szarych oczach. Stał się tak przez chwilę, jakby czas się zatrzymał, i tylko nasze serca waliły dziko. Wszystko inne zniknęło. Ash mrugnął i uśmiechnął się delikatnie. Wystarczyło pół kroku a nasze usta by się spotkały.

Noc rozdarł krzyk, który wyrwał nas z transu. Książę puścił mnie i się odsunął, a jego twarz znów przybrała nieprzenikniony wyraz.

Znów rozległ się krzyk, a po nim potężny ryk, który wstrząsnął stołami i sprawił, że piękne kryształowe puchary pospadały na ziemię.

Zobaczyłam, jak nad głowami zebranych trzęsie się żywopłot z jeżyn. Jakiś wielki stwór próbował go pokonać. Przedstawiciele obu dworów zaczęli wrzeszczeć i się przepychać, aż wstał Oberon i grmiącym głosem nakazał spokój. Na chwilę wszyscy zamarli.

Pod naporem potężnych pazurów jeżyny rozstały się z hukiem. Krew spływała po płowej sierści potwora - i to nie takiego małego, kryjącego się pod łóżkiem bogina, który wyskakuje, żeby postraszyć, ale prawdziwego potwora, który może rozerwać brzuch i wypruć wnętrzności. Miał trzy potworne głowy - lwa, z którego szczęk zwisał zakrwawiony satyr, kozy o szalonych białych oczach i syczącego smoka, z którego zębów kapał płynny ogień. Chimera.

Potwór zamarł na moment, obserwując przyjęcie, które baśnie zakłócił, i mrugając naraz wszystkimi trzema parami oczu. Martwy satyr, przeżuty teraz na miążgę, upadł na ziemię. a ktoś z tłumu zaczął krzyczeć.

Chimera zaryczała ogłuszająco na trzy głosy. Tłum zaczął uciekać, gdy potwór przycisnął się do skoku i rzucił do boju. Wylądował obok uciekającego czerwonego kapturka, machnął pazurzastą łapą i wypruł mu wnętrzności. Czerwony kapturek potknął się i upadł, zaciskając łapy na rozplatanym brzuchu, a chimera zawróciła i rzuciła się na trolla, powalając go na ziemię. Troll prychnął, złapał lwia paszczę za gardło i trzymał z dala od siebie, ale wtedy zaatakowała głowa smoka, zacisnęła szczęki na szyi trolla i skrzyła mu kark. Ciemna krew trysnęła strumieniem i wypełniła trze mdlącym odorem miedzi. Troll zadrżał i znieruchomiał. Z krwią kapiącą z pyska chimera uniosła wzrok i spostrzegła mnie, wciąż nieruchomą na parkiecie. Skoczyła z rykiem i wylądowała na brzegu parkietu.

Mój umysł krzyczał, bym uciekła, ale nie mogłam się ruszyć. Mogłam tylko patrzeć z obojętną fascynacją, jak bestia przysiadła, a jej mięśnie przeżyły się pod okrwawionym futrem. Owiał mnie jej gorący oddech, śmierdzący krwią i po. psutym mięsem. Zauważyłam skrawek czerwonego materiału zwisającego z lwiego zęba.

Chimera rzuciła się na mnie z rykiem, a ja zamknęłam oczy, licząc na to, że koniec przyjdzie szybko.

13. Ucieczka z Jasnego Dworu.

Coś uderzyło we mnie i odepchnęło na bok. Kiedy upadłam ból przeszył mi ramię i otworzyłam z krzykiem oczy.

Pomiędzy mną a chimera stał z uniesionym mieczem Ash. Klinga lśniła błękitnie, spowita szronem i mgłą. Potwór zaryczał i rzucił się na Asha, ale on uskoczył, wywijając mieczem. Zamrożona klinga wbiła się w łapę chimery, wydobywając z jej gardzieli prawie ludzki krzyk. Znowu rzuciła się do ataku, ale Ash przeturlał się na bok. Podniósł się szybko, wyciągnął przed siebie rękę, a z jego palców buchnęło błękitne światło. Kiedy potwór skoczył na niego, Ash machnął ręką, posyłając w bok chimery błyszczące lodowe odłamki. Potwór ryknął.

- Do broni! - potężny głos Oberona wzniósł się ponad ryki chimery. - Rycerze, powstrzymajcie bestię! Chrońcie posłów! Szybko!

Usłyszałam też głos Mab, która nakazała swoim poddanym przyłączyć się do ataku. Przybywało coraz więcej stworzeń, które wskakiwały na parkiet z bronią i wojennymi okrzykami, inne z wyszczerzonymi kłami i pazurami. Mniej wojownicze stworzenia uciekały, by ratować swoje życie. Trolle i ogry atakowały zwierzę potężnymi, nabijanymi ćwiekami maczugami, czerwone kapturki wbijały weń zaśnieżone, brązowe noże, a rycerze Jasnego Dworu, wymachując ognistymi mieczami, otaczali je z boków.

Widziałam, jak bracia Asha włączyli się do bitwy, Wbijając lodowe ostrza w plecy potwora. Chimera znowu zaryczała ciężko ranna i oszołomiona taką liczbą przeciwników, A potem uniosła buchającą parą smoczą głowę i zionęła płynnym ogniem w otaczający ją tłum. Kilko atakujących padło ziemię z krzykiem i wiło się w konwulsjach, gdy ich ciała się stopiły, aż zostały tylko kości. Potwór próbował uciec, ale magiczne istoty otoczyły go gęściej, dżgając i utrzymując w tym samym miejscu.

A kiedy ostatni cywil opuścił parkiet, powstał król Jasnego Dworu, o nieludzkiej, przerażającej twarzy i unoszących się na wietrze długich srebrnych włosach. Uniósł ręce. a ziemia zadrżała. Talerze klekotały i spadały na ziemię, drzewa się trzęsły, a elfy i inne stworzenia odsunęły się od potwora Chimera zawarczała i zaczęła kasać powietrze. Miała zmęczony, zdeorientowany wzrok, zupełnie jakby nie wiedziała, co się dzieje.

Parkiet - metr litego marmuru - rozpadł się z ogłuszającym trzaskiem, przebity przez potężne korzenie. Grube i stare, pokryte błyszczącymi cierniami oplotły chimere jak olbrzymie węże i wbiły się w jej futro. Potwór zaryczał, szarpiąc żywy las pazurami, ale korzenie wciąż się na nim zaciskały.

Magiczne stwory znowu rzuciły się do ataku. Chimera walczyła dalej, szarżując śmiertelnymi kłami i pazurami, łapiąc nimi tych, którzy podeszli zbyt blisko. Jeden z ogrów uderzył maczugą w bok potwora, ale sam otrzymał potężny cios łapą, która rozdarła mu ramię. Rycerz Jasnego Dworu zadał ranę smoczemu głowie, ale ta odpłaciła mu, ziejąc ogniem. Rycerz z krzykiem rzucił się do tyłu, a smok uniosł głowę i spojrzał na króla elfów, który z półprzymkniętymi dla koncentracji oczami stał przy stole. Smok obnażył kły i nabrał powietrza. Krzyknęłam do Oberona, ale mój ojciec zniknął w chaosie bitwy, i wiedziałam, że ostrzeżenie dotrze do niego zbyt późno.

I wtedy pojawił się Ash. Ominął pazury potwora i wziął zamach mieczem. Jednym ciosem odrąbał smoczą głowę, która z obrzydliwym plaśnięciem padła na marmurową posadzkę. Ash zwinnie odbiegł, omijając wijącą się smoczą szyję, z której tryskały krew i płynny ogień. Magiczne stworzenia wyły z bólu. Kiedy Ash umykał przed strumieniem lawy, troll włócznie przebił na wylot lwią paszczę, a trzem czerwonym kapturkom udało się jakoś ominąć pazurzaste łapy potwora i rzucić się na kozią głowę, gryząc i wbijając w nią noże.

Chimera poderwała się, rzuciła w bok. aż wreszcie w agonicznych drgawkach padła w sieć gałęzi. Gdy skonała, czerwone kapturki dalej atakowały.

Walka się skończyła, pozostał tylko krajobraz po bitwie. Zwęglone, poskręcane i poranione ciała leżały na rozbitej posadzce jak popsute zabawki. Ciężko ranni krzywili się z bólu. Powietrze było przesiąknięte przytłaczającym zapachem krwi i spalonych ciał.

Żołądek mi się skręcił, odwróciłam głowę od tego przerażającego widoku, podczołgałam się do brzegu parkietu i zwymiotowałam w różane krzaki.

- Oberonie!

Ten okrzyk przyprawił mnie o dreszcze. Królowa Mab o płonących oczach wskazywała króla elfów palcem okrytym rękawiczką.

- Jak śmiesz?! - wrzasnęła, a ja zadrżałam, kiedy temperatura opadła do zera. Szron pokrył gałęzie i zaczął wędrować po ziemi. - Jak śmiesz podczas Elizjum nasyłać na nas tego potwora, gdy my przybyliśmy tu, wierząc w twoje dobre intencje? Zerwałeś przymierze i nie wybaczę ci tego!

Oberon miał zboląłą minę, ale królowa Tytania poderwała się gwałtownie.

- Śmiesz?! - krzyknęła, a nad jej głową przeleciała błyskawica. - Śmiesz oskarżać nas o wezwanie tego potwora? To na pewno sprawka Mrocznego Dworu, by osłabić nas we własnym domu!

Stwory zaczęły między sobą szeptać, rzucając podejrzliwe spojrzenia na te z przeciwnego dworu, mimo że jeszcze kilka chwil temu walczyły razem ramię w ramię. Czerwony kapturek, któremu po brodzie ciekła czarna krew chimery, zeskoczył z parkietu, by mi się przyjrzeć. W jego kaprawych oczkach czaił się głód.

- Czuję człowieka - zapiszczał i oblizał się lubieżnie. Czuję krew młodej dziewczyny, słodsze mięsko niż tego potwora.

Odbiegłam na drugą stronę parkietu, ale on szedł za m

- Chodź do mnie, maleńka - zanucił. - Mięso potwor-jest gorzkie, a młodych ludzi słodziutkie. Chcę tylko skosztować. Może paluszek?

- Odsuń się. - Ash pojawił się znikąd. Wyglądał groźnie z twarzą poplamioną ciemną krwią. - Dość już mamy kłopotów, nie musisz na dodatek zjadać córki Oberona. Zmykaj stąd.

Czerwony kapturek prychnął i zwiął. Elf odetchnął głęboko, odwrócił się do mnie i zmierzył wzrokiem od stóp do głów.

- Jesteś ranna?

Pokręciłam głową.

- Uratowałeś mi życie - wyszeptalam.

Już chciałam powiedzieć „dziękuję”, ale się powstrzymałam, bo wyglądało na to, że w świecie elfów te słowa stawiają mówiącego w pozycji dłużnika. Naszła mnie nieprzyjemna myśl.

- N...nie jestem ci teraz nic winna? - zapytałam z niepokojem.

Uniósł brew, a ja przełknęłam z trudem.

- Nie mam wobec ciebie długu na życie ani nie muszę zostać twoją żoną, prawda?

- Nie, chyba że nasi państwo zdecydowali tak bez naszej wiedzy.

Ash rzucił okiem na kłócących się władców. Oberon próbował uciszyć Tytanię, ale ona nie chciała o tym słyszeć i zwróciła swój gniew przeciw mężowi Mab.

- Ale mam wrażenie, że wszelkie umowy zostały właśnie oficjalnie zarwane. A to pewnie będzie oznaczało wojnę.

- Wojnę? - Cos zimnego dotknęło mojego policzka, kiedy uniosłam głowę, ujrzałam, jak z poprzecinanego błyskawicami nieba pada śnieg. Było w tym jakieś upiorne piękno. Aż zadrżałam.

- I co wtedy?

Ash podszedł bliżej. Uniósł dłoń i odgarnął mi z twarzy kosmyk włosów. Dreszcz przeszedł mnie od czubka głowy aż po palce u stóp. Kiedy się nachylił, jego zimny oddech połaskotał mi ucho.

- Zabiję cię - wyszeptał i odszedł, by dołączyć przy stole do swoich braci. Nie odwrócił się więcej.

Dotknęłam miejsca, gdzie jego palce otarły się o moją skórę. Byłam zarazem przerażona i aż kręciło mi się w głowie z zachwyty.

- Uważaj, człowieku. - Grimalkin pojawił się na brzegu marmurowego parkietu, skryty w cieniu martwej chimery. - Nie oddawaj serca elfiemu księciu. To nigdy nie kończy się dobrze.

- A kto cię pytał? - Spojrzałam na niego groźnie. - I dlaczego zawsze pojawiaasz się nieproszony? Dostałeś swoją zapłatę. Czemu wciąż się za mną kręcisz?

- Bo jesteś zabawna - wymruczał Grimalkin. Skierował na chwilę złote spojrzenie na władców. - I bardzo się tobą interesują król i królowe. A to sprawia, że jesteś cennym pionkiem. Ciekaw jestem, co teraz zrobisz, skoro już wiesz, że twój brat nie jest na ziemiach Oberona?

Spojrzałam na Asha, który z kamienną twarzą stał obok braci, podczas gdy Mab i Tytania kłóciły się zawzięcie. Oberon próbował je uspokoić, ale bezskutecznie.

- Muszę iść do Mrocznego Dworu - wyszeptałam, a Grimalkin się uśmiechał. - Będę musiała poszukać Ethana na Ziemiach królowej Mab.

- Tak sądzę - zamruczał kot, wpatrując się we mnie spod półprzymkniętych powiek. - Tyle że nie wiesz, gdzie jest Mroczny Dwór prawda? Świta Mab przybyła tu w latających powozach. Jak zamierzasz tam trafić?

- Może zakradnę się do jednego z powozów. Przebiorę się - mruknęłam.

Grimalkin parsknął śmiechem.

- Jeśli nawet nie wywączają cię czerwone kapturki, to zrobią to ogry. Nim dotrzesz do Tir Na Nog, zostaną z ciebie same kości. - Ziewnął i oblizał przednią łapę. - Jaka szkoda, że nie masz przewodnika. Kogoś, kto zna drogę...

Spojrzałam na kota. Zaczął we mnie wrzeć gniew, gdy zrozumiałam, co próbował mi powiedzieć.

- Znasz drogę do Mrocznego Dworu - odezwałam się cicho.

Grimalkin przesunął łapą po uszach.

- Może.

- I zabierzesz mnie tam - mówiłam dalej - za drobną przysługę.

- Nie - odpowiedział, patrząc mi w oczy. - Nie ma nic drobnego w podróży na Mroczne Ziemie. Moja cena będzie wysoka, człowieku. Nie łudź się. A teraz musisz się zastanowić, ile jest dla ciebie wart twój brat.

Zamilkłam i spojrzałam w stronę stołu, gdzie dalej kłóciły się królowe.

- Czemu miałabym przyzywać potwora? - zapytała Mab, posyłając Tytanii szyderczy uśmiešek. - Też straciłam lojalnych poddanych. Czemu miałabym szczuć to zwierzę na własny orszak?

Tytania odwzajemniła się takim samym uśmiechem.

- Nie obchodzi cię, kogo zabijasz - prychnęła - o ile tylko osiągniesz swój cel. To bardzo sprytna sztuczka, aby osłabić nasz dwór bez ściągania na siebie podejrzeń.

Mab aż zadrżała z wściekłości, a do śniegu dołączył zacinający deszcz.

- A teraz oskarżasz mnie o zabijanie własnych poddanych! Nie będę tego więcej słuchać! Oberonie!
- Szczercząc zęby, odwróciła się do króla elfów. - Odnajdź tego, kto jest za to odpowiedzialny! - zasyczała, a włosy skręcały się wokół jej twarzy jak węże. - Odnajdź ich i oddaj mnie, albo przygotuj się na gniew Mrocznego Dworu.

- Pani Mab. - Oberon uniósł rękę. - Nie bądźmy pochopni. Na pewno zdajesz sobie sprawę z tego, co to będzie dla nas znaczyło.

Twarz Mab nie zmieniła wyrazu.

- Będę czekać do Nocy Letniej - oświadczyła z kamienną twarzą. - Jeśli Jasny Dwór nie przekaze mi sprawców, którzy odpowiadają za tę potworność, to niech szykuje się do wojny.

Odwróciła się do swoich synów, którzy czekali w ciszy na rozkazy.

- Wezwijcie naszych uzdrowicieli. Zbierzcie rannych i zabitych. Dziś w nocy wracamy do Tir Na Nog.

- Jeśli zamierzasz się zdecydować - odezwał się cicho Grimalkin - to zrób to szybko. Bo kiedy odjadą, Oberon nie da ci odejść. Jesteś zbyt cenna, aby stracić cię dla Mrocznego Dworu. Zatrzyma cię tutaj wbrew twojej woli, uwięzi, jeśli będzie taka potrzeba, byle tylko utrzymać cię z dala od Mab. Możliwe, że dziś jest ostatnia okazja, by stąd uciec i odnaleźć twojego brata.

Obserwowałam, jak Ash i jego bracia znikają w tłumie mrocznych stworzeń. Spojrzałam na ponurą, przerażającą twarz króla elfów i podjęłam decyzję.

Nabrałam głęboko powietrza.

- No dobra. Wyośmy się stąd.

Grimalkin wstał.

- Świetnie - stwierdził. - Ruszamy natychmiast. Nim opanują ten chaos i Oberon sobie o tobie przypomni.

Spojrzał na mój wytworny strój i zmarszczył nos.

- Przyniosę twoje rzeczy. Zaczekaj tutaj i spróbuj nie ściągać na siebie uwagi.

Machnął ogonem i zniknął w cieniu.

Stałam obok martwej chimery i rozglądałam się nerwowo wokół, starając się nie rzucać Oberonowi w oczy.

Coś małego wypadło z lwiej grzywy, rozbłysło w świetle i uderzyło w marmur z cichym brzękiem. Zaciekawiona podeszłam ostrożnie, nie spuszczać oka z pożywiających się padliną czerwonych kapturków. Przedmiot zabłyszczał metalicznie, gdy przy nim uklęknęłam. Podniosłam go i obróciłam w dłoni.

Wyglądał jak mały metalowy robak, okrągły, podobny do kleszcza, wielkości paznokcia mojego małego palca. Cienkie metalowe nóżki miał podwinięte pod brzusek, dokładnie tak, jak nogi u martwych owadów. Był pokryty czarną substancją i z przerażeniem uświadomiłam sobie, że to krew chimery.

Kiedy tak na niego patrzyłam, zamachał nóżkami i przekręcił się na brzuch. Krzyknęłam i rzuciłam go na ziemię a on popędził po marmurowej posadzce i wcisnął się w jakąś szparę, ginąc mi z oczu.

Ścierałam akurat krew chimery z rąk - okazało się, że pozostawia plamy na skórze - kiedy znikąd pojawił się Grimalkin i przyniósł mój pomarańczowy plecak.

- Tędy - szepnął i poprowadził mnie w stronę drzew.

- Przebierz się szybko - polecił, kiedy skryliśmy się pod cienistymi gałęziami. - Nie mamy wiele czasu.

Rozpięłam plecak i wysypałam ubrania na ziemię. Zaczęłam zdejmować sukienkę, kiedy uświadomiłam sobie, że Grimalkin nadal mnie obserwuje. Oczy świeciły mu w ciemności.

- Odrobinę prywatności, jeśli łaska - zażądałam.

Kot zasyczał.

- Nie masz nic, co by mnie interesowało, człowieku. Pośpiesz się.

Krzywiąc się, zdjęłam suknię i ubrałam się w stare, wygodne ciuchy. Kiedy wkładałam tenisówki, zauważyłam, że Grimalkin patrzy na dziedziniec. Trzech jasnych rycerzy kierowało się przez trawnik w naszą stronę. Wyglądało na to, że kogoś szukają.

Grimalkin położył uszy po sobie.

- Już zauważyli, że cię nie ma. Tędy!

Ruszyłam za kotem przez cienie w stronę żywopłotu otaczającego dziedziniec. Kiedy podeszliśmy, jeżyny rozstały się ukazując wąską dziurę, w sam raz żeby precyzyjnie się na kolanach. Grimalkin wsunął się w nią bez mrugnięcia okiem. Skrzywiłam się, uklęknęłam i popęzłam za kotem, ciągnąc za sobą plecak.

Tunel był ciemny i pełen zakrętów. Czołgając się przez poskręcany kolczasty labirynt, z tuzin razy nabiłam się na ciernie. Kiedy przeciskałam się przez wyjątkowo wąski odcinek, a kolce wbijały mi się we włosy, ubrania i skórę, zaczęłam kląć. Grimalkin spojrzał przez ramię, mrugając świecącymi oczami, a ja się wzdrygnęłam.

- Spróbuj nie krwawić tak bardzo na ciernie - rzucił gdy nadziałam się na kolejny ręką i zasyczałam z bólu. - Nie wiadomo, kto nas śledzi, a ty zostawiasz wyraźny trop.

- Jasne, bo przecież wykrwawiam się tu dla draki. - Włosy zaplątały mi się w jeżyny i wyplątywałam je z trudem. - Daleko jeszcze?

- Nie. Idziemy skrótem.

- To jest skrót? A co, doprowadzi nas do ogrodu Mab. czy jak?

- Niezupełnie. - Grimalkin usiadł i podrapał się za uchem. - Ta ścieżka prowadzi nas z powrotem do twojego świata.

Uniosłam gwałtownie głowę i nadziałam się na kolejne ciernie, aż łzy mi napłynęły do oczu.

- Co? Mówisz poważnie? - Ogarnęły mnie ulga i podniecenie. Będę mogła wrócić do domu! Zobaczę mamę! Na pewno strasznie się o mnie martwi. Będę mogła pójść do własnego pokoju i...

Zamarłam, a balonik radości, który pęczniał mi w środku gwałtownie oklapł.

- Nie. Nie mogę jeszcze wrócić do domu - dodałam przez ściśnięte gardło. - Nie bez Ethana.

Zagryzłam wargę i stanowczo spojrzałam na kota.

- Myślałam, że zabierasz mnie do Mrocznego Dworu Grim. '

Kot ziewnął, jakby był tym wszystkim znudzony.

- Zabieram. Mroczny Dwór leży znacznie bliżej twojego świata niż ziemie Jasnego Dworu. Szybciej będzie wejść na ziemie śmiertelników i stamtąd dostać się do Tir Na Nog.

- Och... - Zamyśliłam się chwilę. - Ale w takim razie czemu Puk przyprowadził mnie tutaj przez Losobór? Jeśli do Mrocznego Dworu łatwiej dostać się z mojego świata, to czemu nie poszliśmy tamtędy?

- Kto wie? Ścieżki, drogi prowadzące do krainy Nigdynigdy, trudno znaleźć. Niektóre wciąż się zmieniają. Większość prowadzi prosto do Losoboru. Tylko nieliczne prowadzą na ziemie Jasnego lub Mrocznego Dworu i są strzeżone przez potężnych strażników. Ścieżka, którą teraz kroczymy, wiedzie tylko w jedną stronę. Kiedy nią przejdziemy, nie będziemy mogli z niej znów skorzystać.

- Nie ma innej drogi?

Grimalkin westchnął.

- Z Losoboru prowadzą też inne drogi do Tir Na Nog. Ale narazilibyśmy się na spotkanie z żyjącymi tam stworami. Miałas już okazję poznać gobliny, a to wcale nie najgorsze, co mogło ci się przydarzyć. Poza tym będą na ciebie polować strażnicy Oberona, a Losobór będzie pierwszym miejscem, w którym zaczną szukać. To jest najszybsza droga do Mrocznego Dworu. Więc decyduj, człowieku. Nadal chcesz tam dotrzeć?

- Nie mam chyba specjalnego wyboru, prawda?

- Wciąż to powtarzasz - zauważył Grimalkin - ale zawsze jest wybór. Sugeruję, abyśmy przestali gadać i ruszyli. Śledzą nas.

Szliśmy dalej, przeciskając się przez jeżynowy tunel, nadziewając się na ciernie, aż zupełnie straciłam poczucie czasu i kierunku. Na początku próbowałam unikać drapiących jeżyn, ale wciąż się na nie nabijałam i o nie kaleczyłam, aż w końcu przestałam się przejmować. Co ciekawe, gdy tylko sobie odpuściłam, zaczęło mi iść dużo łatwiej. Kiedy wreszcie przestałam wlec się jak ślimak, Grimalkin narzucił stałe tempo marszu, a ja starałam się za nim nadążyć. Od czasu do czasu natykałam się na boczne tunele w innych kierunkach, a nawet widziałam jakieś poruszające się cienie, ale nigdy nie dostrzegłam nikogo wyraźnie.

Skręciliśmy za róg i nagle trafiliśmy na cementową rurę. To był odpływ. Przez dziurę widziałam błękitne niebo i przestrzeń. Co dziwne, po drugiej stronie było słonecznie.

- Tędy przechodzi się do świata śmiertelników - poinformował Grimalkin. - Pamiętaj, że kiedy przejdziemy, nie będziemy mogli tędy powrócić do krainy Nigdynigdy. Będziemy musieli znaleźć inną ścieżkę.

- Wiem - odpowiedziałam.

Grimalkin postawił mi długie, niepokojące spojrzenie.

- Pamiętaj też o tym, człowieku, że byłaś w krainie Nigdynigdy. Urok został zdjęty z twoich oczu. I chociaż inni śmiertelnicy nie zauważą u ciebie nic dziwnego, to ty będziesz widzieć wszystko trochę... inaczej. Więc spróbuj nie reagować przesadnie.

- Inaczej? To znaczy?

Grimalkin się uśmiechnął.

- Zobaczysz.

Wyszliśmy z kanału ściekowego na świat pełny warkotu silników samochodowych i ulicznych hałasów, szokujący po tak długim pobycie w dzicy. Byliśmy gdzieś w centrum. Wokół nas wznosiły się wieżowce. Studzienka ściekowa znajdowała się na chodniku, a dalej ciągnęła się zakorkowana ulica, zaaferowani ludzie pędzili przed siebie, skupieni na własnych sprawach. Wyglądało na to, że nikt nie zwrócił uwagi na kota i lekko zakrwawioną nastolatkę, którzy wynurzyli się z kanału.

- Świetnie. - Mimo zmartwień byłam szczęśliwa, że znów jestem w moim znanym świecie i zadziwiona otaczającymi nas olbrzymimi budynkami ze szkła i metalu. Powietrze było przyjemnie chłodne, a chodniki pokrywała mokra breja.

Wykręcając szyję, spojrzałam w górę na drapacze chmur i aż mi się zakręciło w głowie, bo zdawały się chwiać na wietrze. W moim miasteczku w Luizjanie niczego takiego nie było.

- Gdzie jesteśmy?

- Detroit. - Grimalkin zmrużył oczy i rozejrzał się po mieście i wśród jego mieszkańców. - Chwileczkę. Już dawno mnie tutaj nie było. Niech pomyślę.

- Detroit, w Michigan?

- Cii...

Gdy on rozmyślał, z tłumu wyłonił się wysoki człowiek w zniszczonej bluzie z kapturem i ruszył w naszą stronę. W ręku ścisnął opakowaną w papier butelkę. Wyglądał jak bezdomny, chociaż nigdy w życiu żadnego nie widziałam. Nie bałam się za bardzo. Staliśmy na ruchliwej ulicy, wokół było mnóstwo ludzi, którzy usłyszeliby moje krzyki, gdyby czegoś spróbował. Pewnie poprosi mnie o drobne albo papierosa i pójdzie dalej.

Ale kiedy się zbliżył, uniósł głowę, a ja ujrzałam pomarszczoną, brodatą twarz i sterczące z paszczy zakrzywione kły. Pod kapturem świeciły żółte, skośne jak u kota oczy. Podskoczyłam, gdy podszedł bliżej. Jego smród prawie mnie powalił. Śmierdział padliną, zbukami i gnijącą rybą. Zacharczałam i prawie zwróciłam śniadanie.

- Piękna panienko - warknął, wyciągając do mnie pazury. - Przybyłaś stamtąd, prawda? Odeślij mnie tam. Odeślij!

Cofnęłam się, a Grimalkin wskoczył między nas napuszony tak, że zrobił się dwa razy większy. Jego rozdzierające miauknięcie powstrzymało nieznajomego, a oczy rozszerzyły mu się z przerażenia. Wydał zduszony okrzyk, odwrócił się i uciekł, potracając po drodze przechodniów. Ludzie klęli i rozglądali się wokół, ale wyglądało na to, że nikt nie dostrzegł uciekiniera.

- Co to było? - zapytałam Grimalkina.

- Norrgen. - Kot westchnął. - Obrzydliwe stwory. I jeśli potrafisz uwierzyć, boją się kotów. Pewnie został kiedyś wygnany z Nigdynigdy. To by wyjaśniało, czemu chciał, żebyś go odesłała z powrotem.

Rozejrzałam się za norrgenem, ale nigdzie nie było go widać-

- Czy wszystkie stworzenia z Nigdynigdy. które są świecie ludzi, to wygnańcy?

- Oczywiście, że nie. - Grimalkin popatrzył na mnie z pogardą, a nikt nie okazuje pogardy lepiej niż koty. - Wielu decyduje się żyć tutaj i krąży między tym światem a krainą Nigdynigdy jak chcą, o ile tylko potrafią znaleźć ścieżkę. Niektóre, jak domowe i boginy, na zawsze straszą w tym samym domu. Inne wtapiają się w ludzkie społeczności, udają śmiertelników i żywią się ich marzeniami, emocjami i talentem. Zdarza się nawet, że pobierają się z wyjątkowo uzdolnionymi śmiertelnikami, aczkolwiek ich dzieci są odrzucane przez magiczną społeczność, a nieśmiertelny rodzic zwykle porzuca rodzinę, jeśli sytuacja za bardzo się skomplikuje. Oczywiście, są i tacy, którzy zostali wygnani do świata śmiertelników. Starają się przetrwać, jak potrafią, ale zbyt długi pobyt w świecie ludzi dziwnie na nich działa. Może to ilość żelaza i technologii jest dla nich zabójcza. Zaczynają się zatracać po trochu, aż w końcu stają się tylko cieniem tego, czym byli wcześniej, pustą łupiną okrytą urokiem, by wyglądać zwyczajnie. Ostatecznie zanikają.

Spojrzałam z niepokojem na Grimalkina.

- Czy to ci grozi? Albo mnie? - Pomyślałam o iPodzie. i o tym, jak Smagliczka odskoczyła od niego przerażona. Nagle przypomniałam sobie, że Robbie nigdy nie pojawiał się na zajęciach z informatyki. A ja myślałam, że on po prostu nie cierpi maszynopisania. Nie miałam pojęcia, że to dla niego śmiertelne zagrożenie.

Grimalkin zdawał się niewzruszony.

- Może, gdybym został tu wystarczająco długo. Może po jakichś dwóch czy trzech dekadach, ale nie zamierzam tu spędzać tyle czasu. A co do ciebie, to jesteś w połowie człowiekiem. Twoja krew śmiertelników chroni cię przed żelazem i marnymi owocami nauki i techniki. Nie martwiłbym się za bardzo na twoim miejscu.

- A co jest nie tak z nauką i techniką?

Grimalkin naprawdę przewrócił oczami.

- Gdybym wiedział, że ta rozmowa się zmieni w historię, wybrałbym jakieś lepsze miejsce na salę wykładową. - Machnął ogonem i usiadł. - Nie spotkasz nigdy magicznych stworzeń na pikniku naukowym. A czemu? Bo nauka ma na celu dowodzenie teorii i wyjaśnianie zasad działania wszechświata. Nauka upycha wszystko w eleganckie, logiczne i dobrze wyjaśnione pakunki. A my jesteśmy magiczni kapryśni, nielogiczni i nie do wyjaśnienia. Nauka nie może dowieść naszego istnienia, więc logicznie rzecz ujmując, nie istniejemy. A ten typ niewiary jest dla nas zabójczy.

- A co z Robbiem... eee... Pukiem? - zapytałam, nie wiedząc, czemu mi to nagle wpadło do głowy. - Jak mógł trzymać się tak blisko mnie, chodzić do szkoły i tak dalej, mając wokół tyle żelaza?

Grimalkin ziewnął.

- Robin Koleżka to bardzo stara magiczna istota -stwierdził, a mnie aż skręciło, gdy spróbowałam tak myśleć o Robbiem. - A do tego powstały o nim ballady, poematy i opowieści, więc jest właściwie nieśmiertelny tak długo, jak pamiętają o nim ludzie. Nie żeby był odporny na żelazo i technologię, o nie. Puk jest silny, ale nawet on nie może oprzeć się jej efektom.

- Zabiłaby go?

- Wolno, trwałoby to długo. - Grimalkin spojrział na mnie poważnie. - Nigdy nie umiera, człowieku. Z każdym rokiem staję się mniejsza i mniejsza. Za dużo postępu, za dużo technologii. Śmiertelnicy tracą wiarę we wszystko poza nauką. Nawet ludzkie dzieci są pochłonięte postępowaniem. Śmieją się ze starych opowieści, a przyciągają je najnowsze gadżety, komputery, gry wideo. Nie wierzą już w potwory i magię. Wraz z powiększaniem się miast technologia przejmuje świat. Wiara i wyobrażenia zanikają, a my razem z nią.

- Co możemy zrobić, by to zatrzymać? - zapytałam.

- Nic - Grimalkin podniósł tylną nogę i podrapał się w ucho - Może Nigdy nie wytrzyma do końca świata. A może zniknie za kilka wieków. Wszystko w końcu umiera, człowieku - A teraz, jeśli nie masz już więcej pytań, to może ruszymy.

- Ale jak Nigdy nie umrze, ty też znikniesz?

- Jestem kotem - odpowiedział Grimalkin, jakby to cokolwiek wyjaśniało.

Szłam chodnikiem za Grimalkinem, aż słońce zaszło za horyzont i zapaliły się latarnie.

Wszędzie dostrzegałam magiczne istoty. A to mijaly nas na ulicy, a to ukrywały się w ciemnych zaułkach. Biegały po dachach i skakały po liniach wysokiego napięcia. Zastanawiałam się, jak mogłam tego wcześniej nie dostrzegać. I przypominałam sobie rozmowę z Robbiem w moim salonie, tak dawno temu. Całe wieki temu. „Jak zaczniesz to widzieć, nie będziesz już mogła przestać. Wiesz, co mówią: czasami lepiej jest nie wiedzieć, prawda?”

Gdybym tylko wtedy go posłuchała.

Grimalkin poprowadził mnie jeszcze kilka przecznic dalej, po czym nagle się zatrzymał. Po drugiej stronie ulicy był dwupiętrowy klub, rozświetlony różowymi i niebieskimi neonami, wyróżniał się w ciemności. Nazywał się Niebieski Chaos. Młodzi ludzie ustawiali się przed klubem, a światło objaśniało ich kolczyki, ćwieki i tlenionych włosów. Dudniła muzyka.

- Jesteśmy - oświadczył zadowolony z siebie Grimalkin. - Energia wokół tej ścieżki nigdy się nie zmienia, choć kiedy byłem tu ostatnim razem, wyglądało to inaczej.

- Klub jest ścieżką?

- Ścieżka jest w klubie - podkreślił cierpliwie Grimalkin.

- Nigdy się tam nie dostanę - odpowiedziałam kotu, patrząc na klub. - Ta kolejka ma z kilometr długości i na pewno nie wpuszczają tam nieletnich. Nie dotrę nawet do wejścia”

- Myślałem, że Puk więcej cię nauczył. - Grimalkin westchnął i zniknął w najbliższej uliczce. Zdezorientowana poszłam za nim, zastanawiając się, czy ruszamy w inną stronę. Ale kot wskoczył do przepelnionego kosza na śmieci i spojrział na mnie, a jego żółte oczy świeciły w ciemności jak dwa księżycy. - A teraz - zaczął, machając ogonem - słuchaj uważnie, człowieku. Jesteś w połowie elfem. Co więcej jesteś córką Oberona i najwyższy czas, żebyś nauczyła się korzystać z części tych mocy, których wszyscy tak strasznie się obawiają.

- Nie mam żadnych...

- Oczywiście, że masz. - Grimalkin zmrużył oczy. - Śmierdzisz mocą. I to dlatego wszystkie magiczne stworzenia tak intensywnie na Ciebie reagują. Nie wiesz po prostu, jak jej używać. No cóż, nauczę cię, bo to będzie łatwiejsze, niż gdybym musiał przemycać cię do klubu. Gotowa?

- Nie wiem.

- Niech będzie. Po pierwsze - i oczy Grimalkina zniknęły - zamknij oczy.

Mocno zaniepokojona zrobiłam, jak kazał.

- A teraz sięgnij i poczuj wokół siebie urok. Jesteśmy niedaleko klubu, więc uroku jest pod dostatkiem ze wszystkich zgromadzonych tu emocji. Urok jest źródłem naszej mocy. W ten sposób zmieniamy kształt, zaśpiewujemy na śmierć i stajemy się niewidoczni dla ludzkich oczu. Czujesz go?

- Nie...

- Przestań gadać i po prostu poczuj.

Spróbowałam, chociaż nie bardzo wiedziałam, czego oczekiwać. Czułam tylko zakłopotanie i strach.

A potem, zupełnie jakby światło eksplodowało mi w oczach, poczułam to.

Było tak, jakby kolor oznaczał emocje - pomarańcze, pasja, cynobrowe pożądanie, szkarłatny gniew, niebieski smutek, w moim umyśle hipnotycznie tańczyły uczucia. Jęknęłam i usłyszałam, jak Grimalkin mruczy z aprobatą.

- Tak, to jest urok. Marzenia i emocje śmiertelników A teraz otwórz oczy. Zaczniemy od najprostszego uroku wszystkich stworzeń, możliwości znikania z oczu ludziom, stawania się niewidzialnym.

Wciąż oszołomiona tą burzą emocji, skinęłam głową.

- Dobrze, być niewidzialnym. Brzmi banalnie.

Grimalkin spojrzał na mnie groźnie.

- Twój brak wiary cię sparaliżuje, jeśli będziesz myśleć w ten sposób, człowieku. Nie możesz wierzyć, że to niemożliwe, bo stanie się niemożliwe.

- Dobrze, dobrze, przepraszam. - Uniosłam ręce. - A więc jak to zrobimy?

- Wyobraź sobie urok. - Kot znów przyknął oczy. - Niech to będzie płaszcz, który cię całą okrywa. Możesz kształtować urok tak, by przypominał, co tylko zapragniesz, nawet puste miejsce. A kiedy okryjesz się nim, musisz wierzyć, że nikt nie może cię zobaczyć. O, tak.

Oczy zniknęły, podobnie jak cały kot. Chociaż wiedziałam, że Grimalkin potrafi to robić, widok znikającego mi z oczu kota był dość niepokojący.

- A teraz - oczy znów się otworzyły, a po nich pojawiło kocie ciało - twoja kolej. Kiedy uwierzysz, że jesteś niewidoczna, ruszymy.

- Co? A czas na praktykę?

- Musisz tylko uwierzyć, człowieku. Jeśli za pierwszym razem nie uwierzysz, że jesteś niewidzialna, to będzie ci coraz trudniej. Chodźmy. I pamiętaj, żadnych wątpliwości.

- Jasne, żadnych wątpliwości. - Nabrałam głęboko powietrza i zamknęłam oczy, pragnąc, by okrył mnie urok. Wyobraziłam sobie, jak znikam, owijam się w pelerynę ze światła i powietrza i narzucam na głowę kaptur.

Nikt nie może mnie zobaczyć, pomyślałam, starając nie czuć głupio. Jestem teraz niewidzialna. Otworzyłam oczy i spojrzałam na ręce. Wciąż tam były.

Grimalkin pokręcił głową i spojrzał na mnie zawiedziony.

- Nigdy nie zrozumie ludzi - wymamrotał. - Po tym wszystkim co widziałaś, magii, elfach, potworach i cudach wciąż nie możesz uwierzyć, że mogłabyś stać się niewidzialna.

Westchnął ciężko i zeskoczył ze śmietnika.

- No, trudno. Wygląda na to, że będę musiał nas jakoś wprowadzić.

14. Niebieski Chaos.

Staliśmy w kolejce prawie godzinę.

- Można było tego wszystkiego uniknąć, gdybyś zrobiła to, co ci mówiłem. - Grimalkin syknął po raz setny. Jego pazury wbijały mi się w ramię i musiałam się hamować, żeby nie kopnąć go przez płót, jak piłkę.

- Daruj sobie, Grim. Próbowałam, prawda? Po prostu się odczep.

Zignorowałam spojrzenia, jakie posyłał mi stojący wokół ludzie, słuchający gadającej do siebie wariatki. Nie wiedziałam, co widzieli, gdy patrzyli na Grima, ale na pewno nie żywego, gadającego kota. I to ciężkiego.

- To prosty czar niewidzialności. Nie ma nic prostszego. kociaki potrafią to zrobić, nim nauczą się chodzić.

Już miałam coś powiedzieć, ale akurat zbliżaliśmy się do bramkarza, który pilnował wejścia do Niebieskiego Chaosu. Ciemny, muskularny i potężny, sprawdził dokumenty parze przed nami i ich przepuścił. Grimalkin ukłuł mnie pazurem w ramię i podeszłam.

Zimne czarne oczy zmierzyły mnie od stóp do głów.

- Nie sądzę, skarbie - odezwał się bramkarz, napinając mięśnie ramienia. - Może po prostu zrobisz w tył zwrot? Jutro rano masz szkołę.

W ustach mi zaschło, ale Grimalkin odezwał się cichym, kojącym tonem.

- Nie patrzysz na mnie tak, jak trzeba - zamruczał, a bramkarz nawet na niego nie spojrział. - Jestem znacznie starsza, niż się wydaje.

- Ach tak? - Nie wyglądał na przekonanego, ale przynajmniej nie wyrzucił mnie za fraki. - Pokaż jakiś dokument.'

- Jasne. - Grimalkin szturchnął mnie i przeniosłam ciężar na jedną rękę, aby wręczyć bramkarzowi swoją kartę do wypożyczalni wideo. Złapał ją i przyjrzał się podejrzliwie, a mnie ścisnął się żołądek i zimny pot spływał po kręgosłupie. Ale Grimalkin wciąż mruzczał w moich ramionach, zupełnie nieporuszony, aż bramkarz z ponurą miną oddał mi kartę

- Tak, dobrze. No to wchodzi. - Machnął na mnie wielką łapą i przeszliśmy.

W środku naprawdę panował chaos. Nigdy wcześniej nie byłam w klubie i natychmiast oszołomiły mnie hałas i światła. Po podłodze snuł się dym z suchego lodu, przypominający mgłę, która wypełniała Losobór. Kolorowe światła przemieniały parkiet w elektryczny niesamowity świat różu, błękitu i złota. Muzyka dudniła mi w uszach. W klatce piersiowej czułam wibracje i zastanawiałam się, jak w tym hałasie w ogóle można się porozumiewać.

Tancerze kręcili się, kołysali i płaśali na scenie, podskakując w rytm muzyki, a pot i energia płynęły z nich strumieniami. Niektórzy tańczyli sami, inni w parach, nie mogąc od siebie oderwać rąk, a ich energia zmieniała się w pasję. A pośród nich, prawie w gorączce, czerpiąc z unoszącego się wokół uroku, płaśały magiczne stwory. Widziałam elfy w skórzanych spodniach i błyszczących, porwanych strojach, jakże innych od średniowiecznej elegancji Letniego Dworu. Dziewczyna z ptasimi szponami i piórami zamiast włosów przemierzała tłum, rozcinając młodą skórę i zlizując krew Cienki jak patyk chłopak o rękach z trzema stawami owinał je wokół tańczącej pary. a długie palce wsunął w ich włosy. Dwie dziewczyny o lisich uszach tańczyły razem, tuląc między sobą śmiertelnika. Człowiek odchylił głowę w ekstazie, nieświadomy, że po jego pośladkach i między nogami przesuwają się czyjeś ręce.

Grimalkin wyrwał mi się z uścisku. Pomaszerował w głąb klubu, a jego ogon wyglądał jak kudłaty teleskop przedzierający się przez ocean mgły. Poszłam za nim, starając się nie wpatrywać w nieziemskich tancerzy krążących w tłumie ludzi.

Nieopodal baru, na tyłach klubu były małe drzwi z napisem: „Tylko dla personelu”. Dostrzegłam wokół nich blask uroku, który sprawiał, że trudno było na nie patrzeć. Mój wzrok chciał się od nich odwrócić. Od niechcenia podeszłam do drzwi, ale nim za bardzo się zbliżyłam, zza kontuaru wynurzył się barman i spojrzął spod zmarszczonych brwi.

- Chyba nie chcesz tam wchodzić, skarbie - ostrzegł.

Ciemne włosy miał zebrane w koński ogon, a z czoła wyrastały mu dwa kręcone rogi. Podeszedł do brzegu baru i usłyszałam, jak stuka kopytami.

- Może podejdiesz tutaj i zaserwuję ci dobrego drinka? Na koszt firmy, co ty na to?

Grimalkin wskoczył na stołek barowy i położył przednie łapy na kontuarze. Człowiek siedzący obok dalej pił drinka, jakby nic się nie stało.

- Szukamy Drzazgi - odezwał się Grimalkin, a barman odwrócił się ode mnie i rzucił mu zirytowane spojrzenie.

- Jest zajęta - odpowiedział satyr, ale nie spojrzął Grimalkinowi w oczy, i zaczął wycierać bar. Kot dalej na niego patrzył, aż w końcu satyr uniósł wzrok. Oczy zwęziły mu się groźnie. - Powiedziałem, że jest zajęta. A teraz może się zmyjesz, zanim wezwę czerwone kapturki, żeby nabiły cię w butelkę?

- Dawidzie, nie tak traktujemy klientów - odezwał się za mną kobiecy głos, aż podskoczyłam. - Zwłaszcza gdy są to starzy przyjaciele.

Stojąca za mną kobieta była mała i szczupła, o bladej skórze i neonowoniebieskich wargach wygiętych w sardonicznym uśmiechu. Spiczaste włosy sterczały jej we wszystkie strony. Były pofarbowane na różne odcienie niebieskiego, zielonego i bieli, co dawało taki efekt, jakby z jej głowy wyrastały lodowe kryształki. Miała na sobie obcisłe skórzane spodnie i krótką koszulkę, która ledwo osłaniała jej piersi, a na udzie sztylet. Twarz błyszczała jej od niezliczonych kolczyków - w brwiach, nosie, ustach i policzkach. Wszystkie były srebrne lub złote. W długich uszach też lśniły kolczyki we wszelkich kształtach i rozmiarach. W pępku miała srebrny ćwiek, z którego zwisał maleńki wisiorek w kształcie smoka.

- Cześć, Grimalkinie - odezwała się zrezygnowana. - Co cię sprowadza w moje skromne progi? I to z letnim szczeniakiem u boku?

Przyjrzała mi się mieniącymi się zielenią i błękitem oczami.

- Potrzebujemy przejścia do Tir Na Nog - wyjaśnił bez zwłoki kot. - I jeśli to możliwe, już dziś.

- Nie prosisz o wiele, co? - Drzazga uśmiechnęła się i skinęła w stronę boksu w kącie. Kiedy usiedliśmy, rozparła się i strzeliła palcami. Z cienia wynurzył się smukły człowiek i stanął obok niej, patrząc na nią z uwielbieniem.

- Jabłkowe martini - zażądała. - Rozlej, a resztę dni spędzisz jako karaluch. A wy dwoje coś chcecie?

- Nie - odpowiedział stanowczo Grimalkin.

Ja też pokręciłam głową przecząco. Człowiek oddalił się. a Drzazga pochyliła się ku nam. Na jej błękitnych ustach pojawił się uśmiech.

- A więc przejście na zimowe tereny. Chcecie użyć mojej ścieżki, zgadza się?

- To nie twoja ścieżka - stwierdził Grimalkin, uderzając ogonem o poduszki wyściełające boks.

- Ale jest pod moim klubem - odparła Drzazga. - A Zimowa Królowa nie będzie zadowolona, jeśli bez uprzedzenia wpuszczę letniego szczeniaka na jej teren. Nie patrz tak na mnie, Grim. Nie jestem głupia. Widzę, kiedy staje przede mną córka króla elfów. A więc pytanie brzmi, co z tego będę miała?

- Odpłaconą przysługę. - Grimalkin spojrział na nią spod półprzymkniętych powiek. - Twój dług będzie spłacony.

- To za ciebie - Drzazga spojrziała na mnie - a co z nią? Co może mi zaproponować?

Przełknęłam.

- A czego chcesz? - zapytałam nim Grimalkin zdążył coś powiedzieć. Kot spojrział na mnie porytowany, ale go zlekceważyłam. Jeśli ktoś miał kupczyć moim losem, to niech będę to ja. Nie chciałam, żeby Grimalkin obiecał tej kobiecie moje pierworodne dziecko bez mojej zgody.

Znów oparła się o poduszki założyła nogę na nogę i się uśmiechnęła. Chudy chłopak pojawił się z jej drinkiem - zieloną miksturą z małą parasolką. Popijała go powoli nie spuszczać mnie z oczu.

- Hm... to dobre pytanie. - Westchnęła, mieszając drinka. - Czego od ciebie chcę? Wstęp na ziemie Mab musi być dla ciebie bardzo ważne. Ile byłby wart?

Pociągnęła kolejny łyk i zdawała się tonąć w myślach.

- A może... twoje imię? - zapytała w końcu.

Mrugnęłam.

- Moje... moje imię?

- Tak. - Uśmiechnęła się rozbrajająco. - Niewiele. Po prostu obiecaj mi, że będę mogła użyć twojego imienia, Prawdziwego Imienia, i uznam, że jesteśmy kwita, co ty na to?

- Dziewczyna jest młoda, Drzazgo - wtrącił się Grimalkin, przyglądając nam się spod zmrużonych powiek. - Może nawet jeszcze nie znać swojego prawdziwego imienia.

- Nie szkodzi. - Uśmiechnęła się do mnie. - Podaj mi po prostu imię, którym teraz się posługujesz, to wystarczy. Jestem pewna, że znajdę dla niego jakiś użytek.

- Nie - odpowiedziałam. - Nie dostaniesz mojego imienia.

- No cóż. - Drzazga wzruszyła ramionami i uniosła kieliszek do ust. - No to chyba musicie sobie znaleźć inną drogę na ziemie Mab.

Odwróciła się do wylotu boksu.

- Było mi miło. A teraz, jeśli pozwolicie, mam klub do poprowadzenia.

- Czekaj! - wykrztusiłam.

Drzazga zamarła, patrząc na mnie wyczekująco.

- Niech będzie. Dam ci imię. A potem otworzysz ścieżkę, tak?

Właścicielka baru uśmiechnęła się, ukazując zęby.

- Oczywiście.

- Jesteś pewna, że chcesz to zrobić? - zapytał cicho Grimalkin. - Wiesz, co się dzieje, jeśli podasz magicznej istocie swoje imię?

Zignorowałam go.

- Przynajmniej - zwróciłam się do Drzazgi. - Obiecuję, że otworzysz ścieżkę, kiedy podam ci imię. Powiedz to.

Jej uśmiech stał się podły.

- Nie taka głupia, na jaką wygląda. - Wzruszyła ramionami. - Dobra. Ja, Drzazga, opiekunka Ścieżki Chaosu, przyrzekam otworzyć ścieżkę, kiedy otrzymam zapłatę w postaci jednego imienia, wypowiedzianego przez składających żądanie.

Zamilkła i uśmiechnęła się złośliwie.

- Wystarczy?

Skinęłam głową.

- Świetnie. - Drzazga oblizwała usta, wyglądała na nieludzko ciekawą, aż oczy jej błyszczały. - A teraz podaj imię.

- Dobrze. - Nabrałam głęboko powietrza, a żołądek ścisnął mi się koszmarnie. - Fred Flintstone.

Twarz Drzazgi nie miała wyrazu.

- Co? - Przez jedną cudowną chwilę była kompletnie zaszokowana. - To nie twoje imię, mieszańcu. Nie na to się umówiliśmy.

Serce mi waliło.

- Właśnie, że tak - odpowiedziałam stanowczo. - Obiecałam, że podam ci imię, a nie, że podam ci moje imię. Spełniłam swoją obietnicę. Masz swoje imię. A teraz pokaż nam ścieżkę.

Obok mnie Grimalkin zaczął kichać, prezentując nagły wybuch kociego śmiechu. Twarz Drzazgi jeszcze przez moment nic nie wyrażała, po czym wykrzywiła się z wściekłości, a jej oczy stały się czarne. Włosy jej się zjeżyły, a trzymany przez nią kieliszek pokrył się szronem, a potem rozpadł na milion błyszczących kawałków.

- Ty. Spojrzała na mnie zimno przerażającym wzrokiem. Z trudem pohamowałam chęć ucieczki. - Pożałujesz swojej bezczelności, mieszańcu. Nie zapomnę ci tego i jeszcze sprawię, że będziesz błagać o litość, aż stracisz głos.

Nogi mi się trzęsły, ale wstałam i spojrzałam jej w twarz.

- Ale najpierw wskażesz nam ścieżkę.

Grimalkin przestał się śmiać i wskoczył na stół.

- Przegrałaś negocjacje, Drzazgo - orzekł ubawiony. - Pogódź się z tym, a następnym razem postaraj się bardziej. A teraz musimy ruszać.

Oczy dziewczyny były wciąż czarne, ale wyraźnie próbowała nad sobą zapanować.

- Dobrze - odezwała się z godnością. - Dotrzymam umowy. Zaczekajcie tu chwilę. Muszę powiedzieć Dawidowi, że na moment znikam.

Odeszła z wysoko uniesioną głową, a spiczaste włosy drżały jak sopte.

- Bardzo sprytnie - pochwalił cicho Grimalkin, gdy szefowa klubu odeszła do baru. - Drzazga nigdy nie była zbyt rozważna, nigdy nie wsłuchiwała się w istotne szczegóły. Uważa, że jest na to za mądra. Co nie zmienia faktu, że niedobrze denerwować przedstawicieli Zimowego Dworu. Możliwe, że jeszcze pożałujesz swojego sprytu. Magiczne stworzenia nigdy nie zapominają zniewag.

Milczałam, obserwując, jak Drzazga nachyla się i szepce do satyra. Dawid spojrzał na mnie, mrużąc oczy, po czym skinął głową i znów zaczął wycierać kontuar.

Wróciła. Znow miała normalne oczy, ale wciąż widać w nich było niechęć.

- Tędy - oznajmiła lodowato i zaprowadziła nas do drzwi z napisem: „Tylko dla personelu”.

Szliśmy za nią schodami w dół przez jakieś pięć czy sześć kondygnacji, aż dotarliśmy do kolejnych drzwi, z czerwonym napisem: „Niebezpieczeństwo! Nie zbliżać się” Drzazga spojrzała na mnie z podłym uśmiechem.

- Nie przejmujcie się Gburem. To nasz ostatni środek odstraszający dla tych, którzy wtykają nos tam gdzie nie trzeba. Od czasu do czasu jakaś opolda albo czerwony kapturek myśli, że nas przechrzty, i zagląda sprawdzić co tu jest. Oczywiście nie możemy na to pozwolić. Więc Gburek siedzi tu, by ich zniechęcać. - Roześmiała się. - Czasami trafia tu jakiś śmiertelnik. Wtedy jest najweselej. No i rachunki za jedzenie spadają.

Posłała mi ostry jak brzytwa uśmiech i otworzyła drzwi

Smród uderzył we mnie jak obuchem - obrzydliwa mieszanka zgnilizny, potu i ekskrementów. Cofnęłam się. a żołądek zagroził, że pozbędzie się posiłku.

Na kamiennej podłodze poniewierały się kości - niektóre ludzkie, inne zdecydowanie nie. W kącie po drugiej stronie leżała sterta brudnej słomy. Nieopodal znajdowały się drzwi. Wiedziałam, że to wejście na ziemię Mrocznego Dworu, ale dotarcie do nich było nie lada wyzwaniem.

Od pierścienia w podłodze ciągnął się łańcuch, a na jego drugim końcu, przykuty za nogę, był największy ogr, jakiego kiedykolwiek widziałam.

Miał sinofioletową skórę, a z dolnej szczęki wyrastały mu cztery zakrzywione kły. Miał potężną pierś, mięśnie i ścięgna napięte pod parchatą skórą, a długie palce zakończone czarnymi pazurami.

Na szyi nosił potężną obrozę, skóra pod nią była czerwona i otarta, ze śladami starych ran po tym, jak próbował ją zerwać. Chwilę później uświadomiłam sobie, że zarówno obroza, jak i kajdany zrobione są z żelaza. Ogr przykuśtykał przez pomieszczenie, oszczędzając nogę z kajdanami - wokół kostki miał pęcherze i otwarte rany. Grimalkin syknął cicho i spytał:

- Ciekawe, czy ogr naprawdę jest aż tak silny żeby pętać go w ten sposób?

- Już kilka razy zdarzyło mu się uciec. więc zaczęliśmy używać żelaza - odpowiedziała zadowolona z siebie Drzazga. - Rozniósł klub w drobny mak i zjadł kilku gości nim udało się go zatrzymać. Uznałam, że pora zastosować drastyczne środki. A teraz zachowuje się jak trzeba.

- To go zabija - oświadczył stanowczo Grimalkin. - Musisz zdawać sobie sprawę z tego, że poważnie skrucasz mu życie.

- Nie rób mi tu wykładu. - Drzazga posłała kotu zniesmaczone spojrzenie i weszła do środka. - Gdybym go tu nie trzymała, to rozbijałby się gdzie indziej. A poza tym żelazo nie zabije go od razu. Oгры bardzo szybko wracają do zdrowia,

- Podeszła do ogra, który spojrzał na nią zbolalym wzrokiem.

- Rusz się - nakazała, wskazując na stertę słomy w kącie. - Idź na postanie, Gburku. Już!

Ogr popatrzył na nią, prychnął lekko i podzwaniając łańcuchem, poczłapał na postanie.

Współczułam mu troszkę.

Drzazga otworzyła drzwi. Za nimi ciągnął się długi korytarz, przez który do środka wpadała mgła.

- No? Oto wasza ścieżka na zimowe ziemie. Zamierzacie tak stać, czy jak?

Ruszyłam do przodu, nie spuszczając oka z Gburka.

- Czekaj - wyszeptał Grimalkin.

- Co jest? - Odwróciłam się i zobaczyłam, że obserwuje pomieszczenie spod zmrużonych powiek. - Boisz się ogra? Drzazga nas przed nim ochroni, prawda?

- Wcale nie - odpowiedział kot. - Spełniła swoją obietnicę. Otworzyła nam ścieżkę do Tir Na Nog. Nie obiecywała nam ochrony.

Zajrzałam znów do wewnątrz i zauważyłam, że Gburek patrzy na nas i się ślini. Z drugiej strony uśmiechała się złośliwie Drzazga.

Nagle na schodach rozległ się hałas - zbiegała po nich jakaś większa grupa. Przez poręcz wychyliła się do mnie pomarszczona, złośliwa twarz i wyszczerzyła ostre jak u rekina zęby. Z głowy spadła czerwona bandanka i upadła mi pod nogi.

- Czerwone kapturki. - Jęknęłam, bez namysłu wchodząc do pomieszczenia z ogrem.

Gburek zaryczał i napinając łańcuch, zaczął ryc pazurami podłogę. Krzyknęłam i rozpląszczyłam się na ścianie, podczas gdy ogr próbował mnie dosięgnąć pazurami. Jego potężne pięści trafiały w ziemię niecałe trzy metry ode mnie. a on aż wył z wściekłości. Nie mogłam się ruszyć. Grimalkin zniknął. A kiedy tuzin czerwonych kapturków wpadł do środka, rozległ się śmiech Drzazgi.

- No - odezwała się, opierając o framugę drzwi - to się nazywa rozrywka.

15. Powrót Puka.

Ubrane w skórzane kombinezony i w szkarłatnych bandanach na głowach zamiast typowych dla nich kapturów, czerwone kapturki wparowały do wnętrza, a ich ostre zęby błyskały w przyćmionym świetle. Prychając i szczerząc kły, zauważyły Gburka w tym samym momencie, co on je i uskoczyły w chwili, kiedy jego potężna łapa rąbnęła w podłogę.

W powietrzu zaczęły latać klątwy i złorzeczenia. Czerwone kapturki odbiegły poza zasięg łap ogra, wyciągając noże z brązu i drewniane kije bejsbolowe.

- A to co?! - Usłyszałam wrzask jednego z nich. - Człowiek koza obiecał młode mięso na końcu schodów. Gdzie nasze mięso?

- Tam! - prychnął jeden, wskazując na mnie czymś, co przypominało zaśniedziały majcher. - W kącie. Nie dajcie potworowi zjeść naszego mięsa!

Zaczęły się do mnie podkradać, dokładnie tak jak ja przyciskając się do ściany, poza zasięgiem ogra. Gburek ryczał i drapał podłogę pazurami, zostawiając głębokie rysy w betonie, ale nie mógł ich dosięgnąć.

Patrzyłam przerażona, jak okropne stwory są coraz bliżej. Śmiały się i machały bronią, a ja nie mogłam się ruszyć. Miałam być pożarta żywcem, ale jeśli weszłabym głębiej do środka, Gburek rozszarpałby mnie na strzępy.

A przy tym wszystkim widziałam jeszcze Drzazgę, która stała w drugich drzwiach z uśmiechem pełnym samozadowolenia.

- To jak ci się podoba rozwiązanie naszej umowy, szczeniario?! - przekrzyczała ryki Gburka i zgrzytanie zębów czerwonych kapturków. - Podaj swoje prawdziwe imię, a może je odwołam.

Z otwartą paszczą rzucił się na mnie jeden z kapturków celował w twarz. Uniósłam ramię i spiczaste zęby zatopiły się głęboko w ciało, zaciskając się jak wnyki. Z krzykiem zaczęłam wściekle machać ręką, by pozbyć się obrzydliwego stwora, i posłałam go wprost na ogra. Czerwony kapturek uderzył w podłogę i natychmiast poderwał się, ale w tym samym momencie pięść Gburka przerobiła go na krwawą miazgę.

Czas jakby zwolnił. Podejrzewam, że tak się dzieje, gdy masz za chwilę zginąć. Czerwone kapturki, szczerząc zęby, rzuciły się do ataku, Gburek ryczał na końcu swojego łańcucha, a Drzazga opierała się o framugę drzwi i śmiała wniebogłosy.

Przez otwarte drzwi wpadł do środka wielki czarny ptak.

Czerwone kapturki podskoczyły.

Ptak zanurkował i wbił szpony w twarz najbliższego potworka, skrzecząc i machając skrzydłami. Zaskoczone kapturki zawahały się, a ptak wylądował i zaczął wydziobywać oczy swojej ofiary. Chmara atakujących zawyla i rzuciła się na niego, wymachując pałkami, ale ptak poderwał się w ostatniej chwili, a ranny kapturek zaryczał, gdyż to on zebrał ciosy od swoich kompanów.

U całym tym zamieszaniu ptak eksplodował i zmienił w powietrzu kształt. Pomiędzy mną a kapturkami wyrosła postać, która otrząsnęła się z czarnych piór i posłała mi znajomy uśmiech.

- Cześć, księżniczko. Wybacz spóźnienie, ale były okropne korki.

- Puk!

Puścił do mnie oko, po czym spojrzał na szefową klubu.

- Cześć, Drzazgo. - Pomachał jej. - Ładnie się tu urządziłaś. Muszę zapamiętać to miejsce, żeby dodać tu jakiś Pukowy akcent.

- To zaszczyt cię gościć, Robinie Koleżko - odpowiedziała Drzazga, uśmiechając się okrutnie. - Jeśli czerwone kapturki pozostawią twoją głowę w jednym kawałku, to zawieszę ją nad barem, żeby wszyscy goście mogli ją zobaczyć. Zabić go!

Warcząc, kapturki rzuciły się na niego jak stado piranii. Puk wyciągnął coś z kieszeni i rzucił. Przedmiot eksplodował i zamienił się w potężną kłodę, a czerwone kapturki zatopiły w niej zęby ze szczękami zaciśniętymi na drewnie, wydając zduszone okrzyki, padły na podłogę.

- Aport! - krzyknął Puk.

Piszcząc z wściekłości, kapturki przerobiły kłodę na drzazgi, tnąc ją jak piły łańcuchowe. Zgrzytały zębami i wypluwały resztki drewna, wpatrując się w nas morderczo. Puk odwrócił się do mnie z przepaszającym uśmiechem.

- Przepraszam na chwilę, księżniczko. Muszę się pobawić ze szczeniaczkami.

Podszedł do nich, uśmiechając się od ucha do ucha, a kapturki rzuciły się na niego z nożami i kijami. Puk wyczekał do ostatniej chwili, po czym zrobił zwrot na środek pomieszczenia, z dała od ściany. Napastnicy ruszyli za nim. Jęknęłam, gdy Gburek się zamachnął, ale Puk uskoczył w ostatniej chwili, a czerwony kapturek został przerobiony na czerwony naleśnik.

- Oj! - zawołał Puk, zakrywając usta obiema rękami i równocześnie unikając kolejnego ciosu Gburka. - Jaki jestem niezgrabny.

Wśród przekleństw kapturki zaatakowały znowu. I tak prowadzili ten zabójczy taniec po izbie, a Puk podpuszczał je śmiechem i drwinami.

Gburek ryczał i próbował trafić potężnymi łapami kręcące się wokół niego stworki, ale kapturki były szybkie i teraz już świadome niebezpieczeństwa. Mimo to przypuściły frontalny atak na Puka, który tańczył, kluczył i wywijał piruety wokół ogra, zupełnie jakby dobrze się bawił.

Przez cały czas miałam serce w gardle - jeden zły ruch, jeden błąd, a Puk stanie się tylko mokrą plamą na podłodze. Wokół mnie zrobiło się nagle zimno. Tak się skupiłam na Puku, że nie zauważyłam, jak Drzazga odsunęła się od drzwi i podeszła na metr ode mnie. Oczy jej błyszczały czarno, a usta wykrzywiły się w uśmiechu, gdy uniosła rękę. Nad jej głową pojawiła się długa lodowa włócznia, którą celowała we mnie.

Usłyszałam przeciągłe miauknięcie i coś ciężkiego zważyło jej się na plecy, bo zachwiała się i prawie upadła. Coś złotego zamigotało jej na piersi - klucz na srebrnym łańcuszku. Klnąc, Drzazga rzuciła niewidzialnym napastnikiem o ścianę. Dobiegły mnie głucho uderzenie i syk bólu, gdy Grimalkin pojawił się na sekundę i natychmiast z powrotem zniknął.

Wykorzystałam zamieszanie, rzuciłam się do przodu i złapałam zwisający z jej szyi klucz. Odwróciła się z oszałamiającą prędkością i złapała mnie bladą ręką za gardło. Jęknęłam i spróbowałam wyrwać się z uścisku, ale był jak z kamienia. Jej skóra piekła od zimna. A gdy Drzazga zwiększyła nacisk, mój kark pokryły lodowe kryształki. Osunęłam się na kolana. Zaczęło mi ciemnieć przed oczami.

Grimalkin z dzikim sykiem wylądował jej na plecach, wbijając pazury i zęby w szyję. Drzazga krzyknęła, a nacisk na moje gardło zniknął. Poderwałam się szybko i z całej siły odepchnęłam dziewczynę. Usłyszałam cichy trzask i klucz został mi w rękę.

Kaszłąc, chwiejnym krokiem odsunęłam się od ściany i spojrzałam na ogra.

- Gburku! - krzyknęłam przez ściśnięte gardło. - Gburku, spójrz na mnie! Posłuchaj mnie!

Ogr przestał walić pięściami w podłogę i spojrzał na mnie umęczonymi oczami. Za mną powietrze rozdarł koci jęk, gdy ciało Grimalkina uderzyło o ziemię.

- Pomóż nam! - zawołałam unosząc klucz. Zalśnił złoto w świetle. - Pomóż nam, Gburku, to cię uwolnimy! Uwolnimy cię!

- Ja? Wolny?

Coś trafiło mnie w tył głowy, prawie pozbawiając świadomości. Upadłam, ściskając klucz. Ból był okropny. Ktoś kopnął mnie w żebra i przewrócił na plecy. Z uniesionym sztyletem stała nade mną Drzazga.

- Nie!

Ryk Gburka wypełnił pokój. Zaskoczona Drzazga spojrzała w górę i wtedy uświadomiła sobie, że jest w zasięgu ogra. Za późno. Cios Gburka posłał ją na ścianę. Nawet czerwone kapturki przestały ścigać Puka, by sprawdzić, co się dzieje.

Podniosłam się, ignorując ból mięśni. Pokuśtykałam do Gburka z nadzieją, że się nie zapomni i nie przerobi mnie na placek. Nie drgnął, gdy dotarłam do łańcucha, który wbijał się w jego ciało. Włożyłam klucz do dziurki i przekręcałam tak długo, aż usłyszałam kliknięcie. Żelazna opaska opadła.

Gburek zawył, a był to ryk triumfu i wściekłości. Odwrócił się zadziwiająco szybko jak na taką wagę i kopniakiem posłał czerwonego kapturka na ścianę. Puk uciekł mu z drogi, a ogr uniosł nogę i rozdeptał kolejne dwa kapturki, jakby to były karaluchy. Kapturki ogarnął szal. Prychając i wyjąc, rzuciły się na stopy Gburka, atakując je kijami i zatapiając zęby w jego kostkach.

Gburek tupał i kopał. Prawie mnie trafił, a ziemia trzęsła się od jego ciosów, ale nie miałam siły się ruszyć.

Puk przemknął obok walczących, złapał mnie i odciągnął na bok.

- Chodźmy - rozkazał, rzucając okiem przez ramię. - Póki są zajęci. Biegnij do ścieżki.

- A co z Grimalkinem?

- Tu jestem. - Kot pojawił się przy mnie. Mówił zmęczonym głosem i oszczędzał przednią łapę, ale poza tym wyglądało na to, że nic mu nie jest. - Najwyższa pora ruszać.

Pokuśtykaliśmy w stronę otwartych drzwi, ale na naszej drodze stanęła Drzazga.

- Nie - warknęła. Lewa ręka zwisała jej bezwładnie, ale drugą uniosła lodową włócznię i wycelowała nią w moją pierś. - Nie przejdziecie. Zginiecie tutaj i przybiję wasze głowy do ściany, żeby wszyscy widzieli.

Za nami rozległo się warczenie, a potężne kroki zatrzęsły ziemią.

- Gburku - odezwała się Drzazga, nie spuszczać ze mnie oczu - zabij ich. Przebaczam ci. Rozerwij ich na kawałki, powoli. Natychmiast!

Gburek znów warknął, a jego potężna noga zatrzymała się tuż przy mnie.

- Przyjacieleeee! - zawył, stając nad nami. - Uratowali Gburka. Przyjaciele Gburka.

Zrobił kolejny krok, z jego rany na nodze sączył się zapach gangreny i zgnilizny.

- Zabić panią - warknął.

- Co? - Drzazga cofnęła się przerażona.

Gburek poczłapał naprzód, unosząc olbrzymie pięści.

- Co ty robisz? Cofnij się, głupi stworze. Rozkazuję ci! Nie, nie!

- Chodźmy. - Puk pociągnął mnie za ramię. Przeszliśmy pod nogami Gburka i pobieглиśmy do otwartych drzwi.

Ostatnie, co zobaczyłam, nim zamknęły się drzwi, to Gburek stojący nad swoją panią i cofająca się Drzazga z uniesioną w rękę włócznią.

Przed nami ciągnął się korytarz, wypełniony mgłą i błyskającymi światłkami. Osunęłam się na ścianę. Adrenalina opadła, a ja się trzęsłam.

- Wszystko w porządku, księżniczko? - zapytał zaniepokojony Puk. Podeszłam do niego i zarzuciłam mu ręce na szyję, tuląc go mocno. Objął mnie i przytulił. Poczułam jego ciepło i szybkie bicie serca, jego oddech przy moim uchu. W końcu odsunęłam się i znów opadłam na ścianę ciągnąc go ze sobą.

- Myślałam, że Oberon zamienił cię w ptaka - wyszeptalam.

- Owszem. - Puk wzruszył ramionami. - Ale kiedy odkrył, że uciekłaś, wysłał mnie za tobą w pogon.

- A więc to ciebie słyszałem, jak nas śledziłeś - wtrącił się prawie niewidoczny we mgle Grimalkin.

Puk skinął głową.

- Uznałem, że wybieracie się do Mrocznego Dworu. Jak sądzicie, kto zrobił ten skrót? No a kiedy byłem wolny, powęszyłem wokół, a jakiś skrzat powiedział, że widział, jak kierowaliście się w tę stronę miasta. Wiedziałem, że Drzazga ma tu klub, a reszta, jak to mawiają śmiertelnicy, jest historia.

- Cieszę się, że wróciłeś - powiedziałam, wstając. Nogi przestały odmawiać mi posłuszeństwa i już prawie się nie trzęsłam. - Uratowałaś mi życie. Znowu. Wiem, że pewnie nie chcesz tego słyszeć, ale dziękuję.

Puk spojrzał na mnie z ukosa w sposób, który wcale mi się nie podobał.

- Jeszcze mi nie dziękuj, księżniczko. Oberon nie był zachwycony tym, że opuściłaś bezpieczne terytorium Jasnego Dworu. - Zatarł ręce i spojrzał niepewnie. - Mam rozkaz przyprowadzić cię z powrotem.

Zagapiłam się na niego. Czuję się tak, jakby właśnie kopnął mnie w brzuch.

- Ale... nie zrobisz tego, prawda? - wyjąkałam.

Odwrócił wzrok, a mnie zrobiło się słabo.

- Puk. nie możesz. Muszę odnaleźć Ethana. Muszę dostać się do Mrocznego Dworu i przyprowadzić go z powrotem do domu.

Puk przeczesał palcami włosy, w wyjątkowo ludzkim odruchu.

- Nie rozumiesz - odezwał się wyjątkowo niepewnym jak na niego tonem. - Może i jestem ulubieńcem Oberona, ale nawet ja nie mogę przesadzić. Jeśli znów go zawiodę, to mogę skończyć znacznie gorzej niż jako kruk na dwa wieki. Może mnie na zawsze wygnać z Nigdyngdy, a wtedy nie mógłbym już wrócić do domu.

- Proszę - jęknęłam, biorąc go za rękę. Wciąż nie patrzył w moją stronę. - Pomóż nam. Puk, znam cię od zawsze. Nie rób mi tego.

Puściłam jego rękę i zmierzyłam go wzrokiem.

- Wiesz, że będziesz mnie musiał zaciągnąć siłą. a ja nigdy więcej się do ciebie nie odezwę?

- Nie bądź taka. - W końcu na mnie spojrzał. - Nie wiesz, co robisz. A jeśli Mab cię znajdzie... Nie masz pojęcia, do czego jest zdolna.

- Nie obchodzi mnie to. Wiem tylko, że mój brat wciąż tam jest. I jest w tarapatach. Muszę go znaleźć. I zrobię to z twoją pomocą albo bez niej.

Oczy Puka rozbłyły.

- Mógłbym rzucić na ciebie czar - zagroził, uśmiechając się krzywo. - To by rozwiązało wiele problemów.

- Nie - odezwał się Grimalkin, nim wybuchnęłam - nie zrobisz tego. I dobrze o tym wiesz, więc przestań udawać. Poza tym mam coś, co może rozwiązać ten problem.

- Tak?

- Przysługę. - Grimalkin machnął leniwie ogonem. - Od króla.

- To nie powstrzyma Oberona przed wygnaniem mnie.

- Nie - zgodził się Grimalkin. - Ale mogę poprosić, aby wygnał cię tylko na jakiś czas. Na przykład na kilka dekad. To lepsze niż nic.

- Aha. - Puk nie wyglądał na przekonanego. - A to będzie mnie kosztowało drobną przysługę w zamian, tak?

- To ty mnie w to wciągnąłeś, gdy wrzuciłeś dziewczynę na moje drzewo - Grimalkin zamrugał leniwie. - Nie uwierzę, że to był przypadek, nie jeśli uczynił to niesławny Robin Koleżka. Powinieneś być wiedzieć, że może do tego dojść.

- Wiem, że nie należy zawierać układów z kotami - odgryzł się Puk, po czym westchnął i przetarł ręką oczy. - Dobrze - zgodził się w końcu. - Wygrałaś, księżniczko. Poza tym wolność jest i tak przereklamowana. A jeśli mam coś zrobić, to równie dobrze mogę to zrobić z hukiem.

Wróciła mi nadzieja,

- To co, pomożesz nam?

- Pewnie, czemu nie? - Puk posłał mi zrezygowany uśmiech. - Beze mnie zjedzą cię żywcem. Poza tym szturm na Mroczny Dwór? - Uśmiechnął się szerzej. - Za nic bym tego nie przegapił.

- No to ruszajmy - zarządził Grimalkin, a Puk pomógł mi wstać. - Im dłużej będziemy się ociągać, tym dalej rozniesie się wieść o naszych planach. Tir Na Nog jest niedaleko.

Odwrocił się i ruszył korytarzem, wysoko unosząc ogon we mgle.

Szliśmy korytarzem przez kilka minut. Po jakimś czasie powietrze zaczęło się robić zimne i ostre. Ściany pokrył szron, a z sufitu zwisały sople.

- Zbliżamy się - odezwał się we mgle bezcielesny głos Grimalkina.

Korytarz kończył się prostymi drewnianymi drzwiami. pod dolną krawędzią leżało trochę śniegu, a drzwi trzęsły się i zgrzytały od napierającego z drugiej strony wiatru.

Puk wystąpił naprzód.

- Panie i koty - odezwał się, łapiąc za gałkę. - Witamy w Tir Na Nog, ziemi niekończącej się zimy i cholernych ilości śniegu.

Kiedy otworzył drzwi, moją twarz obsypał mroźny puch. Mrugając, by pozbyć się go z oczu, zrobiłam krok do przodu.

Stałam w zamrożonym ogrodzie. Kolczaste krzaki na płocie pokryte były lodem, a stojąca na środku fontanna w kształcie cherubinka pluła zamrożoną wodą. W oddali za bezlistnymi drzewami i kolczastym żywopłotem, ujrzałam spiczasty dach olbrzymiego wiktoriańskiego dworu. Odwróciłam się w stronę Grima i Puka i zobaczyłam, że stoją pod treliarzem porośniętym czerwonym winem i kryształowo niebieskimi kwiatami. Kiedy przeszli, korytarz za nimi zniknął.

- Urocze - stwierdził Puk, rozglądając się wokół z niesmakiem. - Uwielbiam ten jałowy, martwy efekt, który uzyskali. Ciekawe, kto jest ogrodnikiem? Poprosiłbym o wskazówki.

Już drżałam.

- J...jak daleko mamy do dworu królowej Mab? - zapytałam, szcękając zębami.

- Zimowy Dwór jest jakieś dwa dni drogi stąd - odpowiedział Grimalkin, wskakując na pień. Otrząsnął po kolei wszystkie łapy i usiadł ostrożnie. - Musimy poszukać schronienia. Nie bardzo odpowiada mi ta pogoda, a dziewczyna zamarźnie nam na śmierć.

Z drugiej strony ogrodu ktoś zaśmiał się ponuro.

- Tym bym się na razie nie martwił.

Zza drzewa wyszła jakaś postać, w dłoni trzymała od niechcenia miecz. Serce mi zamarło, a potem zaczęło bić głośniejsze i nieregularnie. Wiatr rozwiał jej czarne włosy, gdy zaczęła cicho i z wdziękiem iść w naszą stronę. Grimalkin syknął i rozplątał się w powietrzu, a Puk osłonił mnie swoim ciałem.

- Czekałem na ciebie - odezwał się cicho Ash.

16. Żelazne stwory.

- Ash - wyszeptałam, kiedy zaczęła się do nas zbliżać szczupła, zgrabna postać. Na śniegu nie było słychać jego kroków. Był zabójczo piękny, ubrany cały na czarno, o bladej twarzy. Pamiętałam, jak się uśmiechał, wyraz jego srebrnych oczu, gdy tańczyliśmy. Ale teraz na jego twarzy nie było uśmiechu, a jego oczy były zimne. To nie był ten książę, z którym tańczyłam w noc Elizjum. To był drapieżca.

- Ash - powtórzył Puk nonszalancko, ale jego twarz stała się złowieszcza i dzika. - Co za niespodzianka. Jak nas znalazłeś?

- Nie było to trudne - odezwał się znudzonym tonem Ash. - Księżniczka wspomniała, że szuka kogoś na dworze Mab. Ze świata śmiertelników jest tylko kilka dróg do Tir Na Nog, a Drzazga nie kryje się specjalnie z tym, że chroni ścieżkę. Uznałem, że to tylko kwestia czasu, nim się tu pokażecie.

- Jak sprytnie - odpowiedział z krzywym uśmiechem Puk. - No ale zawsze byłeś strategiem, prawda? Czego chcesz, Ash?

- Twojej głowy - odparł cicho Ash - nadzianej na pikę. Ale tym razem nieistotne jest to, czego ja chcę. Przybyłem po nią.

Jęknęłam, a moje serce postanowiło zamienić się z żołądkiem na miejsca. Jest tu po mnie, żeby mnie zabić, tak jak obiecał podczas Elizjum.

- Po moim trupie. - Puk się uśmiechnął, zupełnie prowadził przyjacielską pogawędkę, ale czułam, jak pod skórą napina mięśnie.

- To element planu. - Książę uniósł miecz, lodowa klingę zasnutą mgłą. - Pomszczę ją dzisiaj i będzie mogła spoczywać w spokoju.

Przez moment na jego twarzy rysował się ból. aż zamknął oczy. Ale kiedy je otworzył, były zimne i lśniły złościwie.

- Przygotuj się.

- Nie podchodź, księżniczko - ostrzegł Puk. odsuwając mnie na bok. Sięgnął do buta i wyciągnął z cholewy sztylet o przezroczystym jak szkło, zakrzywionym ostrzu. - Może być gorąco.

- Puk, nie! - Złapałam go za rękaw. - Nie walcz z nim. Ktoś może zginąć.

- Pojedynki na śmierć i życie zwykle kończą się w ten sposób. - Puk uśmiechnął się, ale był to dziki, ponury i przerażający uśmiech. - Ale cieszę się, że ci zależy.

- Chwileczkę, książętko! - zawołał do Asha, który skinął głową.

Puk wziął mnie za rękę, poprowadził za fontannę i przysunął się blisko. Jego ciepły oddech owiał mi twarz.

- Muszę to zrobić, księżniczko - powiedział stanowczo. - Ash nie puści nas bez walki. Od dawna się szykowałam.

Przez moment na jego twarzy dostrzegłam żal.

- A więc... - Uśmiechnął się, unosząc mój podbródek. - Nim ruszę na bój, może dostanę całusa na szczęście?

Zawahałam się, rozważając, dlaczego akurat teraz poprosił, bym go pocałowała. Na pewno nie myślał o mnie w ten sposób... prawda? Otrząsnęłam się. Nie było czasu na takie rozmyślenia. Stanęłam na palcach i dałam mu buzi w policzek. Miał ciepłą skórę, kłującą od kilkudniowego zarostu.

- Nie daj się zabić - wyszeptałam.

Puk wyglądał na zawiedzionego, ale tylko przez moment.

- Ja? Zginąć? Nikt ci nie mówił, księżniczko? Jestem Robin Koleżka. - Z okrzykiem machnął nożem i rzucił się w stronę księcia.

Ash ruszył jak ciemna smuga na śniegu i opuścił z sykaniem miecz. Puk uskoczył, a uderzenie poszło w moją stronę miniaturową burzą śnieżną. Jęknęłam, gdy zaatakowały mnie lodowate igiełki, i

zaczęłam trzeć piekące oczy. Kiedy znów mogłam je otworzyć, Ash i Puk byli pochłonięci walką. Wyglądało na to, że każdy jest zdecydowany zabić.

Puk uniknął okrutnego ciosu i rzucił w Asha przedmiotem wyjętym z kieszeni. Ten wybuchł i zamienił się w olbrzymiego dzika, który kwicząc wściekle, rzucił się na księcia. Lodowy miecz wbił się głęboko w zwierzę, które zamieniło się w stertę suchych liści. Ash wyrzucił ramię i w stronę Puka poleciały jak sztylety błyszczące kawałki lodu. Krzyknęłam, ale Puk nabrał tylko powietrza i dmuchnął w ich stronę, jakby zdmuchiwał świece na torcie. Odłamki zamieniły się w stokrotki i opadły na ziemię.

Ash zaatakował wściekle, a jego klinga ze świstem przecięła powietrze. Puk zrobił unik i odparował pchnięciem sztyletem, po czym wycofał się przed kolejnym atakiem księcia. Uchylając się, złapał narecze gałązek leżących pod drzewem, dmuchnął na nie i wyrzucił w powietrze.

I nagle było trzech Puków. Uśmiechając się szelmowsko, ruszyli na wroga. Rozbłysły trzy noże i trzy postacie otoczyły mrocznego księcia, podczas gdy prawdziwy Puk opierał się o drzewo i przyglądał zmaganiom Asha.

Ale to jeszcze nie był koniec zimowego księcia. Zrobił Piruet i odsunął się od Puków. Jego miecz błyskał, kiedy raz za razem parował i robił uniki. Ominął obronę wroga, uniósł klingę i ciął przez brzuch Puka. Sobowtór został rozplątany na pół, po czym zamienił się w pęknięty patyk i upadł na ziemię. Ash odwrócił się i stanął naprzeciwko nadbiegającego Puka. Machnął mieczem i głowa Puka opadła, nim jeszcze zdążyła zmienić się w gałązkę. Ostatni Puk zaatakował księcia od tyłu, unosząc wysoko sztylet. Ash nawet się nie odwrócił, tylko pchnął mieczem do tyłu. Puk nadział się na miecz. Książę, nie odwracając się, uwolnił miecz, a połamana gałązka padła na śnieg.

Opuścił miecz i rozejrzał się wokół uważnie. Podążyłam za jego wzrokiem i aż dech mi zaparło. Wzorem Grimalkina, wykorzystując zamieszanie, Puk zniknął. Zaniepokojony książę rozglądał się po ogrodzie, skradając się z uniesionym mieczem. Spojrzał na mnie, aż zamarłam, ale szybko odwrócił wzrok i wszedł pod gałęzie zamrożonej sosny.

A wtedy coś z rykiem wyskoczyło na niego ze śniegu. Książę zrobił unik, ledwo unikając ostrza, a Puk stracił równowagę i się potknął. Prychając, Ash przebił Puka mieczem, przykuwając go do ziemi.

Krzyknęłam, ale w tym momencie ciało zniknęło. Przez moment Ash patrzył na nabity na miecz liść, po czym rzucił się w bok. Coś opadło z drzewa, a sztylet błysnął w świetle.

Rozległ się śmiech Puka, gdy Ash podniósł się, ściskając ramię. Pomiędzy bladymi palcami sączyła się krew.

- Prawie za wolno, książę. - Puk się zaśmiał, balansując nożem na dwóch palcach. - Doprawdy, toż to najstarszy z możliwych trików. Wiem, bo sam je wymyśliłem. Mam ich jeszcze milion, jeśli masz ochotę dalej się bawić.

- Męczy mnie walka z sobowtórami. - Ash wyprostował się i opuścił rękę. - Ale wygląda na to, że honor nie jest na Jasnym Dworze tak ważny, jak sądziłem. Jesteś prawdziwym Pukiem, czy też boi się stanąć ze mną twarzą w twarz?

Puk spojrzał na niego z pogardą, po czym rozpląnął się u nicość. Zza drzewa wyłonił się kolejny, z brzydkim uśmiechem.

- Niech będzie, książę. - Zachichotał. - Jeśli tego pragniesz, to zabiję cię w starym stylu.

I znów się na siebie rzucili.

Obserwowałam potyczkę ze ściśniętym sercem, zastanawiając się, co zrobić. Nie chciałam, aby któryś z nich zginął, ale wiedziałam, jak ich powstrzymać. Uznałam, że nie ma sensu na nich krzyczeć ani wbiegać pomiędzy nich. Jeden mógłby się rozprościć, a drugi natychmiast wykorzystałby okazję, by tamtego wykończyć. Żołądek skręcał mi się z rozpacz. Nie wiedziałam, że Puk może być tak krwiożerczy, ale błysk w jego oczach uświadomił mi, że jeśli będzie miał okazję, to zabije zimowego cięcia.

To jakaś dawna sprawa, uświadomiłam sobie, gdy Ash ciął okrutnie w stronę twarzy Puka, prawie go trafiając. Coś się wydarzyło pomiędzy nimi dwoma i teraz się nienawidzą. Ciekawe, czy byli kiedyś przyjaciółmi.

Skóra mnie zakłuła i przeszedł mnie dreszcz - to było coś więcej niż tylko zimno. Ponad szczękaniami metalu usłyszałam coś jeszcze, cichy szelest, jakby w naszą stronę nadpełzały setki owadów.

- Uciekaj! - Podskoczyłam na głos Grimalkina. Na śniegu pojawiły się ślady, biegły do mnie, a potem niewidzialne pazury zaczęły drapać korę, gdy kot wdrapywał się na drzewo.

- Coś się zbliża! Kryj się, szybko!

Spojrzałam na walczących Puka i Asha. Szum zrobił się głośniejszy, a towarzyszył mu cichy, wysoki śmiech. Nagle pomiędzy drzewami pojawiły się setki jaskrawozielonych oczu, otoczyły nas.

Puk i Ash przerwali walkę, wreszcie uświadamiając sobie, że coś jest nie tak, ale było już za późno.

Małe, czarnoskóre istoty o cienkich łapach, wielkich uszach i ostrych jak brzytwa zębach, które w ciemnościach lśniły białoniebiesko, pokryły ziemię jak żywy dywan. Były wszędzie.

Usłyszałam krzyki zszokowanych chłopców i przerażone miauknięcie kota, który umknął wyżej na drzewo.

Istoty zauważyły mnie i nawet nie miałam czasu na reakcję. Otoczyły mnie jak wściekłe osy, wdrapały mi się po nogach i rzuciły na plecy. Czułam, jak wbijają mi się w skórę pazurki, a bzyczenie i przeraźliwy śmiech wypełniły uszy.

Zaczęłam krzyczeć, rzucając się jak oszalała. Nic widziałam. Nie wiedziałam, gdzie jest góra, a gdzie dół. Ciężar ich ciał przygniótł mnie i upadłam na ruchomy dywan Setki łapek podniosły mnie. zupełnie jak mrówki niosą konika polnego, i zaczęły unosić mnie w dal.

- Puk! - krzyknęłam, próbując się uwolnić. Ale gdy tylko udawało mi się uwolnić od jednej grupy, na jej miejsce podbiegała kolejna i niosła dalej. Ani razu nie dotknęłam ziemi.

- Grimalkin! Pomocy!

Ich krzyki zdawały się coraz odleglejsze. Niesiona przez bzyżący, żywy materac, przesuwałam się szybko nad ziemią w ciemności.

Nie wiem, jak długo mnie niosły. Kiedy próbowałam się wyrwać, trzymające mnie pazurki wbijały mi się w skórę, tworząc materac z igieł. Szybko zrezygnowałam z prób ucieczki i skupiałam się na tym, dokąd mnie zabierają. A nie było to łatwe. Ponieważ leżałam na plecach, wyraźnie widziałam tylko niebo. Próbowałam poruszyć głowę, ale stworzonka zatopiła pazury w moich włosach i ciągnęły mnie tak długo, aż łzy napłynęły mi do oczu. Postanowiłam leżeć nieruchomo i czekać, co się stanie.

Zimno i obawa wyczerpały mnie... zamknęłam oczy i w ciemnościach znalazłam ukojenie. Kiedy znów je otworzyłam, nocne niebo zniknęło, zastąpione lodowym sufitem. Uświadomiłam sobie, że podróżujemy pod ziemią. Powietrze zrobiło się jeszcze zimniejsze, gdy z tunelu trafiliśmy do olbrzymiej lodowej jaskini, połyskującej niezmierną urodą.

Ze sklepienia zwisały potężne sople, niektóre dłuższe ode mnie i niepokojąco ostre. Poruszanie się pod nimi było cokolwiek niepokojące. Patrzyłam, jak błyszczą niczym kryształowe żyrandole, i modliłam się, by nie spadły.

Zęby mi dzwoniły, a usta miałam zdrętwiałe z zimna. Ale kiedy przemieszczaliśmy się dalej w głąb jaskini, powietrze powoli się ogrzewało. Z głębi ziemi dochodziły ciche odgłosy syczenia, zupełnie jakby przez dziurę w murze uciekała para wodna.

Tutaj ze sklepienia płynęła strumieniami woda, moczając mi ubranie, a niektóre sople wyglądały na mało stabilne.

Syczenie stało się głośniejsze, przerywane ryczeniem, a do tego doszedł drażniący zapach dymu. Tutaj rzeczywiście niektóre sople spadły, rozbijając się na kawałki i błyszcząc na ziemi jak tłuczone szkło.

Moi porywacze zanieśli mnie do dużej jaskini zasłanej odłamkami lodu. Na ziemi pełno było kałuż, a z sufitu woda lała się niczym deszcz. Stworzenia upuściły mnie na lodową ziemię i uciekły. Roztarłam zdrętwiałe i obolałe kończyny i rozejrzałam się wokół, zastanawiając się, gdzie jestem.

Jaskinia była prawie pusta, tylko w jednym rogu stało drewniane pudło pełne czarnych kamieni. Węgla? Pod odległą ścianą leżało go więcej, obok drewnianego łuku, który prowadził w ciemność.

Z tunelu wydobył się ogłuszający gwizd, zupełnie jakby lokomotywa parowa wjeżdżała na stację, a za nim czarny dym. Poczułam popiół i siarkę, a potem w jaskini zadudnił jakiś głos:

- Przynieśliście ją?!

Stworzonka rozbiegły się, a kilka sopli rozbiło się z brzękiem o ziemię. Gdy z tunelu dobiegły kroki, skryłam się za lodową kolumną. Poprzez dym ujrzałam coś olbrzymiego i bardzo zniekształconego. Coś, co na pewno nie było człowiekiem. Zadrzałam przerażona.

Z dymu wynurzył się potężny czarny koń. o oczach błyszczących jak rozpalone węgle i nozdrzach buchających parą. Był wielki jak perszeron, ale tu podobieństwo się kończyło.

W pierwszej chwili myślałam, że jest okryty metalowymi płytkami, czarnymi i pordzewiałymi i to pod ich wagą porusza się tak dziwnie. Ale potem zorientowałam się, że jego ciało jest zrobione z żelaza. Z żeber sterczały mu tłoki i kółka zębate. Grzywę i ogon miał ze stalowych kabli, a jego brzuchu kryło się wielkie palenisko, które widać było przez szpary w skórze. Zamiast pyska miał przerażającą maskę, a kiedy odwrócił się do mnie, z nozdrzy buchnął mu ogień.

Cofnęłam się, przekonana, że zaraz zginę.

- Czy to ty jesteś Meghan Chase?! - Głos konia wstrząsnął jaskinią. Kolejne sopte popęłniły samobójstwo, ale to było ostatnie z moich zmartwień. Skurczyłam się, gdy żelazny potwór zbliżył się do mnie, machając głową i prychając ogniem. - Odpowiedz mi, człowieku. Czy to ty jesteś Meghan Chase, córka Letniego Króla?

- Tak - wyszeptalam, gdy koń podszedł bliżej. a jego żelazne kopyta tłukły w lód. - Kim jesteś? Czego ode mnie chcesz?

- Jestem żelaznym koniem - odpowiedziało zwierzę. Jednym z poruczników króla Machiny. Przyprowadziłem cię tutaj, bo tak zażyczył sobie mój pan. Pójdiesz ze mną do Żelaznego Króla.

Dudniący głos przyprawiał mnie o ból głowy. Próbowałam się skupić mimo łomotania w czaszce.

- Żelazny Król? - zapytałam głupio. - Kim...?

- Król Machina - potwierdził koń. - Pan na Żelaznym Dworze, władca żelaznych stworzeń.

Żelaznych stworzeń?

Przeszedł mnie dreszcz. Popatrzyłam wokół na niezliczone oczy gremlinopodobnych potworów i potężną postać żelaznego konia. Zrobiło mi się słabo, gdy uświadomiłam sobie, co to może znaczyć. Żelazne stworzenia? Czy w ogóle może istnieć coś takiego? W żadnych opowieściach, poematach i sztukach nigdy się z niczym takim nie spotkałam. Skąd one się wzięły? I kim był ten Machina, władca żelaznych stworzeń? A co ważniejsze...

- Czego on ode mnie chce?

- To nie moja sprawa - prychnął żelazny koń i brzęknął ogonem. - Ja tylko służę. Jednakże lepiej będzie, jeśli pójdiesz z nami, o ile chcesz jeszcze kiedyś zobaczyć brata.

- Ethana? - Poderwałam głowę, wpatrując się w pozbawioną wyrazu maskę żelaznego konia. - Skąd o nim wiesz? - zażądałam odpowiedzi. - Nic mu nie jest? Gdzie on jest?

- Chodź ze mną, a wszystkie twoje pytania znajdą odpowiedź. Żelazny Dwór i mój pan Machina czekają.

Wstałam, gdy żelazny koń odwrócił się i poczłapał w stronę tunelu. Jego tłoki szurały, a kółka głośno zgrzytały, kiedy się poruszał. Gdy zobaczyłam, jak odpadła od niego jakaś śruba, uświadomiłam sobie, że jest stary. Jest reliktem przeszłości. Zaczęłam się zastanawiać, czy gdzieś tam były nowsze, ładniejsze i jak wyglądały. Szybsze, lepsze, potężniejsze żelazne stworzenia. A po chwili uznałam, że wolę nie wiedzieć.

Żelazny koń stał u wylotu tunelu i przebierał niecierpliwie nogami. Spod kopyt tryskały mu iskry, gdy spojrział na mnie gniewnie.

- Chodź - zarządził, puszczając nozdrzami parę. - Idź ścieżką do Żelaznego Dworu. Jeśli nie będziesz chciała iść, to gremliny cię zanosą.

Poderwał głowę i stanął dęba, a z paszczy buchnął mu ogień.

- Albo ja będę biegł za tobą i ział ogniem...

Powietrze przeszła lodowa włócznia i wbiła się żelaznemu koniowi między żebra. Zamieniła się w parę, gdy pochłonię ją ogień. Koń wydał z siebie wysoki świst i zawrócił, aż spod kopyt poszły mu iskry. Gremliny pobiegły do przodu, rozglądając się wokół, szukając intruzów.

- Hej, brzydal! - usłyszałam znajomy głos. - Całkiem tu u ciebie ładnie. Ale na twoim miejscu bym coś przemyślał. Następnym razem wybierz sobie kryjówkę, która jest bardziej odporna na ogień niż lodowa jaskinia!

- Puk! - krzyknęłam, a rudowłosy elf pomachał do mnie uśmiechając się z drugiego końca jaskini. Żelazny koń zawył i ruszył do ataku na Puka, roztrzaskując gremliny jak ptaki. Puk nie drgnął, a potężne żelazne zwierzę rozplaszczyło go na lodzie. depcząc żelaznymi kopytami.

- Och, to musiało boleć! - zawołał kolejny Puk, trochę dalej. - Naprawdę musimy pogadać o panowaniu nad gniewem.

Żelazny koń zaatakował z rykiem kolejnego Puka, odsuwając się ode mnie i ścieżki. Gremliny poszły za nim, śmiejąc się i prychając, ale trzymały się z dala od wściekłej bestii i jej kopyt.

Chłodna dłoń zastłoniła mi usta, zduszając mój okrzyk przerażenia. Odwróciłam się i spojrzałam w błyszczące srebrne oczy.

- Ash?

- Tędy - odezwał się cicho i pociągnął mnie za sobą. Póki ten idiota ich zajmuje.

- Nie, czekaj - wyszeptalam. - On wie o Ethanie. Muszę znaleźć brata...

Ash zmarszczył brwi.

- Jeśli teraz się zawahasz, Koleżka zginie. Poza tym. -Znów wziął mnie za rękę. - Nie daję ci wyboru.

Oszołomiona szłam wzdłuż ściany jaskini za zimowym księciem, zbyt ogłuszona, by pytać, czemu mi pomaga. Przecież chciał mnie zabić? Czy ratował mnie po to, aby potem dokończyć w spokoju zadanie? Ale to bez sensu. Mógł mnie zabić, gdy Puk odwracał uwagę żelaznego konia.

- Ahoool! - Głos Puka poniósł się po jaskini. - Przykro mi brzydal, to nie ten ja! Ale próbuj dalej, na pewno następnym razem ci się uda.

Żelazny koń uniósł głowę znad rozdeptanego Puka. oczy pałały mu wściekłością. Widząc kolejnego Puka, napiął żelazne mięśnie do szarży, tymczasem jeden z gremlinów zobaczył nas i krzyknął ostrzegawczo.

Żelazny koń zawrócił w miejscu, a na nasz widok oczy mu rozbłysły. Ash zaklął. Wyjąc i ziejąc ogniem, koń rzucił się na nas zupełnie jak parowa lokomotywa. Ash wyciągnął miecz i posłał w stronę potwora grad lodowych pocisków. Odbił się od jego żelaznej skóry, nie czyniąc żadnych szkód. Tylko go bardziej rozżołościły. Gdy ta potężna, rycząca masa płonącego metalu zbliżała się, Ash odepchnął mnie na bok i zanurkował przed siebie, ledwie omijając potężne kopyta. Za plecami potwora poderwał się i ciął go w bok, ale żelazny koń schylił głowę i kopnął go w żebra. Rozbrzmiał okropny trzask, Ash odtoczył się i legł nieruchomo na ziemi

Stado skrzeczących kruków rzuciło się na żelaznego konia, nim ten zdążył rozdeptać Asha. Otoczyły głowę bestii dziobiące i wbijając w nią szpony, a żelazny koń ryknął i spopielił atakujących. Ash podniósł się w chwili, gdy obok pojawił się Puk i złapał mnie za rękę.

- Pora ruszać - odezwał się wesoło. - Książę, albo nadażysz, albo zostajesz. Wynosimy się stąd.

Pobiegliśmy przez jaskinię, ślizgając się po lodzie i błocie. Ściagały nas ryki żelaznego konia i syki gremlinów. Nie odważyłam się spojrzeć w tył. Jaskinia zatrzęsa się, a wokół nas zaczęły spadać sople, opryskując nas ostrymi odłamkami, ale się nie zatrzymywaliśmy.

Z przeciwka nadbiegł niewyraźny szary kształt z wysoko uniesionym ogonem.

- Znaleźliście ją - powiedziała Grimalkin i posłał Pukowi wściekłe spojrzenie. - Idiota. Mówiłem, żebyś nie walczył z tym koniowatym stworem.

- Nie mogę teraz rozmawiać, jesteśmy trochę zajęci! -wydyszał Puk, gdy minęliśmy kota. Grimalkin położył uszy po sobie i przyłączył się do nas, tymczasem od ścian odbijały się echem wrzaski gremlinów. Widziałam już wyjście z jaskini, oklejone soplami, i przyśpieszyłam.

Żelazny koń zaryczał, a tuż przed moją twarzą rozbił się lodowy soplel.

- Zwalcie jaskinię! - krzyknął biegnący obok nas Grimalkin. - Niech ich przywali! Już!

Wybiegł na zewnątrz i zniknął.

Chwilę później też wynurzyliśmy się z jaskini i padliśmy w śnieg, z trudem łapiąc oddech. Gdy się odwróciłam, ujrzałam dziesiątki zbliżających się zielonych oczu i usłyszałam tętent kopyt żelaznego konia, który był niedaleko za nimi.

- Uciekajcie dalej! - krzyknął Ash i odwrócił się w stronę jaskini. Zamknął oczy, przyłożył do twarzy pięść i schylił głowę. Gremliny gnały do niego, a w ciemnościach widać było czerwoną poświatę żelaznego konia.

Ash otworzył oczy i wyprostował rękę.

Ziemią wstrząsnęło głucho dudnienie, a jaskinia zadrzała. Potężne sople zatrzęsyły się, a gdy gremliny dotarły do wyjścia, całe sklepienie zawaliło się z trzaskiem tłuczonego szkła. Gremliny zapisały rozgniatane kilkoma tonami lodu i skał, a nad tym wszystkim górował ryk przerażonego żelaznego konia.

Wszystko ucichło. Ash, stojący pół metra od ściany lodu która zablokowała jaskinię, padł na śnieg.

Gdy ruszyłam w jego stronę, Puk złapał mnie za ramię.

- Chwileczkę, księżniczko - odezwał się, gdy próbowałam mu się wyrwać. - Co ty sobie wyobrażasz? Jakbyś zapomniała, to pozwól, że przypomnę, że to książątko jest wrogiem. A wrogom nie pomagamy.

- Jest ranny.

- Tym bardziej należy go zostawić.

- Właśnie uratował nam życie!

- Formalnie rzecz biorąc, ratował swoje - sprostował Puk, wciąż nie wypuszczając mojej ręki. Pchnęłam go mocno i wreszcie mnie puścił.

- Posłuchaj, księżniczko. - Westchnął, gdy posłałam mu ponure spojrzenie. - Myślisz, że Ash zachowa się teraz ładnie? Jedyne powody, dla którego pomógł, jedyny, dla którego zgodził się na rozejm, jest taki, że ma cię zabrać do Mab. A ona chce cię żywej, by użyć cię przeciwko Oberono - To jedyny powód, dla którego się przyłączył. Gdyby nie był ranny, to właśnie próbowałby mnie zabić.

Spojrzałam na leżącego bez ruchu Asha. Zaczęły go okrywać płatki śniegu, niedługo całkiem pod nimi zniknie.

- Nie możemy go po prostu zostawić na śmierć.

- To zimowy książę, Meghan. Nie zamarznie na śmierć, wierz mi.

Skrzywiłam się.

- Jesteś równie okropny, jak oni. - Zamrugnął zaskoczony, a ja odwróciłam się od niego. - Przynajmniej zobaczę, czy nic mu nie jest. A ty pójdziesz ze mną albo zejdziesz mi z drogi.

Puk uniósł ręce.

- Dobrze, księżniczko. Pomogę synowi Mab, odwiecznemu wrogowi naszego dworu. Choć jak tylko się zagapię, pewnie wbije mi miecz w plecy.

- Tym bym się nie martwił - wyszeptał Ash i powoli podniósł się z ziemi. W jednym ręku trzymał miecz, a drugim obejmował żebra. Strząsnął śnieg z włosów i uniósł broń.

- Możemy kontynuować, jeśli masz ochotę.

Puk uśmiechnął się od ucha do ucha i sięgnął po sztylet.

- Z radością - wyszeptał i zrobił krok naprzód. - To nie potrwa długo.

Rzuciłam się między nich.

- Przestańcie! - wysyczałam, rzucając im złe spojrzenia. - Natychmiast przestańcie! Odłóżcie broń, obaj! Ash. nie jesteś w tej chwili zdolny do walki, a ty, Puk, wstydzilibyś się. Zgadzać się na pojedynek, gdy przeciwnik jest ranny. Siadajcie i siedźcie cicho.

Spojrzeli na mnie zszokowani i powoli opuścili broń. Z gałęzi drzewa dobiegł zalotny chichot, a Grimalkin wyrżał, machając z radości czubkiem ogona.

- A jednak to jest córka Oberona! - zawołał, szczerząc zęby w kocim uśmiechu. - Królowa Tytania byłaby dumna.

Puk wzruszył ramionami i opadł na kłodę, krzyżując ramiona i zakładając nogę na nogę.

Ash dalej stał, patrząc na mnie z nieodgadnioną miną. Ignorując Puka, podeszłam do niego. Zmarszczył brwi i spał się, unosząc miecz, ale się nie bałam. Po raz pierwszy, od kiedy tu przybyłam, przestałam się bać.

- Książę Ashu - wyszeptałam, podchodząc bliżej. - Proponuję układ.

Spojrzał zdziwiony.

- Potrzebujemy twojej pomocy - mówiłam dalej mu prosto w oczy. - Nie wiem, co to były za stwory, ale nazywały się żelazne stworzenia. Wspomniały też kogoś, kto nanazywa się Machina, Żelazny Król. Wiesz, kto to?

- Żelazny Król? - Ash pokręcił głową! - Na dworach nie ma nikogo o tym imieniu. A jeśli ten król Machina istnieje, to jest zagrożeniem dla nas wszystkich. Oba dwory będą chciały dowiedzieć się o nim i tych... żelaznych stworzeniach^

- Muszę go odnaleźć - odezwałam się z takim naciskiem na jaki tylko udało mi się zdobyć. - To on ma mojego brata. Potrzebuję cię, żebyś pomógł nam uciec z Mrocznych Ziemi i spróbował odnaleźć Żelaznego Króla.

Ash uniósł brew

- A czemu miałbym to zrobić? - zapytał cicho, bez żartów, kompletnie poważnie.

Przełknęłam ślinę.

- Jesteś ranny - zauważyłam, patrząc mu w oczy. - Nie uda ci się wziąć mnie siłą, zwłaszcza gdy Puk tak bardzo chce wbić ci nóż pod żebro.

Spojrzałam na Puka, który siedział obrażony na kłodzie, i ściszyłam głos.

- Oto moja oferta. Jeśli pomożesz mi odnaleźć brata i doprowadzić go bezpiecznie do domu, to ja pójdę z tobą na Mroczny Dwór. Bez walki ze strony mojej czy Puka.

Oczy Asha rozbłyły.

- Aż tyle dla ciebie znaczy? Oddasz swoją wolność za jego bezpieczeństwo?

Nabrałam głęboko powietrza i skinęłam głową.

- Tak. - To słowo zawisło między nami i szybko, nim zdażyłam się rozmyślić, dodałam: - To jak, zgadzasz się taki układ?

Przechylił głowę, jakby próbował mnie rozgryźć.

- Nie, Meghan Chase. Zgadzam się na taką umowę.

- Świetnie. - nogi mi zadrżały. Odsunęłam się od niego, wiedząc, że muszę usiąść, nim się przewrócę. - I nie próbuj zabijać Puka.

- Tego nie było w naszej umowie - zauważył Ash, po czym skrzywił się i opadł na kolana, obejmując się w pasie rękami. Spomiędzy warg popłynęła ciemna krew.

- Puk! - zawołałam, rzucając okiem na siedzącego na kłodzie elfa. - Podejdź tu i pomóż.

- Och, to nagle jesteśmy mili? - Puk nie ruszył się z miejsca. - A może najpierw wypijemy herbatkę? Podam w kubeczku „pocałuj mnie w tyłek”.

- Puk! - krzyknęłam wściekła, ale Ash uniósł głowę i spojrzał na swojego wroga.

- Rozejm, Koleżko - wycharczał. - Ponury pałac jest kilka kilometrów na wschód stąd. Jego pani jest teraz na dworze, więc będziemy bezpieczni. Sugeruję zawieszenie naszego pojedynku, aż tam dotrzemy i zapewnimy księżniczce ciepło. No, chyba że wolisz mnie teraz zabić.

- Nie, nie. Zdażymy się pozabijać później. - Puk zeskoczył z kłody i podszedł, chowając sztylet do cholewy.

Zarzucił sobie ramię księcia na szyję i poderwał go z ziemi. Ash jęknął i skrzywił się, ale nie krzyknął. Posłałam Pukowi wściekłe spojrzenie, ale mnie zignorował.

- No to ruszamy. - Puk westchnął. - Idziesz, Grimalkin?

- Och, zdecydowanie. - Kot zeskoczył cicho na śnieg. Popatrzył na mnie znacząco błyszczącymi z rozbawienia złotymi oczami. - Za nic bym czegoś takiego nie przepuścił.

17. Wyrocznia.

Ponury Pałac zasługiwał na swoje miano. Ogrody pokryte były lodem, trawnik zamrożony, a liczne kolczaste drzewa zasnuwane szadzią. W środku nie było wiele lepiej. Schody były śliskie, podłogi przypominały lodowiska, a kiedy wędrowaliśmy wąskimi, lodowatymi korytarzami, mój oddech tworzył obłoczki. Przynajmniej służący byli pomocni, chociaż dość przerażający. Chude jak szkielety gnomy o białej skórze i bardzo długich palcach snuły się bezgłośnie po domu i nie odzywały ani słowem. Czarne oczy bez źrenic wydawały się za duże, jak na te drobne twarze. A do tego gnomy miały denerwujący zwyczaj gapić się na ciebie ponuro, zupełnie jakbyś cierpiał na jakąś śmiertelną chorobę i zostało ci już niewiele czasu.

Mimo wszystko wpuścili nas do domu, kłaniając się z szacunkiem Ashowi i zaprowadzili do jednego z pokojów. Lodowate zimno nie przeszkadzało zimowemu księciu, ale ja trzęsłam się i szczerkałam zębami, aż wreszcie jeden z służących podał mi grubą kołdrę, po czym odszedł bez słowa.

Wdzięczna, owinęłam się nią i zajrzałam do pokoju Asha. Siedział na łóżku, otoczony przez lodowe gnomy. Zdjął koszulę, ukazując smukłe, dobrze umięśnione ramiona i pierś. Jego sylwetka bardziej pasowała do tancerza niż siłacza, odznaczała się wytwornym wdziękiem, z którym nie mógł się równać żaden człowiek. Zmierzwione włosy opadły mu oczy, więc odgarnął je niedbale.

Mój żołądek skurczył się dziwnie i wycofałam się do korytarza.

- Co ty robisz? - zapytałam siebie zaszokowana. To Ash księżę Mrocznego Dworu. Próbował zabić Puka, a pewnie spróbuje też zabić ciebie. On nie jest seksowny. Nie jest!

Ale był. niesamowicie, i nie było sensu się tego wypierać. Moje serce przeczyło umysłowi i wiedziałam, że lepiej będzie. jak szybko zrobię z tym porządek.

No dobrze, powiedziałam sobie. Jest piękny, nie da się ukryć. To po prostu reakcja na jego niesamowitą urodę Nic więcej. Wszystkie elfy są oszałamiająco piękne. To nic nie znaczy.

Poprawiając sobie samopoczucie tą myślą, weszłam do pokoju.

Ash spojrzał na mnie, otuloną kołdrą. Dwa gnomy bandażowały mu tors, ale na splocie słonecznym nadal widać było paskudny czarny siniec.

- Czy to tu...?

Ash skinął głową. Wpatrywałam się dalej w ten punkt, badając wzrokiem pociemniałe pokryte strupami ciało. Przeszedł mnie dreszcz i odwróciłam wzrok.

- Wygląda jak poparzone.

- Kopyta tego stwora były z żelaza - wyjaśnił Ash. - Żelazo zwykle pali, jeśli nie zabije cię od razu. Miałem szczęście, że nie trafił w serce.

Gnomy napięły bandaże, aż się skrzywił.

- Bardzo jesteś ranny?

Rzucił mi badawcze spojrzenie.

- Rany elfów goją się szybciej niż śmiertelników - odpowiedział i wstał zgrabnie, strącając gnomy. - Zwłaszcza gdy są na własnym terytorium. Pomijając to - dotknął lekko opalenia na żebrach - do jutra powinienem być zdrow.

- Och. - Odjęło mi dech, nie byłam w stanie oderwać od niego spojrzenia. - To... to dobrze.

Wtedy się uśmiechnął, zimno i ponuro, i podszedł jeszcze bliżej.

- Dobrze? - W jego głosie zabrzmiała drwina. Nie powinnaś mi życzyć zdrowia, księżniczko. Byłoby dla ciebie lepiej, gdyby Puk zabił mnie wtedy, kiedy miał okazję.

Pohamowałam chęć, by się od niego odsunąć.

- Nie, nieprawda. - Górował nade mną, ale się nie cofnęłam. - Potrzebuję twojej pomocy, by wydostać się z ziem Mrocznego Dworu i odnaleźć brata. Poza tym nie mogłam pozwolić, żeby zabił cię z zimną krwią.

- Czemu? - Stał teraz bardzo blisko, tak blisko, że widziałam blade blizny na jego piersi. - Wydaje się bardzo tobie oddany. Może zaczekasz, aż opuścimy Tir Na Nog, i wtedy każesz mu wbić mi nóż w plecy? A co by było, gdybyśmy znów stoczyli pojedynek i bym go zabił?

- Przestań. - Rozzłoszczona spojrzałam mu w oczy. Dlaczego to robisz? Dałam ci słowo. Czemu teraz opowiadasz takie głupoty?

- Chcę po prostu wiedzieć, jakie masz zamiary, księżniczko. - Ash cofnął się o krok, a uśmiech znikł mu z twarzy. - Lubię poznać swoich wrogów, nim zacznę z nimi walczyć. Ustalić ich mocne i słabe strony.

- Nie walczymy...

- Walka nie musi się toczyć na miecze. - Ash podszedł do łoża. wyciągnął miecz z pochwy i przyjrzał się ostrzu. - Emocje mogą być zabójczą bronią, a znajomość słabych punktów przeciwnika może dać zwycięstwo. Na przykład...

Odwrócił się. wycelował miecz i spojrzał na mnie ponad błyszczącą klingą.

- Ty zrobisz wszystko, by odnaleźć brata: narazisz się na niebezpieczeństwo, będziesz paktować z wrogiem, dasz własną wolność, wszystko, co tylko pomoże go uratować. Pewnie to samo zrobiłabyś dla swoich przyjaciół czy kogokolwiek, na kim ci zależy. Twoja lojalność to twój słaby punkt, a twoi wrogowie na pewno ją przeciw tobie wykorzystają. Ta słabość, księżniczko, to największe niebezpieczeństwo w twoim życiu.

- No i co z tego? - Owinęłam się ciasniej kołdrą. Mówisz mi, że nie zdradzę przyjaciół i rodziny. Jeśli to słabość, to chcę taką mieć.

Przyjrzał mi się błyszczącymi oczami. Miał nieodgadniony wyraz twarzy.

- A jeśli staniesz przed wyborem: moja śmierć za uratowanie twojego brata, to co wybierzesz? Odpowiedź powinna być oczywista, ale czy będziesz do niej zdolna?

Przygryzłam wargę i nie odpowiedziałam. Ash skinął powoli głową i się odwrócił. - Jestem zmęczony - stwierdził, siadając na łóżku. - Powinnaś znaleźć Puka i spytać go, co robimy dalej. No, chyba że wiesz, gdzie jest dwór tego Machiny. Ja nie wiem. A jeśli mam pomóc, potrzebuję odpoczynku.

Położył się i zasłonił ręką oczy, odprawiając mnie. Wycofałam się z pokoju, snując ponure rozważania.

W korytarzu spotkałam opierającego się o ścianę Puka. skrzyżowanymi na piersi rękami.

- To jak się miewa przystojne książętko? - zapytał drwiąco i oderwał się od ściany. - Czy zdoła przeżyć, by jutro znów mierzyć się ze światem?

- W porządku - odparłam, gdy Puk do mnie dołączył. -Ma okropne poparzenie tam, gdzie kopnął go koń, i pewnie połamane żebra, ale nic o tym nie powiedział.

- Wybacz, że nie płaczę nad jego losem. - Puk przewrócił oczami. - Nie wiem, jak skłoniłaś go do pomocy, księżniczko, ale ja nie wierzyłbym mu za grosz. Układy z Zimowym Dworem to złe wieści. Co mu obiecałaś?

- Nic - odparłam, nie patrząc mu w oczy. Czułam ze ogląda na mnie z niedowierzaniem, więc zaatakowałam, by odwrócić jego uwagę. - A w ogóle to co ty z nim masz za problem? Powiedział, że kiedyś wbijeś mu nóż w plecy. chodzi? O co codzi?

- To... - Puk się zawahał. Trafiłam w czułe miejsce. - To był błąd - mówił cicho. - Nie chciałem, żeby tak się stało.

Otrząsnął się i zwątpienie gdzieś zniknęło. a jego miejsce zajął irytujący uśmieszek.

- Poza tym to nieważne. To nie ja tu jestem czarnym charakterem, księżniczko.

- Nie - przyznałam. - Nie jesteś. Ale żeby odzyskać Ethana, będę potrzebowała pomocy was obu. Zwłaszcza teraz. Zwłaszcza gdy Żelazny Król tak bardzo chce mnie dopaść. Wiesz coś o nim?

Puk spowaźniał.

- Nigdy wcześniej o nim nie słyszałem - wyszeptał kiedy weszliśmy do sali jadalnej.

Na środku stał długi stół, przyozdobiony przepiękną lodową rzeźbą. Grimalkin siedział na nim z pyszczkiem w misce i jadł coś, co mocno pachniało rybą. Gdy weszliśmy, uniósł wzrok i oblizał się różowym językiem.

- O kim nie słyszałeś?

- O królu Machinie. - Przynęłam sobie krzesło, usiadłam i oparłam brodę na rękach. - Ten koniowaty stwór, żelazny koń, nazwał go władcą żelaznych stworzeń.

- Hm... nigdy o nim nie słyszałem. - Grimalkin pochylił się z powrotem nad miską i zaczął głośno mlaskać. Puk usiadł obok mnie.

- To chyba niemożliwe - wymamrotał, przyjmując moją pozę. - Żelazne magiczne stworzenia? To bluźnierstwo! To wbrew wszystkiemu, co wiemy.

Zmarszczył brwi i przyłożył palce do skroni.

- Ale żelazny koń na pewno był magicznym stworzeniem. Czułem to. Jeśli takich jak on i te gremliny jest więcej, to Oberon musi się natychmiast o tym dowiedzieć. Jeśli ten król Machina poprowadzi żelazne stworzenia przeciwko nam, to zdoła zniszczyć oba dwory nim się zorientujemy, co się dzieje.

- Ale nic o nim nie wiesz. - Głos Grimalkina odbił się od ścianek miski. - Nie wiesz, gdzie jest, jakie ma pobudki. ile tak naprawdę jest tych żelaznych stworzeń. Co byś mógł teraz powiedzieć Oberonowi? Zwłaszcza po tym jak... hm... straciłeś jego łaski, bo nie wykonałeś rozkazu?

- Ma rację - dorzuciłam. - Powinniśmy się dowiedzieć czegoś więcej o tym Machinie, nim opowiemy o nim dworom. A co, jeśli postanowią mu się teraz przeciwstawić? Może odpowiedzieć atakiem, ale może się też skryć. Nie zamierzam ryzykować życia Ethana.

- Meghan...

- Nie mówimy nic dworom - powiedziałam stanowczo patrząc mu w oczy. - I kropka.

Puk westchnął i posłał mi ponury uśmiech.

- Dobrze, księżniczko - zgodził się, unosząc ręce - zrobimy po twojemu.

Grimalkin parsknął śmiechem w miskę.

- To jak odnajdziemy tego Machinę? - wymówiłam głos pytanie, które męczyło mnie przez cały wieczór. - Jedyna prowadząca do jego królestwa ścieżka, o której wiemy, leży teraz zasypana tonami lodu. Gdzie zacząć szukać? On może być wszędzie.

Grimalkin uniósł głowę.

- Chyba znam kogoś, kto mógłby nam pomóc - zamruczał, mrużąc oczy. - Swego rodzaju wyrocznię, która żyje w twoim świecie. Jest bardzo stara, nawet starsza od Puka. Starsza od Oberona. Prawie tak stara jak koty. Jeśli ktokolwiek może nam wskazać drogę do Żelaznego Króla, to właśnie ona.

Nabrałam nowej nadziei. Jeśli ta wyrocznia mogła mi opowiedzieć o Żelaznym Królu, to może wiedziała też, gdzie jest mój tata. Nie zaszkodzi zapytać.

- Myślałam, że umarła - odezwał się Puk. - O ile myślimy o tej samej wyroczni, to przecież zniknęła wieki temu.

Grimalkin ziewnął i oblizał wąsy.

- Nie umarła - zaprzeczył. - Wcale. Ale tyle razy zmieniała już imię i wygląd, że nawet najstarsze elfy ledwo ją pamiętają. Lubi dyskrecję.

Puk prychnął i zmarszczył brwi.

- To jakim cudem ty ją pamiętasz? - zapytał oburzony.

- Jestem kotem - zamruczał Grimalkin.

Źle spałam tamtej nocy. Sterta kołder nie uchroniła mnie przed wszechobecnym chłodem. Wcisnął się we wszystkie szpary, jakie udało mu się znaleźć, i kradł ciepło. Poza tym pod przykryciem spał na mnie Grimalkin. Jego kudłate ciało zapewniało mi upragnione ciepło, ale za to wbijał mi pazury w skórę. Przed świtem obudzona kolejnym dzióbnięciem wstałam, owinęłam się kołdrą i poszłam poszukać Puka.

Zamiast na niego trafiłam na Asha, który w sali jadalnej ćwiczył pchnięcia mieczem. Jego szczupłą, zgrabną sylwetką śmigano nad kafelkami, a miecz z gracją przecinał powietrze. Dla większej koncentracji Ash zamknął oczy.

Przez kilka minut stałam w progu i obserwowałam ćwiczenia, nie mogąc oderwać od niego wzroku. To był taniec piękny i hipnotyzujący. Patrząc na niego, straciłam poczucie czasu i mogłam tak spędzić cały ranek, ale otworzył oczy i mnie zauważył.

Pisnęłam i wyprostowałam się z miną winowajcy.

- Nie zwracaj na mnie uwagi - powiedziała, gdy się zatrzymał. - Nie chciałam przeszkadzać. Proszę, ćwicz dalej.

- Już i tak skończyłem. - Wsunął miecz do pochwy i przyjrzał mi się poważnie. - Potrzebujesz czegoś?

Uświadomiwszy sobie, że się gapię, oblałam się rumieńcem i odwróciłam wzrok.

- Hm... nie. To znaczy... Cieszę się, że lepiej się czujesz.

Uśmiechnął się do mnie dziwnie.

- Muszę być u szczytu formy, jeśli mam dla ciebie zabijać, prawda?

Nie musiałam odpowiadać, bo do sali wszedł Puk. Nucił coś pod nosem i niósł miskę pełną dziwnych złotych owoców mniej więcej wielkości piłek golfowych.

- Dzień dobry księżniczko - odezwał się z pełnymi ustami i z hukiem postawił miskę na stole. - Zobacz, co znalazłem!

Ash mrugnął.

- To teraz plądrujesz spiżarnie. Koleżko?

- Ja? Kraść? - Puk uśmiechnął się chytrze i zjadł kolejny owoc. - W domu, mojego odwiecznego wroga? Skąd ten pomysł?

Złapał następną owoc, mrugnął do mnie i go rzucił. Ovoc był ciepły i miękki, miał fakturę przejrzącej brzoskwini.

Grimalkin wskoczył na stół i powąchał owoce.

- Letnuszka - stwierdził i owinał ogon wokół łap - Nie wiedziałem, że rosną na zimowych terenach.

Odwrócił się do mnie z poważną miną na pyszczku

- Lepiej nie jedz ich za wiele - ostrzegł. - Robi się z nich elfie wino. A jako półczłowiek możesz źle na nie zareagować.

- Och, pozwól jej spróbować - prychnął Puk, przewracając oczami. - Już dość długo jest w krainie magii i je nasze jedzenie. Nie zamieni się w szczura ani nic.

- Dokąd będziemy się kierować? - zapytał Ash znużonym tonem. - Udało wam się wymyślić plan, jak odnaleźć Żelaznego Króla, czy też narysujemy sobie na plecach tarcze i będziemy krążyć w kółko, aż nas zauważą?

Ugryzłam owoc, a moje usta wypełniło ciepło. Przełknęłam i rozlało się po całym ciele, topiąc chłód.

W kółdrze było mi okropnie gorąco, zrzuciłam ją na jedno z krzesel i pochłonęłam resztę owocu jednym kęsem.

- Strasznie się rwiesz do pomocy - powiedział wolno Puk, opierając się o stół. - Szykowałam się na pojedynek z samego rana. Skąd ta zmiana podejścia, księżę?

Efekt letnuszki mijał. Na rękach pojawiła mi się gęsia skórka i zaczęły mnie szczypać policzki. Ignorując ostrzegawcze spojrzenie Grimalkina, złapałam kolejny owoc. wrzuciłam cały do ust tak, jak robił to Puk. Ogarnęło mnie cudowne ciepło i aż westchnęłam z rozkoszy.

Postać Asha rozmasała się na krawędziach, gdy stanął naprzeciwko Puka.

- Twoja księżniczka i ja mamy umowę - przypomniał. - Zgodziłem się pomóc jej odnaleźć Żelaznego Króla, ale nie będę cię zanudzał szczegółami. Dotrzymam umowy, ale ciebie ona w żaden sposób nie dotyczy. Tylko jej obiecałam pomóc.

- A to znaczy, że nadal możemy się pojedynkować, tylko chcemy.

- Otóż to.

Pokój zakołysał się lekko. Opadłam na krzesło, złapałam kolejną letnuskę i wpakowałam sobie całą do ust. Znowu poczułam ten cudowny przyływ ciepła i upojenie. Gdzieś daleko Puk i Ash prowadzili niebezpieczną rozmowę. ale nie chciało mi się nią przejmować. Przyciągnęłam do siebie miskę i zaczęłam zajadać owoce, jakby to były cukierki.

- No to na co czekamy? - zapytał ochoczo Puk. - Możemy od razu wyjść na zewnątrz i mieć to z głowy, Wasza Wysokość.

Grimalkin westchnął głośno, przerywając dyskusję.

Oba elfy spojrzwały na niego ze złością.

- To naprawdę pasjonujące - odezwał się kot, a ja słyszałam go strasznie niewyraźnie - ale zamiast się puszyć i drapać ziemię jak dwa koguty, może zwrócilibyście uwagę na dziewczynę.

Obaj chłopcy spojrzeli na mnie, a oczy Puka zrobiły się wielkie jak spodki.

- Księżniczko! - krzyknął, podbiegł do mnie i wyrwał mi z rąk miskę. - Nie powinnaś... nie wszystkie... Ile zjadłaś?

- Ależ to dla ciebie typowe, Puk - gdzieś z oddali usłyszałam głos Asha, a pokój zaczął wirować. - Dajesz jej skosztować elfiego wina, a potem się dziwisz, gdy je pochłania.

Wypowiedź uznałam za komiczną i wybuchnęłam histerycznym śmiechem. Śmiałam się, aż zabrakło mi tchu, a po policzkach pociekły łzy. Stopy mnie swędziały i dostałam dreszczy. Poczulałam zapach mrozu i zimy i usłyszałam gdzieś nad głową westchnienie.

- Co robisz, Ash? - zapytał ktoś. Znajomy głos, ale nie mogłam sobie przypomnieć imienia ani ustalić, czemu głos brzmiał tak podejrzliwie.

- Zabieram ją z powrotem do jej pokoju. - Ten ktoś nade mną brzmiał tak cudownie spokojnie i poważnie. Westchnęłam i ułożyłam się w jego ramionach. - Musi odespać efekty owoców. Prawdopodobnie z powodu twoich wygłupów, będziemy musieli tu zostać jeszcze jeden dzień.

Drugi głos odpowiedział coś niezrozumiale. Nagle zrobiłam się zbyt senna, by o tym myśleć. Wtulona w ramiona tajemniczej osoby zasnęłam głęboko.

Stałam w ciemnym pokoju, otoczona maszynią. Nad głową ciągnęły mi się stalowe kable grube jak moja ręka. pod ścianami stały wielkie jak domy komputery, mrugające milionami światełek, a tysiące popsutych telewizorów, starych komputerów, przestarzałych konsol do gier i odtwarzaczy wideo leżało na usypiskach ciągnących się przez całe pomieszczenie.

Złom oplatały poskręcane druty, leżały wzdłuż ścian, przecinały hałdy zapomnianego sprzętu, zwisały w kłębach z sufitu. Przestrzeń wypełniało głośne buczenie, wprawiające w wibracje podłogę i moje zęby.

- Meggie.

Usłyszałam za sobą cichy szept. Odwróciłam się i zobaczyłam, że niewielka postać zwisa na kablach. Okręcały jej ramiona, pierś i nogi, przytrzymując pod sufitem jak rozgwiazdę. Z przerażeniem

zauważyłam, że niektóre kable wchodzą w nią, podłączone do jego twarzy, szyi i czoła, jak elektryczne gniazdko. Wisiała tak bezwładnie i patrzyła na mnie z prośbą w błękitnych oczach.

- Meggie - wyszeptał Ethan, gdy coś wielkiego i okropnego uniosło się za nim. - Uratuj mnie.

Poderwałam się z krzykiem, z wizją Ethana zwisającego z kabli wypaloną pod powiekami. Grimalkin zeskoczył ze mnie z miaukiem, wbijając mi ostre pazury w klatkę piersiową. Prawie ich nie poczułam. Odrzuciłam kołdry i pognałam do drzwi.

Z krzesła pod ścianą podniósł się ciemny kształt i złapał mnie, gdy próbowałam wybiec. Trzymał mnie za ramiona a ja starałam się wyrwać. Widziałam tylko skrzywioną z bólu twarz Ethana, który umierał na moich oczach.

- Puść mnie! - krzyknęłam, wrywając rękę i próbując wydrapać przeciwnikowi oczy. - Tam jest Ethan! Muszę go uratować! Puszczaj!

- Nawet nie wiesz, gdzie jest. - Jakaś dłoń złapała moją rękę i przycisnęła do piersi. Ujrzałam wpatrzone we mnie srebrne oczy i ktoś mną krótko potrząsnął. - Posłuchaj mnie. Jeśli ruszysz ot, tak bez żadnego planu, to wszyscy zginiemy i twój brat też. Tego właśnie chcesz?

Opadłam mu w ramiona.

- Nie. - Westchnęłam. Opuściła mnie chęć do walki. Łzy napłynęły mi do oczu i aż się zatrzęsłam, próbując je pohamować. Nie mogłam być słaba, już nie. Jeśli miałam uratować brata, to nie mogłam płakać gdzieś w kącie. Musiałam być silna.

Odetchnęłam z trudem, wyprostowałam się i otarłam łzy.

- Przepraszam - wyszeptałam zawstydzona. - Już w porządku. Obiecuję więcej nie wariować.

Ash wciąż trzymał mnie za rękę. Próbowałam delikatnie się odsunąć, ale mnie nie puszczał. Uniosłam wzrok i ujrzałam jego twarz kilka centymetrów od mojej, w ciemnościach pokoju jego oczy błyszczały niepokojąco. Czas się zatrzymał. Moje serce zamarło na chwilę, po czym znów zaczęło bić, głośniejszy i szybciej. Mina Asha nie wyrażała nic. Nie dostrzegłam żadnych emocji na jego twarzy ani w oczach, ale jego ciało znieruchomiło. Wiedziałam, że rumienię się jak burak.

Uniósł rękę i delikatnie otarł mi łzę z policzka, przypominając mi o dreszczach. Przerazona wzrastającym między nami napięciem, zadrżałam. Musiałam je jakoś rozładować. Oblizłam wargi i spytałam:

- Czy to ten moment, w którym mówisz mi, że mnie zabijesz?

Uniósł kącik ust.

- Jeśli chcesz - wyszeptał, a na jego twarz wkradło się rozbawienie. - Chociaż zrobiło się na to zdecydowanie zbyt ciekawie.

W korytarzu rozległy się kroki, a Ash odsunął się puszczając moją rękę. Skrzyżował ramiona i oparł się o ścianę, gdy wszedł Puk, a za nim leniwie wsunął się Grimalkin.

Odetchnęłam głęboko z nadzieją, że w ciemności nie widać moich purpurowych policzków. Puk posłał Ashowi podejrzliwe spojrzenie, po czym zwrócił się do mnie. Na jego ustach pojawił się uśmiech zażenowania.

- Hm... jak się czujesz, księżniczko? - zapytał, splatając ręce za głową: jasny dowód na to, że był zdenerwowany. - Te owoce letniuszki dają niezłego kopa, co? No. ale przynajmniej to nie był jeżawiec, bo resztę wieczoru spędziłabyś jako jeż.

Westchnęłam, wiedząc, że to najlepsze przeprosiny, na jakie mogę liczyć.

- Nic mi nie jest. - Przewróciłam oczami. - Kiedy ruszamy?

Puk zamrugał, ale Ash odpowiedział tak. jakby nic się nie stało.

- Dziś wieczór. - Odsunął się od ściany i przeciągnął jak Pantera. - Dość czasu tu zmarnowaliśmy. Zakładam, że kot zna drogę do tej wyrocznicy?

Grimalkin ziewnął, ukazując kły i różowy język.

- Oczywiście.

- To daleko? - zapytałam.

Kot spojrział najpierw na mnie, potem na Asha i zamruczał znacząco.

- Wyrocznica żyje w świecie ludzi - wyjaśnił. - W dużym mieście poniżej poziomu morza. Co roku ludzie przebierają się w kostiumy i urządzają wielką maskaradę. Tańczą i jedzą, i rzucają paciorki innym żeby zdejmowali ubrania.

- Nowy Orlean. - Zmarszczyła brwi. - Mówisz o Nowym Orleanie.

Jęknęłam, myśląc, ile kosztowałyby nas podróz. Nowy Orlean był najbliższym dużym miastem od mojego rodzinnego miasteczka, ale była to długa wyprawa. Wiedziałam o tym, bo często marzyłam, że gdy wreszcie dostanę prawo jazdy, to wybiorę się do tego niemal mitycznego miasta.

- Ale to setki kilometrów stąd! - zaprotestowałam. - Nie mam samochodu ani pieniędzy na samolot. Jak się tam dostaniemy? Łapiąc stopa?

- Człowieku, Nigdy nigdy dotyka wszystkich granic ludzkiego świata. - Grimalkin pokręcił głową. - Nie ma materialnych odległości. Gdybyś знаła odpowiednią ścieżkę, mogłabyś trafić stąd na Bora-Bora. Przestań myśleć jak człowiek. Jestem pewien, że księżę zna drogę do miasta.

- Oczywiście, że zna - przerwał Puk. - Albo ścieżkę prowadzącą w sam środek Mrocznego Dworu. Nie żebym miał coś przeciwko psuciu imprezy u Mab, ale wolę to robić według własnych planów.

- Nie poprowadzi nas w pułapkę - warknęłam na Puka. a ten do mnie mrugnął. - Obiecał nam pomóc odnaleźć Żelaznego Króla. Złamałby słowo, gdyby przekazał nas Mab. Prawda, Ash?

Ash zrobił niezadowoloną minę, ale skinął głową.

- No, widzisz - odezwałam się z udawaną brawurą. Miałam nadzieję, że Ash nas nie zdradzi, ale, jak już się nauczyłam, umowy z magicznymi istotami zwykle dawały w kość. Otrząsnęłam się z rozmyślań i odwróciłam do księcia. - A więc - zagadnęłam, starając się, by moje pytanie brzmiało pewnie - gdzie znajdziemy ścieżkę do Nowego Orleanu?

- W ruinach lodowego giganta - odpowiedział po zastanowieniu Ash. - Nieopodal dworu Mab.

Na widok spojrzenia Puka wzruszył ramionami i uśmiechnął się smutno.

- Co roku wybiera się tam na Mardi Gras, czyli tradycyjne ostatki.

Wyobraziłam sobie jak królowa Mrocznego Dworu rozbiera się przed pijanymi imprezowiczami i zaczęłam chichotać. Cała trójka spojrzała na mnie dziwnie.

- Przepraszam - wyjąkałam, przygryzając wargę. - Chyba jeszcze nie wszystko mi wywietrzało z głowy. To idziemy?

Puk uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Niech tylko pożyczę trochę zapasów.

Trochę później ruszyliśmy całą czwórką wąską śliską od lodu ścieżką, a Ponury Pałac robił się coraz mniejszy i mniejszy. W nocy zniknęły gdzieś gnomy. Kiedy wychodziliśmy dom był pusty, zupełnie jakby od setek lat nikt w nim nie gościł. Miałam na sobie długą szatę z szarego futra, która brzękała śpiewnie podczas marszu, zupełnie jak malutkie dzwonki. Puk dał mi ją, kiedy odeszliśmy z pałacu. Ash nie wyglądał na zachwyconego, a ja nie odważyłam się spytać, skąd ją wziął. Ale było mi w niej ciepło i wygodnie, gdy podróżowaliśmy przez zimne, zamrożone tereny Mab.

Kiedy tak szliśmy, uświadomiłam sobie, że lodowy krajobraz Mrocznych Ziemi jest równie piękny i niebezpieczny, jak włości Oberona.

Z drzew zwisały sople i błyszcząły w świetle jak brylanty. Od czasu do czasu pod drzewem trafialiśmy na szkielec przebity lodowymi włócznie. Kryształowe kwiaty rosły wzdłuż drogi, ich płatki były twarde i delikatne jak szkło, a gdy się do nich zbliżałam, stroszyły kolce. Raz zdawało mi się, że na szczycie wzgórza zobaczyłam białego niedźwiedzia, na którego plecach siedział jakiś malutki stwór, ale gdy minęłam drzewo, które na chwilę zasłoniło mi widok, już ich nie było.

Ash i Puk podczas naszej podróży nie odezwali się do siebie ani słowem i pewnie dobrze się stało. Ostatnia rzecz, jakiej mi brakowało, to kolejny pojedynek na śmierć i życie. Księżę szedł przodem, równym tempem, z rzadka oglądając się za siebie, podczas gdy Puk zabawiał mnie dowcipami i cczą gadaniną. Myślę, że próbował poprawić mi nastrój i skłonić, bym zapomniała o Machinie i moim bracie. Byłam mu za to wdzięczna.

Grimalkin zniknął co jakiś czas, wskakując na drzewa czym pojawiał się z powrotem parę minut albo godzin później, nie tłumacząc się, gdzie był.

Później tego popołudnia dotarliśmy do łańcucha postrzępionych, pokrytych lodem szczytów i nasza droga zaczęła bieć gwałtownie pod górę. Ścieżka zrobiła się wąska i niebezpieczna. Musiałam bardzo uważać pod nogi. Puk szedł na końcu. Co chwila rzucał podejrzliwe spojrzenia za siebie jakby obawiał się, że ktoś nas z tyłu napadnie.

Kiedy po raz kolejny odwróciłam się, by na niego spojrzeć, trafiłam stopą na lód i się poślizgnęłam. Straciłam równowagę i zaczęłam młócić rękami powietrze, rozpaczliwie próbując odzyskać równowagę i nie spaść z góry.

Coś złapało mnie za rękę i pociągnęło do przodu. Upadłam na cudzą silną pierś, wplotłam palce w materiał, by utrzymać się na nogach. Kiedy adrenalina opadła, a serce znów zaczęło bić normalnie, uniosłam wzrok i ujrzałam twarz Asha kilka centymetrów od swojej, tak blisko, że widziałam swoje odbicie w jego srebrzystych oczach.

Bliskość sprawiła, że moje zmysły oszalały i nie potrafiłam odwrócić wzroku. Z takiej odległości jego twarz wydawała się jak wykuta z kamienia, ale pod dłonią czułam szybkie bicie jego serca. Moje też przyspieszyło w odpowiedzi. Jeszcze chwilę mnie trzymał, w sam raz, aby żołądek ścisnął mi się okropnie, po czym odsunął się, zostawiając mnie bez tchu na ścieżce.

Odwróciłam się i ujrzałam, jak Puk patrzy na mnie złym wzrokiem. Zawstydzona i z niezrozumiałym poczuciem winy, otrzępałam ubrania, poprawiłam włosy, odrzucając znacząco głowę, po czym ruszyłam za Ashem w górę.

Po tym wydarzeniu Puk przestał się do mnie odzywać.

Późnym wieczorem zaczęło śnieżyć - z nieba wolno opadały duże, miękkie płatki. Dosłownie śpiewały, przelatując obok moich uszu, a ich cichutkie głosiki tańczyły na wietrze.

Ash zatrzymał się na środku ścieżki i odwrócił do nas. Płatki przysypały mu włosy i ubranie i kręciły się wokół niego, jakby były żywe.

- Niedaleko stąd jest Mroczny Dwór - odezwał się ignorując wirujący wokół niego śnieg. - Powinniśmy zejść z drogi Nie tylko ja zostałem wysłany przez Mab, by cię odnaleźć.

Kiedy skończył mówić, śnieg zaczął tańczyć wokół nas dziko, zawodził i szarpał nam ubrania. Moje futro zaczęło brzęczeć, gdy wiatr okleił mnie śniegiem, oślepiając mnie i raniąc mi policzki. Nie mogłam oddychać. Kończyny miałam jak z łoświu.

Kiedy trąba powietrzna ucichła, stwierdziłam, że tkwię po szyję w lodzie i nie mogę się ruszyć. Puk był w podobnej sytuacji, tyle że całą głowę miał zamrożoną w przezroczystym lodzie, a na jego twarzy wypisany był szok. Ashowi nic się nie stało i gapił się na nas.

- Cholera, Ash! - krzyknęłam, próbując się wyrwać. Nie mogłam nawet ruszyć palcem. - Myślałam, że mamy umowę.

- Umowę? - odezwał się inny głos. Śniegowa trąba powietrzna skoncentrowała się i zmieniła w wysoką kobietę o długich, białych włosach i błękitnej skórze. Była w białej sukni, a jej czarne usta wykrzywił uśmiech. - Umowę? - powtórzyła, odwracając się do Asha z udawanym przerażeniem. - Ależ Ashu, skarbie, mam wrażenie, że coś przed nami ukrywasz.

18. Muzeum Wudu.

- Narissa. - Ash westchnął. Zdawał się nieprzejęty, a wręcz znudzony, ale widziałam, jak sięgnął po miecz. - Czemu zawdzięczam tę wizytę?

Śnieżna wróżka przyjrzała mi się jak pająk obserwujący upolowanego owada, po czym skierowała swoje czarne, pozbawione źrenic oczy na Asha.

- Dobrze słyszałam, kochanie? - zamruczała, unosząc się nad ziemią w stronę księcia. - Naprawdę zawarłeś umowę z tym mieszkańcem? O ile dobrze pamiętam, nasza królowa nakazała ci przyprowadzić córkę Oberona do siebie. Czyżbyś bratał się z wrogiem?

- Nie żartuj - odezwał się beznamyślnie i posłał mi szyderczy uśmiech. - Nigdy nie zdradziłbym swojej królowej. Chce córki Oberona i przyprowadzę jej córkę Oberona. Właśnie się tym zajmowałam, gdy pojawiłaś się i mi przerwałaś.

Narissa nie była przekonana.

- Ładna gadka - zaświergotała, przesuwając palcem po policzku Asha, który od razu pokrył się szronem. - A co z jej kompanem? Zdaje się, że przyrzekłeś zabić Robina Koleżkę A ty, skarbie, wprowadzasz go w sam środek naszego terytorium. Gdyby królowa wiedziała, że on tu jest...

- Pozwoliłaby mi się z nim rozprawić tak, jak uznam za stosowne - przerwał jej Ash, marszcząc brwi. Na jego twarzy zagościł teraz prawdziwy gniew. - Wziąłem ze sobą Puka, bo chcę zabić go

powoli, bez pośpiechu. Kiedy dostarczę mieszańca, będę miał całe wieki, by odpowiednio zemścić się na Robinie Koleżce. I gdy wreszcie nadejdzie właściwa chwila, nikt nie odmówi mi tej przyjemności.

Narissa się odsunęła.

- Oczywiście, że nie, kochanie - odpowiedziała spokojnie. - Ale może powinnam zabrać mieszańca na dwór. Wiesz, jak niecierpliwa bywa królowa, a nie wypada, aby księżę eskortował więźnia.

Uśmiechnęła się i podpłynęła do mnie.

- Przejmę ten ciężar z twoich rąk.

Ash obnażył miecz i zagroził wróżce drogę.

- Zrób jeszcze jeden krok, a będzie twoim ostatnim.

- Jak śmiesz mi grozić?! - Narissa zawirowała, a wraz z nią śnieg. - Proponuję ci pomoc i tak mi się odwdzięczasz! Twój brat o tym usłyszy!

- Jestem pewien. - Ash uśmiechnął się zimno, ale nie opuścił miecza. - I powiedz Rowanowi, że jeśli chce przypodobać się Mab, to sam powinien złapać mieszańca, a nie wysyłać ciebie, żebyś mi ją wykradła. A jak już tam będziesz, to możesz poinformować królową Mab, że dostarczę jej córkę Oberona i daję na to słowo. - A teraz - mówił dalej, odganiając ją mieczem - pora, byś stąd zniknęła.

Narissa spojrzała na niego z wściekłością, a włosy otoczyły ją jak burza. A potem się uśmiechnęła.

- Dobrze, skarbie. Z przyjemnością będę patrzeć, jak Rowan rozrywa cię na strzępy, kawałek po kawałek. Do zobaczenia... - Zakręciła się w miejscu, aż jej ciało rozproszyło się w śnieg i wiatr i odleciało w kierunku drzew.

Ash westchnął i pokręcił głową. -

- Pora na szybki marsz. - Jęknął i podszedł do mnie. - Narissa powie Rowanowi, gdzie jesteśmy, a on natychmiast ruszy, żeby zdobyć cię dla siebie. Nie ruszaj się.

Uniósł miecz i uderzył rękojeścią w lód. Lodowa skorupa pękła i zaczęła się kruszyć. Znów uderzył, a szczeliny się poszerzyły.

- Nie p-przejmuj się m-mną - powiedziałam, szcękając zębami. - P-pomóż Pukowi. Udusi się tam!

- Moja umowa nie dotyczy Koleżki - zauważył Ash dalej skupiony na swoim zadaniu. - Nie mam zwyczaju pomagać swoim śmiertelnym wrogom. Poza tym nic mu nie będzie. Przeżył znacznie gorsze rzeczy niż zamarzniecie. Niestety.

Spojrzałam na niego krzywo.

- N-naprawdę nam p-pomagasz? - zapytałam, gdy kolejne fragmenty lodu odpadły. - To, co powiedziałeś Narissie...

- Nie powiedziałem nic, co nie byłoby zgodne z prawdą - przerwał Ash i spojrzał na mnie. - Nie zdradzę swojej królowej. Dostarczę jej półkwi córkę Oberona, tak jak obiecałem.

Odwrócił wzrok i położył rękę na lodzie, w miejscu, gdzie była największa szczelina.

- Zrobię to jednak trochę później, niż tego oczekuje. Zamknij oczy.

Zrobiłam, jak kazał, i poczułam, jak lodowa kolumna wibruje. Dudnienie narastało, aż w końcu brzęcząc jak tłuczone szkło, lód rozpadł się na milion kawałków i byłam wolna.

Drżąc, osunęłam się na ziemię. Moja suknia była pokryta lodem, a dzwonienie ustało. Ash ukląkł, by pomóc mi wstać, ale odrzuciłam jego dłoń.

- Nigdzie nie idę - warknęłam - dopóki nie pomożesz Pukowi się wydostać.

Westchnął zirytowany, ale wstał, podszedł do drugiej zamrożonej kolumny i przyłożył do niej rękę. Tym razem lód rozprysnął się gwałtownie, strzelając odłamkami jak kryształowy granat. Kilka fragmentów wbiło się głęboko w pień pobliskiego drzewa. Skuliłam się, słysząc eksplozję.

Gdyby tak postąpił ze mną, rozpadłabym się w drobny mak. Puk przeszedł chwiejnie kilka kroków, miał zakrwawioną twarz, a ubranie w strzępach. Zachwiał się, oczy zaszyły mu mgłą i zaczął się chwiać. Krzyknęłam jego imię i podbiegłam, aż padł mi w ramiona.

I zniknął.

Jego ciało rozpułnęło się w chwili gdy go złapałam, i teraz patrzyłam na opadający na ziemię postrzępiony liść. Obok mnie Ash prychnął i pokręcił głową.

- Usłyszałeś wszystko, co chciałeś. Koleżko? - zawołał w powietrze.

- Tak - odpowiedział bezcielesny głos Puka, gdzieś spomiędzy drzew. - Ale nie jestem pewien, czy wierzyć uszom.

Zeskoczył z gałęzi sosny, wylądował z głuchym odgłosem na śniegu. Kiedy się wyprostował, jego zielone oczy płonęły wściekłością. Ale nie na Asha, tylko na mnie.

- A więc to mu obiecałaś, księżniczko?! - krzyknął wyrzucając ręce w powietrze. - Na tym polega twoja umowa? Oddasz się Mrocznemu Dworowi?

Odwrócił się i uderzył pięścią w drzewo, posyłając na ziemię gałązki i sople.

- Co za głupi pomysł! Co jest z tobą nie tak?

Skuliłam się. Po raz pierwszy widziałam jego gniew. I to nie tylko Puka, ale i Robbiego. Nigdy się nie złościł, uważał wszystko za jeden wielki żart. A teraz wyglądał tak, jakby chciał mi urwać głowę.

- Potrzebowaliśmy pomocy - odezwałam się, obserwując z przerażeniem, jak błyska oczami i jak jego włosy skręcają się niczym płomieniem. - Musimy wydostać się z Mrocznych Ziem i dostać do królestwa Machiny.

- Ja bym cię tam zaprowadził! - zaryczał Puk. - Ja! Nie Potrzebujesz jego pomocy! Nie wierzysz, że mogę ci zapewnić bezpieczeństwo? Oddałbym za ciebie wszystko. Dlaczego uznałaś, że ja nie wystarczę?

Zatkało mnie. Puk był dotknięty. Rzucił mi spojrzenia, jakbym wbiła mu nóż w plecy. Nie wiedziałam, co powiedzieć. Nie miałam odwagi spojrzeć na Asha, ale czułam, że był niezłe ubawiony nową sytuacją.

Kiedy tak na siebie patrzyliśmy, Grimalkin zsunął się z gałęzi, jak obłoczek dymu unoszący się nad śniegiem. Miał uradowaną minę, gdy spod półprzymkniętych powiek patrzył to na wściekłego Puka, to na mnie.

- Z każdym dniem robi się coraz zabawniej - wymruczał z kocim uśmiechem.

Nie byłam w nastroju, by słuchać jego sarkastycznych uwag.

- Masz coś konstruktywnego do powiedzenia, Grim? - warknęłam, obserwując, jak jeszcze bardziej mruży oczy.

Kot ziewnął i usiadł, by zająć się swoją toaletą.

- Tak się składa, że owszem - wymruczał, schylając się by wylizać bok. - Mam coś, co może was zainteresować.

Jeszcze chwilę mył ogon, a ja walczyłam z chęcią, by złapać za niego i zamachnąć się nim jak lassem. W końcu przeciągnął się i spojrzał w górę, mrugając leniwie.

- Sądzę - zamruczał przeciągle - że znalazłem ścieżkę, której szukacie.

Poszliśmy za Grimalkinem do ruin starodawnego zamku, na którego dziedzińcu leżały odłamki murów i popękane gargulce. Wszędzie wokół porozrzucane były wystające spod śniegu kości, które przyprawiały mnie o dreszcze. Puk szedł za nami, nie odzywając się do nikogo, w ponurej ciszy.

Obiecałam sobie, że pomówię z nim później, jak się uspokoi, ale na razie chciałam tylko opuścić Mroczne Ziemie.

- Tam - odezwał się Grimalkin, wskazując głową pękniętą na pół kamienną kolumnę. Jedna połowa opierała się na drugiej, tworząc łuk.

A przed nim leżało ciało. Ciało, długie na ponad trzy metry, okryte skórą i futrami, o białoniebieskiej skórze i splątanej, białej brodzie. Postać leżała na plecach, odwrócona twarzą w drugą stronę, a w jednej potężnej ręce ścisnęła kamienną maczugę.

Ash się skrzywił.

- Zgadza się - wyszeptał, kiedy skryliśmy się za kamiennym murkiem. - Mab trzyma tu swojego olbrzyma, by pilnował przejścia. Zimny Tom nie słucha nikogo poza królową.

Spojrzałam wściekle na kota, który zdawał się zupełnie tym nie przejmować.

- Mogłeś coś wspomnieć, Grim. A może zapomniałeś o tym drobnym, ale istotnym szczególe? Może nie zauważyłeś trzymetrowego olbrzyma na środku ścieżki?

Puk, powstrzymując niechęć do mnie albo zapominając o niej, wyrzwał zza kamienia.

- Wygląda na to, że Tom uciął sobie drzemkę - stwierdził - Może uda się nam przemknąć.

Grimalkin przyjrzał nam się po kolei, po czym wolno zamrugał.

- W takich chwilach jeszcze bardziej doceniam fakt, że jestem kotem. - Westchnął i ruszył w kierunku potężnego ciała.

- Grim! Stój! - zasyczałam za nim. - Co robisz?

Kot mnie zignorował. Serce ścisnęło mi się w piersi, gdy obserwowałam, jak podchodzi do olbrzyma. Przy jego ogromnym cielsku wyglądał jak kudłata mysz. Spoglądając na strażnika, machnął ogonem, przyczał się i wskoczył na jego pierś.

Wstrzymałam oddech, ale Tom ani drgnął. Może Grimalkin był dla olbrzyma zbyt lekki, by zwrócić uwagę na jego ciężar. Kot odwrócił się i usiadł, okręcając sobie ogon wokół nóg i patrząc na nas wyniośle.

- Nieżywy! - zawołał. - Całkiem nieżywy. Jeśli chcecie, możecie przestać się żałować kuli z przerażenia. Doprawdy nie mam pojęcia, jak wam się udaje przetrwać z takimi nosami. Czuję jego smród na kilometr.

- Nie żyje? - Ash podszedł natychmiast, marszcząc brwi. - To dziwne. Zimny Tom był jednym z najsilniejszych olbrzymów w swoim klanie. Jak zmarł?

Grimalkin ziewnął.

- Może zjadł coś, co mu nie posłużyło.

Ostrożnie ruszyłam naprzód. Może to przez te wszystkie horrory, które obejrzałam, ale prawie oczekiwałam, że martwy olbrzym otworzy oczy i się na nas zamachnie.

- A co za różnica? - zawołałam do Asha, ale nie spuszczałam oka z ciała. - Jeśli nie żyje, to możemy się stąd wynieść i nawet nie musimy z nim walczyć.

- Nic nie rozumiesz - odpowiedział Ash. Przyjrzał się uważnie zwłokom. - To był silny olbrzym, jeden z najsilniejszych. Coś go zabiło na naszych ziemiach. Chcę wiedzieć, co mogło powalić Zimnego Toma.

Byłam już blisko głowy olbrzyma. Na tyle blisko by widzieć wybałuszone oczy o pustym wzroku i szary język częściowo wystający z ust. Wokół oczu i na szyi wystąpiły mu niebieskie żyły. Cokolwiek go zabiło, trochę to trwało. A wtedy z jego ust wypełził metalowy pająk. Krzyknęłam i odskoczyłam. Puk i Ash podbiegli do mnie podczas gdy wielki pająk uciekał po twarzy Toma i dalej, na mury. Ash sięgnął po miecz, ale Puk krzyknął i rzucił w pająka kamieniem. Cios okazał się zabójczy. W snopie iskier robał spadł i z metalicznym zgrzytem rozbił się o kamień dziedzińca.

Podeszliśmy ostrożnie. Ash z obnażonym mieczem, a Puk z dużym kamieniem w ręku. Ale stwór leżał nieruchomo na ziemi, rozbity prawie na dwoje. Z bliska wyglądał mniej pająkowato, a bardziej jak tę łapiące za twarz stwory z Obcego, tyle że był z metalu. Ostrożnie uniosłam go za podobny do bicia ogon.

- Co to? - wyszeptał Ash. Przynajmniej raz ten niewzruszony elf był prawie... przerażony. - Kolejny magiczny stwór z żelaza Machiny?

Oliśniło mnie.

- To robak.

Chłopcy spojrzeli na mnie zdziwieni, a ja brnęłam dalej.

- Żelazny koń, gremliny, robaki, to zaczyna mieć sens. Odwróciłam się do Puka, który zamrugał i cofnął się o krok.

- Puk, czy ty nie mówiłeś mi kiedyś, że magiczne stworzenia rodzą się z marzeń śmiertelników?

- Tak? - Do Puka nadal nie docierało.

- No a co, jeśli te rzeczy... - machnęłam metalowym robalem - zrodziły się z innych marzeń? Snów o technologii i postępie Marzeń o nauce? Co, jeśli pogoń za pomysłami, których kiedyś nie dało się zrealizować: lataniem, maszynami parowymi, Internetem, zrodziła zupełnie inny gatunek magicznych stworzeń? Przez ostatnie sto lat ludzkość zrobiła olbrzymie postępy w technologii. A z każdym sukcesem sięgaliśmy dalej, marzyliśmy o czymś więcej. Może te żelazne stworzenia są tego efektem?

Puk zbladł, a Ash wyglądał na bardzo zaniepokojonego.

- Ale jeśli to prawda - jego szare oczy pociemniały jak burzowe chmury - to wszystkie magiczne stworzenia są w niebezpieczeństwie. Nie tylko Jasny i Mroczny Dwór. To dotknie całą krainę Nigdy nigdy, cały magiczny świat.

Puk skinął głową. Nigdy wcześniej nie widziałam go tak poważnego.

- To wojna - powiedział i spojrzął Ashowi w oczy. - Jeśli Żelazny Król zabija strażników ścieżek, to musi planować inwazję. Musimy odnaleźć Machinę i go zniszczyć. Może to on kieruje tymi żelaznymi stworzeniami. Jeśli go zabijemy, jego poddani pójdą w rozsypkę.

- Zgadzam się. - Ash schował miecz i rzucił zniesmaczone spojrzenie w stronę robaka. - Zaprowadzimy Meghan na Żelazny Dwór i uratujemy jej brata, zabijając władcę żelaznych stworzeń.

- Brawo - odezwał się Grimalkin, spoglądając z wysokości piersi Zimnego Toma. - Zimowy księżę i błazen Oberona wreszcie się w czymś zgodzili. Świat się kończy.

Wszyscy spojrzeliśmy na niego z wściekłością. Kot parsknął śmiechem i zeskokczył z olbrzyma, przyglądając się robakowi, którego trzymałam. Zmarszczył nos.

- To ciekawe - rzucił. - Śmierdzi żelazem i stalą, a mimo to cię nie parzy. Podejrzewam, że bycie w polowi człowiekiem musi mieć jednak swoje zalety.

- O co ci chodzi?

- Hm... rzuć to Ashowi, dobrze?

- Nie! - Ash odskoczył i sięgnął po miecz.

Grimalkin się uśmiechnął.

- Widzisz? Nawet potężny zimowy księżę nie może wytrzymać dotyku żelaza. Ty natomiast możesz bez obaw nim się posługiwać. Czy teraz widzisz, dlaczego oba dwory cię szukają? Pomyśl, co mogłaby osiągnąć Mab, gdyby miała nad tobą władzę.

Wypuściłam robaka i wzruszyłam ramionami.

- Właśnie po to chce mnie Mab? - zapytałam Asha, który wciąż stał w pewnym oddaleniu. - Jako broni?

- Śmieszne, prawda? - zamruczał Grimalkin. - Nie potrafi nawet używać uroku. Byłaby beznadziejnym skrytobójcą

- Nie wiem, po co chce cię Mab - odezwał się cicho Ash patrząc mi w oczy. - Nie podaję w wątpliwość rozkazów swojej królowej. Ja tylko służę.

- W tej chwili to nieważne - przerwał Puk i posłał mordercze spojrzenie zimowemu księciu. - Po pierwsze musimy znaleźć Machinę i go sprzątnąć. A potem będziemy się zastanawiać.

Ton jego głosu sugerował, że kwestie te zostaną rozwiązane przez pojedynek. Ash wyglądał, jakby chciał powiedzieć coś innego, ale skinął głową. Grimalkin ziewnął głośno i potruchtał do bramy.

- Człowieku, nie zostawiaj tu robaka - odezwał się, nie odwracając głowy. - Może zniszczyć ziemię wokół siebie. Lepiej wyrzucić go w swoim świecie, tam nie zrobi to żadnej różnicy.

Machając ogonem, przeszedł pod kolumną i zniknął.

Trzymając robaka kciukiem i palcem wskazującym, upchnęłam go w plecaku. Mając po bokach Asha i Puka w roli czujnych psów obronnych, przeszłam pod kolumną i wszystko zrobiło się białe.

Kiedy jasność opadła, rozejrzałam się wokół, najpierw niepewnie, a potem z przerażeniem. Stałam w otwartej paszczy. Po obu stronach wyrastały tępe zęby, a pod nogami miałam czerwony język. Pisnęłam przerażona i skoczyłam do przodu, potykając się o dolną wargę i i upadając na brzuch.

Odwróciłam się i zobaczyłam, jak Ash i Puk wychodzą z otwartej paszczy zabawkowego niebieskiego wieloryba. Na jego głowie siedział uśmiechnięty i wskazujący gdzieś przed siebie Pinokio, a jego drewniana buzia była wzmocniona szklanym włóknem i gipsem.

- Przepraszam panią! - Mała dziewczynka w różowych ogrodniczkach przeskoczyła nade mną i pobiegła do wieloryba, goniona przez dwójkę przyjaciół.

Ash i Puk odsunęli się, a dzieci nie zwróciły nawet na nich uwagi, krzycząc i brykając w wielorybie.

- Ciekawe miejsce - rzucił Puk, pomagając mi wstać.

Nie odpowiedziałam. Byłam zbyt zajęta rozglądaniem się wokół. Wyglądało to tak, jakbyśmy trafili w sam środek bajkowego parku rozrywki. Nieopodal stał olbrzymi różowy but, a dalej wznosił się jasnyniebieski zamek, oba okupowane przez gromady dzieci. Pomiędzy cienistymi drzewami a ławkami statek piracki przechodził właśnie abordaż małych awanturników, a wspaniały zielony smok stawał dęba, ziejąc plastikowym ogniem. Płomień z jego paszczy był tak naprawdę zjeżdżalnią. Patrzyłam, jak chłopiec wspina się po schodach na plecach smoka i zjeżdża, piszcząc z radości, i uśmiechnęłam się smutno.

Ethan byłby zachwycony tym miejscem, pomyślałam, patrząc, jak chłopiec biegnie do dyniowego powozu. Może, gdy to wszystko się skończy, zabiorę go tutaj.

- Ruszajmy - rozkazał Grimalkin i wskoczył na wielki różowy grzyb. Miał nastroszony ogon i rozglądał się z niepokojem. - Wyrocznia nie jest daleko, ale powinniśmy się śpieszyć.

- Skąd ta nerwowość, Grim? - zapytał Puk i rozejrzał się wokół. - Myślę, że powinniśmy tu chwilę zostać, nasycić się atmosferą.

Uśmiechnął się promiennie i pomachał do dziewczynki, która obserwowała go zza domku, a potem gdzieś się skryła.

- Tu jest za dużo dzieci - odezwał się Grimalkin, zerkając z niepokojem przez ramię. - Za dużo wyobraźni. One nas widzą, wiesz? Takimi, jacy jesteśmy naprawdę. A w odróżnieniu od tamtego hobgoblina, nie lubię być w centrum zainteresowania

Podążyłam za jego wzrokiem i zobaczyłam małego skrzata bawiącego się z dziećmi na bucie. Miał kręcone brązowe włosy, stary płaszcz i kudłate sterczące uszy. Śmiał się i ganiał z dziećmi, a siedzący na ławkach rodzice zdawali się go nie zauważać.

Mniej więcej trzyletni chłopiec zobaczył nas i podszedł wpatrując się w Grimalkina.

- Kici, kici! - zawołał, wyciągając przed siebie rączki. Grimalkin położył uszy po sobie i zasyczał, ukazując zęby, aż chłopiec się cofnął.

- Wynocha, dzieciaku - prychnął, a chłopiec rozplakał się i uciekł do pary siedzącej na ławce. Zatrzasnęli się, słuchając, jak ich synek opowiada o niedobrym kotku, i spojrzeli w naszym kierunku.

- No, pora ruszać - stwierdził Puk i pomaszzerował przed siebie. Poszliśmy za nim. Grimalkin wysforował się naprzód. Opuściliśmy plac zabaw przez bramę, której pilnowali Jaś i Małgosia, i przeszliśmy przez park pełny olbrzymich, obrośniętych mchem i pnączami dębów. Zauważyłam, że z pni spoglądają na nas twarze kobiet o czarnych, wyrazistych oczach. Puk posłał im kilka całusów, a Ash kłaniał się z szacunkiem. Nawet Grimalkin skinął im głową, aż zaczęłam się zastanawiać, czemu są tak ważne.

Po prawie godzinnym marszu dotarliśmy do miasta. Zatrzymałam się i rozejrzałam wokół, żałując, że nie mamy dość czasu, by pozwiedzać. Zawsze chciałam przyjechać do Nowego Orleanu, zwłaszcza na Mardi Gras, chociaż wiedziałam, że mama na pewno by się na to nie zgodziła. Ale teraz też Nowy Orlean tętni życiem.

Wzdłuż ulic stały drewniane sklepy i kamienice. Wiele było dwu-, a nawet trzypiętrowych, z werandami i balkonami wychodzącymi na ulicę. Z wnętrza dochodził jazz, a ostry zapach południowych potraw sprawiał, że aż burczało mi w brzuchu.

- Później będziesz się gapić. - Grimalkin puknął mnie pazurem w tydkę. - Nie przyjechalibyśmy na wycieczkę krajoznawczą. Musimy się dostać do francuskiej i dzielnicy. Hej, niech któreś znajdzie nam jakiś środek transportu.

- A dokąd dokładnie idziemy? - zapytał Ash gdy Puk zatrzymał powóz ciągnięty przez sennego czerwonego muła. Zwierzę prychnęło i zastrygło uszami, gdy wsiadaliśmy, ale woźnica tylko się uśmiechnął i skinął głową Grimalkin wskoczył na ławkę obok niego.

- Do Muzeum Historii Wudu - zwrócił się do woźnicy, który wcale się nie zdziwił na widok gadającego kota. - I to galopem.

Muzeum wudu? Nie wiedziałam, czego się spodziewać, gdy powóz zatrzymał się przed odrapanym budynkiem we francuskiej dzielnicy. Nad prostymi czarnymi drzwiami wisiał nędzny drewniany szyld informujący, że jest to Muzeum Historii Wudu w Nowym Orleanie. Zapadł zmierzch, a w ciemnym oknie wisiał napis „Zamknięte”. Grimalkin skinął na Puka, który wyszeptał kilka słów i zastukał do drzwi. Otworzyły się z cichym skrzypieniem i weszliśmy do środka.

W środku było ciepło i pachniało stęchlizną. Potknęłam się o dywan i wpadłam na Asha, który podparł mnie z westchnieniem. Puk zamknął za nami drzwi, pogrążając nas w ciemnościach. Sięgnęłam do ściany, ale Ash wypowiedział jakieś słowa i nad jego głową pojawiła się kula niebieskiego ognia rozświetlająca ciemności.

Blade światło wydobyło z mroku makabryczną kolekcję. Pod ścianą stał szkielet w cylindrze, a obok niego manekin z głową aligatora. Wszędzie porostawiane były ludzkie i zwierzęce czaszki, uśmiechnięte maski i drewniane laleczki. W gablotach stały słoje pełne węży i żab unoszących się w bursztynowym płynie, a także znajdowały się zęby, mózdzierze, bębny, skorupy żółwi i inne osobliwości.

- Tędy - rozległ się głos Grimalkina, dziwnie głośny w panującej ciszy. Poszliśmy za nim przez ciemny korytarz, z którego ściany patrzyły na nas portrety kobiet i mężczyzn. Czułam, jak ich wzrok wbija się we mnie, gdy skręcałam do pokoju zastawionego innymi makabrycznymi eksponatami. Na środku stał stół przykryty czarnym obrusem. Wokół niego ustawiono cztery krzesła, zupełnie jakby ktoś nas oczekiwał.

Kiedy podeszliśmy do stołu, jedna z zasuszonych twarzy w kącie poruszyła się i odplynęła od ściany. Krzyknęłam i skoczyłam za Puka, a chuda jak szkielet kobieta o zmierzwionych siwych włosach poczłapała w naszą stronę. Oczy miała głęboko zapadnięte, a twarz zniszczoną i pomarszczoną.

- Witajcie, dzieci - odezwała się wiedźma, a jej głos przypominał przesypujący się piasek. - Przyszlście odwiedzić starą Annę? Widzę Puka i Grimalkina. Jak miło.

Wskazała stół, a paznokcie jej gruzłowatych palców zaśniły stalowo.

- Usiądźcie.

Usiedliśmy przy stole, a wiedźma stanęła przed nami. Czuć było od niej kurzem i rozkładem, starymi gazetami, które od lat leżały na strychu. Uśmiechnęła się do mnie, ukazując żółte, spiczaste zęby.

- Czuję potrzebę - zachrypiła, siadając. - Potrzebę i pragnienie. Ty, dziecko - wskazała mnie palcem - przybyłaś tu w poszukiwaniu wiedzy. Szukasz czegoś, co musi zostać odnalezione, tak?

- Tak - wyszeptalam.

Wiedźma skinęła.

- A więc pytaj, dziecko dwóch światów. Ale pamiętaj - spojrzła na mnie pustymi oczami - za wiedzę trzeba płacić. Dam ci odpowiedzi, których szukasz, ale pragnę czegoś w zamian. Czy zgodzisz się zapłacić taką cenę?

Ogarnęło mnie poczucie porażki. Kolejne umowy. Kolejne opłaty. Byłam już tak zadłużona, że nigdy się z tego nie wyplączę.

- Niewiele mi zostało do oddania - odpowiedziałam.

Zaśmiała się gardłowo.

- Zawsze coś się znajdzie, drogie dziecko. Na razie tylko twoja wolność należy do kogoś innego. - Pociągnęła nosem, zupełnie jak pies, który zwietrzył trop. - Wciąż masz młodość, umiejętności, głos. Nienarodzone dziecko. To wszystko ma dla mnie wartość.

- Nie dostaniesz mojego dziecka - odpowiedziałam odruchowo.

- Naprawdę? - Wyrocznia złożyła palce. - Nie oddasz go, nawet jeśli ma ci przynieść tylko ból?

- Dość tego - odezwał się w ciemnościach Ash. - Nie przyszlśmy tu debatować o tym, co może się wydarzyć w przyszłości. Podaj swoją cenę, wyrocznio, i niech dziewczyna zdecyduje, czy chce ją zapłacić.

Wyrocznia pociągnęła nosem i rozparła się na krzesło.

- Wspomnienie - stwierdziła.

- Co?

- Wspomnienie - powtórzyła wiedźma. - Takie, które wspominasz z rozrzewnieniem. Najszczęśliwsze wspomnienie twojego dzieciństwa. Bo widzisz, ja mam ich bardzo mało.

- Naprawdę? - zapytałam. - Tylko tyle? Chcesz po prostu jedno z moich wspomnień i odpowiesz na moje pytania?

- Meghan - wtrącił się Puk - nie przyjmuj tego tak beztrosko. Utrata wspomnień to jak utrata części duszy.

To zabrzmiało groźniej.

Ale mimo wszystko, pomyślałam, zdecydowanie łatwiej oddać wspomnienie niż głos czy pierwotne dziecko. A poza tym nie będzie mi go brakowało, skoro nie będę o nim pamiętać.

Pomyślałam o swoich najszczęśliwszych chwilach w życiu: przyjęciach urodzinowych, moim pierwszym rowerze, Beau. gdy był szczeniakiem. Żadne z nich nie wydawało się aż tak istotne, by je zachować.

- Dobrze - odpowiedziałam wyroczni i usiadłam naprzeciw niej. - Zgadzam się. Dostaniesz jedno moje wspomnienie, a potem powiesz mi to, co chcę wiedzieć. Zgoda?

Wiedźma wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

- Taaak.

Sięgnęła nad stołem i objęła szponami moją twarz zdrząłam i zamknęłam oczy, gdy jej paznokcie delikatnie drapały mnie po policzkach.

- To może być odrobinę... nieprzyjemne - zasyczała a aż jęknęłam, gdy wbiła mi pazury w mózg, otwierając go jak papierową torbę. Czułam, jak przegląda zawartość mojej głowy, przerzucając wspomnienia jak fotografie, przyglądając się im, a potem je odrzucając. Wokół mnie unosiły się porzucone obrazy: wspomnienia, emocje, stare rany, które znowu się otworzyły i zaczęły boleć. Chciałam się odsunąć i to przerwać, ale nie mogłam drgnąć. W końcu wyrocznia zamarła i sięgnęła do świecącego radośnie miejsca, a ja w przerażeniu uświadomiłam sobie co to.

Nie! - chciałam krzyknąć. Nie, nie to! Zostaw je, proszę!

- Taaak - zasyczała wyrocznia, wbijając pazury we wspomnienie. - Wezmę to. Teraz jest moje.

Poczułam, jakby coś ze mnie wyrwała, a głowę przeszył mi ból. Zesztywniałam, jęknęłam i opadłam na krzesło, czując się tak, jakby mi rozplątano głowę.

Usiadłam prosto, krzywiąc się od bólu głowy. Wyrocznia obserwowała mnie nad stołem. Uśmiechała się z zadowoleniem. Puk mamrotał coś, czego nie mogłam zrozumieć, a Ash patrzył na mnie ze współczuciem. Czułam się zmęczona, wypompowana i z jakiegoś powodu pusta. Zupełnie jakby gdzieś wewnątrz mnie czegoś brakowało.

Ostrożnie zaczęłam przeglądać wspomnienia, zastanawiając się, które z nich zabrała. A po chwili uświadomiłam sobie, jakie to absurdalne.

- Zrobione - wyszeptwała. Położyła na stole ręce, wnętrzem dłoni do góry. - A teraz ja wypełnię moją część umowy. Podaj mi ręce, dziecko, i pytaj.

Hamując odrzę, położyłam dłonie na jej rękach, drżąc gdy długie paznokcie oplótły moje palce. Starucha zamknęła zapadnięte oczy.

- Trzy pytania - zachrypiała, a jej głos zdawał się dobywać gdzieś z oddali. - To typowy układ. Odpowiem na trzy pytania, nic więcej. Przemyśl je.

Nabrałam głęboko powietrza, spojrzałam na Puka i Asha i wyszeptала pytanie.

Na chwilę zapadła cisza. Wiedźma otworzyła oczy, a te nie były już puste, ale płonęły ogniem, czarne i głębokie jak otchłań. Otworzyła niesamowicie szeroko usta i rzekła:

- „W środku żelaznej góry
Czeka dziecko porwane,
A król, co tron utracił,
Wskaże ci drogę za bramę”.

- Cudownie - wymamrotał Puk, odchylając się na krześle i przewracając oczami. - Uwielbiam zagadki. I jeszcze tak ładnie się rymują. Zapytaj ją, gdzie znajdziemy Żelaznego Króla.

Skinęłam głową.

- Gdzie jest Machina, Żelazny Król?

Wyrocznia westchnęła, a z jej gardła wydobył się szept:

- Wśród morza rdzy

Śpiewa wieża.

To tam żelaznych królów

Leża”.

- Rdza. - Puk skinął głową i uniósł brwi. - I śpiewające wieże. Robi się coraz weselej. Cieszę się, że tu przyszedliśmy Książę, chciałbyś może zapytać o coś tę jakże usłużną wyrocznię?

Zamyślony Ash, z brodą opartą na rękach, uniósł głowę. Zmarszczył brwi.

- Zapytaj ją, jak go zabić - zażądał.

Skrzywiłam się, nie podobała mi się myśl o zabijaniu. Chciałam tylko uratować Ethana. Nie wiedziałam, jak to się stało, że moja wyprawa zamieniła się w krucjatę.

- Ash...

- Zrób to.

Przełknęłam ślinę i odwróciłam się do wyroczni.

- Jak zabić Żelaznego Króla? - zapytałam z ociąganiem. Usta wyroczni się otworzyły.

- „Króla z żelaza nie może zabić

Śmiertelnik ani elf.

Odnajdźcie stróżów drzew.

Ci wiedzą, jak wytoczyć krew".

Gdy tylko wypowiedziała ostatnie słowo, opadła na stół Przez chwilę tak leżała, wysuszona stara kobieta, a potem po prostu... się rozpadła. Uniósł się kurz, gryzący w oczy i gardło. Odwróciłam się, kaszląc i plując, a gdy znów mogłam oddychać, wyrocznia zniknęła. Tylko kilka pyłków wskazywało na to, że kiedykolwiek tu była.

- Sądzę - odezwał się Grimalkin, zaglądając pod obrus - że nasza wizyta dobiegła końca.

- To dokąd teraz? - zapytałam, gdy wyszliśmy z Muzeum Wudu na słabo oświetlone ulice francuskiej dzielnicy. - Wyrocznia nie dała nam wielu wskazówek.

- Wręcz przeciwnie. - Grimalkin odwrócił się do mnie. - Dała ich mnóstwo. Po pierwsze, wiemy, że twój brat jest u Machiny. To było do przewidzenia, ale zawsze dobrze jest się upewnić. Po drugie, wiemy, że teoretycznie Machina jest niepokonana, a jego kryjówka znajduje się pośrodku zardzewiałej krainy. A, co najważniejsze, po trzecie, wiemy, że jest ktoś, kto wie, jak go zabić.

- No tak, ale kto? - Potarłam ręką oczy. Byłam taka zmęczona. Zmęczona szukaniem, bieganiem w kółko i brakiem odpowiedzi. Chciałam wreszcie z tym skończyć.

- Doprawdy, człowieku, w ogóle jej nie słuchałeś? - Grimalkin westchnął, znów zirytowany, ale nic mnie to nie obchodziło. - To nie była nawet zagadka. A co z wami? - Spojrzał na chłopców. - Czy nasi potężni obrońcy uzyskali jakieś informacje, czy też tylko ja uważałam na słowa wyroczni.

Ash nie odpowiedział, wpatrując się ze zmarszczonymi brwiami w drugi koniec ulicy.

Puk wzruszył ramionami.

- Odnajdźcie stróżów drzew - przypomniał - To proste. Sądzę, że powinniśmy wrócić do parku.

- Brawo, Koleżko.

- Staram się.

- Czuję się taka zagubiona. - Jęknęłam i usiadłam na krawężniku. - Dlaczego wracamy do parku? Dopiero tam byliśmy. W Nowym Orleanie na pewno są też inne drzewa.

- Dlatego, księżniczko...

- Później wyjaśnisz. - Przy moim boku pojawił się Ash. Mówił cicho i chrapliwie. - Pora ruszać. Natychmiast.

- Czemu? - zapytałam, a w tym samym momencie latarnie, i wszystkie inne światła w okolicy, zamrugały i zgasły.

Nad naszymi głowami rozbłysły elfie światełka, przywołane przez Asha i Puka. W ciemnościach rozbrzmiewały kroki. Zbliżały się ze wszystkich stron. Grimalkin szepnął coś i zniknął. Puk i Ash stanęli po obu moich stronach i przeczesywali wzrokiem ciemności.

Poza kręgiem światła otaczały nas jakieś ciemne kształty. Gdy się zbliżyły, w elfim świetle zobaczyliśmy ludzi - normalnych mężczyzn i kobiety - ale ich twarze nie wyrażały nic. Większość z nich miała broń - żelazne rury, metalowe kije do bejsbolu i noże. Przypomniały mi się wszystkie filmy o zombi, jakie widziałam w życiu i przysunęłam się blisko Asha, czując; jak pod skórą grają mu mięśnie.

- Ludzie - wyszeptał Ash, kładąc dłoń na rękojeści miecza - Ale co oni robią? Nie powinni nas widzieć.

Spośród otaczającego nas tłumu wydobył się ponury śmiech. Tłum rozsunał się, robiąc przejście szczupłej kobiecie. Była w eleganckim zjadliwie zielonym kostiumie, na pięciocentymetrowych szpilkach, a na ustach miała zieloną szminkę, która błyszczała radioaktywnie. Oparła ręce na biodrach. A jej włosy wyglądały, jakby były z kabli, cienkich drucików w różnych kolorach - zielonych, czarnych, czerwonych.

- Wreszcie jesteście - zabzyczała, jakby odezwało się naraz milion pszczoł. - Jestem zdziwiona, że żelazny koń miał z wami tyle problemów, no ale przecież jest taki stary. Powiedziałabym, że skończył mu się okres przydatności do użycia. Ze mną nie pójdzie wam tak łatwo.

- Kim jesteś? - warknął Ash. Puk stanął obok niego i we dwóch stanowili moją żywą tarczę. Kobieta zaśmiała się, zupełnie jak komar brzęczący nad uchem i uniosła rękę o zielonych paznokciach.

- Jestem Wirus, drugi porucznik króla Machiny. - Posłała w moją stronę pocałunek, który sprawił, że aż skóra mi ścierpła. - Miło mi cię poznać, Meghan Chase.

- Co zrobiłaś tym ludziom? - zapytałam.

- Och, nie przejmuj się nimi. - Wirus obróciła się w miejscu. - Złapali tylko małego bakcyła. A dokładnie takiego.

Uniosła dłoń, a z jej rękawa wyleciała chmara malutkich robaczków i zaczęła krążyć nad jej ręką jak błyszczący srebrny Pył - Słodkie, prawda? Zupełnie nieszkodliwe, ale pozwalają mi wdrzeć się do mózgu i przerobić jego oprogramowanie. Pozwól, że zaprezentuję.

Skinęła na najbliższego człowieka, a mężczyzna padł na kolana i zaczął szczekać. Wirus zachichotała, klaszcząc w ręce.

- Widzisz? Teraz myśli, że jest psem.

- Świetne - stwierdził Puk. - Możesz sprawić, żeby piał jak kogut?

Ash i ja posłaliśmy mu zabójcze spojrzenia.

- Co?

Podskoczyłam, gdy coś mi się przypomniało i odwróciłam się do Wirus.

- Ty... to ty nasłałaś chimere podczas Elizjum.

- Och tak, to moja sprawka - Wirus wyglądała na zadowoloną z siebie, ale chwilę później posmutniała. - Chociaż ten eksperyment nie poszedł dokładnie tak, jak chciałam. Normalne istoty magiczne nie reagują dobrze na robaki. To kwestia tej niechęci do żelaza, wiesz? Doprowadziłam głupie zwierzę do szaleństwa i pewno bym je zabiła, gdyby nie zostało przerobione na miazgę. Za to śmiertelnicy! - Zrobiła piruet w powietrzu, unosząc ręce tak, jakby chciała przytulić wszystkich wokół. - Tak łatwo nimi sterować. Są tak oddani swoim komputerom i technologii, że byli ich niewolnikami na długo, nim się pojawiłam.

- Wypuść ich - powiedziałam.

Wirus popatrzyła na mnie błyszczącymi zielonymi oczami.

- Nie sądzę, kochanieńka. - Pstryknęła palcami, a tłum ruszył w naszą stronę. - Przyprawdźcie mi dziewczynę - rozkazała, gdy krąg zaczął zacieśniać się wokół nas. - Zabijcie resztę.

Ash wyciągnął miecz.

- Nie! - krzyknęłam, łapiąc go za ramię. - Nie rób im krzywdy. To tylko zwykli ludzie. Nie wiedzą, co robią.

Ash posłał mi dzikie spojrzenie.

- To czego ode mnie oczekujesz?

- Proponuję uciekać - zasugerował Puk, wyciągając coś z kieszeni. Rzucił to w tłum, gdzie wybuchło i zamieniło się w kłodę. Przygniotło do ziemi dwoje zombi i zrobiło wyłom w otaczającym nas kręgu. - Ruszamy! - krzyknął Puk.

Nie potrzebowaliśmy zachęty. Przeskoczyliśmy nad szarpiącymi się ciałami, unikając rur, którymi w nas rzucili i pognaliśmy w dół ulicy.

19. Driada z parku miejskiego.

Tupot stóp świadczył o tym, że nas ścigano. Nad moją głową przeleciała gazurka i wybiła witrę sklepową. Krzyknęłam i prawie upadłam, ale Ash złapał mnie za rękę. podtrzymał i pobiegliśmy dalej.

- To śmieszne - usłyszałam. jak zrzędzi, ciągnąc mnie u sobą - Uciekać przed tłumem. Ludzkim tłumem. Mógłbym ich pokonać jednym machnięciem ręki.

- Chyba nie zauważyłeś pokaźnego zapasu żelastwa, które nieśli - stwierdził Puk, krzywiąc się, gdy obok niego przeleciał nóż. - Oczywiście, jeśli chcesz dokonać samobójczego ataku, to nie będę cię powstrzymywał, ale byłoby żal, gdybyś nie dotarł na nasz ostatni pojedynek.

- Boisz się. Koleżko?

- Chyba śnisz, książątko.

Nie mogłam uwierzyć, że przekomarzają się w chwili, gdy ich życie wisi na włosku. Chciałam krzyknąć, żeby sobie darowali, kiedy powietrze przecięła rurka i trafiła Puka w ramię. Jęknął, potknął się i ledwo utrzymał równowagę, a ja krzyknęłam z przerażenia.

Za nami rozległ się bzyzcący śmiech. Odwróciłam się i ujrzałam, jak Wirus unosi się nad tłumem, a robaki otaczają ją niczym brylantowa chmura.

- Możecie uciekać, elfi chłopcy, ale nie ukryjcie się przede mną. - zawołała - Ludzie są wszędzie i wszyscy mogą stać się moimi marionetkami. Jeśli zatrzymacie się i oddacie dziewczynę, pozwolę wam wybrać, jak chcecie zginąć.

Ash prychnął. Pchnął mnie naprzód, odwrócił się i posłał w stronę kobiety grad lodowych odłamków. Krzyknęła, a zombi podskoczył, by ją osłonić i przyjął na siebie atak. Odłamki wbiły mu się w pierś i upadł w drgawkach, a Wirus zasyczała wściekle.

- No pięknie, księżę - zakpił Puk, gdy zombi z wściekłym krzykiem rzuciły się do ataku - Zdenerwować ją to był doskonały pomysł.

- Zabiłeś go! - Spojrzałam przerażona na Asha - Zabiłeś człowieka, a to nawet nie była jego wina.

- Każda wojna niesie ze sobą ofiary - odpowiedział zimno Ash i pociągnął nas za róg - Gdyby mógł. to on by nas zabił, a tak jest o jednego żołnierza mniej.

- Ale to nie wojna! - krzyknęłam - I to inna sprawa, gdy ludzie nawet nie wiedzą, co się dzieje. Gonią nas tylko dlatego, że jakaś wariatka namąciła im w głowach.

- Co nie zmienia faktu, że by nas zabił.

- Koniec zabijania - prychnęłam. żałując, że nie możemy się zatrzymać, bym mu spojrzała w oczy - Słyszysz. Alb? Znajdź jakiś inny sposób, by ich zatrzymać Nie musisz zabijać.

Spojrzał na mnie z ukosa i westchnął zirytowany

- Jak sobie życzysz, księżniczko Ale możesz pożałować tej decyzji, nim noc się skończy.

Wypadliśmy na jasno rozświetlony plac z marmurową fontanną po środku Ludzie spacerowali po chodnikach więc trochę się rozluźniłam. Wirus na pewno nie zaatakuje nas tutaj, na oczach tych wszystkich ludzi. Magiczne istoty mogły wmieszać się w tłum albo stać się niewidzialne, ale ludzie, a zwłaszcza taki tłum. nic mogli tego uczynić.

Ash zwolnił, złapał mnie za rękę i przyciągnął do siebie.

- Idź - wyszeptał. ciągnąc mnie za ramię, abym zwolniła. - Nic biegnij, to tylko zwróci na ciebie uwagę.

Goniący nas tłum rozsypał się u wylotu ulicy i ludzie zaczęli powoli krążyć po placu, jakby od początku mieli ten zamiar. Serce waliło mi jak oszalałe, ale zmusiłam się do powolnego marszu, trzymając Asha za rękę, jakbyśmy byli na przechadzce.

Wirus wpłynęła na plac, jej robaki pofrunęły we wszystkie strony, a ja zaczęłam znów bardziej się denerwować. Zauważyłam opierającego się o radiowóz policjanta, wyrwałam się Ashowi i podbiegłam do niego.

Śmiech Wirus rozdarł powietrze.

- Widzę cię! - zawołała, gdy dotarłam do policjanta.

- Przepraszam pana! - wydyszałam. gdy się do mnie odwrócił. - Czy mógłby mi pan pomóc? Goni mnie...

Cofnęłam się przerażona Policjant zwrócił na mnie pusty wzrok, szczęka mu opadła, rzucił się naprzód i złapał mnie za ramię, a ja krzyknęłam i kopnęłam go w pizszczel Nie zrobiło to na nim wrażenia, bo złapał mnie za drugą rękę Spacerowicze skierowali się do nas ze świeżym zainteresowaniem. Zdusiłam przekleństwo i kopnęłam policjanta w krocze. Skrzywił się i zadał mi cios w twarz, aż zakręciło mi się w głowie Tłum otoczył nas, szarpiąc mnie za włosy i ubranie.

Wtedy pojawił się Ash. Zadał policjantowi cios ręką miecza i powalił go na ziemię. Puk złapał mnie i przeskoczył nad radiowozem, ciągnąc mnie nad maską. Udało nam się wymknąć i pognaliśmy przed siebie, a za nami rozległ się śmiech Wirus.

- Tam! - Pojawił się obok nas Grimalkin Miał zjeżony ogon i dziko błyskał oczami - Prosto! Powóz! Do środka!

Spojrzałam na drugą stronę ulicy i zobaczyłam dorożkę z zaprzężonym koniem. Nie był to najlepszy wóz do ucieczki, ale lepszy taki niż żaden. Pobiegliśmy przez ulicę.

Za nami rozległ się strzał.

Puk zachwiał się dziwnie i upadł na chodnik z jękiem. Krzyknęłam, a Ash natychmiast poderwał go z ziemi, zmuszając do ruchu Pokuśtykali na drugą stronę ulicy, gdy rozległ się kolejny strzał. Koń zarżał spłoszony i zaczął przewracać oczami. Złapałam go za uzdę, nim zdążył zerwać się do

ucieczki. Odwróciłam się i zobaczyłam, że zbliża się do nas jak zombi policjant, a w wyciągniętej ręce trzyma rewolwer,

Ash wsunął Puka do powozu i wskoczył na kozioł a Grimalkin natychmiast usiadł obok. Wdrapałam się do środka i skuliłam przy Puku, który leżał na podłodze i z trudem łapał powietrze. Przerażona obserwowałam, tak na jego żebrach powiększa się ciemna plama, z której kapie krew na deski podłogi.

- Trzymajcie się! - huknął Ash i zaciął konia lejcami w boki, z głośnym: „Wio!” Koń z przenikliwym rżeniem skoczył naprzód Przegalopowaliśmy na czerwonym Świetle, z trudem unikając zderzenia z taksówką. Samochody trąbiły, ludzie krzyczeli i przeklinali, a odgłosy pogoni cichły za nami.

- Ash! - krzyknęłam kilka minut później - Puk się nie rusza!

Zajęty prowadzeniem powozu, ledwie rzucił okiem w tył, ale Grimalkin zeskoczył na podłogę i podszedł do Puka. Jego twarz była sinoblada, skóra chłodna i lepka. Próbowałam zatamować krwawienie rękawem jego bluzy, ale było mnóstwo krwi. Mój najlepszy przyjaciel umierał a ja nic nie mogłam na to poradzić.

- Potrzebujemy lekarza! -zawołałam do Asha - Musimy znaleźć szpital...

- Nie - przerwał mi Grimalkin - Zastanów się, człowieku. Żaden elf nie wytrzyma szpitala. Wśród tych wszystkich ostrych metalowych narzędzi umrze przed świtem.

-To co robimy? - wrzasnęłam histerycznie.

Grimalkin znów wskoczył na kozioł obok Asha.

- Do parku - powiedział spokojnie - Zabierzemy go do parku. Driady powinny mu pomóc

- Powinny? A jeśli nie potrafią'?

- W takim wypadku, człowieku, zacząłbym się modlić o cud.

Ash nie zatrzymał się na granicy parku, tylko przejechał krawężnik i ruszył po trawniku. Tak skupiłam się na Puku, że zauważyłam, że stoimy dopiero, gdy książę ukląkł przy mnie i zarzucił sobie Puka na ramię. Wyskoczy! z powozu, a ja otępiąłem posłałam jego śladem.

Zatrzymaliśmy się pod konarami dwóch olbrzymich dębów, których poskręcane gałęzie całkiem zasłaniały niebo. Ash położył Puka na trawie pomiędzy tymi kolosami.

Czekaliśmy.

Z pni drzew wyłoniły się dwie kobiety. Obie szczupłe, o włosach koloru mchu i skórze jak wypolerowany mahoń Czarne jak żuki oczy przyglądały się nam. gdy driady zbliżyły się do nas, a powietrze wypełnił zapach świeżej ziemi i kory. Grimalkin i Ash uklonili się z szacunkiem, ale ja byłam zbyt przerażona, żeby zauważyć, co robią i odpowiednio zareagować.

- Wiemy, czemu tu przybyliście - odezwała się jedna z driad, a jej głos był jak szelest wiatru wśród liści. - Wiatr przynosi nam szept, wieści z daleka. Wiemy o twoim zatargu z Żelaznym Królem. Czekałyśmy na ciebie, dziecię dwóch światów.

- Proszę... - Zrobiłam krok naprzód. - Czy możecie pomóc Pukowi? Został postrzelony. Zawrę z wami umowę, oddam wam, co tylko chcecie, jeśli zdołacie go uratować.

Kalem oka zobaczyłam, jak Ash posyła mi ponure spojrzenie, ale je zignorowałam.

- Nie będziemy się z tobą układać, dziecko - odezwała się druga driada, a ja poczułam, jak ogarnia mnie rozpacz. - My tak nie postępujemy. Nie jesteśmy jak elfy czy koty, nie szukamy ciągle sposobów, by stać się potężniejsze. Po prostu jesteśmy.

- A więc w ramach przysługi - błagałam, bo nie zamierzałam się poddać. - Proszę. On zginie, jeśli mu nie pomożecie.

- Śmierć to element życia. - Driada spojrzała na mnie bez litości. - W końcu wszystko znika, nawet tak długo żyjące istoty, jak Puk. Ludzie zapomną opowieści o nim, zapomną, że w ogóle był, a wtedy przestanie istnieć. Tak to już jest.

Miałam ochotę krzyknąć, ale zdołałam się pohamować. A więc driady nie pomogą. Po prostu skazały Puka na śmierć, Zaciskając pięści, spojrzałam na te kobiety. Miałam ochotę nimi potrząsać, dusić je. aż zgodzą się pomóc. Poczulałam jakiś ruch... drzewa nade mną jęknęły i zatrzęsły się, obsypując nas liśćmi. Ash i Grimalkin cofnęli się o krok. a driady wymieniły spojrzenia.

- Jest silna - odezwała się jedna.

- Jej moc śpi - odpowiedziała druga. - Drzewa ją słyszą, ziemia odpowiada na jej wołanie.

- Może to wystarczy.

Znów skinęły głowami, po czym jedna objęła Puka w pasie i pociągnęła do drzewa. Oboje wtopili się w korę i zniknęli. Zaszokowana poderwałam głowę.

- Co robicie?

- Nie bój się - uspokoiła mnie druga driada, odwracając się do mnie. - Nie możemy go uleczyć, ale możemy zatrzymać dalsze uszkodzenia. Puk będzie spał, aż poczuje się na tyle dobrze, by do was dołączyć. Ale czy zajmie mu to noc, czy kilka lat, to zależy wyłącznie od niego.

Schyliła się w moją stronę, obsypując mnie mchem.

- Ty i twoi towarzysze możecie tu zostać na noc. Tu jest bezpiecznie. Nie wejdą tu żelazne stworzenia. Moc, jaką mamy nad drzewami i ziemią, utrzymuje je z dala. Odpocznijcie, a gdy nadejdzie pora. wezwiemy cię.

I z tymi słowami wtopiła się w drzewo. Zostaliśmy sami. Było nas o jedno mniej, niż gdy zaczęliśmy wyprawę.

Chciałam zasnąć. Chciałam się położyć i zapomnieć o wszystkim, a potem obudzić się w świecie, gdzie nie strzelano do najlepszych przyjaciół i nie porywano młodszych braciszków. Chciałam, żeby to wszystko się skończyło i żeby moje życie wróciło do normalności.

Ale mimo zmęczenia nie mogłam spać. Półprzytomna krążyłam po parku, nie zwracając na nic uwagi. Ash rozmawiał z mieszkającymi w parku magicznymi istotami, a Grimalkin gdzieś zniknęła, więc byłam sama. W słabym świetle księżyca widziałam, jak różne istoty tańczą, śpiewają i się śmieją, wołając mnie z dala. Satyry wygrywały melodie na piszczałkach, chochliki latały wokół, zwiewne driady tańczyły pod drzewami, a ich ciała wyginały się jak trawa na wietrze. Nie zwracałam na nich uwagi.

Usiadłam na brzegu stawu, pod potężnymi konarami wielkiego dębu, podciągnęłam kolana pod brodę i zaczęłam płakać.

Syreny wynurzyły się z wody, by mi się przyjrzeć, chochliki zebrały wokół, kręcąc się z niepokojem. Ledwie je dostrzegałam. Ta ciągła obawa o Ethana, strach, że utracę Puka, i niefortunna obietnica złożona Ashowi, tego było już za wiele. Płakałam, aż brakowało mi tchu i dostałam czkawki, od której rozbolały mnie płuca.

Ale oczywiście magiczne stwory nie dały mi smuć się w spokoju. Kiedy łyżę trochę obeschtę, uświadomiłam sobie że nie jestem sama. Otoczyło mnie stado satyrów, a ich oczy świeciły jasno w ciemnościach.

- Piękny kwiatku - odezwał się jeden z nich, wychodząc przed szereg. Miał ciemną twarz, małą bródkę i zakręcone rogi sterczące z gęstej czarnej czupryny. Mówił niskim, miękkim głosem, z lekkim kreolskim akcentem. - Czemu jesteś smutna, o piękna? Chodź ze mną, a sprawimy, że znów zaczniesz się śmiać.

Zadrżałam i podniosłam się z trudem na nogi.

- Nie, dzie... nie. Nic mi nie jest. Chce po prostu побыć chwilę sama.

- Samotność jest straszna - odrzekł satyr i podszedł bliżej. Uśmiechnął się uroczo i seksownie. Wokół niego zadrżał urok i przez moment zobaczyłam, jak wygląda w świecie ludzi: przystojny student, który wyszedł na miasto z kolegami. Może pójdziemy na kawę i porozmawiamy?

Mówił tak szczerze, że prawie mu uwierzyłam. A potem w jego oczach dostrzegłam dziką żądzę, taką samą jak u pozostałych i żołądek zwinął mi się ze strachu.

- Naprawdę muszę iść. - Cofnęłam się. Szli za mną, a z oczu wзираł im głód. Poczułam w powietrzu coś dziwnego i uświadomiłam sobie, że to piżmo. - Proszę, zostawcie mnie samą.

- Później nam podziękujesz - powiedział satyr i rzucił się naprzód.

Ruszyłam biegiem.

Stado goniło mnie, wrzeszcząc i obiecując, że będzie mi się podobało i że muszę trochę się rozluźnić. Byli ode mnie znacznie szybsi. Przewodnik stada złapał mnie od tyłu w pasie. Krzyknęłam, gdy mnie uniósł. Kopałam i biłam pięściami. Zbliżyły się pozostałe satyry, łapały mnie, drapiąc, ciągnąc za ubranie.

Poczułam przepływ mocy, taki sam jak wcześniej. I nagle dąb nad nami się poruszył. Z ogłuszającym skrzypnięciem, skręcona i gruba jak mój tułów gałąź opadła i trafiła wodza satyrów w łeb. Puścił mnie i zatoczył się do tyłu. a gałąź zamachnęła się jeszcze raz i trafiła go w brzuch, przewracając na ziemię. Pozostałe satyry się cofnęły.

Wódz poderwał się szybko i przyjrzał mi się groźnie

- Widzę, że lubisz ostro pogrywać - wydyszał, otrzępując się z ziemi. Pokręcił głową, oblizał wargi i ruszył naprzód. - Nie ma sprawy, możemy ostro, prawda, chłopcy?

- Ja także - Zza drzew wyłonił się ciemny kształt. Satyry zaczęły mrugać i szybko się cofnęły, gdy Ash wszedł w ich stado. Stanął za mną, zarzucił mi rękę na ramiona i przyciągnął do piersi. Serce zaczęło mi mocniej bić, a żołądek zwinął się w kulkę.

- Ta - warknął Ash - jest zakazana.

- K»aż, Ash? - wysapał przewodnik stada, a reszta pochyliła głowy Satyr zbladł i unióśł w górę ręce.

- Wybacz, Wasza Wysokość, nie wiedziałem, że ona należy do ciebie. Proszę o wybaczenie. Ale nic się nie stało, prawda?

- Nikomu nie wolno jej tknąć - odezwał się lodowatym tonem Ash. - Dotknijcie jej, a zamrozę i zawekuję wam jaja. Jasne?

Satyry się skuliły. Przepraszając Asha i mnie, ukloniły się i uciekły. Ash rzucił groźne spojrzenie dwóm chochlikom, które obserwowały całe zajście, a te uciekły na drzewa, chichocząc cicho. Zapadła cisza. Byliśmy sami.

- Wszystko w porządku? - zapytał Ash, uwalniając mnie z objęć - Zrobili ci krzywdę?

Trzęsłam się. Ożywczy strumień mocy zniknął. Czułam się teraz kompletnie wyczerpana.

- Nie - wyszeptalam, odsuwając się. - Nic mi nie jest.

Chciałam zapłakać, ale nie miałam już łez. Kolana się pode mną ugięły i się zatoczyłam. Wsparłam rękę o drzewo.

Ash podszedł bliżej złapał mnie za nadgarstek i delikatnie przyciągnął do siebie. Objął mnie i przytulił. Znieruchomiałam, ale tylko na moment Pociągnęłam nosem, zamknęłam oczy i wtuliłam twarz w jego pierś, pozwalając, by cały strach i gniew ulotnił się pod wpływem jego dotyku. Słyszałam szybkie bicie jego serca i czułam chłód jego ciała. Ale o dziwo wcale mi nie przeszkadzał.

Staliśmy tak przez jakiś czas. Ash się nie odzywał, nie zadawał pytań, nie robił nic, tylko mnie tulił Westchnęłam i rozluźniłam się w jego objęciach. I przez chwilę wszystko mi było dobrze, Wciąż miałam w pamięci Ethana i Puka. ale było mi dobrze. To wystarczało.

A potem zrobiłam głupi błąd i spojrzałam w górę, na niego. Nasze spojrzenia się spotkały i przez chwilę w świetle księżyca jego twarz nie skrywała emocji. Dostrzegłam w niej zachwyt, gdy tak patrzyliśmy na siebie. Powoli nachylił się, wstrzymałam oddech i westchnęłam cicho.

Zastygł, twarz straciła wszelki wyraz, a oczy stały się zimne i okrutne.

Odepchnął mnie i się odsunął. Serce mi się ścisnęło. Ash patrzył na drzewa, cienie, staw, wszędzie, tylko nie na mnie.

Pragnąc odzyskać ten moment, sięgnęłam do niego, ale mi się wymknął.

- To się robi nudne - odezwał się tonem równie zimnym, jak jego wzrok. Skrzyżował ramiona i odsunął się jeszcze dalej. - Nie jestem tu po to, żeby bawić się w niańkę, księżniczko. Może nie powinnaś oddalać się od grupy. Nie chciałbym, by coś ci się stało, nim dotrzemy na Mroczny Dwór.

Policzki mnie paliły. Zacisnęłam pięści. Wspomnienie upokorzenia w szkolnej stołówce stanęło mi przed oczami.

- Tylko tyle dla ciebie znaczą, prawda? - prychnęłam - Chcesz mnie wykorzystać, by uzyskać łaskę swojej królowej. Tylko na tym ci zależy.

- Tak - odpowiedział spokojnie, wkurzając mnie jeszcze bardziej. - Nigdy nie mówiłem, że jest inaczej. Od samego początku znałaś moje powody.

Zapięły mnie łzy wściekłości. Myślałam, że już wszystkie wypłakałam, ale najwyraźniej się myliłam.

- Drań - syknęłam. - Puk miał co do ciebie rację.

Uśmiechnął się zimno

- Może powinnaś zapytać Puka. dlaczego przyrzekłem, że go kiedyś zabiję - odezwał się z błyskiem w oku - Sprawdzić, czy ma odwagę opowiedzieć ci naszą wspólną historię.

Uśmiechnął się krzywo i skrzyżował ramiona na piersi.

- O ile w ogóle się obudzi

Otworzyłam usta, by coś powiedzieć, gdy ze stojącego opodal drzewa wynurzyły się z szelestem liści dwie driady. Ruszyły w moim kierunku, a Ash skrył się w cieniu, me pozwalając mi wypowiedzieć gniewnych słów. Zacisnęłam pięści miałam ochotę wybić mu z głowy arogancję, tłukąc w tę idealną

twarz. Zamiast tego odwróciłam się i kopnęłam jakąś kłodę. Driady ukloniły mi się, nie zwracając uwagi na mój wybuch agresji.

- Meghan Chase. Nestorka zobaczy się teraz z tobą.

Poszłam za nimi do stóp samotnego dębu, którego konary porastało tyle mchu, jakby ktoś obwiesił go pogniętymi zasłonami. Ash i Grimalkin już tam byli, ale Ash nawet nie spojrzął w moją stronę. Rzuciłam mu złowrogie spojrzenie, ale ignorował mnie dalej. Mając po jednej stronie kota, a po drugiej zimowego księcia, weszłam pod konary potężnego dębu i czekałam.

Kora wygięła się i z wnętrza drzewa wynurzyła się bardzo stara kobieta. Skóra łuszczyła się na niej jak sucha kora, a długie włosy miały brązowozielony kolor starego mchu. Była zgarbiona i powykręcana jak artretyczka, ubrana w suknię z porostów, która niemal się poruszała pod wpływem mieszkających w niej rojów owadów i pajaków. Jej twarz przypominała orzech, była pomarszczona i pobrużdżona, a gdy się poruszała, jej stawy trzeszczały jak gałęzie na wietrze. Ale gdy mierzyła mnie wzrokiem, oczy miała przejrzyste i czujne. Skinęła na mnie jedną z chudziutkich, powykręcanych rąk.

- Podejź bliżej, dziecko - wyszeptła, a jej głos był jak szum suchych liści. Przełknęłam ślinę i podeszłam tak blisko, że widziałam, jak owady wgrzyzają się w jej skórę, i czułam jej ziemisty zapach. - Tak, jesteś córką Oberona, o której szepce wiatr. Wiem, czemu tu jesteś. Szukasz tego, który zwie się Żelaznym Królem, prawda? Pragniesz odnaleźć wejście do jego królestwa.

- Tak - wyszeptalam. - Szukam mojego brata. Machina porwał go, a ja muszę go odzyskać.

- Ale tak jak tu stoisz, nie będziesz w stanie go uratować - odezwała się Nestorka, a mnie zrobiło się słabo z rozpaczy - Żelazny Król czeka na ciebie w swojej stalowej kryjówce. Żadna broń stworzona przez śmiertelnika czy elfa nie może go zranić. Niczego się nie boi.

Ash wystąpił naprzód i uklonił się z szacunkiem.

- Nestorko, powiedziano nam, że możesz znać sposób jak zabić Żelaznego Króla.

Prastara driada spojrzała na niego poważnie.

- Owszem młody książę. Powiedziano wam prawdę. Jest sposób, by zabić Machinę i zakończyć jego panowanie. Potrzebujecie szczególnej broni, która nie powstała dzięki narzędziom, lecz jest równie naturalna, jak kwiat, który rośnie w słońcu.

Ash nachylił się z ciekawością.

- Gdzie możemy znaleźć taką broń?

Stara driada westchnęła i jakby skurczyła się w sobie.

- Tutaj - odpowiedziała i spojrzała na swój wielki dąb, a jej głos przepełniał smutek. - Broń, której potrzebujecie, to czarowne drewno, z serca najstarszego z drzew, równie śmiertelne dla Machiny, jak żelazo dla zwykłych magicznych stworzeń. Żywe drewno, które kryje w sobie ducha natury i moc naturalnej ziemi, to zguba dla stworzeń postępu i technologii. Bez tego nie macie co liczyć, że go pokonacie i uratujecie ludzkie dziecko.

.Ash zamilkł z ponurą miną. Zdumiona spojrzałam na niego, a palem z powrotem na Nestorkę driad.

- Dasz nam je, prawda? - zapytałam. - Skoro to jedyny sposób, by uratować Ethana...

- Meghan - odezwał się Grimalkin z trawy - nie wiesz, o co prosisz. Czarowne drewno to serce drzewa Nestorki. Bez niego dąb umrze, tak samo jak driada, która jest z nim złączona.

Zaszokowana spojrzałam na starą driadę, a ta uśmiechnęła się słabo.

- To prawda - potwierdziła - Bez serca drzewo zacznie obumierać, aż w końcu zginie. Ale ja wiedziałam, po co przybyłaś. Meghan Chase. I od początku chciałam ci je dać.

- Nie - odpowiedziałam natychmiast - Nie chcę go. Nie w ten sposób. Musi być jakieś inne wyjście.

- Nie ma, dziecko. - Nestorka pokręciła głową. - A jeśli nie pokonasz Żelaznego Króla, to i tak zginie. Jego moc wzrasta. A im jest silniejszy, tym więcej Nigdy nigdy znika. W końcu wszyscy uschniemy i umrzemy na pustyni logiki i nauki.

- Ale ja nie mogę go zabić - zaprotestowałam. - Nie jestem wojownikiem. Chcę po prostu odzyskać Ethana.

- Nie musisz się tym martwić. - Driad, skinęła na Asha, który w milczeniu stał obok. - Sądzę, że może za ciebie walczyć zimowy książę Pachnie krwią i smutkiem. Chętnie powierzę mu czarowne drewno.

- Proszę - Spojrzałam na nią błagalnie, pragnąc aby zrozumiała. Możliwe, że Puk już oddał życie za moją sprawę. Nie chciałam mieć na sumieniu kolejnej śmierci. - Nie chcę, abyś to robiła. To za wiele. Nie może być lak, żebyś za mnie oddawała życie.

- Oddaje życie za wszystkie magiczne stworzenia - odrzekła poważnie driada. - Ty będziesz tylko narzędziem, by je ocalić. Poza tym wszystkich nas w końcu czeka śmierć. Żyłam długo, dłużej niż inni. Niczego nie żałuję.

Uśmiechnęła się do mnie babcinym uśmiechem i zniknęła z powrotem w drzewie. Ash, Grim i pozostałe driady stali cicho, z poważnymi, ponurymi minami. Chwile później Nestorka znów się pojawiła, trzymając coś w powykęcanych dłoniach - długi, prosty kij. tak blady, że prawie biały, z czerwonymi żyłkami biegnącymi przez całą długość. Kiedy podeszła do mnie i mi go wręczyła, dopiero po kilku sekundach mogłam go przyjąć. Był ciepły i gładki, pulsował własnym życiem i z trudem pohamowałam chęć, by go odrzucić.

Nestorka położyła mi zniszczoną dłoń na ramieniu.

- Jeszcze jedno, dziecko - dodała, gdy starałam utrzymać żywe drewno. - Jesteś potężna, dużo bardziej i myślisz W twoich żyłach płynie krew Oberona, a Nigdy nigdy odpowiada na twoje zachcianki. Twój talent wciąż jeszcze śpi, ale zaczyna się budzić. To, jak go użyjesz, wpłynie na przyszłość dworów, magicznych stworzeń, twojego przeznaczenia, wszystkiego. A teraz - głos jej osłabł - idź i uratuj brata. Ścieżka do królestwa Machiny jest w opuszczonej fabryce przy dokach. Jutro zaprowadzi was tam przewodnik. Zabij Żelaznego Króla i sprowadźcie pokój na oba nasze światy.

- A co, jeśli nie dam rady? Co, jeśli Żelazny Król jest naprawdę niezwyciężony?

- Wtedy wszyscy zginiemy - odezwała się stara driada i zniknęła w swoim dębie. Inne driady też odeszły i zostałam sama, z kotem, księciem i patykiem. Westchnęłam i spojrzałam na kawałek drewna w ręku.

- Nie żeby była jakaś presja. - Westchnęłam.

CZĘŚĆ III.

20. Żelazne smoki i chomiki.

Wyruszyliśmy o świcie. Starczyło mi czasu na jakieś dwie godziny snu na twardej ziemi i pożegnanie z Pukiem. Gdy obudziłam się przed świtem, on wciąż spał. ukryty głęboko w drzewie. Driada związana z tym dębem powiedziała, że żył, ale nie miała pojęcia, kiedy się obudzi.

Stałam przy dębie przez kilka minut, trzymając rękę na korze i próbując wyczuć przez drewno bicie jego serca. Tęskniłam za nim. Ash i Grimalkin byli sprzymierzeńcami, ale nie przyjaciółmi. Chcieli mnie wykorzystać do własnych celów. Tylko Pukowi naprawdę zależało, a teraz go zabrakło.

- Meghan! - Ash podszedł do mnie i odezwał zaskakująco miło. - Powinniśmy ruszać. Nie możemy na niego czekać. On może spać miesiącami. Nie mamy tyle czasu.

- Wiem. - Przycisnęłam dłoń do kory, czując, jak ostre krawędzie wbijają mi się w skórę.

Budź się szybko, zwróciłam się do Puka, rozmyślając. czy śni i czy czuje przez korę mój dotyk. Budź się szybko i mnie znajdź. Będę czekać.

Odwrociłam się do Asha. który przygotował się do bitwy - przypasał miecz i przez plecy przerzucił łuk. Jego widok przyprawił mnie o dreszcz.

- Masz to? - zapytałam, próbując ukryć rumieniec.

Skinał głową i uniósł błyszczącą białą strzałę z oplatającymi ją czerwonymi żyłkami. Poprosił mnie o czarowne drewno poprzedniej nocy, mówiąc, że przerobi je na odpowiednią broń, i bez wahania mu je oddałam. Teraz patrzyłam na strzałę, czując, jak ogarnia mnie coraz większy lęk. Jak taki mały delikatny przedmiot mógł zniszczyć ponoć niepokonanego króla żelaznych stworzeń?

- Mogę ją potrzymać? - zapytałam, a Ash natychmiast położył mi ją na dłoni, przytrzymując chwilę moje palce. Drewno pulsowało mi w ręku, rytmicznym tum-tum, jak bicie serca. Zadrżałam i wyciągnęłam przed siebie rękę, czekając kiedy odbierze ode mnie strzałę.

- Przechowaj ją dla mnie - odezwał się cicho Ash, nie spuszczać ze mnie wzroku. - To twoja wyprawa. Ty zadecydujesz, kiedy mam jej użyć.

Zarumieniłam się i otworzyłam plecak, by schować w nim strzałę Drzewce wystawało, więc zamknęłam suwaki, upewniając się, że nie wypadnie, po czym zarzuciłam sobie plecak na ramiona. Był teraz cięższy. Poprzedniej nocy zrobiłam nalot na parkową fontannę i zebrałam dość drobnych, żeby kupić jedzenie i wodę w butelkach na dalszą drogę. Sprzedawca na stacji benzynowej nie był zachwycony, że z samego rana zmuszam go do przeliczania garści jednocentówek i ćwierćdolarówek. ale nie chciałam zaczynać ostatniego etapu wyprawy bez zapasów. Miałam nadzieję, że Ash i Grim lubią suszone mięso, mieszankę studencką i draże czekoladowe.

- Będziesz miał tylko jeden strzał.

Ash uśmiechnął się bez humoru.

- No to będę się musiał starać.

Mówił tak pewnie. Zastanawiałam się, czy kiedykolwiek się bał albo miał wątpliwości co do swoich działań. Pomyślałam, że skoro rusza ze mną narażać się na śmiertelne niebezpieczeństwo, to nie ma sensu dalej się na niego boczyć.

- Wiesz, przepraszam za wczorajszą noc - zaczęłam. - Nie chciałam się zachowywać jak wariatka. Martwiłam się po prostu o Ethana. A po tym, jak postrzelili Puka i...

- Nie martw się tym, Meghan.

Zamrugałam, a mój żołądek aż podskoczył. Po raz pierwszy zwrócił się do mnie po imieniu.

- Ash, ja...

- Tak się zastanawiałem - odezwał się Grimalkin, wskazując na kamień. Spojrzałam na niego groźnie i zdusiłam westchnienie, przeklinając jego wycucie chwili. Kot kontynuował niewzruszony. - Możemy należy przemyśleć naszą strategię - odezwał się patrząc na każde z nas. - Sądzę, że takie ruszanie na oślep do królestwa Machiny to zły pomysł.

- Co masz na myśli?

- No cóż. - Kot usiadł i zaczął wylizywać palce u tylnych nóg - Biorąc pod uwagę, że wysłała za nami swoich podwładnych, można sądzić, że się nas spodziewa. Właściwie czemu porwał twojego brata? Musiał wiedzieć, że za nim podążysz.

- Jest zbyt pewny siebie? - zgadywałam, ale Grimalkin pokręcił głową.

- Nic. Czegoś tu brakuje. A może po prostu tego nie dostrzegamy. Żelazny Kroi nie ma z dziecka żadnego pożytku, chyba że...

Kot spojrzał na nas i zmrużył oczy.

- Ruszam.

- Co? Jak to?

- Mam pewną teorię. - Grimalkin wstał i machnął ogonem. - Sądzę że znam inną drogę do królestwa Machiny. Nie mam nic przeciwko temu, byście się do mnie przyłączyli.

- Teorię? - Ash skrzyżował ramiona na piersi. - Nie możemy zmieniać planów z powodu przecucia, kocie.

- Nawet jeśli droga, którą zamierzacie iść, zaprowadzi was wprost w pułapkę?

Pokręciłam głową.

- Musimy zaryzykować. Jesteśmy tak blisko, Grim Nie możemy teraz zawrócić. - Ukucnęła i spojrzałam kotu w oczy. - Chodź z nami. Potrzebujemy cię. Zawsze wskazywałeś nam dobrą drogę.

- Nie jestem wojownikiem, człowieku. - Grimalkin pokręcił głową i zamrugał. - Od tego masz księcia. Towarzyszyłem ci by wskazać ci drogę do brata i dla własnej rozrywki, ale znam swoje możliwości.

Spojrzał na Asha i zastrzygł uszami.

- Nie będę wam tam nijak pomocny. Nie na drodze, którą wybraliście. A więc pora. abyśmy uregulowali rachunki i się rozeszli.

Racja. Nadal byłam winna kotu przysługę. Poczułam niepokój. Miałam nadzieję, że nie poprosi o mój głos albo przyszłe dziecko. Wciąż nie wiedziałam, co się dzieje w tym jego podstępny małym umyśle.

- Dobrze. - Westchnęłam, starając się, by głos mi nie drżał. Za mną stanął Ash. cichy i pewny. - Umowa to umowa, czego chcesz, Grim?

Grimalkin wbił we mnie wzrok. Usiadł prosto i zaczął machać ogonem.

- Oto moja cena - stwierdził. - Chcę móc cię wezwać, raz, w dowolnie wybranym przeze mnie momencie, bez zadawania pytań.

Ogarnęła mnie ulga. To nie brzmiało aż tak źle. Natomiast Ash chrząknął i skrzyżował ramiona.

- Przywołanie? - Książę wydawał się zaskoczony - To nietypowe dla ciebie, kocie. Co chcesz osiągnąć w ten sposób?

Grimalkin go zignorował.

- A kiedy cię wezwę - mówił dalej, patrząc na mnie - musisz przybyć natychmiast, bez zwłoki i musisz mi pomóc jak tylko będziesz potrafiła. Oto warunki naszej umowy, jesteś ze mną związana, aż zostaną spełnione.

- Dobrze - Skinęłam głową. - Mogę z tym żyć. Ale jak mam cię odnaleźć, gdy mnie wezwiesz?

Grimalkin prychnął.

- O to się nie martw człowieku. Będziesz wiedziała. A teraz muszę was zostawić. - Wstał, skinął mi głową. - a potem Ashowi. - Do następnego spotkania.

Wskoczy! w trawę z wysoko podniesionym puchatym ogonem i zniknął.

Uśmiechnęłam się smutno.

- I tak została nas dwójka.

Ash podszedł bliżej i dotknął mojego ramienia, ot, delikatna pieśczoła. Spojrzałam na niego, a on posłał mi skromny ujmujący uśmiech, którym przeproszał i dodawał odwagi. To była cicha obietnica, że mnie nie opuści. Uśmiechnęłam się do niego niepewnie i pohamowałam chęć, by się o niego oprzeć, choć pragnęłam znów poczuć wokół siebie jego ramiona.

Z gałęzi sfrunął chochlik i unosił się kilka centymetrów od mojej twarzy. Miał niebieską skórę, włosy jak dmuchawiec i skrzydełka jak ważka. Pokazał mi język i usiadł na ramieniu Asha. Ten pochylił głowę i wysłuchał, co mała istotka ma do powiedzenia. Uniósł kącik ust. Spojrzył w moją stronę i pokręcił głową. Chochlik zachichotał i znów wleciał w powietrze. Skrzywiłam się, rozmyślając, co o mnie mówili, ale uznałam, że właściwie nic mnie to nie obchodzi.

- To Dmuchawiec - wyjaśnił Ash. a chochlik zakręcił się w powietrzu jak pijany koliber. - Zaprowadzi nas do doków, a potem do fabryki. Dalej jesteśmy zdani na siebie.

Skinęłam głową. W uszach mi tętniło. Oto nadszedł ostatni etap podróży. Na końcu drogi byli Machina i Ethan. albo śmierć. Uśmiechnęłam się z brawurą i uniosłam brodę.

- No dobra, Dzwoneczku - zwróciłam się do chochlika. który zabzyczał oburzony. - Prowadź.

Szliśmy za podskakującym światełkiem nad brzeg rzeki, zimne, powolne wody Missisipi płynęły pod burym niebem. Nie mówiliśmy dużo. Ash szedł obok mnie, prawie dotykając mnie ramieniem. Po kilku minutach milczenia otarłam się dłonią o jego rękę. Owinął palce wokół moich i szliśmy tak aż do fabryki.

Budynek z blachy falistej był ogrodzony siatką. Czarna plama na tle nieba. Dmuchawiec zaświergotał Ashowi do ucha. Książę skina! ponuro głową. a chwile później stworzonko odleciało. Zaprowadziło nas tak daleko jak mogło. Teraz byliśmy zdani na siebie.

Kiedy zbliżyliśmy się do bramy, Ash zawahał się na moment. a twarz wykrzywiła mu się boleśnie.

- Co się stało?

Skrzywił się.

- Nic, po prostu... - Skinął głową w stronę płotu. Za dużo żelaza. Czuję je aż stąd.

- Czy to boli?

- Nie. - Pokręcił głową. - Musiałbym go dotknąć. Ale wycieńcza.

Przyznanie się do słabości musiało sporo go kosztować

- Trudno przy nim używać uroku.

Potrząsnęłam na próbę bramą. Nie drgnęła. Była cała opleciona ciężkimi łańcuchami, zapiętymi na kłódki a nad siatką ciągnął się drut kolczasty.

- Daj mi swój miecz - poprosiłam Asha.

Zamrugał.

- Co?

- Daj mi miecz - powtórzyłam. - Musimy się dostać do środka, a ty nie lubisz dotykać żelaza, prawda? Daj mi go a ja się tym zajmę.

Spojrzał z powątpiewaniem, ale wyciągnął miecz z pochwy i podał mi rękojeść. Była boleśnie zimna, a ostrze emanowało chłodem. Uniosłam miecz nad głowę i opuściłam z rozmachem na łańcuchy. Pierścienie pękły, jakby były ze szkła, i rozsypały się dźwięcząco. Zadowolona złapałam łańcuch, aby go zerwać, ale metal piekł jak ogień i wypuściłam go z krzykiem.

Ash podszedł do mnie i zabrał mi miecz, gdy potrząsałam ręką i podskakiwałam z bólu. Kiedy schował miecz, złapał moją dłoń i odwrócił wnętrzem do góry. Rysowała się na niej czerwona bolesna pręga.

- Myślałam, że jestem odporna na żelazo. - Pociągnęłam nosem.

Ash westchnął.

- Jesteś- - Odciągnął mnie od płotu i jego wysysających urok właściwości. Na jego twarzy rozbawienie walczyło z irytacją. - Natomiast łapanie mocno schłodzonego metalu jest bardzo nieprzyjemne dla wszystkich letnich stworzeń, bez względu na to, kim są.

- Och.

Pokręciłam głową, przyglądając się uważnie ranie. To nie odmrożenie - wymruczał - Pojawia się pęcherze, ale nic ci nie będzie. Najwyżej stracisz kilka palców.

Spojrzałam na niego z niepokojem, ale się uśmiechał. Przez moment odebrało mi mowę. Dobry Boże, lodowy książę stroił sobie żarty. Naprawdę świat się kończy.

- To nie jest śmieszne - syknęłam, dając mu kuksańca drugą ręką. Łatwo uskoczył, wciąż rozbawiony.

- Jesteś bardzo do niej podobna - rzucił tak cicho, że ledwie go usłyszałam. A nim zdążyłam odpowiedzieć, odwrócił się. wyciągnął miecz i zsunął z bramy łańcuchy. Otworzyła się ze zgrzytem. Ash rozejrzał się uważnie po okolicy.

- Trzymaj się blisko mnie - wymamrotał, gdy weszliśmy na teren fabryki.

Na placu leżały sterty złomu, a ich ostre krawędzie błyszcząły w świetle poranka. Ash krzywił się za każdym razem, gdy jakąś mijaliśmy. Przyglądał im się uważnie, zupełnie jakby miały zaraz się na niego rzucić. Wokół nich kręciły się dziwne stwory, małe ludziki o szczurzych pyszczkach i łysych ogonach. Potrafiły odgryzać kawałki metalu. Nie zaczepiały nas, ale Ash za każdym razem wzdygał się na ich widok, a jego ręka wciąż spoczywała na rękojeści miecza.

Żelazne drzwi leż były oplecione łańcuchami, ale lodowa klinga bez problemu sobie z nimi poradziła. Gdy weszłam do środka, rozejrzałam się powoli, przyzwyczajając oczy do marnego światła. Było tu jak w typowym magazynie, pustym i ciemnym, ale słyszałam jak po kątach coś biegło. Tu też leżały sterty złomu, niektóre wyższe ode mnie.

- A gdzie ścieżka? - zastanawiałam się, wchodząc głębiej. Na podłodze leżały metalowe kraty, wbijające mi się w podeszwy tenisówek. Ash zawahał się w drzwiach.

Po ziemi snuła się para. Kręciła się wokół moich nóg. Po drugiej stronie, pod ścianą jedna z krat była uniesiona, ukazując kwadratową, ciemną dziurę, z której unosił się dym. Tam.

Ruszyłam w stronę dziury. Ash zawołał od drzwi, bym, się zatrzymała. Nim zareagowałam na ostrzeżenie, leżąca obok mnie sterta złomu się poruszyła. A potem, ze zgrzytem, który przyprawił o ciarki, rozwinęła się, posyłając w powietrze iskry. Ze stosu wysunęła się długa szyja z żelaza, drutu i tłuczonego szkła. Gdzia głowa spojrzała na mnie z góry. Z jej czaszki wystawały skrawki metalu. Aż w końcu cała sterta uniosła się i przemieniła w dużą jaszczurkę ze stali i żelaza, z zaokrąglonymi, ostrymi szponami i ząbkowanym, spiczastym ogonem. Smok zaryczał ogłuszająco metalicznym głosem, który sprawił, że oczy wyszły mi z orbit. Potwór rzucił się na mnie, a ja skryłam się za kolejną stertą, modląc się, żeby również nie zmieniła się w smoka. Stwór zasyczał i ruszył moim tropem. Para buchała mu z pyska, a stalowe szpony stuknęły o podłogę.

Powietrze przecięła chmara lodowych pocisków, które trafiły w smoczą głowę i nic wyrządziwszy mu szkody, osypały się na ziemię. Ten zaryczał i stanął dęba, spoglądałam na Asha, który z obnażonym mieczem stał po drugiej stronie pomieszczenia. Smok machnął ogonem i ruszył do ataku, a spod łap tryskały mu iskry. Serce uwięzło mi w gardle.

Ash zamknął na moment oczy, po czym ukląkł i wbił czubek miecza w podłogę. Rozbłysło niebieskie światło, a od ostrza we wszystkie strony zaczął się rozprzestrzeniać lód, zamrażając każdą

rzecz, jaką napotkał. Mój oddech zamienił się w obłoczek pary, a z sufitu zaczęły zwisać sople. Z»; drżałam, gdy sterta złomu zamarzła i zaczęła promieniować okropnym zimnem.

Smok dopadł do Asha, który uskokczył, poruszając się po lodzie równie sprawnie, co po zwykłej powierzchni. Potwór nie mógł zahamować i wyrznął w ścianę. Wokół posypały się kawałki metalu.

Smok zasyczał i spróbował się podnieść, ale ślizgał się po podłodze i w złości zaczął tłuc ogonem. Ash podbiegł do niego i zagwizdał przeciągle, wywołując śnieżną burzę. Potwór zaryczał, gdy otoczyła go chmura zimna i pokryła metalowe członki szronem i śniegiem. Wraz z pogrubiającą się warstwą lodu poruszał się coraz wolniej.

Ash stanął, dysząc ciężko. Odsunął się od zamrożonego smoka i oparł się o słup, zamykając oczy.

Podbiegłam do niego, potykając się i ślizgając na lodzie.

- Nic ci nie jest?

- Nigdy więcej - wymamrotał jakby do siebie. Wciąż miał zamknięte oczy i nie byłam pewna, czy zdawał sobie sprawę z mojej obecności. - Nie będę na to znów patrzył. Nie... stracę kolejnej... w ten sposób. Nie mogę..

- Ash? - wyszeptalam, dotykając jego ramienia.

Otworzył oczy i spojrzał na mnie.

- Meghan - wymruczał, jakby zaskoczony, że wciąż tam jestem. Zamrugnął i pokręcił głową. - Czemu nie uciekałaś? Próbowałam dać ci trochę czasu. Trzeba było iść dalej.

- Zwariowałaś? Nie mogłam cię zostawić z tym potworem. A teraz chodź. - Wzięłam go z ręką i pociągnęłam za sobą, nerwowo spoglądając na zamrożonego smoka. - Uciekajmy stąd. Wydawało mi się, że zamrugnął.

Zacisnął palce na mojej dłoni i pociągnął mnie za sobą. Zaskoczona, zachwiałam się, spojrzałam na niego, a potem mnie pocałował.

Zamarłam oszołomiona, ale tylko na moment. Objęłam go za szyję, stanęłam na palcach i odwzajemniłam pocałunek z mocą, która zaskoczyła nas oboje. Przycisnął mnie mocno, a ja przeczesalam palcami jego jedwabiste włosy. Miał chłodne wargi. Moje usta mrowiły. Przez moment nie było Ethana, Puka ani Żelaznego Króla. Tylko to.

Odsunął się, lekko zdyszany. Krew tętniła mi w żyłach i oparłam głowę na jego ramieniu, czując pod palcami twarde muskuły. Wyczułam jak drży.

- Niedobrze - wyszeptał, dziwnie drżącym głosem. Ale mimo to nie puścił mnie. Zamknęłam oczy i słuchałam szybkiego bicia jego serca.

- Wiem - Westchnęłam.

- Dwory zabiłyby nas, gdyby się dowiedziały

- Tak.

- Mab oskarżyłaby mnie o zdradę. A Oberon uznał, że podburzam cię przeciwko niemu. Oboje uznaliby, że należy nas wygnać albo skrócić o głowę.

- Przepraszam.

Westchnął i ukrył twarz w moich włosach. Poczułam jego chłodny oddech na szyi i zadrżałam. Żadne z nas nie odezwało się przez dłuższą chwilę.

- Coś wymyślimy - zaryzykowałam.

Skinął głową i odsunął się, ale gdy zrobił krok do tyłu, zachwiał się. Znow złapałam go za ramię.

- Wszystko w porządku?

- Nic mi nie będzie. - Puścił mój łokieć - Za dużo żelaza. A czar bardzo mnie wyczerpał.

- Ash...

Przerwało nam głośnie pęknięcie. Smok uwolnił przednią łapę i uderzył nią w podłogę. Pojawiły się kolejne pęknięcia, gdy próbował się podnieść. Ash złapał mnie za rękę i pobiegliśmy.

Z wściekłym wyciem potwór rozbił swoje lodowe więzienie. Pognaliśmy przez magazyn, słysząc goniącego nas smoka, gdy jego pazury wbijały się w zamrożoną podłogę. Przed nami była dziura bez kraty, więc rzuciliśmy się do niej, przeskakując przez obłok pary i wpadając w nieznaną. Nad nami rozległ się ryk sfrustrowanego smoka, a nas otoczyły kłęby pary i wszystko zrobiło się białe.

Nie pamiętam lądowania, ale zdawałam sobie sprawę z tego, że Ash trzyma mnie za rękę, gdy wokół nas rozplywała się para. Rozejrzeliśmy się dokoła przerażeni.

Przed nami rozciągał się wynaturzony krajobraz. Był jałowy i ciemny, a niebo miało obrzydliwy, szarżółty kolor. Teren zdominowały góry śmieci - stare komputery, porzuceniaste samochody, telewizory, telefony z tarczą, radioodbiorniki, wszystko to porzucone na stertach złomu. Niektóre płonęły, wypełniając okolicę gęstym, duszącym smogiem. Gorący wiatr hulał po tym pustkowiu, tworząc pyłowe wiry i poruszając kołem leżącego na usypisku starego roweru. Kawałki aluminium, stare puszki i styropianowe kubeczki turlały się po ziemi, a w powietrzu unosił się ostry miedziany zapach, który dusił mnie w gardle. Drzewa były karykaturalne, powykręcane i sęcate. Na niektórych wisały żarówki i baterie, zupełnie jak błyszczące owoce

- Jesteśmy w Nigdynigdy - wyszeptał Ash. Brzmiał ponuro - Wydaje mi się, że gdzieś w Głębokim Nieładzie. Trudno się dziwić, że Losobór umiera.

- To jest kraina Nigdynigdy? - zapytałam, rozglądając się zaskoczona. Pamiętałam lodowate, nieskazitelne piękno Tir Na Nog i oszałamiające kolory Letniego Dworu. - Niemożliwe. Jak to się mogło stać?

- Machina - odpowiedział Ash. - Ziemie przyjmują właściwości swoich władców. Podejrzewam, że jego królestwo jest na razie bardzo małe, ale jeśli się rozrośnie, to pochłonie Losobór, aż w końcu zniszczy całą krainę Nigdynigdy

Myślałam, że nienawidzę krainy magii i wszystkiego co się w niej znajduje, ale to było przed Ashem. To był jego dom. Jeśli Nigdynigdy zginie, to on razem z nią. Tak samo jak Puk i Grim, i wszyscy, których napotkałam podczas tej dziwnej wędrówki.

- Musimy to powstrzymać! - zawołałam, rozglądając się wśród martwego krajobrazu. Smog gryzł mnie w gardło wywołując kaszel. - Nie możemy pozwolić, żeby to się rozprzestrzeniło.

Ash uśmiechnął się zimno i przerażająco.

- Właśnie po to jesteśmy.

Powoli wędrowaliśmy przez góry śmieci, uważając na te, które mogłyby ożyć i zaatakować.

Kalem oka dostrzegłam jakiś ruch i odwróciłam się gwałtownie, w obawie, że to kolejny smok kryjący się pod warstwą śmieci. Tym razem nie był to smok, ale kilka małych, garbatych stworów krążących pomiędzy hałdami odpadów.

Wyglądały jak wycieńczone gnomy, zgięte wpół pod ciężarem przedmiotów, które miały na plecach, zupełnie jak wielkie kraby pustelniki.

Kiedy znalazły coś. co im odpowiadało - popsuta zabawkę, szprychy do roweru - mocowały to do zbioru na plecach i ruszały do następnej sterty. Niektóre garby były naprawdę duże i w jakiś smutny sposób robiły wrażenie.

Kilka z tych stworów zauważyło nas i podeszło, by się nam przyjrzeć świdrującymi ciekawskimi oczkami. Ash sięgnął po miecz, ale położyłam mu rękę na ramieniu. Wyczułam że stworzonka nie są niebezpieczne, a mogły nam wskazać drogę.

- Cześć - odezwałam się cicho, gdy nas otoczyły, niuchając jak ciekawskie psy. - Nie chcemy żadnych kłopotów. Po prostu trochę się zgubiliśmy.

Poprzekrzywiały główki, ale nic nie powiedziały. Niektóre podeszły bliżej, a kilka długich palców zaczęło dziobać mój plecak i ciągnąć za kolorowy materiał. Nie złośliwie, ale z ciekawością, zupełnie jak mewy dziobiące guzik. Dwa z nich podeszły do Asha i zaczęły drapać pochwę miecza. Poruszył się niespokojnie i odrobinę cofnął.

- Muszę znaleźć króla Machinę - powiedziałam - Pokażecie nam, gdzie on jest?

Ale stworzonka nie zwracały na mnie uwagi, zbyt zajęte dobieraniem się do mojego plecaka i gadaniem między sobą. Jeden pociągnął na próbę plecak i prawie zwałił mnie z nóg. Z błyskiem błękitnego światła Ash obnażył miecz. Stworzonka się odsunęły. Otworzyły szeroko oczy i skupiły wzrok na świecącej klindze. Kilka zaczęło przebierać palcami, jakby chciały ją dotknąć, ale wiedziały, że lepiej nie podchodzić.

- Chodź - wymamrotał Ash, kierując miecz w stronę każdego gнома, który próbował podejść bliżej. - One nam nie pomogą Chodźmy stąd.

- Poczekaj. - Gdy się odwracał, złapałam go za rękaw. - Mam pomysł.

Zdjęłam plecak i rozpięłam boczną kieszeń Sięgnęłam do środka i wyciągnęłam mojego popsutego iPoda sprzed tak dawna. Podeszłam do nich i podniosłam go wysoko, obserwując, jak gnomy nie mogą oderwać od niego wzroku.

- Umowa! - zawołałam w przestrzeń. Patrzyły na mnie bez mrugnięcia okiem. - Widzicie to?

Zamachałam iPodem. Patrzyły za nim tak, jak pies obserwujący smakołyk.

- Dam go wam, a wy w zamian zaprowadzicie mnie do Żelaznego Króla.

Gnomy odwróciły się i zaczęły gadać między sobą, od czasu do czasu sprawdzając, czy sobie nie poszłam. W końcu jeden z nich wystąpił naprzód. Na szczycie jego garbu spoczywał cały trójkołowy rowerek. Spojrzał na mnie i machnął łapką, aby iść za nim.

Ruszyliśmy za tymi dziwnymi małymi stworkami, które w myślach nazwałam chomikami, przez śmieciową pustynię. Przyciągaliśmy wzrok innych mieszkańców ponurej krainy. Widziałam więcej szczirowatych ludzików, których zęby powodowały rdzewienie metali, kilka chudych psów i chmary pełzających po wszystkich żelaznych robali.

Raz, z daleka, z przerażeniem dostrzegłam kolejnego smoka, który wyłaniał się ze sterty śmieci. Na szczęście przekreślił się tylko na drugi bok i znów zasnął, doskonale się maskując jako kupa złomu.

W końcu zostawiliśmy za sobą góry śmieci i dowódca chomików wskazał długim palcem na pustynną równinę.

Poprzez popękany, szary płaskowyż poprzecinany strumieniami lawy i mrugającym światłkami ciągnęła się linia kolejowa. Niezdarne maszyny, jak olbrzymie żelazne żuki, obsiadły ją i prychały parą. A na tle nieba z ziemi wyłaniała się szczerbata, czarna wieża, otoczona smogiem i kłębamii dymu.

Twierdza Machiny

Ash nabrał cicho powietrza. Patrzyłam na potężną wieżę, a żołądek skręcał mi się z przerażenia. Z otępienia wyrwało mnie szarpnięcie za plecak. Obok mnie stał chomik z wyrazem oczekiwania na twarzy i przebiegał pakami.

- A, tak. - Wyciągnęłam iPoda i podałam mu uroczyście. - Umowa to umowa. Mam nadzieję, że ci się spodoba. Chomik zapiszczał z radości. Przytulił urządzenie do piersi i uciekł jak wielki krab. Zniknął gdzieś w tej stercie śmieci. Usłyszałam podniecone głosy i wyobraziłam sobie, jak pokazuje pozostałym swoją zdobycz. A potem głosy ucichły i zostaliśmy sami.

Ash odwrócił się do mnie, a mnie uderzyło, jak źle wygląda. Skóra mu poszarzała, pod oczami miał głębokie cienie, a włosy mokre od potu.

- Nic ci nie będzie?

Uśmiechnął się krzywo.

- Zobaczymy, prawda?

Wyciągnęłam do niego rękę i ścisnęłam mu dłoń. Przyłożył ją sobie do twarzy i zamknął oczy, zupełnie jakby z mojego dotyku czerpał siłę. Razem zesliśmy do centrum królestwa Machiny.

21. Rycerze Żelaznej Korony.

- Nie odwracaj się - polecił Ash, gdy już godzinami wędrowaliśmy - ktoś nas śledzi.

Spojrzałam przez ramię. Szliśmy wzdłuż linii kolejowej - obok, a nie po żelaznych torach - w stronę twierdzy i do tej pory nie spotkaliśmy żadnego stworzenia. Latarnie wyrastały z ziemi, oświetlając nam drogę, żelazne kolosy, przypominające mi steampunkowe komiksy anime. Stały przy torach i prychały dymem. A przez wszechobecną parę trudno było zobaczyć coś dalej niż na kilka metrów.

Ale wtedy przez tory przebiegło małe, znajome stworzenie i zniknęło w dymie. Zauważyłam trójkołowca wystający ze sterty śmieci i zmarszczyłam brwi.

- Dlaczego chomiki nas śledzą?

- Chomiki? - Ash uśmiechnął się złośliwie.

- No wiesz, zbierają jedzenie i zanoszą do nerek Chomikują. Nieważne. - Spojrzałam na niego, robiąc groźną minę, zbyt zaniepokojona, by się irytować.

Ash ani razu się nie skarżył, ale widziałam, że wszechobecne żelazo odciska na nim swoje piętno.

- Chcesz się gdzieś zatrzymać i odpocząć?

- Nie. - Przycisnął dłoń do oka, jakby chciał powstrzymać ból głowy. - To nic nie zmieni.

Upiorny krajobraz ciągnął się po horyzont. Mijaliśmy jeziora płynnej lawy, bulgocącej i drgającej z gorąca. Szliśmy w cieniu wielkich kominów, które wydychały w szarżółte niebo czarny dym. Pomiędzy metalowymi wieżami, przelatywały błyskawice, a powietrze aż wibrowało od napięcia. Po ziemi ciągnęły się rury, z których na złączach i przez zawory wylatywały kłęby pary, a niebo było pokreślone czarnym kablami. Cierpki smak żelaza, rdzy i smogu zatykał mi gardło i palił mnie w nosie.

Ash prawie się nie odzywał, wędrując z ponurym uporem naprzód. Wciąż się o niego martwiłam. To przeze mnie tak cierpiał. To umowa ze mną zmuszała go, by mi pomagał, chociaż powoli go to wykańczało. Ale teraz nie było odwrotu i mogłam tylko bezradnie patrzeć, jak męczy się dalej. Oddech rzęził mu w gardle, a on z każdą godziną robił się coraz bledszy. Zżerał mnie strach. Bałam się, że Ash umrze i zostanę sama w tym ciemnym, okropnym miejscu.

Minął dzień. Żelazna wieża wznosiła się groźnie przed nami, ale była jeszcze daleko. Mdlące żółtozielone niebo pociemniało, a zza chmur wyrżał księżyc. Zatrzymałam się i spojrzałam w niebo. Nie było gwiazd. Ani jednej. Sztuczne światła odbijały się od chmur, sprawiając, że było prawie tak jasno, jak w dzień.

Ash zaczął kaszleć i przyłożył rękę do szczątków jakiegoś muru. by nie upaść. Objęłam go i przytrzymałam, gdy się o mnie oparł. Serce mi pękało, gdy go słuchałam.

- Musimy odpocząć - wymamrotałam, rozglądając się za miejscem na nocleg. Przy torach leżała na wpół wkopana w ziemię wielka cementowa rura. Cała była umazana graffiti i właśnie do niej go poprowadziłam.

- Chodź.

Tym razem nie protestował. Zszedł ze mną z nasypu i skryliśmy się w betonowym schronie. Był za niski, byśmy mogli się wyprostować, a podłoga była usłana tłuczonym szkłem. Może ta kryjówka nie należała do najlepszych, ale przynajmniej nie była z żelaza. Wykopałam pękniętą butelkę, usiadłam ostrożnie i zdjęłam plecak.

Ash wyjął miecz zza pasa i usiadł naprzeciwko mnie z trudem powstrzymując jęk. Strzała z czarownego drewna podskoczyła, gdy rozpięłam plecak i sięgnęłam za nią po jedzenie i wodę.

Otworzyłam paczkę suszonego mięsa i poczęstowałam Asha. Pokręcił głową. Miał mętne, zmęczone oczy.

- Powinieneś coś zjeść - stwierdziłam, żując suszoną wołowinę. Nie czułam szczególnego głodu. Byłam zbyt zmęczona, było mi za gorąco i zbyt się martwiłam, by mieć apetyt, ale wiedziałam, że trzeba wrzucić coś na ząb.

- Mam też mieszankę studencką i cukierki, jakbyś chciał coś innego. Masz - Rzuciłam w niego torebkę z orzechami.

Spojrzał na nią z powątpiewaniem, aż się skrzywiłam.

- Przepraszam, ale na stacjach benzynowych nie sprzedają jedzenia dla elfów. Jedz!

Bez słowa wziął torebkę i wysypał sobie na dłoń garść rodzynek i orzechów. Spojrzałam w dal, na czarną wieżę otoczoną chmurami.

- Jak myślisz, ile jeszcze czasu będziemy tam szli? - zagadnęłam tylko po to, by zmusić go do mówienia.

Ash włożył do ust garść bakalii, przeżuł i połknął niechętnie.

- Myślę, że najwyżej dzień - odpowiedział, odkładając torebkę - Później... - Westchnął, a oczy mu pociemniały - Wątpię, abym do czegośkolwiek się nadawał.

Żołądek skręcił mi się ze strachu. Nie mogłam go teraz stracić.

Za wiele już straciłam. Perspektywa, że Ash nie dotrwa do końca naszej przygody, wydała mi się wyjątkowo okrutna. Potrzebowałam go tak, jak jeszcze nigdy nikogo.

Ochronię cię, pomyślałam. zaskakując samą siebie. Przetrwasz to, obiecuję. Tylko mi nie umieraj, Ash.

Ash spojrzał na mnie, zupełnie jakby wiedział o czym myślę, a jego szare oczy spoważniały. Zastanawiam się, czy moje emocje zdradzają moje myśli, czy Ash może czytać z aury uroku, która mnie otacza. Przez moment zawahał się, jakby toczył wewnętrzną walkę. A potem westchnął z rezygnacją, uśmiechnął się słabo i wyciągnął dłoń. Wzięłam ją, a on przyciągnął mnie, posadził przed sobą i otoczył ramionami. Oparłam się o jego pierś i słuchałam bicia jego serca. Każde uderzenie mówiło mi, że to dzieje się naprawdę, że Ash jest ze mną i żyje.

Wiatr wzmógł się, niosąc zapach ozonu i innych chemikaliów. Kropla deszczu uderzyła o rurę, a w powietrze unioś się obłoczek dymu. Jeśli nie liczyć spokojnego oddechu, Ash ani drgnął, jakby bał się, że nagły ruch mnie wystraszy. Wyciągnęłam rękę i zaczęłam rysować wzorki na jego ramieniu. zachwycając się gładką skórą pod palcami, zupełnie jakby to był żywy lód. Poczułam, jak zadrżał i nabrał gwałtownie powietrza.

- Ash?

- Tak?

Obliziałam wargi.

- Dlaczego przysięgłeś zabić Puka?

Szarpnął się. Poczułam, jak wpatruje się w mój kark, i ugryzłam się w policzek, żałując, że nie mogę tego cofnąć i zastanawiając się, co w ogóle pchnęło mnie do tego, żeby o to pytać.

- Nieważne. - Machnęłam ręką. - Zapomnij o tym. Nie musisz mi mówić. Po prostu się zastanawiałam...

Kim tak naprawdę jesteś. Co Puk zrobił, że go nienawidzisz. Chcę zrozumieć. Mam wrażenie, że żadnego z was nie znam.

Na ziemię spadło z sykiem kilka kolejnych kropel deszczu. Żułam mięso i wpatrywałam się w deszcz, aż nadto świadoma bliskości Asha, jego ramion oplatających mnie w tali. Poczułam, jak usiadł wygodniej i westchnął.

- To było dawno temu - wyszeptał, a jego głos ledwo przebijał się przez wiatr. - Jeszcze przed twoim urodzeniem. Zima i Lato przez jakiś czas trwały w pokoju. Zawsze zdarzały się jakieś drobne niesnaski, ale po raz pierwszy od wieków tak długo trzymaliśmy się od siebie z daleka.

- Pod koniec lata - mówił dalej, a w jego głosie zabrzmiał ból - sytuacja zaczęła się zmieniać. Elfy źle znoszą nudę, a niektórzy bardziej niecierpliwi zaczęli psocić z Latem. Powinienem się spodziewać, że będą z tego problemy, ale wtedy nie myślałem o polityce. Cały dwór był znudzony i zniecierpliwiony. ale ja...

Głos mu się załamał, ale po chwili mówił dalej.

- Byłem z moją panią, Ariellą Tularyn.

Zabrakło mi tchu. Jego pani. Ash był kiedyś zakochany. A sądząc z bólu w jego głosie, bardzo ją kochał. Zesztywniałam, nagle zbyt świadoma swojego oddechu, ramion Asha wokół mnie. On zdawał się tego nie zauważać.

- Polowaliśmy w Losoborze - mówił dalej, opierając brodę na moich włosach. - Szukaliśmy złotego lisa. którego tam podobno widziano. Było nas wtedy troje, polowaliśmy razem. Ariella, ja i... Robin Koleżka.

- Puk?

Poruszył się niespokojnie. Gdzieś w oddali rozległ się grzmot, a niebo przecięła zielona błyskawica.

- Tak - szepnął, jakby te słowa go bolały - Puk. Puk był... kiedyś moim przyjacielem. Nie wstydziliśmy się go tak nazywać. Wtedy nasza trójka często spotykała się w Losoborze, z dala od potępiających nas spojrzeń. Nie obchodziły nas zasady. Wtedy Puk i Ariella byli moimi najbliższymi towarzyszami. Ufałem im bezgranicznie.

- Co się stało?

Ash mówił dalej cicho.

- Polowaliśmy - powtórzył. - W pogoni zapuściliśmy się na tereny, których żadne z nas nie znało. Losobór jest wielki, a niektóre okolice nieustannie się zmieniają, więc może być niebezpieczny, nawet dla nas. Tropiliśmy złotego lisa przez trzy dni, przez nieznanne lasy i bory, zakładaliśmy się, czyja strzała go w końcu położy. Puk przechwalał się, że Zima na pewno przegra z Latem, a Ariella i ja, że wygra na pewno Zima. A tymczasem otaczający nas las zrobił się ciemny i dziki. Jechaliśmy na elfich wierzchowcach, których kopyta nie dotykają ziemi, ale one stawały się coraz bardziej nerwowe. Należało ich słuchać, ale nie zrobiliśmy tego. Duma gnała nas naprzód jak głupców. W końcu czwartego dnia dotarliśmy na wzniesienie, które gwałtownie opadało w dół, do dużej kotliny. Po drugiej stronie biegł brzegiem złoty lis. Rozdzielająca nas dolina nie była głęboka, ale szeroka i wypełniona poskręcanyimi cieniami i zaroślami, więc trudno było ustalić, co jest na dnie. Ariella chciała ją objechać, chociaż zajęłoby nam to więcej czasu. Puk się nie zgodził. Twierdził, że stracimy zdobycz, jak nie przejedziemy na wprost. Pokłóciliśmy się. Ja stanąłem po stronie Arielli, mimo że nie rozumiałem jej wahania, ale skoro nie chciała jechać naprzód, to nie zamierzałem jej zmuszać. Ale Puk miał inny pomysł. Gdy zawróciłem konia, zakrzyknął, klepnął po zadzie konia Arielli i pognał swojego. Zjechali w dół zbocza, a Puk krzyczał, bym do nich dołączył, jeśli zdołam. Nie miałem innego wyjścia, jak ruszyć za nimi.

Ash zamilkł, oczy pociemniały mu w udręce. Zapatrzył się w dal. aż w końcu nie mogłam już dłużej tego wytrzymać.

- Co się stało?

Zaśmiał się ponuro.

- Ariella miała oczywiście rację. Puk zaprowadził nas wprost do gniazda wiwerny.

Czułam się głupio, zadając to pytanie, ale...

- Co to jest wiwerna?

- Kuzynka smoka - wyjaśnił Ash. - Nie tak inteligentna, ale i tak potwornie niebezpieczna. I bardzo terytorialna. Pojawiła się znikąd, same łuski, zęby i skrzydła. Zaatakowała kolcem jadowym. Była olbrzymia. Bardzo stara, wściekła i potężna. Wywalczyliśmy drogę ucieczki, wszyscy troje, ramię w ramię. Byliśmy razem już tak długo, że znaleźliśmy style walki pozostałych i wykorzystaliśmy tę wiedzę, by pokonać wroga. Tu Ariella zadała śmiertelne pchnięcie. Ale konająca wiwerna zdołała jeszcze machnąć ogonem i trafiła ją w pierś. Trucizna wiwerny jest bardzo silna, a byliśmy całe kilometry od najbliższego uzdrowiciela. Próbowaliśmy... próbowaliśmy ją ratować, ale...

Zamilkłam i odetchnęłam z trudem. Ścisnęłam go za ramię, by go pocieszyć.

- Umarła w moich ramionach - dokończył, z trudem zbierając siły. - Umarła z moim imieniem na ustach, błagając, bym ją uratował. A kiedy ją trzymałam i patrzyłam, jak życie znika z jej oczu, mogłam myśleć tylko o jednym, że to wszystko wina Puka. Gdyby nie on, Ariella wciąż by żyła.

- Tak mi przykro, Ash.

Skinął głową. Odezwał się twardo:

- Przysięgłem wtedy, że pomszczę śmierć Arielli, zabiję Robina. Koleżkę albo zginę. Starliśmy się kilka razy, ale Koleżce zawsze udaje się wymknąć albo zastosować trik, który przerywa pojedynek. Póki on żyje, nie mogę spocząć. Obiecałem Arielli, że będę ścigał Robina, aż jeden z nas zginie.

- Puk powiedział, że to był wypadek. Że nie chciał, aby tak się stało. - Słowa ledwo przeszły mi przez gardło. Nie czułam się dobrze, broniąc go. Ash stracił kogoś ukochanego przez Puka, bo żart poszedł wreszcie za daleko.

- To nieistotne. - Ash odsunął się ode mnie i przemówił chłodno: - Wiąże mnie przysięga. Nie spocznę, dopóki jej nie spełnię.

Nie wiedziałam, co powiedzieć, więc tylko patrzyłam w deszcz. Nieszczęśliwa i rozdarta na dwoje. Ash i Puk, dwóch wrogów skazanych na walkę, dopóki jeden nie zabije drugiego. Jak można stać pomiędzy taką parą, wiedząc, że w końcu jeden z nich wygra? Wiedziałam, że przysięgi elfów są wiążące i Ash ma dobry powód, aby nienawidzić Puka. lecz mimo to czułam się jak w pułapce. Nie mogłam ich powstrzymać, ale nie chciałam, by któryś z nich zginął.

Ash westchnął i znów nachylił się do mnie po ręce, przesuując palcami po mojej skórze.

- Przepraszam - wyszeptał.

Deszcz przebiegł mi po ramieniu.

- Żałuję, że jesteś w to zamieszana. Nie da się odwołać przysięgi, gdy już się ją wypowiedziało. Ale wiedz, że gdybym miał świadomość, że cię spotkam, nie składałbym jej tak pochopnie.

Gardło mi się ścisnęło. Chciałam coś powiedzieć, ale wiatr wdmuchnął do rury kilka kropli deszczu. Woda spadła mi na dzinsy i aż krzyknęłam, gdy coś zaczęło palić mi skórę. Przyjrzałam się nodze. W miejscu, gdzie spadły krople, w materiale pojawiły się dziurki. Były wypalone, a skóra pod nimi czerwona. Pieczęta, jakby wbijano mi w nią szpilki.

- Co, do cholery? - wymamrotałam i przyjrzałam się burzowemu niebu. Wyglądało zwyczajnie: szare, mroczne i z jakiegoś powodu przygnębiające. Prawie odruchowo sięgnęłam w stronę otworu, gdzie woda spływała po brzegu rury. Ash złapał mnie za ramię i przyciągnął do siebie.

- Tak. poparzy ci dłoń samo, jak nogę - powiedział bezbarwnym tonem. - A ja myślałam, że wyciągnęłaś jakieś wnioski po przygodzie z łańcuchami.

Zawstydzona opuściłam rękę i weszłam głębiej do rury z dala od wyjścia, gdzie kapał kwaśny deszcz.

- Wygląda na to, że będę czuwać całą noc. - jęknęłam, splatając ręce na piersi. - Nie chciałabym przysnąć i obudzić się ze stopioną połową twarzy.

Ash przyciągnął mnie do siebie i odgarnął włosy z karku. Przesunął ustami po moim ramieniu i szyi, sprawiając, że zagotowałam się w środku.

- Jeśli chcesz odpocząć, to proszę - wyszeptał w moją szyję - Obiecuję, że deszcz cię nie dosięgnie.

- A co z tobą?

- Nie planowałam zasypiać. - Machnął ręką w stronę spływającej do rury wody i zamienił ją w lód. - Boję się, że mógłbym się nie obudzić.

Nagle znów zaczęłam się bać.

- Ash...

Dotknął ustami mojego ucha.

- Śpij, Meghan Chase - wyszeptał i nagle nie byłam w stanie utrzymać otwartych powiek. Próbowałam jeszcze z tym walczyć, gdy ogarnęła mnie ciemność i opadłam w jego ramiona.

Gdy się obudziłam, przestało padać i wszystko obeschło, chociaż ziemia wciąż parowała. Przez gęste chmury nie przenikało słońce, ale powietrze było i tak gorące. Złapałam plecak i wyczołgałam się z nory w poszukiwaniu Asha. Siedział na zewnątrz oparty o rurę, z głową odrzuconą do tyłu i miecze na kolanach. Widząc go, poczułam jak ogarnia mnie gniew i strach. Poprzedniej nocy zaczarował mnie, kazał zasnąć bez mojej zgody. A to oznaczało, że pewnie użył uroku chociaż jego ciało stawało się z każdą chwilą słabsze. Wściekła i zaniepokojona podeszłam do niego i położyłam mu ręce na biodrach. Uchylił powieki i spojrzał na mnie zaczerwienionymi oczami.

- Nie rób tego więcej. - Miałam ochotę na niego nakrzyczeć, ale widząc, jaki jest bezbronny, powstrzymałam się. Zamrugał, ale miał dość rozumu, by nie pytać, o co mi chodzi.

- Wybacz - wyszeptał i schylił głowę - Pomyślałem że przynajmniej jedno z nas mogłoby skorzystać z kilku godzin snu.

Boże, wyglądał okropnie. Miał zapadnięte policzki, sine cienie pod oczami, a skóra zdawała się przezroczysta. Musiałam znaleźć Ethana i zabrać nas stąd, nim Ash zamieni się w chodzący szkielet i skona u moich stóp.

Spojrzał nad moim ramieniem na wieżę i jakby zaczerpnął z niej siły.

- Już niedaleko - powtórzył, jakby to była mantra, która utrzymywała go przy życiu. Wyciągnęłam rękę, pozwolił pomóc sobie wstać.

Znów ruszyliśmy wzdłuż torów.

Kominy i metalowe wieże zostały w końcu za nami. Teren stał się płaski, surowy. Ze szczelin w ziemi unosiły się kłęby pary wodnej.

Przy torach stały opancerzone maszyny o olbrzymich żelaznych kołach. Wyglądały jak skrzyżowanie czołgu z robotem. Były stare i pordzewiałe i jakoś dziwnie przypominały mi żelaznego konia.

Ash nagle jęknął, nogi się pod nim ugięły i upadł. Złapałam go za ramię, a on z trudem się podźwignął. Wydawał się taki chudy.

- Chcesz, żebyśmy się zatrzymali na odpoczynek? - zapytałam.

- Nie - wycedził przez zęby. - Idźmy Musimy...

Nagle wyprostował się i sięgnął po miecz.

Przed nami para wodna rozwiła się na tyle, byśmy dostrzegli potężną postać na torach - konia z żelaza, który parsknął ogniem i orał ziemię stalowymi kopytami. Przyglądał nam się nienawistnie błyszczącymi oczami.

- Żelazny koń! - jęknęłam, zastanawiając się przez moment, czy może to moje myśli go tutaj przywiodły.

- Myśleliście, że się mnie pozbędziecie, co?! - zaryczał, a jego głos odbił się echem od pobliskich maszyn. - Potrzeba czegoś więcej niż zawału jaskini, by się mnie pozbyć. Popełniłem błąd i nie doceniłem was wcześniej. Ale to się już nie powtórzy.

Wokół nas coś się poruszyło i nagle spod ziemi wyrosły setki syczących gremlinów. Obłączyły maszyny jak pająki, śmiejąc się i prychając, biegły po ziemi. W kilka sekund otoczyły nas, tworząc żywy czarny dywan. Ash wyciągnął miecz, a gremliny syczały paskudnie.

Po obu stronach z mgły wyłoniły się dwie postacie. Szły równym krokiem, a gremliny rozbiegały się, by je przepuścić. Wojownicy w pełnej zbroi, z hełmami i maskami zakrywającymi twarze wkroczyli do utworzonego przez gremliny koła.

Ich przypominające owadzie pancerze zbroje, w jakiś sposób jednocześnie starożytne i nowoczesne, wyglądały jak z filmów science fiction. Na napierśnikach mieli herb przedstawiający koronę z drutu kolczastego. Wyciągnęli miecze.

- Meghan, cofnij się - polecił Ash, stając w szermierczej pozycji naprzeciw atakujących go rycerzy.

- Zwariowałaś? Nie możesz walczyć w...

- Już...

Niechętnie cofnęłam się, gdy nagle coś złapało mnie od tyłu. Krzyknęłam i zaczęłam kopać, ale zostałam odciągnięta na brzeg kręgu, gdzie dopadły mnie gremliny. Przekręciłam się i zobaczyłam, że pochwyił mnie trzeci rycerz

- Meghan! - Ash próbował mnie gonić, ale dwaj rycerze zastąpili mu drogę, a w ich żelaznych klingach odbiło się mdłe światło. Ash rzucił im ponure spojrzenie, wywinął młynka mieczem i stanął w pozycji bojowej.

Rzucili się na niego. Miecze opadły ze świstem, atakując naraz z dołu i z góry. Ash przeskoczył nad pierwszym i sparował drugi, odtrącając go w tumanie lodu i iskier.

Opadł na nogi. zakręcił się jak fryga i blokując potężny cios z lewej, zrobił unik, gdy nad jego głową przeciął powietrze drugi miecz. Zawirował i ciął przez pierś jednego z rycerzy. Ten się zachwiał, korona na napierśniku została przecięta i pokryła się szronem.

Odsunęli się od siebie, przyglądając się sobie wzajemnie, z mieczami gotowymi do ciosu. Ash dyszał, mrużąc w skupieniu oczy. Nie wyglądał dobrze, a mnie z przerażenia żołądek skurczył się w małą kulkę. Rycerze zaczęli go okrążyć, przymierzając się do ataku jak stado wilków. Ale nim zdążyli zająć pozycje, Ash prychnął i rzucił się do przodu.

Przez chwilę zaatakowany rycerz cofał się, zaskoczony. Ash okładał go bezlitośnie, omijając parady i trafiając w zbroję. Wokół sypały się iskry, a rycerz potknął się i prawie upadł. Ash zamachnął się i trafił go w bok głowy, zrywając mu hełm.

Jęknęłam. Twarz pod hełmem przypominała Asha, albo przynajmniej dawno zaginionego brata. Te same szare oczy, kruczoczarne włosy, spiczaste uszy. Mężczyzna był trochę starszy, a na policzku miał bliznę, ale poza tym był bardzo podobny.

Ash zawahał się, równie zaskoczony jak ja, a to drogo go kosztowało. Drugi rycerz zaatakował od tyłu. Ash odwrócił się, ale za późno. Jego miecz napotkał ostrze przeciwnika, ale siła uderzenia wytrąciła mu broń z ręki. W tym samym momencie jego towarzysz zadał elfowi cios metalową rękawicą i trafił go za uchem Ash osunął się na plecy, a dwa żelazne miecze dotknęły jego gardła.

- Niel - Próbowałam do niego podbiec, ale trzeci wojownik wykręcił mi ręce za plecami i założył kajdanki. Dwaj rycerze kopnęli Asha tak, że przekręcił się na brzuch i jego też skuli. Usłyszałam, jak jęknął, gdy metal dotknął jego skóry, a jego sobowtór poderwał go z ziemi.

Pchnęli nas w stronę żelaznego konia, który oczekiwał nas na torach, machając ogonem. Z jego żelaznej maski nic nie dało się wyczytać.

- Dobrze - prychnął. - Król Machina będzie zadowolony. Skupił czerwone spojrzenie na Ashu. który ledwo mógł stać, i położył uszy po sobie.

- Pozbawcie ich broni - rzucił z pogardą.

Twarz Asha wykrzywiła się z bólu. Zaciskał zęby. a pot spływał mu z czoła. Patrzył, jak żelazny rycerz bierze jego miecz i wyrzuca go do rowu. Usłyszałam cichy plusk, gdy broń wylądowała w oleistym płynie i zniknęła z pola widzenia Drugi rycerz zrobił to samo z łukiem, wstrzymałam oddech modląc się, żeby nie zauważyli naszej najcenniejszej broni.

- I strzała.

Serce mi zamarto i wezbrała we mnie rozpacz. Sobowtór Asha podszedł, wyrwał strzałę z mojego plecaka i też wrzucił ją do rowu. Coś ścisnęło mnie w krtani, a ta mała iskierka nadziei zgasła. To tyle. Koniec. Zawiedliśmy.

Żelazny koń przyjrzał się nam i prychnął parą.

- Żadnych wygłupów, księżniczko - ostrzegł, dmuchając we mnie dymem - Albo moi rycerze okręcą zimowego księcia taką ilością żelaza, że skóra odejdzie mu od kości.

Parsknął ogniem, przypalając mi brwi, i zwrócił głowę w stronę twierdzy.

- Ruszamy, król Machina nas oczekuje.

22. Ostatnia bitwa Asha.

Droga do wieży Machiny była istną torturą Zostałam opasana łańcuchem przymocowanym do żelaznego konia, który nie zatrzymując się ani nie rozglądając, wędrował żwawo po torach. Obok mnie szedł Ash. tak samo na uwięzi, i wiedziałam, że cierpi. Wciąż się potykał, ledwo trzymał się na

nogach, gdy kroczyliśmy za żelaznym koniem Gremliny krążyły wokół, podszczypując nas, dżgając i śmiejąc się z naszego cierpienia. Rycerze szli po bokach, pilnując, by Ash nie zszedł z żelaznych torów, a gdy próbował, natychmiast spychali go z powrotem. Raz upadł i został przeciągnięty kilka metrów, nim znów udało mu się stanąć. W miejscu, gdzie dotknął metalu, jego twarz pokryły czerwone ślady poparzeń. Było mi go żal.

Niebo zachmurzyło się, zmieniając natychmiast kolor z żółtoszarego na złowieszczy czerwono-czarny. Żelazny koń zatrzymał się i uniósł głowę, wężąc.

- Cholera - zaklął, tupiąc - Niedługo zacnie padać.

Żołądek mi się skręcił na myśl o kwaśnym deszczu. Niebo przecięła błyskawica, wypełniając powietrze ostrym aromatem.

- Szybko, nim rozpęta się burza. - Koń zeskoczył z torów i ruszył kłusem, gdy nad nami rozległ się grzmot. Nogi mnie piekły, ruszyłam za nim biegiem, a każdy miesiąc protestował. Miałam jednak do wyboru dotrzymać mu kroku albo być ciągnięta za nim. Ash potknął się i upadł. Tym razem nie zdołał wstać.

Spadła mi na nogę kropla deszczu i przeszył mnie okropny ból. Jęknęłam. Spadały kolejne krople, sycząc, gdy dotknęły ziemi. Powietrze śmierdziało chemią i usłyszałam, że gremliny też krzyczą, gdy dosięgną je deszcz.

Zbliżała się do nas srebrzysta kurtyna deszczu. Dogoniła kilka ociągających się gremlinów i je pochłonęła. Krzyczały i wierzały, z ich ciał sypały się iskry, aż w końcu po raz ostatni zadrzały i znieruchomiały. Deszcz zbliżał się coraz bardziej.

Prerażona uniosłam głowę i zobaczyłam, że żelazny koń prowadzi nas do szybu kopalni. Wskoczyliśmy pod dach w chwili, gdy dogoniła nas burza. Zdażyła jeszcze dopaść kilku gremlinów, które piszczały i wiły się w agonii, a deszcz wypalał im dziury w skórze. Inne gremliny zaśmiewały się na len widok. Odwróciłam się, nim zrobiło mi się niedobrze.

Ash leżał na ziemi nieruchomo, cały pokryty kurzem i krwią. W miejscach, gdzie trafiły go krople, z jego ciała unosiła się para. Jęknął i spróbował się podnieść, ale nie był w stanie. Kilka rozbawionych gremlinów podeszło do niego i zaczęło go dżgać i wspinać się na jego pierś, by bić go po twarzy. Zadrzał i odwrócił się, ale to tylko je zachęciło.

- Przestańcie! - Wzięłam zamach i z całej siły kopnęłam gremlina, wysyłając go w dal, jak piłkę do nogi. Inne odwróciły się do mnie, a ja zaczęłam je kopać i przydeptywać. Z sykiem wdrapały się na moje spodnie, zaczęły ciągnąć za włosy i wbijać we mnie pazury, jeden zatopił mi ostre jak brzytwa zęby w ramieniu, aż wrzasnęłam.

- Starczy już! - krzyk żelaznego konia sprawił, że strop się zatrząsł. Obsypał nas pył, a gremliny uciekły. Z tuzina małych ranek sączyła mi się krew, a ugryzione ramię bolało. Żelazny koń spojrzał na mnie ponuro, smagając się po bokach ogonem, po czym skierował wzrok na rycerzy. - Zabierzcie ich do tuneli - rozkazał z nutką złości. - I pilnujcie, żeby nie uciekli. Jeśli burza nie ucichnie, to będziemy musieli tu trochę posiedzieć.

Zostaliśmy uwolnieni z łańcuchów łączących nas z żelaznym koniem. Dwóch rycerzy postawiło Asha na nogi i pociągnęło w stronę tunelu. Trzeci, ten o twarzy Asha, wziął mnie za ramię i poprowadził za swoimi braćmi.

Zatrzymaliśmy się w miejscu, gdzie tunel rozgałęział się na kilka stron. W ciemności prowadziły drewniane tory, rozklekotane wagoniki, na wpół wypełnione rudą żelaza, stały z boku. Strop podtrzymywały potężne drewniane belki ustawione co metr. Do drewna przybito kilka latarni, ale większość była zniszczona. W drżącym świetle pochodni widać było biegnące przez ściany błyszczące żyły metalu.

Szliśmy dalej tunelem, który kończył się małym wnętrzem z dwoma drewnianymi słupami po środku. W kącie leżało kilka skrzynek i kilof. Rycerze pchnęli Asha do jednego z słupów, odpięli jedno ogniwo kajdan, przełożyli mu ręce za belkę i skuli z powrotem. Ciało pod metalowym pierścieniem miało czerwone i poparzone, aż podskoczył, gdy znów go spętano. Przygryzłam wargę pełną współczucia.

Rycerz, który mnie złapał, wyprostował się i poklepał Asha po policzku, śmiejąc się, gdy ten skrzywił się na dotyk żelaznej rękawicy.

- Mile uczucie, co robaczku? - odezwał się, a ja aż drgnęłam. Pierwszy raz słyszałam, by któryś przemówił. - Wy starej krwi jesteście strasznie słabi. Pora, abyście odeszli. Jesteście przestarzali. Wasz czas minął.

Ash uniósł głowę i spojrzał elfowi w twarz.

- Mocne słowa jak na kogoś, kto stał z boku i siłował się z dziewczynką, podczas gdy jego bracia odwalali czarną robotę.

Rycerz go spoliczkował. Krzyknęłam wściekła i ruszyłam w ich stronę, ale ten stojący za mną złapał mnie za ramię.

- Zostaw go, Kwintusie - poprosił spokojnie.

Kwintus prychnął

- A co. żałujesz go, Tercjuszu? Czyżbyś zapalał braterską miłością do swojego bliźniaka'

- Mamy się nie odzywać do starokrwestych - odpowiedział tym samym tonem Tercjusz - Wiesz o tym. Czy mam poinformować żelaznego konia?

Kwintus splunął na podłogę.

- Zawsze byłeś słaby. Tercjuszu - prychnął. - Masz zbyt miękkie serce, by mogło być z żelaza. Jesteś hańbą dla naszego bractwa.

Odwrócił się na pięcie i odszedł tunelem, a za nim ruszył trzeci rycerz. Ich buty stuknęły głośno o kamienną podłogę, aż w końcu wszystko ucichło.

- Głupek - wymamrotałam, gdy ostatni rycerz przykuwał mnie do słupa - Masz na imię Tercjusz, tak?

Nie podnosząc na mnie wzroku, rozpiął kajdany i okręcił je wokół słupa.

- Tak.

- Pomóż nam - odezwałam się błagalnie. - Nie jesteś taki jak oni. czuję to. Proszę, muszę uratować brata i go stąd zabrać. Jeśli chcesz, zawrzemy umowę. Błagam, pomóż nam.

Spojrzał mi przez chwilę w oczy. Znow zaskoczyło mnie, jak bardzo był podobny do Asha. Miał spizowoszarę oczy, a nie srebrne, a blizna sprawiała, że wydawał się starszy, ale miał równie wyrazistą honorową twarz. Zamarł i przez moment łudziłam się nadzieją. Ale potem zamknął kajdany na moich nadgarstkach i odsunął się, a oczy mu pociemniały.

- Jestem rycerzem Żelaznej Korony - przemówił spizowym głosem - Nie zdradzę moich braci ani mego króla.

Odwrócił się i odszedł

W ciemnościach tunelu usłyszałam chrapliwy oddech Asha i zgrzyt piasku, gdy usiadł na ziemi.

- Ash? - zawołałam cicho, a mój głos odbił się echem w tunelach. - Wszystko w porządku?

Przez chwilę panowała cisza. A gdy Ash w końcu się odezwał, mówił cicho, że ledwie go słyszałam.

- Wybacz, księżniczko - Westchnął, jakby do siebie. - Wygląda na to, że nie zdołam jednak wypełnić umowy.

- Nie poddawaj się - odpowiedziałam, czując się jak hipokrytka, bo sama też byłam bliska załamania. - Jakoś się stąd wydostaniemy. Byle tylko nie tracić głowy.

Przyszło mi coś na myśl i ściszyłam głos.

- Możesz zamrozić łańcuchy tak, jak to zrobiłeś w fabryce?

Zaśmiał się ponuro.

- W tej chwili robię wszystko, by nie stracić przytomności - wyszeptał z bólem Ash - Jeśli masz moc o której wspominała Nestorka driad, to właśnie nadeszła pora. by jej użyć.

Skinęłam głową. Co miałam do stracenia. Zamknęłam oczy i skupiłam się na wyszukaniu wokół nas uroku. Staralam się postępować tak, jak uczył mnie Grimalkin.

Nic. Poza błyskiem dzikiej determinacji u Asha. wokół nie było żadnych emocji, nadziei, marzeń, niczego, wszystko tu było martwe, pozbawione życia, beznamietne.

Żelazne elfy zbyt przypominały maszyny - zimne, logiczne i wyrachowane - a ich świat to odzwierciedlał.

Nie chcąc się poddać, sięgnęłam dalej, próbowałam przebić się przez tę nędzną powłokę. To była kiedyś kraina Nigdy. Coś z niej musiało pozostać nietknięte przez Maszynę.

Gdzieś głęboko poczułam puls. Samotne drzewo, zatrute i umierające, ale wciąż trzymające się życia. Jego gałęzie zamieniały się powoli w metal, ale korzenie i serce drzewa pozostały

niezmienione. Zadrżało, czując moją obecność - malutki okruch krainy Nigdy nigdy w otchłani niczego. Ale nim zdołałam cokolwiek zrobić, szuranie stop rozproszyło moją uwagę i łączność się urwała.

Otworzyłam oczy. Światło w tunelu zgasło. Byliśmy w nieprzeniknionych ciemnościach. Słyszałam, jak zbliżają się do nas jakieś stworzenia, otaczają nas, ale nic nie widziałam. W myślach wyobraziłam sobie mnóstwo upiornych możliwości - olbrzymie szczury, potężne karaluchy. wielkie podziemne pająki. Prawie zemdlałam, gdy coś dotknęło mojej ręki, ale potem usłyszałam szemranie znajomych głosów.

W ciemnościach pojawił się żółty snop światła - latarka. Rozjaśniła ciekawskie, pomarszczone twarze kilku chomików, mrugających w świetle. Zaskoczona obserwowałam, jak gadają między sobą w swoim dziwnym języku. Kilka z nich otoczyło Asha i ciągnęło go za rękawy.

- Co tu robicie? - spytałam Zatrąkotaly coś i zaczęły mnie ciągnąć za ubranie, zupełnie jakby chciały mnie stąd zabrać - Próbujecie mi pomóc?

Naprzód wystąpił chomik z trójkołowcem Wskazał na mnie, a potem na koniec pomieszczenia. W świetle latarki zobaczyłam wejście do kolejnego tunelu, prawie niewidocznego w ciemnościach. Był tylko częściowo ukształtowany, zupełnie jakby górnicy zaczęli go kopać, po czym porzucił pracę. Droga ucieczki? Serce podskoczyło mi z radości. Chomik zapiszczał niespokojnie i machnął na mnie. bym za nim poszła.

- Nie mogę - odpowiedziałam, potrząsając łańcuchem. - Nie mogę się ruszyć.

Chomik powiedział coś do innych i wszystkie podeszły. Po kolei sięgały za siebie, do stert śmieci na plecach i wyciągały jakieś przedmioty

- Co one robią? - szepnął Ash.

Nie mogłam odpowiedzieć. Jeden z chomików wyciągnął wiertło elektryczne i pokazał je przywódcy, ale ten pokręcił głową. Drugi wyjął nóż sprężynowy, ale ten też przywódca odrzucił, podobnie jak zapalniczkę, młotek i budzik. Aż w końcu jeden z mniejszych chomików zapiszczał podniecony i wyszedł naprzód z długim metalowym przedmiotem. Nożyce do cięcia metalu.

Przywódca zagadał coś i wskazał. Mniej więcej w tym samym momencie usłyszałam z głębi tunelu zgrzyt stalowych butów i skrobanie setek pazurków o kamienie. Żołądek mi się skurczył. Wrócili rycerze, a wraz z nimi gremliny.

- Pośpieszcie się! - zawołałam, gdy chomik zaczął mocować się z łańcuchem. W oddali, tuż przy ziemi, pojawiły się światła. Gremliny miały latarki albo pochodnie Dobiegł nas śmiech, a żołądek podskoczył mi do gardła.

Pospieszcie się! - pomyślałam, wściekła, że chomiki tak się grzebią. Nie damy rady, będą tu za moment!

Poczułam, jak pęka metal i byłam wolna. Złapałam nożyce i podbiegłam do Asha. Światła były coraz bliżej, a tunelem niósł się syk gremlinów. Wsunęłam łańcuch w metalowe szczeki i ścisnęłam rączki, ale nożyce były zardzewiałe i trudno było nimi operować. Klnąc, ścisnęłam mocniej rączki i pchnęłam.

- Zostaw mnie - wyszeptał Ash, gdy mocowałam się z nożycami. - Nie będę mógł pomóc. Tylko cię spowolnię. Uciekaj.

- Nie zostawię cię tutaj - wydyszałam, zgrzytając i zaciskając nożyce z całej siły.

- Meghan...

- Nie zostawię cię! - warknęłam, walcząc ze łzami.

Głupi łańcuch! Dlaczego nie pęka? Włożyłam w to wszystkie siły. z furią zrodzoną ze strachu.

- Pamiętasz, jak ci mówiłem o twoich słabych stronach? - wymruczał Ash, odwracając do mnie głowę Chociaż patrzył twardo, a jego oczy wypełniał ból, głos miał łagodny - Musisz teraz podjąć decyzję. Co jest dla ciebie najważniejsze?

- Zamknij się! - Łzy zalały mi oczy. Mrugałam, aby się ich pozbyć. - Nie możesz mnie zmusić do podejmowania takich decyzji. Ty też jesteś dla mnie ważny, do cholery. Nie zostawię cię tutaj, więc się po prostu zamknij.

Pierwsze gremliny pojawiły się w tunelu i zaczęły krzyczeć na mój widok. Z wrzaskiem przerażenia po raz ostatni ścisnęłam nożyce. Łańcuch wreszcie puścił. Ash wstał w momencie, gdy do środka z rykiem wpadły stworki.

Pobiegliśmy za uciekającymi chomikami do ukrytego tunelu. Był niski i wąski. Musiałam się schylać, by nie uderzyć głową w sklepienie, a ramionami ocierałam się o ściany. Za nami gremliny wlały się do pokoiku jak mrówki, oblażąc ściany, sufit i sycząc.

Ash zatrzymał się nagle. Odwrócił się w stronę atakujących, uniósł kilof jak kij do bejsbolu i oparł się o ścianę.

Zaskoczył mnie. Musiał go złapać, gdy wskoczyliśmy do tunelu. Popękane łańcuchy zwisały mu u nadgarstków, brzęcząc, gdy zadrżały mu ręce. Gremliny zatrzymały się kilka metrów dalej, a oczy im świeciły, gdy rozważały nową sytuację. W końcu jak jeden mąż ruszyły naprzód.

- Ash! - krzyknęłam. - Co robisz? Chodź!

- Meghan. - Mimo bólu głos Asha był spokojny. - Mam nadzieję, że odnajdziesz brata. Jak spotkasz jeszcze Puka, powiedz mu, że żałuję, że musiałem zrezygnować z naszego pojedynku.

- Ash, nie! Nie rób tego!

Poczułam, że się uśmiecha.

- Sprawiaś, że odżyłem - wyznał.

Gremliny zaatakowały z piskiem.

Ash rozbił dwóm głowę kilofem, uchylił się przed trzecim, który rzucił mu się do szyi, a wtedy i reszta na niego skoczyła. Zalały go, czepiając się rąk i nóg, gryząc i drapiąc. Zachwiał się i upadł na jedno kolano, a wtedy wdrapały mu się na plecy, aż w końcu nie mogłam go już dostrzec wśród tej chmary. Ale nadal walczył. Poderwał się, zrzucając z siebie kilka gremlinów. ale na ich miejsce pojawiło się kilkanaście kolejnych.

- Meghan, uciekaj! - zacharczał, rozgniatając gremlina o ścianę. - Już!

Dławiąc się łzami, odwróciłam się i uciekałam. Podążałam za chomikami do rozwidlenia tunelu. Jeden z nich wyciągnął coś ze swojej sterty śmieci i pomachał tym w stronę przywódcy. Jęknęłam, gdy uświadomiłam sobie, że to laska dynamitu. Przywódca pisnął coś, a inny chomik podbiegł z zapalniczką.

Nic mogłam się powstrzymać i spojrzałam do tyłu akurat w chwili, gdy Ash w końcu został pokonany przez morze gremlinów i zniknął pod ich chmarą. Gremliny zawyły triumfalnie i ruszyły w naszą stronę.

Lont zasyczał. Przywódca chomików syknął na mnie i wskazał na tunel, gdzie zniknęła reszta grupy, Łzy spływały mi po policzkach, kiedy ruszyłam za nimi, a chomik z dynamitem rzucił go w stronę nadciągających gremlinów.

Wybuch wstrząsnął stropem. Obsypał mnie kurz i kamienie, a powietrze wypełniło się pyłem. Zaczęłam kaszleć i osunęłam się pod ścianę, czekając, aż wszystko się uspokoi. Gdy wreszcie powietrze znieruchomiło, podniosłam wzrok i zobaczyłam, że wejście do tunelu jest zawałone. Chomiki zawodziły cicho, jeden z nich nie zdążył przebiec.

Usiadłam pod ścianą, podciągnęłam kolana pod brodę i przyłoczyłam się do ich żałoby, czując, że moje serce zostało w tunelu, gdzie padł Ash.

23. Żelazny Król.

Przez kilka minut siedziałam nieruchomo, zbyt otępiata, by płakać. Nie mogłam uwierzyć, że Ash naprawdę nie żyje. Wpatrywałam się w zawałoną ścianę, naiwnie licząc na to, że jakimś cudem wyjdzie spod gruzów, posiniaczony, zakrwawiony, ale żywy. Nie wiem, ile czasu tak siedziałam. W końcu przywódca chomików pociągnął mnie łagodnie za rękaw, patrząc na mnie poważnymi, smutnymi oczami. Odwrócił się, dając mi znak, bym poszła za nim. Rzuciwszy ostatnie spojrzenie w tył na gruzowisko, ruszyłam ich śladem w głąb tunelu.

Szliśmy tak godzinami, aż w końcu tunele zastąpiły naturalne jaskinie z ociekającymi wodą stalaktytami. Chomiki pożyczyły mi latarkę, w której świetle dostrzegałam na ziemi dziwne przedmioty - tu błotnik, tam robota zabawkę. Musieliśmy zbliżać się do nory chomików, bo im dalej wędrowaliśmy, tym więcej napotykałam śmieci. W końcu weszliśmy do ogromnej jaskini, której sklepienie ginęło w ciemności, a pod ścianami znajdowały się zwały odpadów, przypominające miniaturę pustkowia, przez które szliśmy z Ashem.

Na środku, na tronie z rupieci, siedział starzec o szarej skórze. Nie chodzi mi o bladą czy popielatą cerę, jego skóra naprawdę była metaliczna, jak rtęć. Białe włosy opadały poniżej jego stóp. prawie sięgając podłogi, jakby od wieków nie ruszał się ze swojego tronu. Chomiki kręciły się wokół niego, pokazując przeróżne przedmioty, kładąc mu je u stóp. Wśród nich dostrzegłam swojego iPod'a.

Starzec uśmiechnął się, obserwując chomiki, kręcące się i popiskujące wokół jego tronu, po czym spojrzał na mnie bladozielonymi oczami.

Mrugnął kilka razy, jakby nie wierzył własnym oczom. Wstrzymałam oddech Czy to był Machina? Czy chomiki przyprowadziły mnie przed oblicze Żelaznego Króla? Nie sądziłam, że wszechmocny władca będzie taki... stary.

- No, no - wyrzeźił. Moi poddani przez lata znosili mi różne intrygujące przedmioty, ale to jest nadzwyczajne. Kim jesteś, dziewczyno? Czemu tu przyszedłaś?

- Ja... mam na imię Meghan, proszę pana. Meghan Chase. Szukam swojego brata.

- Brata? - Starzec spojrzał zdumiony na chomiki. - Nie przypominam sobie, byście przyprowadzali dziecko. Co się z wami dzieje?

Chomiki zapiszczały, kręcąc głowami. Władca zmarszczył czoło, słuchając ich paplaniny i obserwując ich pełne ekscytacji podskoki, po czym ponownie skierował wzrok na mnie.

- Moi poddani twierdzą, że nie spotkali nikogo poza tobą i twoim przyjacielem na Pustkowiu. Czemu uważasz, że twój brat miałby tu być?

- Ja - przerwałam, obrzucając spojrzeniem obskurną jaskinię, chomiki, wątego starca Coś tu się nie zgadzało -Przepraszam - kontynuowałam zakłopotana, czułam się głupio - ale... czy pan jest Machiną, Żelaznym Królem?

- No, tak... - Starzec odchylił się w tył splatając dłonie. - Teraz rozumiem. Machina ma twojego brata, tak? A ty chciałaś go uratować?

- Tak - potwierdziłam z ulgą.. - W takim razie pan nie jest Żelaznym Królem?

- Tego bym nie powiedział. - Uśmiechnął się, ponownie napełniając mnie niepokojem, i zachichotał. - Nie martw się, dziecko. Nie zrobię ci krzywdy. Ale radzę porzucić myśl o ratowaniu brata. Machina jest zbyt potężny. Żadna broń go nie zrani. Zmarnujesz tylko życie.

Przypomniałam sobie strzałe z czarownego drzewa, leżącą na dnie rowu i coś mnie ścisnęło za serce.

- Wiem - Westchnęłam - Ale muszę spróbować. Dotarłam już tak daleko. Nie mogę się teraz poddać.

- Jeśli Machina porwał twojego brata, musi się ciebie spodziewać - Starzec pochylił się w moją stronę. - Do czegoś cię potrzebuje. Czuje w tobie siłę, dziewczyno, ale to nie wystarczy. Żelazny Król jest mistrzem manipulacji. Wykorzysta cię do własnych celów, a ty nie będziesz potrafiła mu się oprzeć. Wracaj do domu, dziewczyno. Zapomnij o tym, co straciłaś, i wracaj do domu.

- Zapomnieć? - Pomyślałam o przyjaciółach, którzy poświęcili wszystko, bym dotarła tak daleko. Puk. Driada Nestorka, Ash.

- Nie - zaprotestowałam, czując gulę w gardle. - Nigdy nie zapomnę. Nawet jeśli to beznadziejne, muszę iść dalej. Jestem to winna pozostałym.

- Głupia dziewczucha - warknął starzec. - O Machinie wiem więcej niż ktokolwiek inny: o jego nawykach, potędze, o tym, jak działa jego umysł, a mimo to nie chcesz mnie słuchać. Proszę bardzo. Ruszaj po własną zgubę, jak inni przed tobą. Przekonasz się, jak i ja miałem okazję się przekonać, gdy będzie za późno. Machiny nie można pokonać. Żałuję, że nie słuchałem swoich doradców, gdy tłumaczyli mi to samo.

- Ty próbowałaś go pokonać? - Gapiłam się na niego, usiłując sobie wyobrazić, jak len wąty staruszek walczy i ponosi klęskę - Kiedy? Czemu?

- Ponieważ - wyjaśnił cierpliwie - kiedyś to ja byłem Żelaznym Królem. Nazywam się Ferrum - tłumaczył dalej, gdy milczałam, zdumiona - jak zapewne zauważyłaś, jestem stary. Starszy niż ten szczeniak Machina, starszy niż wszystkie żelazne elfy i inne żelazne stworzenia. Widzisz, to ja pierwszy narodziłem się w kuźni, gdy ludzkość zaczęła eksperymentować z żelazem. Powstałem z ich wyobraźni, z ich ambicji podbicia świata za pomocą żelaza, które mogło przeciąć brąz niczym papier. Byłem świadkiem zmian w świecie, gdy ludzie stawiali pierwsze kroki z Mrocznych Wieków ku cywilizacji.

Przez wiele lat myślałem, że jestem sam. Ale ludzkości nie można zaspokoić - zawrze chcą coś poprawić, osiągnąć coś więcej. Powstali inni, podobni do mnie. stworzeni ze snów o nowym świecie. Uznali mnie za swego króla i przez wieki pozostawaliśmy w ukryciu, odizolowani od innych elfów. Zdawałem sobie sprawę ponad wszelką wątpliwość, że gdyby dwory wiedziały o naszym istnieniu, zjednoczyłyby się, by nas zgładzić.

Później, wraz z nadejściem komputerów, powstały gremliny i robaki. Strach przed potworami, kryjącymi się w maszynach, ożywił je, sprawił, że nacechowały je chaos, zniszczenie, przemoc. Rozplenili się na wszystkie strony świata. Gdy technologia stawiała się siłą napędową w każdym państwie, pojawiały się potężne nowe elfy. Wirus. Błąd. I Machina, najpotężniejszy z nich. Jemu nie odpowiadały bezczynność i ukrycie. Pragnął podbojów, chciał się rozprzestrzeniać po całej Nigdyngdy jak wirus, niszczący wszystko, co stanie mu na drodze. Był moim pierwszym rycerzem, moim najpotężniejszym dowódcą, i przy kilku okazjach doszło między nami do spięcia. Moi doradcy sugerowali, bym skazał go na banicję, uwięził, nawet zabił. Bali się go i mieli rację, lecz ja nie dostrzegałem zagrożenia.

Oczywiście, było tylko kwestią czasu, nim Machina zwrócił się przeciwko mnie. Zgromadziwszy wokół siebie armię żelaznych stworzeń o podobnych poglądach zaatakował twierdzę od wewnątrz, wyrzynając wszystkich, którzy byli lojalni wobec mnie. Moje oddziały próbowały walczyć, lecz byliśmy starzy, przestarzali i nie mogliśmy się mierzyć z okrutną armią Machiny.

Gdy było po wszystkim, siedziałem na tronie patrząc, jak się do mnie zbliża, i wiedziałem, że zaraz zginę. Lecz gdy Machina pchnął mnie na ziemię, zaśmiał się i powiedział, że mnie nie zabije. Pozwolił mi zniknąć kawałek po kawałeczku, odejść w niepamięć, aż w końcu nikt nie będzie mógł sobie przypomnieć mojego imienia ani tego, kim byłem. Gdy zasiadł na moim tronie, poczułem, jak moja moc przepływa ku niemu, upatrując w nim nowego Żelaznego Króla. Dlatego teraz mieszkam tutaj. - Ferrum wskazał na jaskinię i otaczające go chomiki - W zapomnianej jaskini siedzę na tronie zrobionym ze śmieci, jako król potężnych śmieciarz. Szlachetny tytuł, nieprawdaż? Uśmiechnął się krzywo. - Te stworzenia są bardzo lojalne, przynoszą mi dary, które nie są mi do niczego potrzebne, robią ze mnie władcę tej sterty złomu. Uczyniły mnie swym królem, lecz cóż mi po tym? Nie potrafią przywrócić mi mojego tronu, a jednak tylko dzięki nim nie przestałem istnieć. Nie mogę umrzeć a jednocześnie trudno mi żyć ze świadomością tego, co utraciłem. Co zostało mi zrabowane. I wszystko to przez poczynania Machiny.

Skulił się na tronie, kryjąc twarz w dłoniach. Chomiki zbliżyły się do niego, poklepując go, a w ich słowach słychać było troskę. Obserwowałam go, czując jednocześnie współczucie i obrzydzenie.

- Ja też dużo straciłam - powiedziałam, słysząc jego ciche łkanie - Machina wiele mi odebrał. Ale nie mam zamiaru siedzieć na krześle i na niego czekać. Stawię mu czoła, niezależnie od tego, czy jest niepokonany, czy nie i w jak sposób odbiorę to, co moje, albo zginę. Tak czy inaczej, i mam zamiaru się poddawać.

Patrzył na mnie pomiędzy palcami, a jego mizerną postacią wstrząsało łkanie. Pociągnął nosem i opuścił ręce, spoglądając na mnie ponuro.

- Idź zatem - załkał Ferrum, odganiając mnie. - Nie przekonam cię. Być może jedna bezbronna dziewczyna zdziała więcej, niż mogła zdziałać cała armia.

Zaśmiał się gorzko, a ja poczułam irytację.

- Życzę szczęścia, głupia dziewczyno Jeśli nie chcesz mnie słuchać, nie jesteś tu już mile widziana. Moi podwładni odprowadzą cię pod jego twierdzę tajemnymi korytarzami, które przecinają całą tę krainę. W ten sposób najszybciej dotrzesz do miejsca swojej zguby. Idź już. Skończyłem z tobą.

Nie ukloniłam się. Nie podziękowałam za pomoc. Odwróciłam się i wyszłam z jaskini, podążając za chomikami, czując na plecach nienawistne spojrzenie pozbawionego tronu króla.

Kolejne tunele. Krótka przerwa u byłego Żelaznego króla nie wystarczyła, bym odzyskała nadwątlone siły. Rzadko odpoczywaliśmy, a ja korzystałam z każdej okazji, by choć chwilę się zdrzemnąć Chomiki dały mi jakieś dziwne, białe, świecące w ciemności grzybki do żucia, które smakowały jak pleśń, ale dzięki nim w kompletnych ciemnościach widziałam lak dobrze, jak o zmierzchu. I całe szczęście, bo moja latarka w końcu zamrugała i zgasła, a nikt nie zaproponował mi nowych baterii.

Straciłam poczucie czasu Wszystkie jaskinie i tunele zdawały się zlewać w jeden ogromny labirynt. Wiedziałam, że nawet jak dostanę się do twierdzy Machiny i uratuję Ethana, nie wrócę tą samą drogą.

Tunel się skończył i nagle znalazłam się na kamiennym moście nad przepaścią. Z jej dna sterczały ostre skały. Wokół mnie, na ścianach i suficie, niepokojąco blisko mostu obracały się potężne żelazne koła, wprawiając ziemię w drżenie. Najbliższe były co najmniej trzykrotnie większe ode mnie, a niektóre jeszcze większe. Czułam się, jakbym znalazła się w środku gigantycznego zegara, a hałas był ogłuszający.

Musimy być pod twierdzą Machiny, pomyślałam rozglądając się wokół zadziwiona. Ciekawe do czego służą te wielkie koła.

Kłós pociągnął mnie za ramię, a gdy się odwróciłam, przywódca chomików wskazał na drugą stronę mostu. Mówił coś, ale nie było go słychać w ogólnym hałasie. Zrozumiałam. Zaprowadziły mnie tak daleko, jak tylko mogły. Ostatni odcinek drogi pokonam sama.

Skinęłam głową na znak, że rozumiem i ruszyłam naprzód, ale on złapał mnie za rękę. Trzymając mnie za nadgarstek, odwrócił się do swoich chomików i coś do nich powiedział. Dwa ruszyły naprzód i zaczęły szperać w swoich bagażach.

- Już dobrze - zapewniłam je - Nie potrzebuję żadnych...

Głos uwiązał mi w gardle. Pierwszy chomik wyciągnął długą pochwę ze znajomą rękojeścią, świecącą błękitnie w ciemnościach. Zaparło mi dech.

- Czy to...?

Podał mi ją z powagą. Złapałam za rękojeść i wyciągnęłam z pochwy miecz, a wokół rozbłysło bladoniebieskie światło. Para dymiła z klingi Asha. a ja poczułam gulę w gardle.

Och. Ash...

Schowałam klingę i przytroczyłam sobie miecz, ponuro zaciskając pas.

- Doceniam to - zwróciłam się do chomików, niepewna, czy rozumieją. Zagadały do mnie i wciąż nie chciały odejść, a przywódca wskazał drugiego, mniejszego chomika. Ten podszedł, zamrugał i wyciągnął trochę zdezelowany łuk i...

Po raz drugi serce mi zamarło. Chomik trzymał strzałę z czarownego drewna. Oślizgła od oblepiającego ją oleju, ale poza tym nieuszkodzona. Wzięłam ją w nabożnym skupieniu. Moje myśli galopowały.

Chomiki mogły ją oddać Ferrumowi, ale tego nie zrobiły. Zachowały ją dla mnie. Strzała pulsowała mi w rękach, wciąż żywa i zabójcza.

Przesiałam myśleć. Opałam na kolana i przytuliłam chomiki, przywódcę i tego małego. Pisnęły zaskoczone. Ich garby kłuły mnie w podbródek i nie mogłam ich całych objąć, ale to nie miało znaczenia. Kiedy wstałam, zdawało mi się, że przywódca się czerwieni, chociaż trudno było to stwierdzić w ciemnościach, a mały uśmiechał się od ucha do ucha.

- Dziękuję - powiedziałam, wyrażając tyle szczerości, ile tylko zdołałam. - Naprawdę, dziękuję to za małe, ale tylko tyle mam. Jesteście wspaniali.

Zagadali do mnie i poklepali mnie po rękach. Żałowałam, że ich nie rozumiem. A potem, gdy przywódca szczerknął ostro, odwrócili się i zniknęły w tunelach. Ten mały odwrócił się na moment, oczy świeciły mu w ciemności, a potem zniknęły.

Wyprostowałam się, zatykając strzałę za pas. podobnie jak czynił Ash. Ściskając łuk i z mieczem Asha u boku, wkroczyłam pod wieżę Machiny.

Szłam chodnikiem, który z kamiennego zmienił się w żelazną siatkę, przez potężny labirynt zębatych kółek, zaciskając szczęki na dźwięk zgrzytania metalu o metal. Znalazłam kręcone schody z żelaza i dotarłam nimi do kłapy, która otworzyła się trzaskiem. Skrzywiłam się i rozejrzałam ostrożnie.

Nic. Pomieszczenie, do którego zaglądałam, było puste, jeśli nie liczyć potężnych bojlerów, świecących na czerwono i wypełniających powietrze syczącą parą.

- Dobra - wymamrotałam, gramoląc się pod klapą. Twarz i bluzkę miałam złane polem od panującego żaru. - Jestem w środku. A teraz dokąd?

W górę.

Ta myśl pojawiła się sama. a jednak wiedziałam, że jest słuszna. Machina i Ethan będą na szczycie wieży.

Moją uwagę przykuły kroki i schowałam się za jeden z bojlerów, starając się nie zwracać uwagi na promieniujący od metalu żar.

Do środka weszło kilka postaci, niskich i przysadzistych, ubranych w solidne płócienne kombinezony przypominające strażackie. Miały aparaty oddechowe, które zasłaniały im całe twarze - parę rurek wychodzących z ust do pewnego rodzaju zbiornika na plecach. Krążyły pomiędzy boilerami, tłukąc w nie kluczami francuskimi, sprawdzając liczne rurki i zawory. Każda z nich miała u

pasa komplet kluczy, które brzęczały podczas marszu. Wycofałam się do swojej kryjówki i coś przyszło mi do głowy.

Poszłam za robotnikami, kryjąc się pośród cieni i w kłębach pary. Przyglądałam się, jak pracują. Nie rozmawiali ze sobą, zbyt zajęci pracą, a to mi w pełni odpowiadało. Jeden odłączył się od grupy, która w ogóle nie zwróciła na niego uwagi, gdy wszedł w chmurę pary. Wyśledziłam go w korytarzu pełnym rur i obserwowałam, jak się schyla, by sprawdzić syczącą szczelinę w metalu. Wtedy się do niego podkradłam. Wyciągnęłam miecz Asha i czekałam, aż się odwróci, a wtedy przyłożyłam mu czubek miecza do piersi. Podskoczył i chciał się cofnąć, ale był uwięziony pomiędzy mną a rurami. Podeszłam i wycelowałam ostrzem w jego szyję.

- Nie ruszaj się - wyszczałam najgroźniej, jak potrafiłam.

Skinął głową i uniósł dłonie w rękawicach. Serce mi waliło, ale działałam dalej, dźgając go ostrzem.
- Rób dokładnie to, co ci powiem, a przeżyjesz. Zdejmuj kombinezon.

Zrobił, jak kazałam. Zdjął wierzchnie ubranie i maskę, odsłaniając twarz spoconego człowieka z gęstą czarną brodą Krasnolud. A do tego całkiem zwykły. Żadnej stalowej skóry czy kabli wychodzących z głowy, nic, co wskazywałoby na to, że należy do żelaznych stworzeń. Spojrzał na mnie czarnymi jak węgiel oczami, napiął mięśnie i zaśmiał się złośliwie.

- Wreszcie przysłaś. - Splunął na podłogę obok rury - Wszyscy się zastanawialiśmy, którą drogę w końcu wybierzesz. No, jeśli masz mnie zabić, to miejmy to już za sobą

- Ale ja nie przysłałam tu nikogo zabijać - powiedziałam ostrożnie, wciąż celując w niego mieczem, tak jak to robił Ash. - Przysłałam tu tylko po brata.

Krasnolud prychnął.

- Jest na górze, w sali tronowej z Machiną. W zachodniej wieży. Powodzenia.

Zmarszczyłam brwi.

- Jesteś bardzo pomocny. Czemu miałabym ci wierzyć?

- Phi, nie obchodzi nas Machina ani twój jęczący brat, dziewczyno. - Krasnolud charknął i splunął na rurę. Piwocina zasyczała jak kwas. - Naszym zadaniem jest pilnować, by wszystko działało, a nie zabawy w dwór z bandą zadzierających nosa arystokratów. Interesy Machiny to jego sprawa, a ja nie chcę się do nich mieszać.

- Więc nie będziesz mnie powstrzymywał?

- Co ty. masz ołów w uszach? Nie obchodzi mnie, co robisz- dziewczyno. Więc albo mnie zabij, albo zostaw w spokoju, jasne? Nie będę ci wchodził w drogę, jeśli ty nie będziesz wchodzić w drogę mnie.

- Dobra. - Opuściłam miecz. - Ale potrzebuję twojego kombinezonu.

- Zgoda, bierz. - Krasnolud kopnął go w moją stronę okutym żelazem butem. - Mamy kilka. A teraz mogę wracać do pracy, czy masz jeszcze jakieś inne niedorzeczne żądania i zamierzasz przeszkadzać mi w pracy?

Zawahałam się. Nie chciałam go krzywdzić, ale nie mogłam go ot, tak zostawić. Bez względu na to, co twierdził, mógł powiedzieć swoim współpracownikom, a byłam przekonana, że ich wszystkich naraz nie zdołam pokonać. Rozejrzałam się wokół i spostrzegłam kolejną klapę w podłodze, zupełnie taką samą jak ta, którą weszłam.

Wskazałam ją mieczem.

- Otwórz to i złaż na dół.

- Do kół zębanych?

- Zostaw buty. I klucze.

Obrzucił mnie gniewnym spojrzeniem, więc uniosłam miecz, gotowa ciąć, gdyby się na mnie rzucił. Ale krasnolud zaklął, podszedł do metalowej kraty i wsunął klucz do zamka. Otworzył ją z trzaskiem, zrzucił buty i zszedł po kręconych schodach, sprawiając, że dzwoniły przy każdym kroku. Spojrzałam na łypiącego na mnie z wściekłością krasnoluda i zatrzasnęłam wrota, ignorując poczucie winy które mnie gryzło.

Ubrałam się w kombinezon krasnoluda. Był ciężki, było w nim gorąco i śmierdział potem, aż straciłam dech. Był za krótki, ale obszerny, a ja byłam chuda, więc udało mi się go włożyć. Kończy! się powyżej kostek, ale gdy wsunęłam nogi w tenisówek w buciory krasnoluda, prawie nie było tego widać. A przynajmniej taką miałam nadzieję. Zarzuciłam zbiornik na plecy. Był zaskakująco lekki. I założyłam maskę. Owiało mnie chłodne, słodkie powietrze i odetchnęłam z ulgą.

Teraz jedynym problemem były miecz i łuk. Uznałam, że pracownicy wieży raczej nie kręcą się z bronią, więc owinęłam ją w znaleziony gdzieś kawałek płótna i wsunęłam pod pachę. Strzała z czarownego drewna była bezpieczna za moim paskiem, ukryta pod kombinezonem.

Z bijącym sercem wróciłam do kotłowni, gdzie pozostałe krasnoludy maszerowały jeden za drugim. Odetchnęłam głęboko, aby zapanować nad żołądkiem, i przyłączyłam się do nich. Szłam z opuszczoną głową i nie rozglądałam się na boki. Nikt nie zwracał na mnie uwagi i poszłam za nimi w górę po długich schodach, którymi dotarliśmy do głównej wieży.

Twierdza Machiny była potężna, metalowa i ostra. Kolczaste liany oplatały blanki, a ich ciernie były z metalu. Ostre metalowe szpikulce jeżyły się na murach bez wyraźniej przyczyny, wszystko było surowe, o ostrych brzegach, nawet stworzenia, które tu żyły. Poza wszędobylskimi gremlinami napotkałam rycerzy w zbrojach, psy z kół zębatach i stwory, które wyglądały jak metalowe modliszki, a ich długie odnóża i srebrzyste czułki błyszcząły w słabym świetle.

Gdy dotarliśmy do szczytu schodów, krasnoludy rozdzieliły się w dwu- i trzyosobowe grupki. Odeszłam od kurczącej się grupy i ruszyłam wzdłuż muru, starając się robić wrażenie, że idę w konkretnym celu. Gremliny biegały po ścianach, ganiając się i mecząc inne stworzenia. Myszki od komputera o maleńkich uszkach i stopkach mrugały czerwonymi oczami i uciekały na mój widok. Jakiś gremlin wskoczył na jedną z nich, wywołując wysoki pisk, po czym wpakował sobie malutkie stworzenie do paszczy i schrupał, sypiąc wokół iskrami. Uśmiechną! się do mnie, spomiędzy spiczastych zębów wystawał mu mysi ogon, po czym uciekł.

Zmarszczyłam nos i szłam dalej.

W końcu odnalazłam schody, które ciągnęły się wzdłuż murów wieży na setki metrów w górę. Spojrzałam na niezliczone stopnie i poczułam, jak żołądek mi się ściska. To była ta. Tam na górze był Ethan. I Machina.

Poczułam ból w sercu, jakby było coś... ktoś jeszcze o kim powinnam pamiętać. Ale wspomnienie uciekło, nie mogłam go dosięgnąć. Z sercem trzepoczącym się w piersi jak szalony nietoperz ruszyłam ku finałowi swojej wyprawy.

Co dwadzieścia stopni pojawiało się małe, wąskie okienko. Raz przez takie wyjrzałam i zobaczyłam czyste niebo i szybujące na wietrze dziwne błyszczące ptaki. U szczytu schodów były żelazne drzwi, na których widniał herb przedstawiający koronę z drutu kolczastego.

Z ulgą zrzuciłam niewygodne ubranie krasnoluda. Wzięłam do ręki łuk i nałożyłam na cięciwę strzałę z czarownego drewna. Kiedy to poczuła, zaczęła pulsować jeszcze szybciej, zupełnie jakby bicie serca przyspieszyło z podniecenia.

Stojąc przed ostatnimi drzwiami wieży Żelaznego Króla, zawahałam się. Czy rzeczywiście jestem zdolna do tego, by zabić żywe stworzenie? Nie byłam wojownikiem jak Ash ani doskonałym oszustem jak Puk. Nie byłam mądra jak Grim i na pewno nie miałam mocy mojego ojca Oberona. Byłam po prostu sobą. Meghan Chase, zwykłą uczennicą liceum. Nikim nadzwyczajnym.

Nie, głos w mojej głowie był zarazem mój i nie mój. Jesteś kimś więcej. Jesteś córką Oberona i Melissy Chase, kluczem do zapobieżenia wojnie magicznych stworzeń. Przyjaciółką Puka, siostrą Ethana, ukochaną Asha. Jesteś kimś znacznie więcej, niż ci się wydaje. Masz wszystko, czego potrzebujesz. Jedyne, co ci pozostało, to przekroczyć próg.

Przekroczyć próg. To potrafiłam zrobić. Nabrałam głęboko powietrza i pchnęłam drzwi.

Stałam u wejścia do ogromnego ogrodu. Otaczające mnie gładkie żelazne ściany kończyły się ostrymi szpikulcami, odcinającymi się czernią na tle nieba. Wzdłuż kamiennej dróżki rosły drzewa, ale takie z metalu, a ich gałęzie były powykęcane i ostre. Ze stalowych gałęzi patrzyły na mnie ptaki. A kiedy zamachały skrzydłami, brzmiało to tak, jakby ocierały się o siebie dwa noże.

Po środku ogrodu, gdzie spotykały się ścieżki, stała fontanna. Ale nie z marmuru czy gipsu, tylko z różnej wielkości zębatach kół, obracających się powoli wraz z płynącą wodą. Zmrużyłam oczy i przyjrzałam się dokładniej. Na najniższym kole leżała na plecach jakaś postać i kręciła się powoli.

To był Ash.

Nie wykrzyczałam jego imienia. Nie pobiegłam do niego chociaż pragnęłam lego każdą komórką ciała. Powstrzymałam się z trudem, rozejrzałam po ogrodzie, w obawie przed pułapkami. Ale niewiele tu było miejsc, w których mogliby się ukryć wrogowie. Poza metalowymi drzewami i kilkoma kolczastymi pnączami ogród był pusty.

Dopiero gdy się upewniłam, że jestem sama, pognałam po kamiennej posadzce do fontanny.

Żyj. Proszę, żyj. Gdy go ujrzałam, serce mi zamarło. Był przykuły do zębarki, owinięty metalowymi łańcuchami. Kręcił się wciąż w kółko. Jedna noga zwisała poza koło, drugą miał podwiniętą pod siebie. Koszula była w strzępach, a skóra pod nią była okropnie blada i cała pokryta krwawymi zadrapaniami. Tam, gdzie dotykały go łańcuchy, ciało miał obtarte, szkarłatne. Wyglądało na to, że nie oddycha.

Trzęsącymi się rękami uniosłam miecz. Pierwsze cięcie roztrzaskało większość łańcuchów, a drugie prawie rozcięło zębarkę na pół. Łańcuchy zsunęły się, a koło zatrzymało ze zgrzytem. Upuściłam miecz i zdjęłam Asha z fontanny. Jego ciało było zimne i bezwładne w moich ramionach.

- Ash. - Ułożyłam go sobie na podołku. Nie mogłam płakać i czułam tylko kompletną pustkę. - Ash.
Potrzęsnęłam nim lekko.

- Nie rób mi tego. Otwórz oczy. Obudź się. Proszę...

Nie odpowiadał wciąż leżał bez ruchu. Zagryzłam wargę do krwi i ukryłam twarz w jego szyi.

- Przepraszam - wyjęczałam i zaczęłam płakać. Łzy spływały z moich zamkniętych oczu na jego lepką skórę. - Naprawdę przepraszam. Żałuję, że tu przyszedłeś. Żałuję, że w ogóle zgodziłam się na ten głupi pakt. To moja wina, to wszystko. Puk i driada, i Grim, a teraz ty...

Coraz trudniej było mi mówić, głos uwiązał mi w gardle.

- Przepraszam - wyszeptałam, nie wiedząc, co jeszcze dodać - Przepraszam...

Coś poruszyło się pod moim policzkiem Zamrugałam, czkając, i przyjrzałam się jego twarzy. Skóra wciąż była blada, ale zauważyłam ruch pod zamkniętymi powiekami. Z tłukącym sercem opuściłam głowę i delikatnie ucałowałam go w usta. Rozchylił wargi i lekko westchnął.

Wypowiedziałam z ulgą jego imię. Otworzył oczy i spojrzał na mnie, zaskoczony, jakby nie wiedział, czy to jawa, czy sen. Poruszył ustami, ale dopiero po kilku próbach udało mu się coś powiedzieć.

- Meghan?

- Tak - wyszeptałam natychmiast - Jestem tutaj.

Uniósł dłoń. dotknął palcami mojego policzka i go pogłaskał.

- Ja... śniłem... że przyjdiesz - wykrztusił, nim jego wzrok stał się klarowniejszy, a twarz spochmurniała.

- Nie powinnaś... być tutaj. - Jęknął, wbijając palce w moje ramię - To... pułapka.

I wtedy to usłyszałam - potworny ponury śmiech unoszący się ze ściany za nami. Koła zębate w fontannie zadrzały, po czym zaczęły się kręcić w przeciwną stronę. Z głośnym zgrzytaniem i pukaniem ściana za nami wsunęła się w ziemię, odsłaniając drugą stronę ogrodu.

Metalowe drzewa ocieniały ścieżkę prowadzącą do potężnego żelaznego tronu, który celował w niebo. U stóp tronu stał szwadron zakutych w pancerze rycerzy z obnażonymi mieczami, celującymi we mnie. Kolejny szwadron przeszedł przez drzwi i zatrzasnął je za sobą. Zostaliśmy uwięzieni między dwiema chmurami rycerzy.

Na szczycie tronu, obserwując to wszystko z ponurą satysfakcją, stał Machina, Żelazny Król.

24. Machina.

Postać na tronie posłała mi uśmiech ostry jak brzytwa.

- Meghan Chase - stwierdził, a jego brzęczący głos poniósł się po ogrodzie. - Witaj. Oczekiwałem cię.

Ignorując protesty Asha. położyłam go delikatnie i podeszłam bliżej, zasłaniając go swoim ciałem. Serce mi waliło Nie wiedziałam, jak powinien wyglądać Żelazny Król, ale na pewno nie spodziewałam się tego.

Postać na tronie była wysoka i wytworna, o długich srebrnych włosach i spiczastych uszach cechujących szlachetnie urodzonych. Przypominał trochę Oberona, wyrafinowanego i pełnego wdzięku, lecz zarazem niezwykle potężnego. Ale w odróżnieniu od Oberona i elegancji Letniego Dworu. Żelazny Król miał na sobie surowy czarny płaszcz, który powiewał na wietrze. Unosiła się wokół niego energia, zupełnie jak grzmot bez dźwięku, a w jego skośnych czarnych oczach dostrzegłam błyskawice. W jednym uchu błyszczał mu metalowy kolczyk, w drugim słuchawka bluetootha. Miał piękną, arogancką twarz, całą jakby stworzoną z ostrych kątów. Miałam wrażenie, że

gdybym podeszła zbyt blisko, mogłabym się skaleczyć o jego policzek. A mimo to, gdy się uśmiechnął, rozpromienił wszystko wokół. Na ramionach miał dziwną srebrzystą pelerynę, która poruszała się lekko, jakby była żywa.

Zgarnęłam z ziemi łuk i strzałę i napięłam cięciwę, by trafić Żelaznego Króla. To mogła być jedyna szansa. Czarowne drewno pulsowało mi pod palcami, gdy celowałam w pierś Machiny. Rycerze krzyknęli z niepokojem i rzucili się naprzód, ale było za późno. Z okrzykiem triumfu wypuściłam strzałę, patrząc, jak mknie do celu, wprost w serce Żelaznego Króla.

A wtedy peleryna Machiny ożyła.

Z zawrotną prędkością z jego ramion i kręgosłupa wystrzeliły srebrzyste kable. Owinęły się wokół niego jak aureola z metalowych skrzydeł, z jednej strony pokrytych kolcami, których ostre czubki błyszcząły w świetle. Wyrwały się do przodu, by ochronić Żelaznego Króla, i straciły strzałę z czarownego drzewa w innym kierunku. Parzyłam, jak strzała trafia w metalowe drzewo i pęka na dwoje. Ktoś krzyknął z wściekłości i przerażenia. Uświadomiłam sobie, że to byłam ja.

Strażnicy ruszyli na nas z uniesionymi mieczami i patrzyłam na nich z pewną obojętnością. Wiedziałam, że Ash stara się wstać, by mnie bronić, i wiedziałam, że na to za późno. Strzała zawiodła, a my mieliśmy zaraz zginąć.

- Stać.

Machina nie powiedział tego głośno. Nie wykrzyczał rozkazu, ale wszyscy rycerze zatrzymali się, jakby ktoś pociągnął za niewidzialny sznurek. Żelazny Król zsunął się z tronu, a kable wiły się wokół niego jak wygłodniałe węże. Jego stopy dotknęły ziemi i uśmiechnął się do mnie, zupełnie nieporuszony tym, że przed chwilą próbowałam go zabić.

- Odejdźcie - rozkazał rycerzom, nie odrywając ode mnie wzroku.

Kilku z nich spojrzało na niego z zaskoczeniem.

- Mój panie - wyjąkał jeden i poznałam jego głos. Kwinlus, jeden z rycerzy, którzy byli z żelaznym koniem w kopalni. Ciekawa byłam, czy Tercjusz też tu jest.

- Pani nie czuje się dobrze w waszej obecności - mówił dalej Machina, wciąż na mnie patrząc. - Nie chcę, aby czuła się źle. Odejdźcie. Zajmę się nią i zimowym księciem.

- Ależ panie...

Machina ani drgnął. Jeden z kabli wystrzelił łuk szybko, że aż trudno go było zauważyć, przebił się przez zbroję rycerza i wyszedł z drugiej strony. Kabel uniósł Kwintusa wysoko w powietrze. Rzucił nim o ścianę. Metal zazgrzytał i Kwintus padł bez ruchu na ziemię. W jego napierśniku ziała dziura. Płynęła z niej ciemna, oleista krew.

- Odejdźcie - powtórzył spokojnie Machina, a rycerze zaczęli przepychać się do wyjścia. Uciekli przez drzwi, zatrzasnęli je za sobą, a my zostaliśmy sam na sam z Żelaznym Królem.

Machina przyjrzał mi się niezgłębionymi czarnymi oczami.

- Jesteś równie piękna, jak sobie wyobrażałem - oświadczył, podchodząc bliżej. Za nim plątały się jego kable - Piękna, ognista i zdecydowana.

Zatrzymał się kilka metrów ode mnie, a kable przemieniły się z powrotem w ożywioną pelerynę.

- Cudownie.

Po raz ostatni spojrzałam na Asha, który wciąż leżał przy fontannie, i podeszłam do Machiny.

- Przybyłam tu po brata - powiedziałam, czując ulgę, że głos mi nie drży. - Proszę, wypuść go. Pozwól mi go zabrać do domu.

Machina przyjrzał mi się w milczeniu, po czym skinął za siebie. Rozległo się głośne zgrzytanie i coś pojawiło się obok tronu, zupełnie jakby wyniesione windą. Ujrzałam wielką klatkę dla ptaków z kutego żelaza. A w środku...

- Ethan! - Ruszyłam w jego stronę, ale kable Machiny poderwały się i zagroziły mi drogę. Ethan ścisnął pręty klatki i rozejrzał się przerażony. Jego głos niósł się piskliwie po ogrodzie.

- Meggie!

Za mną Ash zaklął i próbował się podnieść. Odwróciłam się wściekła do Machiny.

- Puść go! To tylko dziecko! Czego w ogóle od niego chcesz?

- Moja droga, nie zrozumieliśmy się. - Kable Machiny zafalowały groźnie, odsuwając mnie - Nie wzięłam twojego brata dlatego, że był mi potrzebny. Zrobiłem to, bo wiedziałem, że to cię tu sprowadzi.

- Czemu? - zapytałam, odwracając się do niego. - Po co porwałś Ethana? Czemu nie wziąłeś po prostu mnie? Po co go w to wciągnąłeś?

Machina się uśmiechnął.

- Byłaś dobrze chroniona. Meghan Chase. Robin Koleżka to wspianały ochroniarz, a nie mogłem ryzykować, że ściągnę uwagę na siebie i moje królestwo. Na szczęście twój brat nie miał takiej ochrony. Lepiej było, żebyś tu przyszła z własnej woli, niż narażać się na gniew Oberona i jasnego Dworu. Poza tym... - Machina zmrużył oczy, ale wciąż się uśmiechał. - Musiałem cię sprawdzić, upewnić się, że jesteś właśnie tą księżniczką. Gdybyś nie zdołała sama dotrzeć do mojej wieży, to nie byłabyś tego warta.

- Warta czego? - Nagle poczułam się bardzo zmęczona.

Zmęczona i desperacko pragnęłam zabrać stąd brata, z tego szaleństwa, nim ono go pochłonie. Nie mogłam wygrać. Machina miał nas w szachu, ale przynajmniej dopilnuję, aby Ethan trafił do domu.

- Czego ode mnie chcesz. Machino? - zapytałam zmęczona, czując, że Żelazny Król podszedł bliżej. - Cokolwiek to jest, pozwól mi zabrać Ethana z powrotem do domu. Powiedzieliś, że to mnie chciałeś. Oto jestem. Ale pozwól mi zabrać mojego brata do domu.

- Oczywiście - zapewnił Machina - Ale najpierw zawrzyjmy układ.

Zamarałam Umowa z Żelaznym Królem, w zamian za życie brata. Zastanawiałam się, o co poprosi. Czuję, że tak czy inaczej będzie mnie to drogo kosztowało.

- Meghan, nie - warknął Ash. Podciągnął się na fontannie, ignorując poparzenia na rękach. Machina zaś zignorował jego.

- Jaki układ? - zapytałam cicho.

Żelazny Król podszedł bliżej. Jego kable pogładziły mnie po twarzy i rękach, aż zadrżałam.

- Obserwowałam cię przez szesnaście lat - wyznał. - Czekałem na dzień, w którym wreszcie nas dostrzeżesz. Czekałem na dzień, w którym do mnie przyjdiesz. Twój ojciec chciał cię oślepić, byś nie mogła widzieć tego świata. Boi się twojej mocy, twoich możliwości. Półelfka. która jest odporna na żelazo, a w jej żyłach płynie krew Letniego Króla. Cóż za potencjał.

Jego wzrok spoczął na Ashu, który wreszcie wstał, ale Machina szybko o nim zapomniał.

- Mab też zdaje sobie sprawę z twojej mocy i dlatego tak bardzo cię pragnie. I dlatego wysłała za tobą swojego najlepszego rycerza. Ale nawet ona nie może ci zaproponować tego, co ja.

Machina pokonał dzielącą nas przestrzeń i wziął mnie za rękę Była chłodna i czułam, jak przepływa przez niego moc. zupełnie jakby był naładowany elektrycznością

- Chcę, byś została moją królową. Meghan Chase. Proponuję ci moje królestwo, moich poddanych i siebie. Chcę. byś włądała u mego boku. Elfy starej krwi to przeszłość. Ich czas minął. Pora. by powstał nowy porządek, potężniejszy i lepszy niż dawny. Powiedz tylko „tak”, a będziesz żyła wiecznie, królowo magicznych stworzeń. Twój brat wróci do domu. Pozwolę ci nawet zachować twojego księcia, jeśli tego pragniesz, ale obawiam się. że może mieć problemy z przystosowaniem się do naszego królestwa. Lecz bez względu na wszystko należysz do tego miejsca, u mojego boku. Czy tego zawsze pragnęłaś? Należęć?

Zawahałam się. Włądać wraz z Machiną, zostać królową. Nikt już by się ze mnie nie śmiał, miałabym setki podwładnych na swoje skinienie, byłabym wreszcie na szczycie. Byłabym najbardziej kochana. Ale wtedy ujrzałam drzewa, poskręcane i metalowe, i przypomniałam sobie okropne, wyjąłowione fragmenty Losoboru. Machina zniszczy całą krainę Nigdyngdy. Zginą wszystkie rośliny albo staną się wynaturzone i karykaturalne. Oberon. Grimalkin, Puk - wszyscy znikną wraz z całą Nigdyngdy, aż w końcu pozostaną tylko gremliny, robaki i żelazne elfy.

Przełknęłam ślinę i chociaż już znałam odpowiedź, zapytałam:

- A co, jeśli odmówię?

- Wtedy twój książę umrze. I twój brat umrze. Albo przerobię go na jedną ze swoich zabawek: pół człowieka, pół maszynę. Likwidacja stworzeń starej krwi rozpocznie się z tobą lub bez ciebie, moja droga. Po prostu daję ci wybór, czy chcesz temu procesowi przewodzić, czy zostać przezeń pochłonięta.

Byłam w rozpacz. Machina pogłaskał mnie po twarzy, przesuając palcami po moim policzku.

- Czy władanie jest naprawdę takie straszne, moja miłości? - zapytał, biorąc mnie za podbródek, bym na niego spojrzała - Przez milenia czynili to i ludzie, i elfy. Pozbywali się słabych, by zrobić miejsce dla silniejszych. Magiczne stworzenia starej krwi i żelazne stworzenia nie mogą żyć razem, wiesz o tym. Oberon i Mab zniszczyliby nas, gdyby o nas wiedzieli. Czy widzisz w tym jakąś różnicę?

Złożył pocałunek na moich ustach, delikatny jak piórko i przepelniony energią.

- Tylko jedno słowo, tylko tyle musisz powiedzieć. Jedno słowo, by twój brat trafił do domu, by uratować księcia, którego kochasz. Spójrz.

Machnął ręką, a z ziemi uniósł się potężny żelazny łuk bramy. Po drugiej stronie widziałam swój dom, drżący w portalu, nim zniknął mi z oczu. Jęknęłam, a Machina się uśmiechnęła.

- Powiedz tylko tak, a odeślę go natychmiast do domu. Jedno słowo, a staniesz się moją królową, na zawsze.

Nabrałam powietrza.

- Ja...

Nagle tam był. Jak udało mu się wstać, nie mówiąc już o poruszaniu się, było zagadką. Ale odepchnął mnie na bok, jego twarz przybrała dziki wyraz, a Machina uniósł zaskoczony brwi.

Kable poderwały się w kierunku Asha, a książę rzucił się naprzód i wbił miecz w pierś Machiny.

Król zachwiał się, twarz wykrzywił mu ból. Wokół wbitej w jego pierś klingi zawirowała błyskawica. Kable zaczęły się dziko rzucać, trafiły w Asha i rzuciły nim o metalowe drzewo. Rozległ się okropny zgrzyt i Ash osunął się po pniu, a Machina wyprostował się i posłał mu wściekłe spojrzenie.

Żelazny Król złapał rękojeść miecza i szarpnął a ostrze wyslizgnęło się z rany. Zasyczała błyskawica, topiąc lód wokół rany, a cienkie przewody zaczęły się splatać, zasklepiając ją. Machina odrzucił miecz i spojrzał na mnie, w jego czarnych oczach wrzała furia.

- Tracę do ciebie cierpliwość, kochanie - Jeden z kabli wystrzelił, owinał się wokół gardła Asha i poderwał go w górę. Ash zadławił się i zaczął się słabo szarpać, a Machina uniósł go ponad metr nad ziemię. Ethan szlochał w klatce.

- Panuj ze mną albo pozwól im umrzeć. Podejmij decyzję.

Nogi się pode mną ugięły, więc trzęsąc się, ukucnęłam. Pod palcami poczułam kamienną podłogę.

Co robić? - pomyślałam z rozpaczą. Jak mam wybrać? W obu przypadkach zginą ludzie. Nie mogę na to pozwolić. Nie pozwolę.

Ziemia pod moimi dłońmi zaczęła pulsować. Zamknęłam oczy i pozwoliłam, aby moja świadomość zsunęła się do ziemi, poszukała tej iskierki życia. Poczułam drzewa z ogrodu Machiny. Ich gałęzie były martwe, ale ich korzenie i serca nietknięte. Zupełnie jak ostatnim razem. Szturchnęłam je i poczułam, jak odpowiadają, skręcają się, by do mnie dotrzeć, przepychają się przez pył, tak samo, jak drzewa Letniego Dworu dla Oberona gdy pojawiła się chimera.

Jaki ojciec, taka córka.

Nabrałam głęboko powietrza i pociągnęłam. Ziemia zadrżała i nagle na powierzchnie wynurzyły się żywe korzenie, sforsowały chodnik, krusząc go i gniołąc. Machina krzyknął z przerażeniem, a korzenie ruszyły mu na spotkanie, oplątały jego ciało, ciągnęły kable. Król zawył, rzucił się do ataku, wypuszczając z rąk błyskawice i roztrzaskując drewno. Korzenie i żelazne kable splątały się jak oszalałe węże i kołysały w hipnotycznym dzikim tańcu.

Ash spadł wypuszczony przez kable i uderzył o ziemię, obok metalowego drzewa. Był zamroczony i z trudem łapał oddech, ale mimo to starał się wstać i odzyskać broń. Pod drzewem dostrzegłam kawałek bladego drewna - połowę pękniętej strzały z czarownego drzewa - i rzuciłam się po niego.

Kabel złapał mnie za nogę i powalił na ziemię. Odwróciłam się i zobaczyłam, że Machina patrzy na mnie, a wyciągniętą ręką walczy z kłębowiskiem korzeni. Kabel zacisnął się na mojej nodze i zaczął ciągnąć w jego stronę. Krzyknęłam i wbiłam palce w ziemię, zrywając paznokcie i raniąc się do krwi, ale nie mogłam się zatrzymać. Wściekła twarz Żelaznego Króla była coraz bliżej.

Ash znów zamachnął się mieczem i odciął kabel Kolejne rzuciły się w jego stronę, ale zimowy książę trzymał pozycję. Młócił mieczem i walczył z nacierającymi na nas żelaznymi mackami.

- Idź! - zakrzyknął, odcinając w powietrzu fragment kabla - Powstrzymam go, a ty idź!

Poderwałam się szybko i pobiegłam do pnia drzewa i leżącej pod nim strzały. Moje palce zacisnęły się na drewnie i odwróciłam się, gdy jeden z kabli pokonał obronę Asha. wbił się w jego ramię i powalił go na ziemię. Ash zawył, machając słabo mieczem, ale następny kabel wytrącił mu go z dłoni.

Pognałam do ataku na Żelaznego Króla, omijając kable i wijące się korzenie. Przez chwilę jego uwaga była skupiona na Ashu, ale potem spojrzał na mnie, a w głębi jego spojrzenie zaiskrzyły błyskawice. Z bojowym okrzykiem na ustach rzuciłam się naprzód.

Gdy go dosięgłam, coś trafiło mnie w plecy i pozbawiło tchu. Nie mogłam się ruszyć i uświadomiłam sobie, że zostałam od tyłu przeszzyta jednym z kabli. O dziwo, nie czułam bólu.

Machina przyciągnął mnie do siebie, podczas gdy kable i korzenie walczyły między sobą. Wszystko inne gdzieś zniknęło. Byliśmy tylko my.

- Zrobiłbym z ciebie królową - szepnął, wyciągając do mnie rękę. Korzenie oplatające mu tors i drugą rękę zacisnęły się mocniej, ale zdawał się nie zwracać na nie uwagi - Dałbym ci wszystko. Czemu odrzuciłaś taką ofertę?

Zacisnęłam rękę na czarownym drewnie, czując, że choć słabo, to wciąż tętni w nim życie.

- Ponieważ - wycedziłam, unosząc rękę - mam już wszystko, czego potrzebuję.

Pchnęłam do przodu, wbijając mu strzałę w pierś. Wargi Machiny rozwarły się w niemym okrzyku. Odrzucił głowę do tyłu, wciąż krzycząc, gdy z jego ust wystrzeliły zielone kielki i rozprzestrzeniły się na szyję. Dziwna energia, zupełnie jak kopnięcie prądem, przeszła moje ciało, sprawiając, że mięśnie mi się skurczyły. Kabel mnie odrzucił. Uderzyłam o ziemię i zdusiłam okrzyk, gdy wzdłuż kręgosłupa przeniknął mnie ból. Z trudem się podniosłam i rozejrzałam wokół. Złapałam miecz i pognałam do klatki Ethana. Jeden cios lodowej klingi rozwalił drzwi i uściśnęłam brata, który łkał, wtulony w moje włosy.

- Meghan! - Ash kuśtykał w moją stronę, trzymając się za ramię, a ciemna krew spływała mu po skórze. Za nim otworzyły się drzwi i na dziedziniec wpadły dziesiątki rycerzy. Przez moment stali zszokowani i patrzyli na swojego króla pośrodku ogrodu.

Machina nadal szamotał się w swoim więzieniu, ale słabo. Z jego piersi wyrastały gałęzie, kable zamieniły się w pnącza, które rozkwitły drobnymi białymi kwiatkami. A kiedy tak patrzyliśmy, rozpadł się na pół, zaś z jego piersi wyrósł pień młodego dębu. Słuchawka bluetootha spadła z gałęzi i wylądowała, pobłyskując światłem, wśród korzeni nowego drzewa.

- Nieźle - wyszeptalam w ciszy.

Rycerze odwrócili się do nas z krzykiem. Ruszyli naprzód, ale nagle ziemia zatrzęsła się pod nimi. W powietrzu rozległo się dudnienie, a żelazny tron zaczął się walić, tracąc ostre fragmenty jak łuski. Ziemia zadrżała.

A potem potężny kawał ogrodu pękł i odpadł, zabierając ze sobą w nicość kilku rycerzy. Pojawiły się kolejne rysy i dziedziniec zaczął się rozpadać. Rycerze zawyli i zaczęli uciekać, krzycząc w przerażeniu.

- Rozpada się cała wieża! - zawołał Ash, omijając spadającą belkę. - Musimy stąd uciekać, natychmiast!

Popędziłam do żelaznej bramy, potykając się, gdy kolejne pęknięcia przecinały mi drogę. Przebiegłam przez nią, ale nie znalazłam się po drugiej stronie. Nic się nie zmieniło. Ogarniała mnie coraz większa rozpacz, gdy przerażona rozglądałam się wokół.

- Człowieku - odezwał się znajomy głos i pojawił się Grimalkin machający ogonem. Spojrzałam na niego zdumiona. Nie wierzyłam własnym oczom. - Tędy. Szybko.

- Myślałam, że nie idziesz - wyjąkałam, goniąc za nim przez ogród, do dwóch metalowych drzew, które tworzyły łuk. Grimalkin odwrócił się do mnie i prychnął.

- Można było się spodziewać, że wybierzesz najtrudniejszą z możliwych dróg - stwierdził, machając ogonem. - Gdybyś tylko mnie posłuchała, pokazałbym ci łatwiejszą. A teraz szybko. To powietrze przyprawia mnie o mdłości.

Ziemią wstrząsnął ogłuszający ryk i ogród rozpadł się w drobny mak. Ściskając Ethana, rzuciłam się pomiędzy pnie, a Ash był tuż za mną. Poczułam mrowienie magii, gdy przechodziliśmy przez barierę i uświadomiłam sobie jeszcze, że spadamy, a potem wszystko zrobiło się czarne.

25. Powrót do domu.

Budziłam się powoli. Leżałam na zimnej podłodze z kafelków. Krzywiąc się, usiadłam i sprawdziłam, czy mam poważne rany. Jak przez mgłę przypominałam sobie, że jakieś powinnam mieć. Pamiętałam, jak Machina przeszył moje plecy żelaznymi kablami i jak cierpiałam, gdy je ze mnie wyrwał, ale teraz nie czułam bólu. Prawdę mówiąc, dawno nie czułam się tak dobrze. Rozsadzała mnie energia. Rozejrzałam się wokół. Leżałam w długiej, słabo oświetlonej sali zastawionej biurkami i komputerami. Szkolna pracownia informatyczna.

Poderwałam się i rozejrzałam za bratem, zastanawiając się przez jedną chwilę grozy, czy to wszystko było tylko upiornym snem. Zaraz jednak odetchnęłam z ulgą. Ethan leżał pod biurkiem ze spokojną miną i głęboko oddychał. Odgarnęłam mu kosmyk włosów z twarzy i się uśmiechnęłam. Rozejrzałam się wokół.

Nie widziałam nigdzie Asha, za to Grimalkin leżał na biurku pod brudnym oknem i mruzczał, wygrzewając się w słońcu Ostroźnie, by nie obudzić Ethana. wstałam i podeszłam do kota.

- Tu jesteś. - Kot ziewnął, otwierając jedno złote oko, by na mnie spojrzeć - Już myślałem, że nigdy się nie obudzisz. Chrapiesz, wiesz?

Zignorowałam to oświadczenie i usiadłam na biurku obok niego.

- Gdzie Ash?

- Nie ma go. - Grimalkin usiadł, przeciągnął się i okręcił ogon wokół łap. - Wyruszył wcześniej, zanim się obudziłaś Powiedział, że ma kilka spraw do załatwienia. I kazał na siebie nie czekać.

- Och. - Spróbowałam oswoić się z tą myślą, ale nie wiedziałam, co powinnam teraz czuć. Mogłam się zmartwić, rozżłościć, czuć urazę, że tak sobie poszedł, ale poczułam tylko zmęczenie. I trochę smutku.

- Był ciężko ranny, Grim. Nic mu nie będzie?

Grimalkin ziewnął, najwyraźniej zupełnie się tą kwestią nie przejmował. Nie uspokoiło mnie to, ale Ash był silny, na tyle silny, by dotrzeć do samego centrum Żelaznego Królestwa i z powrotem. Zwykle magiczne stworzenie by zginęło. On prawie zginął. Czy czerpał ze mnie urok w tym opustoszałym miejscu? Czy może coś innego pozwoliło mu przetrwać? Zastanawiałam się, czy kiedykolwiek będę miała okazję go o to spytać.

Chwilę później zaczęłam rozglądać się po sali, zdziwiona, że ścieżka do Żelaznego Królestwa była tak blisko.

Czy to jeden z komputerów skrywał drogę do ziem Machiny? Czy wylecieliśmy z monitora, czy też pojawiliśmy się znikąd, tak jak gremliny?

- A więc - odwróciłam się z powrotem do kota - odnalazłeś dla nas drogę do domu. Brawo. Co ci jestem za to winna? Kolejną przysługę albo dług na życie? Moje pierwotne dziecko?

- Nie. - Grimalkin zmrużył z rozbawienia oczy. - Tym razem ci daruję. Ale tylko len jeden raz.

Siedzieliśmy przez chwilę w ciszy, ciesząc się ze słońca i z tego, że w ogóle żyjemy. Ale kiedy tak patrzyłam na Ethana śpiącego pod biurkiem, poczułam jakiś dziwny ciężar, jakby czegoś mi brakowało. Jakbym zapomniała coś niezmiernie istotnego, tam, w krainie czarów.

- A zatem - zagadnął od niechcenia Grimalkin, liżąc przednią łapę - co teraz zrobisz?

Wzruszyłam ramionami.

- Nie wiem. Pewnie zabiorę Ethana do domu. Wrócę do szkoły. Spróbuję żyć dalej.

Pomyślałam o Puku i coś mnie ścisnęło w gardle. Szkoła niego nie będzie już tym samym. Miałam nadzieję, że wszystko z nim w porządku i że jeszcze kiedyś go zobaczę. Pomyślałam o Ashu i zaczęłam się zastanawiać, czy książkę Mrocznego Dworu zgodzi się iść na obiad albo do kina.

- Nadzieja umiera ostatnia - zamruczał kot.

- Taa - westchnęłam i znów zamilkłam.

- Tak się zastanawiałem - mówił dalej kot - jak w ogóle udało się Machinie wykraść twojego brata? Użył odmienia, ale to nie było żelazne stworzenie. Jak dokonał zamiany, skoro to nie był jego poddany?

Zastanowiłam się nad tym i zmarszczyłam brwi.

- Ktoś musiał mu pomóc - stwierdziłam.

Grimalkin skinął głową.

- Tak sądzę. A to oznacza, że Machinie służyły też normalne magiczne stworzenia, a teraz, gdy go nie ma, mogą mieć do ciebie pretensje.

Zadrżałam, czując, jak nadzieja na normalne życie mi umyka, wyobraziłam sobie noże na podłodze, włosy przywiązane do ramy łóżka, zagubione przedmioty i denerwujące stwory kryjące się w szafie albo pod łóżkiem, tylko czekające, by się na mnie rzucić Już nigdy nie będę mogła spokojnie spać, lego byłam pewna. Zaczęłam się zastanawiać, jak ochronię rodzinę.

Z kąta doleciało nas westchnienie. Ethan się budził.

- No to ruszaj - zamruczał Grimalkin. gdy się podniosłam. - Zabierz go do domu.

Chciałam powiedzieć „dziękuję”, ale nie miałam najmniejszego zamiaru jeszcze bardziej zadłużyć się u kota. Zamiast tego poszłam po Ethana i pomaszzerowaliśmy pomiędzy ławkami i wyłączonymi komputerami. Stając przy drzwiach, które na szczęście były otwarte, odwróciłam się i spojrzałam na rozświetlone okno, ale Grimalkina już tam nie było.

W pustej szkole panowała ciemność. Zdziwiona wędrowałam obskurnymi korytarzami, ściskając rączkę Ethana, i zastanawiałam się, gdzie się wszyscy podziali. Może był weekend, ale to nie wyjaśniało, skąd brały się kurz na podłodze i szafkach oraz poczucie kompletnej pustki, gdy mijaliśmy kolejne sale. Nawet w soboty były jakieś dodatkowe zajęcia. A szkoła wyglądała tak, jakby od tygodni nic się w niej nie działo.

Drzwi wejściowe były zamknięte na klucz, więc musiałam otworzyć okno. Najpierw podsadziłam Ethana, a potem przecisnęłam się za nim, zeskoczyłam na chodnik i rozejrzałam wokół. Na parkingu nie było żadnych samochodów, chociaż był środek dnia. Miejsce wyglądało na kompletnie opuszczone.

Ethan rozejrzał się wokół w milczeniu, a jego okrągłe niebieskie oczy przyglądały się wszystkiemu dokładnie. Była w nim ostrożność, która zupełnie do niego nie pasowała, jakby był teraz starszy, ale jego ciało się nie zmieniło. To mnie martwiło i delikatnie ścisnęłam go za rękę.

- Niedługo będziemy w domu - zapewniłam, gdy ruszyliśmy przez parking. - Krótka jazda autobusem i znów zobaczysz mamę i Luke'a. Cieszysz się?

Przyjrzał mi się poważnie i skinął głową. Nie uśmiechnął się.

Opuściliśmy teren szkoły i poszliśmy chodnikiem do najbliższego przystanku autobusowego. Wokół nas pędziły samochody i pospiesznie mijali nas ludzie. Jakież starsze panie uśmiechnęły się i pomachały do Ethana, ale on nawet nie zareagował. Martwiłam się o niego. Próbowałam go rozbawić, zadając mu pytania, opowiadając anegdotki o moich przygodach, ale on tylko patrzył na mnie ponurymi oczami i nie odzywał się ani słowem.

Staliśmy na rogu, czekaliśmy na autobus i obserwowaliśmy przechodniów. Widziałam magiczne stworzenia, które kręciły się w tłumie, wchodziły do sklepów, śledziły ludzi jak wilki. Z drugiej strony ulicy uśmiechnął się do Ethana chłopiec z czarnymi skórzastymi skrzydełkami i pomachał. Ethan zadrżał i mocniej złapał mnie za rękę.

- Meghan?

Odwiodłam się, słysząc swoje imię. Z kawiarni za nami wyszła dziewczyna i patrzyła na mnie zdziwiona. Zmarszczyłam brwi i przestąpiłam z nogi na nogę. Wyglądała znajomo. Miała długie ciemne włosy i wąską jak u cheerleaderki talię, ale nie mogłam sobie przypomnieć, skąd ją znam. Chodziła ze mną do klasy? Gdyby tak było, to chyba bym ją poznała. Byłaby bardzo ładna, gdyby nie wielki, zdeformowany nos. zniekształcający idealną twarz. I wtedy mnie olśniło.

- Angie - jęknęłam, czując, jak żołądek kurczy mi się ze zdziwienia. Przypomniałam sobie okrutny śmiech cheerleaderki. Puka szepczącego coś pod nosem i krzyki przerażonej Angie. Miała płaski, błyszczący nos, z dwiema wielkimi dziurkami, bardzo przypominający świński ryjek. Czy tak wyglądała zemsta elfa? Poczułam, jak poczucie winy skręca mi wnętrzności i oderwałam wzrok od jej twarzy. - Czego chcesz?

- O Boże! To naprawdę ty! - Angie zagapiła się na mnie, poruszając nozdrzami. Zobaczyłam, jak Ethan przypatruje się bez skrępowania jej ryjkowi.

- Wszyscy myśleli, że nie żyjesz! Szukali cię policja i detektywi. Mówili, że uciekaś. Gdzie byłaś?

Zamrugałam. To była nowość. Angie nigdy wcześniej ze mną nie rozmawiała, chyba że chciała się ze mnie ponaśmiewać.

- Ja... jak długo mnie nie było? - wyjąkałam, nie wiedząc, co powiedzieć.

- Ponad trzy miesiące - odpowiedziała, a ja gapiłam się na nią bez słowa.

Trzy miesiące? Moja wyprawa do Nigdyngdy nie mogła trwać aż tyle, prawda? Tydzień, może dwa. Ale przypominałam sobie, jak mój zegarek stanął w Losoborze, i zrobiło mi się słabo. W krainie magii czas płynął inaczej. Trudno się dziwić, że szkoła była zamknięta. Trwały wakacje.

Angie wciąż patrzyła na mnie z ciekawością, a ja rozpaczliwie próbowałam znaleźć odpowiedź, która nie brzmiałaby zbyt nedorzecznie. Ale nim cokolwiek wymyśliłam, obok zatrzymały się trzy blondynki zmierzające do kawiarni i zaczęły się na nas gapić.

- O Boże! - krzyknęła jedna z nich. - To przecież ta dziwka z bagien! Wróciła.

Po ulicy poniół się piskliwy śmiech, nawet kilka osób zatrzymało się, by zobaczyć, o co chodzi.

- Hej, słyszałyśmy, że wpadłaś i starzy wystali cię do jakiejś szkoły wojskowej. To prawda?

- O Boże! - zapiszczała druga, wskazując Ethana - Patrzcie! Już urodziła!

Zaczęły się śmiać histerycznie, rzucając mi spojrzenia by sprawdzić, jak zareaguję. Popatrzyłam na nie spokojnie i się uśmiechnęłam.

Pewnie was zawiodę, pomyślałam, widząc, jak zaskoczone marszczą brwi. Ale po spotkaniu z morderczymi goblinami, czerwonymi kapturkami, gremlinami, rycerzami i satyrami po prostu nie robicie już na mnie wrażenia.

I wtedy, ku mojemu zaskoczeniu, Angie skrzywiła się ze złością i postąpiła krok naprzód.

- Darujcie sobie - warknęła, a ja zorientowałam się, że te to dziewczyny z jej grupy cheerleaderek - Dopiero wróciła do miasta. Dajcie jej spokój.

Postały jej ponure spojrzenia

- Przepraszam, Świniaku, mówiłaś do nas? - zapytała któraś przesłodzonym tonem - Bo ja się do ciebie nie odzywałam. Może pójdziesz razem z dziewczką z bagien? Na pewno znajdzie dla ciebie odpowiednie miejsce na farmie.

- Ale ona cię nie rozumie - wtrąciła kolejna. - Musisz do niej mówić jej językiem. O tak.

I zaczęła chrząkać i kwiczeć, a pozostałe dwie przyłączyły się do niej. Po ulicy niosło się głośne chrumkanie, a Angie spurpurowiała.

Stanęłam tam zaskoczona. To było takie dziwne - widzieć najpopularniejszą dziewczynę w szkole w mojej sytuacji. Idealna cheerleaderka zakosztowała tego, co zwykle fundowała innym. Ale instynkt podpowiadał mi, że to nie była żadna nowość, że zaczęło się to w dniu, gdy Puk zrobił ten okrutny dowcip i miałam dla niej tylko współczucie. Gdyby tu był, wykręciłabym mu ramię, a żeby zrobił z tym porządek.

Gdyby tu był

Szybko odepchnęłam od siebie tę myśl. Jeśli teraz zacznę o nim myśleć, to się rozplaczę, a to była ostatnia rzecz, na jaką miałam ochotę na oczach tych dziewczyn. Przez moment wydawało mi się, że to jednak Angie rozplaczę się i ucieknę. Ale po chwili odetchnęła głęboko i spojrzała na mnie, przewracając oczami.

- Spadajmy stąd - zaproponowała, kiwając głową w kierunku parkingu. - Byłaś już w domu? Podwiozę cię

- Hm... - Znów zaskoczona zerknęłam na Ethana. Popatrzył na mnie. Był blady i zmęczony. Wahałam się, ale chciałam jak najszybciej zabrać go do domu. Chociaż wciąż miałam pewne wątpliwości. Angie wydawała się teraz inną osobą. Zastanawiałam się chwilę, czy to poważne przeciwności losu tak wzmacniają ludzi.

- Pewnie.

W drodze do domu zadawała mi mnóstwo pytań: gdzie byłam, czemu wyjechałam, czy naprawdę byłam w ciąży. Odpowiadałam tak ogólnikowo, jak się tylko dało, nie wspominałam oczywiście o morderczych stworach. Ethan zwinął się obok mnie w kłębek i zasnął, a niedługo potem poza szumem silnika w samochodzie było słychać tylko jego pochrapywanie. Angie zatrzymała się w końcu obok znajomej drogi żwirowej i mój żołądek fiknął nerwowo, gdy otworzyłam drzwi, ciągnąc za sobą Ethana. Słońce już zaszło, gdzieś w górze huknęła sowa. W oddali, jak latarnia morska, świeciła na ganku lampka.

- Dzięki, że mnie podwiozłaś - odezwałam się do Angie, zatrzymując drzwi samochodu.

Skinęła głową, a ja zmusiłam się, by wypowiedzieć to proste słowo:

- Dziękuję. - Gdy spojrzałam na jej twarz, znów dało o sobie znać poczucie winy. - Przykro mi z powodu... no wiesz.

Wzruszyła ramionami.

- Nie przejmuj się. Za kilka tygodni jadę do chirurga plastycznego. Powinien się tym zająć.

Chciała już wrzucić bieg, ale odwróciła się jeszcze do mnie.

- Wiesz - zmarszczyła brwi - nie pamiętam nawet, jak to się stało. Czasami myślę, że zawsze tak było. A potem ludzie patrzą na mnie tak dziwnie, jakby nie mogli tego pojąć. Jakby się bali, bo jestem taka inna.

Spojrzała na mnie. Miała ciemne cienie pod oczami. Nos wydawał się odstawać z jej twarzy.

- Ale wiesz jak to jest, prawda?

Skinęłam głową. Angie znów zamrużyła, jakby widziała mnie po raz pierwszy.

- A więc... - Nagle zażenowana pomachała Ethanowi i skinęła mi krótko głową. - Na razie.

- Pa. - Obserwowałam, jak odjeżdża, jak światła samochodu robią się coraz mniejsze i mniejsze, aż w końcu skręciły za róg i zniknęły.

Noc zrobiła się nagle ciemna i nieruchoma.

Ethan wziął mnie za rękę i spojrzałam na niego z niepokojem.

Wciąż nic nie mówił. Mój brat zawsze był cichym dzieckiem, ale ta nieustanna, przeciągająca się cisza niepokoiła mnie. Miałam nadzieję, że nie nabawił się jakiegoś urazu.

- Do domu. mały. - Westchnęłam, patrząc na długi podjazd. - Myślisz, że dasz radę?

- Meggie?

Spojrzałam na niego z ulgą.

- Tak!

- Jesteś teraz jedną z nich?

Nabrałam gwałtownie powietrza, czując się tak, jakby mnie uderzył.

- Co?

- Wyglądasz inaczej. - Ethan wskazał swoje ucho i spojrzał na moje. - Jak zły król. Jak jedna z nich.

Pociągnął nosem.

- Czy teraz będziesz, mieszkać z nimi?

- Oczywiście, że nie. Nie należę do nich. - Ścisnęłam go za rękę. - Będę mieszkać z tobą, mamą i Lukiem, jak zawsze

- Ciemny pan rozmawiał ze mną. Powiedział, że zapomnę o nich za rok albo dwa. że nie będę mógł ich już widzieć. To znaczy, że o tobie też zapomnę?

Uklęknęłam i spojrzałam mu w oczy.

- Nie mam pojęcia. Ethan. Ale wiesz co? To nieważne. Bo bez względu na to. co się stanie, zawsze będziemy rodziną, prawda?

Skinął poważnie głową. Zdecydowanie zbyt poważnie jak na swój wiek. I razem ruszyliśmy w dalszą drogę.

Z każdym krokiem nasz dom robił się coraz większy. Wyglądał jednocześnie swojsko i dziwnie. Widziałam na podjeździe obtłuczoną furgonetkę Luke'a i powiewające w oknie kwieciste zasłony mamy. W mojej sypialni było ciemno, ale w pokoju Ethana migotała pomarańczowa nocna lampka. Żołądek mi się skurczył na myśl, co tam śpi. Na dole świeciła się jedna lampa. Przyspieszyłam kroku.

Gdy otworzyłam drzwi, zobaczyłam, że mama śpi na kanapie. Telewizor był włączony. Miała na kolanach pudełko chusteczek, a jedną z nich ścisnęła w rękę. Poruszyła się, gdy zatrzęsnęłam za sobą drzwi, ale nim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, Ethan krzyknął: „Mamusia!”, i rzucił się jej na szyję.

- Co? - Mama poderwała się, zaskoczona dzieckiem drżącym w jej ramionach - Ethan? Co ty robisz na dole? Miałeś koszmar?

Spojrzała wtedy na mnie i pobladła. Próbowałam się uśmiechnąć, ale wargi nie chciały mnie słuchać, a gula w gardle sprawiła, że nie mogłam też mówić.

Mama wstała, wciąż trzymając Ethana, i padłyśmy sobie w ramiona. Zaczęłam płakać w jej szyję, a ona ścisnęła mnie mocno, jej łzy kapały mi na policzek.

- Meghan. - W końcu się odsunęła i spojrzała na mnie, a w jej oczach gniew walczył z ulgą. - Gdzie byłaś? - zapytała drżącym głosem - Szukali cię policja, detektywi, całe miasto. Nikt nic znalazł ani śladu, a ja umierałam ze strachu. Gdzie byłaś przez trzy miesiące?

- Gdzie Luke? - Sama nie wiem. dlaczego zadałam to pytanie. Może uznałam, że nie powinien tego słyszeć, że to dotyczy tylko mnie i mamy. Byłam ciekawa, czy Luke w ogóle zauważył, że mnie nie było. Mama zmarszczyła brwi, jakby wiedziała, o czym myślę.

- Jest na górze, śpi - odpowiedziała, odsuwając się ode mnie - Powinnam go obudzić i powiedzieć, że wróciłaś do domu. Każdej nocy przez ostatnie trzy miesiące brał samochód i objeżdżał boczne drogi, szukając ciebie. Czasami nie wracał aż do rana.

Zaskoczona, z trudem pohamowałam łzy. Mama spojrzała na mnie groźnie, tak jak zawsze, gdy dostaję szlaban.

- Poczekaj tu, aż go przyprowadzę, a potem, młoda damo, opowiesz nam. gdzie byłaś, kiedy my szaleliśmy z niepokoju. Ethan, skarbie, chodź, położę cię do łóżka.

- Poczekaj - rzuciłam, gdy się odwróciła. Ethan wciąż trzymał się jej szlafroka. - Pójdę z tobą. Ethan też. Myślę, że wszyscy powinni to usłyszeć.

Zawahała się, patrząc na Ethana, ale w końcu skinęła na zgodę.

Właśnie mieliśmy ruszać, gdy hałas na schodach sprawił, że zamarliśmy.

Stał tam odmieniec. Mrużył oczy i szczyrzył groźnie zęby. Miał na sobie piżamkę w króliczki należąca do Ethana i zaciskał pięści z wściekłości. Prawdziwy Ethan zaczął kwilić, wtulając się w mamę i kryjąc twarz. Mama jęknęła i zasłoniła dłonią usta, a odmieniec zasyczał do mnie.

- Niech cię diabli! - zawył, tupiąc wściekle - Głupia, głupia dziewczyna! Po co go przyprowadziłaś z powrotem? Nienawidzę cię! Nienawidzę! Ja...

U jego stóp pojawił się dym i odmieniec zawył Zakręcił się wokół własnej osi, wykrzykując przekleństwa i kurcząc się, aż zniknął w kłębach dymu. Pozwoliłam sobie na mały uśmiech triumfu.

Mama opuściła rękę. Kiedy znów się do mnie odwróciła, zobaczyłam w jej oczach zrozumienie i potworny, paraliżujący strach.

- Rozumiem. - Westchnęła, patrząc na Ethana. Zadrżała i pobladła. Wiedziała. Wiedziała o nich wszystko.

Popatrzyłam na nią. Cisnęły mi się na usta pytania, ale było ich tyle, że nie mogłam się zdecydować. Mama wyglądała teraz inaczej, była słaba i przerażona, zupełnie inna niż matka, którą znałam.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś? - wyszeptalam. Mama usiadła na kanapie i przyciągnęła do siebie Ethana. Przytulił się do niej tak, jakby nigdy nie miał jej puścić.

- Meghan. ja... To było lata temu, kiedy... go spotkałam... twojego ojca. Ledwo to pamiętam. Wszystko wydawało się raczej snem niż prawdą.

Nie patrzyła na mnie, zatopiona we własnych wspomnieniach. Usiadłam na brzegu fotela, a ona cicho mówiła dalej.

- Miesiącami przekonywałam się, że to się nie wydarzyło. To, co robiliśmy, co mi pokazywał, wydawało się nierealne.

Był tylko jeden raz, nigdy więcej go nie widziałam. Kiedy odkryłam, że jestem w ciąży, trochę się denerwowałam, ale Paul tak się cieszył! Lekarze powiedzieli nam, że nie będziemy mogli mieć dzieci.

Paul. Mój umysł poruszył się niespokojnie na to imię. Miałam wrażenie, że je poznaję. Aż wreszcie dotarły do mnie słowa mamy i olśniło mnie - Paul był moim ojcem, a w każdym razie ożenił się z mamą. Nie pamiętałam go. Zupełnie. Nie wiedziałam, kim był ani jak wyglądał. Najwyraźniej zmarł, gdy byłam malutka. Ta myśl mnie zmartwiła. I rozżłościła. Oto kolejny ojciec, którego mama próbowała przede mną ukryć.

- A potem ty się urodziłaś - mówiła dalej, wciąż tym samym, nieobecny tonem. - Zaczęły się dziwne rzeczy. Często znajdowałam cię poza kołyską, na podłodze, a czasem nawet na zewnątrz, chociaż jeszcze nie potrafiłaś chodzić. Drzwi same się otwierały i zamykały. Ginęły różne rzeczy, a potem pojawiały się w najdziwniejszych miejscach. Paul myślał, że dom jest nawiedzony, ale ja wiedziałam, że to oni kręcą się wokół. Czułam to, chociaż nie mogłam ich zobaczyć. To mnie przerażało. Bałam się, że chcieli cię zabrać, a nawet własnemu mężowi nie mogłam powiedzieć, co się dzieje. Postanowiliśmy się przenieść i przez jakiś czas wszystko wróciło do normy. Rostaś jak zwykle szczęśliwe dziecko i pomyślałam, że to wszystko jest już za nami. A potem. - Mamie zadrżał głos, a oczy wypełniły się łzami. - Był ten wypadek w parku i wiedziałam, że oni znów nas znaleźli. Później, kiedy wszystko ucichło, przeniosłyśmy się tutaj i poznałam Luke'a. A resztę wiesz.

Zmarszczyłam brwi. Pamiętałam park, wysokie drzewa i mały zielony staw. ale nie mogłam sobie przypomnieć „wypadku”, o którym mówiła mama. A nim zdążyłam zapytać, nachyliła się i złapała mnie za rękę.

- Od dawna chciałam ci to powiedzieć - wyszeptła przez łzy -Ale się bałam. Nie, że mi nie uwierzysz, ale wręcz przeciwnie. Chciałam, żebyś prowadziła normalne życie, nie bała się ich i nie budziła każdego ranka w strachu, że cię znajdą.

- Ale nie podziałało, co? - spytałam przez zaciśnięte gardło. Złość się we mnie gotowała i spojrzałam na nią ponuro. - Nie dość, że oni po mnie przyszli, to jeszcze wciągnęli w to Ethana. Co teraz zrobimy? Uciekniemy, jak wcześniej dwa razy? Wdziałaś, co z tego wyszło.

Oparła się o kanapę i przytuliła troskliwie Ethana.

- Ja... nie wiem - wyjąkała, ocierając łzy. Natychmiast poczułam się winna. Mama przechodziła przez to samo, co ja. - Coś wymyślimy. Na razie cieszę się, że jesteście bezpieczni.

Uśmiechnęła się do mnie niepewnie, a ja odpowiedziałam tym samym, chociaż wiedziałam, że to jeszcze nie koniec. Nie mogłyśmy schować głowy w piasek i udawać, że nie ma magicznych stworzeń. Może i Machina zginął, ale Żelazne Królestwo będzie się rozrastało, zatruwając po trochu krainę Nigdy nigdy. Nie dało się zatrzymać postępu i technologii. Coś mi mówiło, że nie uda nam się przed nimi uciec. Ucieczka po prostu się nie sprawdzała - oni byli zbyt uparci i wytrwali. Mogli chować urazę przez wieki.

Prędzej czy później znów będzie trzeba się z nimi zmierzyć. No i oczywiście „prędzej” nastąpiło znacznie szybciej, niż się spodziewałam.

- Ethan - odezwała się po jakimś czasie mama, gdy adrenalina opadła, a dom się uspokoił - Może pójdziesz na górę i obudzisz tatusia? Na pewno chciałby wiedzieć, że Meghan jest w domu. A potem możesz z nami spać, jeśli chcesz.

Ethan skinął głową, ale wtedy otworzyły się frontowe drzwi i do pokoju wpadł zimny wiatr. Księżycowy blask za drzwiami zawibrował, skupił się i wyłoniła się z niego postać.

Przez próg przeszedł Ash.

Mama nie uniosła głowy, ale Ethan i ja podskoczyliśmy. Serce zaczęło mi mocno bić. Ash wyglądał teraz inaczej. Skaleczenia i poparzenia się zagoiły, a włosy okalały mu twarz.

Miał na sobie proste ciemne spodnie i białą koszulę, a u pasa miecz. Nadal niebezpieczny. Nadal nieludzki i zabójczy. Nadal był najpiękniejszą istotą, jaką kiedykolwiek widziałam. Jego srebrzyste oczy odnalazły moje i skłonił głowę.

- Już czas - wyszeptał.

Przez chwilę patrzyłam na niego, nie rozumiejąc i wszystko sobie przypominałam.

O Boże! Umowa. Przybył tu, żeby mnie zabrać do Zimowego Dworu.

- Meghan? - Mama spojrzała na mnie. a potem na drzwi. Nie widziała zimowego księcia. Ale jej twarz stężała. Wiedziała, że coś tam jest. - Co się dzieje? Kto to?

- Nie mogę teraz iść! - wrzeszczałam w myślach. Właśnie wróciłam do domu! Chcę być normalna Chcę iść do szkoły, nauczyć się prowadzić i iść w przyszłym roku na studniówkę. Chcę zapomnieć, że elfy w ogóle istnieją.

Ale dałam słowo. A Ash dotrzyma! swojej obietnicy, chociaż prawie przez to zginął.

Czekał cicho, nie spuszczać ze mnie wzroku. Skinęłam głową i odwróciłam się do swojej rodziny.

- Mamo - powiedziałam, siadając na kanapie. - ja... muszę, iść. Obiecałam komuś, że zostanę z nimi na jakiś czas. Proszę, nie martw się i nie smuć. Wrócę, obiecuję, Ale jest coś, co muszę zrobić, bo inaczej oni znów przyjdą po ciebie albo Ethana.

- Meghan, nie. - Mama złapała mnie za rękę i ścisnęła mocno. - Coś wymyślimy. Musi być jakiś sposób, by... utrzymać ich z dala. Możemy znów się przeprowadzić, wszyscy. Możemy...

- Mamo! - Pozwoliłam opaść urokowi i ukazałam jej swoją prawdziwą naturę, tym razem było łatwo sterować otaczającym mnie urokiem. Zupełnie jak z drzewami w ogrodzie Machiny, przychodziło mi to naturalnie i dziwiłam się, że w ogóle mogło mi to kiedyś sprawiać trudność.

Mama spojrzała na mnie wielkimi oczami i zabrała gwałtownie rękę, przyciskając do siebie Ethana.

- Teraz jestem jedną z nich - wyznałam. - Nie mogę przed tym uciec. Powinnaś to wiedzieć. Muszę iść.

Mama nie odpowiedziała. Patrzyła na mnie z mieszaniną żalu, poczucia winy i przerażenia. Westchnęłam i wstałam, przywracając urok. Ciężył mi jak cały świat.

- Gotowa? - spytał Ash, a ja zawahałam się, rzucając okiem w stronę swojego pokoju. Czy chciałam wziąć coś ze sobą? Miałam swoje ubrania, muzykę i różne osobiste rzeczy zebrane przez szesnaście lat życia.

Nie. Nie potrzebowałam ich. Tamta osoba zniknęła, o ile w ogóle kiedykolwiek istniała. Musiałam ustalić, kim naprawdę jestem, nim tu wrócę. O ile tu wrócę. Spojrzałam na mamę, wciąż siedzącą nieruchomo na kanapie, i zaczęłam się zastanawiać, czy jeszcze kiedyś nazwę to miejsce domem.

- Meggie? - Ethan zsunął się z kanapy i podszedł do mnie.

Uklękałam, a on przytulił mnie z całych swoich czteroletnich sił.

- Nie zapomnę - wyszeptał, a ja przełknęłam gulę, która nagłe uwięzła mi w gardle. Wstając, zmierzwiłam mu włosy i odwróciłam się do Asha, wciąż czekającego w milczeniu przy drzwiach.

- Masz wszystko? - zapytał.

Skinęłam głową.

- Wszystko, czego potrzebuję - odpowiedziałam. - Ruszajmy.

Kiwnął głową, ale nie mnie, tylko mamie i Ethanowi, a potem wyszedł. Elhan pociągnął głośno nosem i pomachał mi, powstrzymując łzy.

A ja uśmiechnęłam się, widząc ich emocje tak wyraźnie, jakby były pięknym obrazem - niebieski smutek, szmaragdową nadzieję, szkarłatną miłość. Byliśmy połączeni, wszyscy. Nikt, elfy, bogowie ani nieśmiertelni nie mogli tego zmienić.

Pomachałam Ethannowi i skinęłam głową mamie, wybacząc jej. Zatrzasnąwszy drzwi, podążyłam za Ashem w srebrne światło księżyca.

Podziękowania.

Drogo do wydania książki jest długa i męcząca. Chcę więc podziękować wielu osobom za to, że pomogły mi dotrzeć do jej końca. Moim rodzicom - za zachęcanie mnie, by spełniać marzenia, zamiast szukać porządnej pracy. Mojej siostrze Kimiko i mojemu szwagrowi Mike'owi - za to, że chętnie czytali okropne pierwsze wersje. Mojej mentorze Julianne Lee, a także wspaniałym autorom, nauczycielom i uczniom Green River Writers w Louisville. KY. Mojej wspaniałej agentce Laurie McLean - za szansę, którą mi dała. i mojej redaktorce Natashyi Wilson - za wcielenie marzenia w życie. Grupie pisarskiej - za wszystkie spędzone razem weekendy, za wykrawianie się nad rękopisami, wzajemne mordowanie bohaterów i wałkowanie w kółko tego samego.

Ale najbardziej chcę podziękować mojemu wspaniałemu mężowi Nickowi, który był moim partnerem w pisaniu, podsycił ducha walki, był redaktorem, lożą szyderców, korektorem, głową rozsądku i zawsze chętnie rozmawiał ze mną o opowieści, fabule i bohaterach, gdy się zamotałam. Nie dałabym sobie bez mego rady.